3 (30) MARZEC 1985 CENA 50 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839



MARZENA KAWALEROWICZ

Drugi literacki konkurs

FANTASTYKA '85



Robert Tracz

Wszystkich miłośników, znawców, koneserów, autorów prozy science fiction – zawodowców i amatorów
Wszystkich, którzy mają do zaproponowania ciekawy pomysł, nową ideę bądź formę literacką
Wszystkich, którzy wierzą, że mogliby wpłynąć na rozwój krótkiej formy SF

namawiamy do wzięcia udziału w organizowanym przez „Fantastykę"

Konkursie na opowiadanie SF – 1985

Utwory nigdzie dotąd nie publikowane, o objętości nie przekraczającej 40 stron znormalizowanego maszynopisu, prosimy nam nadsyłać (w dwu podpisanych egzemplarzach, w kopercie z dopiskiem „KONKURS LITERACKI") pod adresem redakcji do dnia 31. XII. 1985 roku

- Dla autorów najwartościowszych opowiadań przewidziano nagrody.
- Wszystkie teksty nagrodzone i wyróżnione ukażą się na łamach „Fantastyki" w całości lub we fragmentach i będą honorowane wg przyjętych stawek autorskich. Redakcja zastrzega sobie prawo ich pierwodruku.
- Istnieje możliwość opublikowania najlepszych tekstów w wydawnictwie książkowym, jak stało się to z opowiadaniami z pierwszego konkursu.
- Rozpatrujemy tylko znormalizowane maszynopisy (30 wierszy na stronie, 60 uderzeń w wierszu).
- Termin nadsyłania prac mija 31 XII 1985 r.

Redakcja

UWAGA! Nowy adres redakcji: **00-640 WARSZAWA ul. Mokotowska 3/5**



16

Tylko dogłębne studia matematyczne mogą zaowocować receptą na kłopoty z natrętną żoną, przeszkadzającą mężowi w jego ulubionych zajęciach. Taką tezę znajdą Czytelnicy w dowcipnym, pełnym specyficznego humoru opowiadaniu jednego z najlepszych brytyjskich pisarzy młodszego pokolenia.

Ian McEwan: „Stereometria"

...3...2...1...



„Skoro rzeka Wisła w całej swej długości i ze wszystkimi dopływami toczyć się poczęła poprzez państwo narodowe polskie... zużył bieg jej wód tak samo, jak słony prąd morski, z zachodu zdążający ku wschodowi. Począł ujmować wielką rzekę w szklane łożysko. W jednej z hut nad morzem wytwarza materiał specjalny. Kolosalne tafle i klinowate, wielkiej grubości, ostro zakończone, wpierające się jedna w drugą fugami na moc wieczną i niezwalczoną dla żadnej siły, zmocowane hakami i klinami szklanymi, wsparte o tylne podpory, zapuszcza w piaszczyste lub poszarpane wybrzeża. Cieśnia rozległą i rozlewną rzekę w dwakroć węższy strumień wodny. Mechanizm tworzenia ściany szklanej jest prosty, prawie pierwotny i niemal ciesielski. Robota wbijania w dno na ogromną głębokość tafli klinowych, u dołu ostrych jak brzytwa, a grubiejących aż do bryłowatości fortecznego muru – jest szybka nad wszelkie słowo..."

Tylko niektórzy rozpoznali natychmiat ten fragment. Inni przymierzali go – oczywiście – do science fiction, może to Lem jakiś jeszcze bardzo młody, jego to przecież wydaje się ta pełna soczystości i krzepkości, trochę staroświecka, piękna stylistyka. Romantyczna, czy neoromantyczna, żwikiewiczowska chyba? – powiedziałby tak też niejeden. Ale to nie młody Lem ani brodaty młody dziwak Żwikiewicz w nowej tysiącstronicowej powieści-rzece. I nie żaden tam fantasta, pożal się Boże. To sam Żeromski.

Opisywałem już raz scenkę, wcale zresztą nieodosobnioną, typową raczej, taką, w jakiej twórcy dawnych sztuk, przedstawiając jej bohaterów, notowali: „ciż". Otóż ci „ciż" to nasi fanowie. Wołają stale ku mojej rozpaczy: *„Żeromski to nudziarz, jakże on to pisze, zawsze jakieś kiczowate otoczenie, jęki, szlochy jego bohaterowie wydają, obrazki jarmarczne przed oczy stawia, prymitywne, śmieszne i nieprawdziwe. Jak..."* ...Jak z ulubionych przez naszą młodzież teledysków, prawda? *„Eee, gdzie mu do takich obrazków"*. Ktoś widać kiedyś został zmuszony do przeczytania „Syzyfowych prac" jako lektury szkolnej, ktoś ledwo przebrnął lub bryk gdzieś znalazł i z niego zrzynał treści „Ludzi bezdomnych". *„Nie ma tam nas"* z odcieniem pogardy mówią fanowie. *„Kiedyś czytałam, czytałem, ale zapomniałem, Żeromski tak, Żeromski, ale Nobla dostali wtedy inni"* – powiadają ojcowie fanów.

Nie piszę o Żeromskim teraz, na początku tej wiosny, dlatego tylko, że ten okres to ciągle jeszcze rok Żeromskiego, że czasopisma pokazują raz za razem fragmenty życia pisarza, który jako jeden chyba jedyny od czasów króla Stasia dostał kwaterę stałą na Zamku, w stolicy. Mówię dziś o nim przede wszystkim ogromnie zaskoczony jego zapoznaniem, jego w naszej epoce w cień odchodzeniem. On – za życia sumienie narodu, najpopularniejsza postać w kraju, kraju, którego wyzwolenia tak przez siebie wymarzonego doczekał w pełni pisarskich sił, zaledwie kilkadziesiąt lat później mało jest już czytywany. Żyjemy w epoce fin de siècle'u, w klimacie dekadentyzmu sztuki, podobnym żywo do czasów, w jakich on zaczął swoją twórczość. A to był przecież ten sam okres, który tworzył nowoczesną science fiction, z jej nadziejami futurystycznymi, z jej pociągiem do rzeczy kiczowatych, z jej ulubieniem melodramatu (Żuławski), a także z jakimś przeczuciem kataklizmu, apokalipsy. Zbliżało się zagrożenie wojenne.

Świat zdawał się zbudowany nad samym kraterem wulkanu, czyż nasz tak nie wygląda, czy bardzo jest inny? Czy my jesteśmy różni od współczesnych Żeromskiemu, czy polska dusza, której był najlepszym znawcą na świecie, odmieniła się? Ci, którzy czytają Żeromskiego, wiedzą o naszej duchowej wspólnocie, o tego samego typu troskach, marzeniach, upałach duszy, jej piwnicach, a także o jej salonach i niebach.

Nikt lepiej nie potrafił przedstawić naszych polskich targań wewnętrznych i także zewnętrznych, jak on. Nikt umiejętniej nie umiał określić wzajemnego stosunku dwóch sąsiedzkich narodowości – Polaków i Rosjan, jak on, na przykład w swojej jakże przecudnie melodramatycznej prozie „Urody życia", w której romantycznej, wielkiej miłości dwojga bohaterów staje na przeszkodzie tragiczne poczucie więzów z historią familii, z historycznymi tragediami narodu.

Jakże to nasza reakcja, jak różnimy się pod tym względem od innych Europejczyków, szamocząc się ciągle wewnętrznie, rozdrapując winy i rany. A „Przepióreczka", romantyczny dramat wolności, niezależności jednostki, uwikłanej w sprawy społeczne, narodowe, w śmieszną chyba miłość czy miłostkę, więc uciec, rzucić wszystko, *„wsiąść do pociągu byle jakiego"*, zostawić to, co się zbudowało i ukochało, całkiem to do nas przecież podobne, do wielu z nas.

Albo rzecz o Szeli, drapieżna, sięgająca do narodowych bebechów, czy to jest dla współczesnych nam niezrozumiałe? Czy mogłoby być obce? Wykluczone. Ciekawe, wiele z naszej klasycznej literatury próbowali, z większym lub nieco mniejszym powodzeniem, schwytać na mały lub duży ekran co wybitniejsi lub przebieglejsi reżyserzy, wietrząc powodzenie; rzeczywiście przychodziło ono czasem wręcz oszałamiające. Ciągle powtarza się na przykład w TV „Pana Wołodyjowskiego" czy „Rodzinę Połanieckich". Nie były jednak filmowymi bestsellerami ani „Popioły" – dzieło samego Wajdy, ani najbardziej kiczowata żeromszczyzna „Dziejów grzechu" w całkiem interesującej inscenizacji czy raczej ekranizacji Borowczyka. Dlaczego? Pytam się wokoło, czemu Żeromski właśnie w naszych czasach, w których wydaje się najbardziej potrzebny, jako człowiek wstrząsający polskimi sumieniami, nie cieszy się wielkim (na jakie w pełni zasługuje) wzięciem ani u młodych, ani u starych, przez jednych nieznany, przez drugich odsunięty w kąt pamięci. On, przystający do naszej epoki, on, wyciskający łzy nawet u najtwardszych, on, pchający nam przed oczy nasze skarykaturowane wizerunki, on, tak rysujący, tak wpajający nam widoki naszej polskiej ziemi, że w jego opisach widzimy ją i kochamy jeszcze bardziej niż gdy jest rzeczywista, koło nas.

Zastanawiam się, z bolesnym uporem, nad pytaniem, czemu tak mało zna się dziś jednego z największych, a może największego z największych polskich pisarzy? Mniej niż innych? A więc nie odgrywa tutaj zasadniczej roli w ogóle pewien zmierzch czytelnictwa powieści, także i klasyki. Wielka krytyka (a może jej wcale nie ma?) nie tyka problemów żeromszczyzny, lub prawie nie tyka. W dyskusjach o literaturze i czytelnictwie mędli się do znudzenia współczesne kierunki i szufladkuje dzisiejszych twórców. Czyżbyśmy mimo wszystko żyli w czasach, gdy nawet taka klasyka, która jak ulał do nas pasuje, spełniała tylko jedną jedyną rolę – zdobnictwa półek z książkami, a więc byłaby to epoka wyjątkowego snobizmu?

Pragnę tych, którzy przeczytają ten wstępny felieton do „Fantastyki", to comiesięczne orbitowanie w pobliżu lub bardzo daleko od Ziemi, rozdrażnić wybiciem sprawy Żeromskiego. Skłonić, wbrew ich przekonaniom czy gustom, do przeczytania „Przedwiośnia", „Wiernej rzeki", „Urody życia", „Popiołów". Kto nie zna Żeromskiego, choć czuje się Polakiem, nie pozna i nie zazna prawdziwej polskości! Nie zazna – to chyba najwłaściwiej powiedziane. Bo u Żeromskiego strona uczuciowa zawsze dominuje nad intelektem, zresztą trudno jedno od drugiego oddzielić. Taki on już jest spójny. A wy, bez niego, jesteście jak tabaka w rogu! Ot co!

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

■

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 3/5

Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski, Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red.), Anna Szubka, Anna Tabaczyńska (dział nauki), Darosław J. Toruń

Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy, tel. 25-56-26.

Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: P.Z. Graf. RSW Łódź.
Oddano do składu 10 grudnia 1984 r. Zam. 1579.
NR INDEKSU 35839

PL ISSN 0209-1631

LĄDOWANIE XXV

Im głębiej w las, tym więcej drzew. W miarę narastania popularności „Fantastyki” sypie się w Waszych, Czytelnicy, listach coraz więcej (i coraz bardziej zróżnicowanych) żądań pod adresem redakcji. Każdy pragnie, żeby mu wygodzić. Jedni więc domagają się na przykład całej serii komiksów zagranicznych, m. in. słynnych utworów Tolkiena w postaci obrazkowej. Drudzy, wiedząc, że robimy wszystko dla zdobycia światowych nowości – żądają światowych bestsellerów w całej ich bogatej gamie, zgodnej z tenorem najnowszych decyzji o przyznaniu nagród Hugo czy Nebula. Inni wołają o muzykę kosmiczną w formie nut z utworami z najlepszych filmów science fiction.

Gdybyśmy chcieli wszelkie Wasze postulaty spełniać co do joty, to musielibyśmy wydawać pismo o co najmniej trzykrotnie większej objętości, co się nam zresztą marzy, ale bez szans na jakieś rychlejsze spełnienie. Nie znaczy to oczywiście, że przestaliście pisać o tym, czego chcecie na naszych łamach, jeśli jednak mogę prosić, to wolałbym wyczytywać z Waszych listów postulaty bardziej realistyczne i łatwiejsze do spełnienia (choć to przecież pismo fantastyczne). I właśnie dzisiaj o takich, którzy żyją z ręką na pulsie.

Lizanie cukierka

Brawa za bibliografię, chociaż przypomina mi to lizanie cukierka przez szybę. Przecież wszystkie pozycje z bibliografii są kompletnie wyczerpane, wznowień zaś ciągle za mało, ale to są już sprawy niezależne od redakcji.

Bernard Kiślak z Kielc

Nie za mądra to polityka, Wasza i wydawnictw, polegająca jedynie na pogoni za nowościami. A tak by się poczytało wiele z tych pozycji, które już dziś, przedwcześnie zmarłe, figurują na historycznych listach bibliografii. Co nam z tego? Warto by było dzielić jakoś ten papier, którym się w kraju na fantastykę dysponuje – na nowości i wznowienia. Myślę, że przydałoby się na rynku więcej tytułów w nieco okrojonych nakładach. Dawanie debiutantów w wydaniach o zmasowanej liczbie egzemplarzy uważam za podejrzany luksus.

Ryszard Znamieniecki z Warszawy

Będąc na wycieczce w Sanoku odwiedziłem tamtejsze muzeum historyczne. Ku mojej ogromnej radości i zdziwieniu znalazłem tam obrazy Zdzisława Beksińskiego. Być może nazwisko to nic nie mówi redakcji, dlatego postanowiłem napisać. Obrazów było siedem, może osiem i każdy przedstawiał walkę człowieka z przeogromem Wszechświata. Utopijne to wizje o sile psychicznej człowieka. Widokówkę z tych obrazów udało mi się kupić tylko jedną. Sam autor podobno już nie żyje, ale mieszka i maluje w Warszawie jego syn. Co wy na to?

Czarek Makles z Kłobucka

O pomstę do nieba

...Ilustracje zamieszczone w październikowym (10/25) numerze wołają o pomstę do nieba. Może to zbyt ostre słowa, ale to prawie kompromitacja. Dla odmiany okładki rewelacyjne. Było w dotychczasowych numerach wiele bardzo ciekawych ilustracji, z bólem trzeba to przyznać – amatorów i debiutantów z Waszego konkursu. Co stoi na przeszkodzie, aby z nimi dalej współpracować?. Nie wiem, jak wyglądają Wasze kontakty z p. Rupińskim, robiącym często i gęsto dobre i dowcipne ilustracje do „Przeglądu Technicznego”, czy nie mógłby Pan sięgnąć do artystów tego rodzaju, proponując im współpracę? W sprawie recenzji. Ja przynajmniej wyznaję zasadę, że jak nie am nic do powiedzenia, to po prostu nie mówię. Życzyłbym Panu, żeby Pan tego wymagał także od swoich podwładnych i kooperantów. Oprócz bowiem recenzji przemyślanych i konkretnych znajdują się i takie w typie „przelewanie z pustego w próżne”. Co przez nie pragnął autor powiedzieć, można by spytać, używając sławetnego zwrotu polonistki uczącej dzieci w siódmej klasie. Poza tym... jesteście wspaniali...

Ryszard Jabłonowski z Warszawy

Bardzo chętnie bym zobaczył w „Fantastyce” wszystkie okładki powieści już drukowanych i to właśnie jako postery.

Andrzej Jaśkiewicz z Orłowa

Usprawiedliwia Pan swoich kolegów z działu grafiki, że sięgnęli w nie nazbyt udanych Waszych posterach po rzeczy, które były najlepsze w tej dziedzinie na rynku. To nieprawda. Istniały grubo lepsze. Wasze dotychczasowe okładki. Mam mnóstwo kolegów proszących usilnie o Wasze okładki w postaci posterów. Tak samo postarajcie się powtórzyć w serii posterowej najlepsze zamieszczone u Was ilustracje. Będziecie mi dziękować za ten pomysł.

Józef Malewski z Krakowa

Opowiadania zmieniły się na gorsze od numeru podwójnego, moim zdaniem. W wielu „Fantastykach” podobały mi się odtąd już nie wszystkie, lecz tylko pojedyncze utwory. Oto one: Niven – „Dziurawiec”, Russel – „Elemelek”, Gunn – „Nieśmiertelni”, Szarzec – „Taki był początek”, Kuttner – „Próżny robot”, Correa – „Ktoś żyje w tym wichrze”, Augustynek – „Atak”, Clarke – „Prehistoryczna noc”, Asimov – „Człowiek, który żył dwieście lat”, Kraskowski – „Inspekcja”, Zann – „Gambit pionka”, Piekara – „Amulet”, Heinlein – „Długa wachta”, Pohl – „Farmer na ulicach miasta”, Kuttner – „Idealna skrytka”, Oramus – „Tlatocetl”, Le Guin – „Reguła nazwisk”, Howard – „Królestwo cieni”, Lubos – „Mutant”, van Vogt – „Obrona”. Jedyna „Fantastyka”, w której podobały mi się wszystkie opowiadania to nr 8/23. Sprawa poezji – ludzie, czy to nie przesada? Poezję lubię, ale gdzie, ach gdzie, ona fantastyczna? Zamiast poezji można by drukować jeszcze jeden rysunek. Panie redaktorze naczelny, niech Pan powyrzuca pseudorysowników. W „Fantastyce” 9/24 nie było oprócz okładki żadnych dobrych rysunków, nie mówiąc już o komiksie. Najjaśniejszymi punktami w Waszym piśmie są powieści. Sławne nazwiska, świetne teksty.

Ryszard Smagur *(?)* z Łodzi
(niestety nazwisko napisane niewyraźnie)

Dajecie szkołę

Dajecie nam szkołę. W każdym numerze obowiązkowo, obok gigantycznej porcji lektur, raz znakomitych, czasem nijakich (w każdym razie nawet, gdy czyta się je jednym tchem, lektura przekracza ramy miesięczne normalnego człowieka, który się uczy lub pracuje). Przecież ten antyszkolny (to może dobrze) maczek jest ledwo czytelny. Jak tak dalej pójdzie, Waszym czytelnikom zabraknie zdrowych oczu; więc oprócz tej porcji utworów literackich, jeszcze „Pożółkłe kartki”, jeszcze recenzje, jeszcze bibliografie, jeszcze komiksy. Ludzie! Nawet najlepsze jedzenie w takich ilościach, w takich porcjach powoduje przesyt. Ilustracji tak mało, że ledwo się je dostrzega. Może to dobrze.

Lechosław Gniadzki ze Szczecina

Ciągle za mało tekstów. Boże, dlaczego jesteście tacy skąpi, a może już nie macie skąd brać tych wspaniałych rzeczy. Na pewno wszyscy czytelnicy, nie tylko ja, domagają się od Was zwiększenia liczby opowiadań i powieści w Waszych numerach. Zamknijcie wszystkie inne działy. One tylko niepotrzebnie blokują Wam miejsce. Chyba, że naprawdę gonicie resztkami.

R. W. (naukowiec)

Co się dzieje z książkami science fiction? Wy sobie tam spokojnie w redakcji siedzicie, a tutaj wydawnictwa prawie niczego nie wydają. A może to księgarze są winni, może tylko wybranym sprzedają książki science fiction spod lady? Od czego Wy do diabła, jesteście, bijcie się razem z nami przeciwko takiej sytuacji.

Jan Gorztyła z Lublina

No i co, czy cokolwiek przesadziłem mówiąc o jakże różnorodnych opiniach i żądaniach Czytelników? Przecież do tego „Lądowania” wybrałem tylko rzeczy ziemi najbliższe.

Redaktor


Andrzej Bicki

W roku 1976 w argentyńskim wydawnictwie „Editorial Sudamericana" ukazała się słynna „Antologia de la literatura fantastica" („Antologia literatury fantastycznej") redagowana przez Jorge Luis Borgesa, Adolfo Bioy Casaresa i Silvinę Ocampo. Książka, licząca kilkadziesiąt arkuszy wydawniczych, jest wyborem „najciekawszych" tekstów światowej fantastyki od literatury chińskiej, hebrajskiej i indyjskiej począwszy – na prozie dwudziestego wieku kończąc. Dość powiedzieć, że znalazły się w niej utwory takich pisarzy, jak: Levis Caroll, Jean Cocteau, Julio Cortazar, Gilbert Keith Chesterton, James Frazier, William Wymark Jacobs, James Joyce, Franz Kafka, Villers De L'Isle Adam, Guy de Maupassant, Eugene O'Neill, Edgar Allan Poe, Olaf Stapledon, Herbert George Wells, Wu Cheng En.

Esej zamieszczony na łamach „Fantastyki" jest obszernym fragmentem przedmowy Adolfo Bioy Casaresa poprzedzającej literacką część antologii. W zaskakujący, impresyjny, „erudycyjny" sposób kreśli Bioy Casares historię literatury fantastycznej i losy jej najważniejszych motywów. Dwa opowiadania autorów latynoamerykańskich pochodzą również z tego zbioru.

u źródeł fantastyki

Adolfo Bioy Casares



I. Historia

Stare jak lęk, wcześniejsze niż słowo pisane, opowieści fantastyczne zaludniają zjawami całą światową literaturę. Spotykamy je w Księdze Awesty, w Biblii, w Baśniach Tysiąca i Jednej Nocy. Wydaje się, iż pierwszymi mistrzami tego gatunku byli Chińczycy. Zachwycający „Sen o czerwonej komnacie", powieści erotyczne i realistyczne – jak „Kin P'ing Mei" czy „Sui Hu Chuan", nawet księgi filozoficzne – obfitują w widma i sny. (...) Ograniczając się do obszaru Europy i Ameryki, możemy stwierdzić, że jako gatunek o obliczu mniej więcej ustalonym literatura fantastyczna pojawia się w wieku XIX, w piśmiennictwie angielskim. Ma ona, oczywiście, swych prekursorów; wymieńmy wśród nich: w wieku XIV – infanta Don Juana Manuela, w XVI – Rabelais'go, w XVII – Francisco Quevedo, w XVIII – Daniela de Foe i Horace'a Walpole'a, w XIX zaś – Hoffmanna.

II. Motywy

Nie należy mylić możliwości istnienia ogólnego i niezmiennego kodeksu z możliwością istnienia praw. Być może, prawidła zawarte w „Poetyce" i „Retoryce" Arystotelesa są niemożliwe do przestrzegania. A jednak istnieją. Pisać, to znaczy odkrywać je nieustannie, albo ponosić klęski. Studiując na przykład *zaskoczenie* jako motyw czy też efekt literacki, ujrzymy jak literatura zmienia upodobania czytelników i jak, wskutek tego, wymagają oni ciągłego przeobrażania się literatury.

Odmian opowiadań fantastycznych jest wiele, tymczasem my żądamy dla nich stałych reguł. Trzeba byłoby zbadać zasady ogólne dla każdego typu opowiadania oraz zasady szczegółowe dla każdego opowiadania z osobna. Pisarz musi więc podejść do swej pracy jak do problemu, który można rozwiązać częściowo – przez reguły ogólne i ustalone, a częściowo przez reguły szczegółowe, które on sam powinien odkrywać i przestrzegać.

1. Uwagi ogólne

Nastrój. Fabuła pierwszych opowiadań fantastycznych była nieskomplikowana. Ograniczała się na przykład do prostego wymienienia faktu ukazania się ducha, autorzy zaś starali się wywołać nastrój lęku i grozy. Stwarzanie klimatu, „atmosfery", nadal zresztą zajmuje wielu pisarzy. Jakaś postukująca żaluzja, szmer deszczu, powtórzone kilkakrotnie zdanie – potrafią stworzyć najbardziej duszną z atmosfer. Nie gardzili podobnymi środkami nawet mistrzowie gatunku. Od wykrzykników w rodzaju: „Potworność!", „O zgrozo!", „Jakież było moje zdziwienie!" – roi się u Maupassanta. Poe także – oczywiście nie w klarownym „Prawdziwym opisie wypadku z panem Waldemarem" – ucieka się do obrazów opuszczonych domostw, posępnych jesieni, do nastrojów histerii i melancholii.

Później niektórzy twórcy odkryli użyteczność zabiegu polegającego na tym, iż w świecie całkowicie prawdopodobnym wydarza się coś niewiarygodnego; w codziennym, domowym życiu – takim jak życie czytelnika – pojawia się duch. Przez kontrast efekt bywał silniejszy. Zrodziło się wówczas to, co moglibyśmy nazwać tendencją realistyczną w literaturze fantastycznej (np. twórczość Wellsa). Z czasem jednak sceny spokoju, szczęścia, plany na lepszą przyszuść snute przez bohaterów opowieści – stają się oczywistą zapowiedzią najgorszych klęsk. W ten sposób znika zamierzony kontrast – znika zaskoczenie.

Zaskoczenie. Może być interpunkcyjne, słowne lub sytuacyjne. Jak wszystkie efekty literackie, a nawet bardziej niż inne, wraz z upływem czasu środek ten stracił moc oddziaływania. A jednak rzadko kiedy autorzy rezygnują z wykorzystania tego motywu. Są wszakże wyjątki: np. Max Beerbohm w opowiadaniu „Enoch Soames", czy William Wymark Jacobs w „Małpiej łapce". Max Beerbohm rozważnie i umiejętnie wyklucza wszelką możliwość zaskoczenia związaną z podróżą Soamesa w r. 1997. Zaś nawet najmniej wyrobionego czytelnika mało co zaskoczy w „Małpiej łapce";[1] a przecież jest to jedno z bardziej wstrząsających opowiadań w naszej antologii. Niech zilustruje to następująca anegdota opowiedziana przez Johna Hampdena[2]: *„Jeden z widzów powiedział po przedstawieniu, że straszliwa zjawa widoczna w chwili otwarcia drzwi jest obrazą dla sztuki i dobrego smaku i że twórca spektaklu zamiast ukazywać ją na scenie, powinien raczej pozwolić, by publiczność sama ją sobie wyobraziła. Tymczasem żadnego widma na scenie nie było. Istniało ono jedynie w wyobraźni owego widza*".

Aby zaskoczenie sytuacyjne spełniło swoją rolę, powinno być poprzedzone przygotowaniem, złagodzone. A jednak nagłe zaskoczenie w finale „Los caballos de Abdera" (Konie z Abdery) Leopoldo Lugonesa jest niezwykle skuteczne.

Adolfo BIOY CASARES

Z pochodzenia Argentyńczyk, czołowy przedstawiciel fantastyki iberoamerykańskiej, krytyk i eseista. Debiutował w latach czterdziestych zbiorami opowiadań i powieści: **„Diecisiete disparos contra lo porvenir"** (1933), **„Caos"** (1934), **„La nueva tormenta o la vida multiple de Juan Ruteno"** (1935) i in. Sławę przyniosły mu dopiero dwie powieści zaliczane do symbolicznej, metafizycznej odmiany fantastyki: **„La invención de Morel"** (1940, „Wynalazek Morela" przeł. A. Nowak, Wyd. Literackie 1975) i **„Plan de evasión"** (1945; „Plan ucieczki", przeł. A. Nowak, Wyd. Literackie 1969). W „Wynalazku Morela" – książce usytuowanej na pograniczu rzeczywistości i nadrealności – historia uciekiniera odkrywającego na bezludnej wyspie nieuchwytną obecność innych istot zmierza w kierunku zaskakującego, fantastycznego, lecz nie nadrealistycznego wyjaśnienia. W „Planie ucieczki" – sytuacja, w której szalony gubernator przeprowadza niesamowite doświadczenia na swych podopiecznych stanowi metaforę ludzkiej egzystencji zawieszonej między obłędem i śmiercią, poddawanej ciągłym groźbom moralno-politycznym.

Wątki mitologiczne, symboliczne i fantastyczne; zagadki ludzkiego poznania, wolności, przeznaczenia pojawiają się również w następnych utworach Adolfo Bioy Casaresa: **„Trama celeste"** (1948), **„El sueño de los Héroes"** (1950), **„Historia prodigiosa"** (1956), **„Diario de la guerra del cerdo"** (1969), **„Historias de amor"** (1972) i in. W roku 1971 argentyńskie wydawnictwo „Emece" publikuje obszerny zbiór opowiadań fantastycznych Casaresa: **„Historias fantásticas"**.

Warto przypomnieć, iż w latach czterdziestych autor „Wynalazku Morela" należał do awangardowej grupy literackiej „Sur" (poszukiwania w dziedzinie estetyki, „prozy nierealistycznej") współpracując z najciekawszą postacią ówczesnego życia umysłowego – Jorge Luis Borgesem. Obaj autorzy wydali razem dziewięć tomów opowiadań, antologii i esejów apokryficznych, m.in. **„Seis problemas para don Isidro Parodi"** (1941). Z tego okresu pochodzi również parodia powieści kryminalnej pióra Bioy Casaresa i jego żony, Silviny Ocampo – **„Los que aman, odian"** (1946).

(an)

„Żółty pokój" i „żółte ryzyko."[3] W formule tej Gilbert Keith Chesterton wskazuje jednocześnie na dwie sprawy: desideratum dla konstrukcji intrygi kryminalnej (jedno wydarzenie, w określonym miejscu przy ograniczonej liczbie bohaterów) oraz ryzyko, jakie niesie ze sobą nieposłuszeństwo tej zasadzie, która – jak sądzę – znajduje zastosowanie również w opowiadaniach fantastycznych. Jest to nowa – dziennikarska, „epigramatyczna" wersja zasady trzech jedności. Wells popadłby w „żółte ryzyko", gdyby zamiast jednego niewidzialnego człowieka stworzył całe ich zastępy, dokonując inwazji na świat i podporządkowując go sobie. (Schemat jakże kuszący dla powieściopisarzy niemieckich!). To samo „żółte niebezpieczeństwo" groziłoby mu, gdyby zamiast dać nam do zrozumienia, że mr. Lewisham może od najdawniejszych czasów przenosić się z jednego ciała w inne, a potem – natychmiast go zgładzić, zmusił nas do uczestniczenia w podróżach, jakie ów unowocześniony upiór odbywałby w przestrzeniach czasu.

2. Przegląd motywów fantastycznych

Zjawy. W naszej antologii mamy dwa przykłady „motywu zjawy". Są to utwory krótkie, za to znakomite – „Wierzący" (tyt. hiszp. „Un creyente") Loring Frosta i „Zakończenie opowiadania fantastycznego" (tyt. hiszp. „Final para el cuento fantástico") I. A. Irelanda. Fragment z Carlyle'a („Sartos Resartus"), który także włączyliśmy do zbioru, zawiera ten sam wątek, tyle że przedstawiony „na opak".

Podróż w czasie. Klasyczny przykład „motywu podróży" to „Wehikuł czasu". W tej niezapomnianej opowieści nie interesują Wellsa zmiany, jakie podróże w czasie mogłyby wywołać w przeszłości i przyszłości, a działanie maszyny, którą się posługuje, stanowi zagadkę również dla niego samego. Tymczasem Max Beerbohm w opowiadaniu „Enoch Soames" rozważa wpływ podróży na świat przyszłości, a posługuje się diabłem, którego poczynania z założenia nie wymagają wyjaśnień. Sądzę, że „Enoch Soames" jest jednym z najlepszych, obszernych opowiadań naszej antologii. Skłaniają mnie do tej oceny zarówno fabuła, postaci bohaterów, dialogi, opis środowiska literackiego Anglii z „końca wieku", jak i ogólna koncepcja oraz starannie przemyślane, pobudzające umysł i wyobraźnię szczegóły.

„The finest story of the World" (Najpiękniejsze opowiadanie świata) Rudyarda Kiplinga charakteryzuje się również dużym bogactwem i pomysłowością szczegółów. Jednakże zdaje się, iż autor odstąpił tu od jednej z najważniejszych zasad. Oświadcza wprost, że Charlie Mears ma zamiar opowiedzieć nam najpiękniejszą historię świata. My mu jednak nie wierzymy. Gdyby autor nie uciekał się do swych wątpliwych chwytów, mógłby – przy pomocy wiarygodnych danych – stworzyć opowieść ciekawą, jakkolwiek obarczoną całą niedoskonałością rzeczywistości. Powstałby wówczas utwór przypominający historie ze starych czasopism, lub – jak utrzymuje H. G. Wells – powieści Prousta. Skoro jednak nie spodziewamy się, że wyznania jakiegoś przewoźnika znad Tygrysu będą dla nas najpiękniejszą opowieścią świata, trudno byłoby oczekiwać tego po wyznaniach greckiego galernika, który żył przecież w rzeczywistości uboższej i o wiele mniej cywilizowanej.

W opowiadaniu tym brak właściwego motywu podróży w czasie; są tylko wspomnienia bardzo odległych dziejów.

Z kolei w „El destino es chambón" Arturo Cancelí i Pilar de Lusarreta podróż jest przedstawiona jako halucynacja.

Spośród opowieści o przenoszeniu się w czasie najwykwintniejszą w formie wydaje się „El brujo postergado" – „Niedoszły czarownik" Don Juana Manuela.[4]

Trzy życzenia. Ponad sto wieków temu zaczęła się ta opowieść. Podejmowali jej temat słynni pisarze z odległych epok i krain, lecz dopiero pewien nieznany autor współczesny potrafił nadać jej trafne zakończenie.

Pierwsze wersje wątku trzech życzeń są pornograficzne. Znajdujemy je w „Sendebar" i w Baśniach Tysiąca i Jednej Nocy (noc 596).

Z czasem, w świecie cywilizacji Zachodu pojawia się wersja zwulgaryzowana. Krytycy utrzymują, iż motyw ten został zdegradowany do najzwyklejszego banału.

I wreszcie – w roku 1902 – Williamowi Jacobsowi udaje się stworzyć trzecią wersję – tragiczną i porywającą.

W pierwszych wersjach życzenia kierowano do bożka lub talizmanu działających w świecie rzeczywistym. Jacobs pisze dla czytelnika bardziej sceptycznego. Wraz z końcem lektury opowiadania talizman traci swą moc, gdyż miał spełnić trzy życzenia trzem osobom, a Jacobs opisuje to, co zdarzyło się ostatniej z nich. Być może znajdziemy kiedyś małpią łapkę – autor każe nam żywić nadzieję – lecz nie będziemy już mogli skorzystać z jej mocy.

Piekło. Dwa zawarte w naszej antologii utwory, które podejmują ten temat z pewnością nie odejdą w zapomnienie. Są to: fragment „Arcana Coelestia" Swedenborga oraz jedno z opowiadań May Sinclair ze zbiorku „Uncanny Stories" – „Opowieści niesamowite", oparte na motywach V Pieśni „Boskiej Komedii". (...)

Postaci ze snu. Włączymy tu: nieskazitelny w formie „Nieskończony sen Pao Yu" Tsao Hsue Kin, opowiadanie Papiniego ze zbioru „Il tragico quotidiano" oraz fragment z „O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra" Lewisa Carrolla.

Metamorfoza. Wątek ten podejmują: „Przemiana" Kafki, „Sábanas de tierra" Silviny Ocampo, „Ser polvo" Santiago Dabove'a, a także „Lady into Fox" Garnetta.

Epizody równoległe. Znajdują się w opowiadaniach: „La sangre en el jardín" Ramona Gomeza de la Serna i fragment z „Chinesische Volksmaerchen" Richarda Wilhelma.

Nieśmiertelność. Pojawia się w utworach takich jak: „Żyd Wieczny Tułacz" i „Historia pana Elveshama"[5] Wellsa, „Las islas nuevas" Marii Luisy Bombal, „She" Ridera Haggarda, „L'Atlantide" Pierre'a Benoit.

Fantazje metafizyczne. Tu fantastyczność tkwi nie w faktach, lecz w sferze intelektu. W naszej antologii ten typ opowiadania reprezentują: „Tantalia" Macedonio Fernandeza, fragment „Star Maker" Olafa Stapledona, opowieść o Chuang Tzu i motylu, opowiadanie o zaprzeczaniu cudom, oraz „Tlön, Uqbar, Orbis Tertius" Jorge Luisa Borgesa.

W dziełach takich jak „Poszukiwanie Al-Mutasima", „Pierre Menard, autor Don Kichota", „Tlön, Uqbar, Orbis Tertius"[6] – Borges stworzył nowy gatunek literacki, pozostający na pograniczu eseju i fikcji, będący połączeniem logiki i wyobraźni.

W utworach tych nie ma dłużyzn i patosu, brak też elementów sentymentalnych. Przeznaczone są dla czytelników o skłonnościach intelektualnych, orientujących się w filozofii, biegle znających literaturę.

Opowiadania i powieści Kafki. Istotę ich stanowi obsesja nieskończoności, zatarcie różnicy między nadzieją i klęską, obsesja bezwzględnej, hierarchicznej zależności. Metodyczna wyobraźnia Franza Kafki i jego bezbarwny, nie zaciemniający akcji styl, w jakim przedstawia środowisko szarych ludzi, przeciętnych urzędników – stanowią środki, służące do stworzenia nastroju grozy i wywołania uczucia depresji.

Zamczyska i wampiry. Ich pochód przez literaturę nie był najszczęśliwszy. Przypomnijmy choćby pominięte w tej antologii: „Drakulę" Bram Stokera (...) i „Mrs. Amworth" Edwarda Frederica Bensona.

* * *

Opowiadania fantastyczne można sklasyfikować także według sposobu wyjaśnienia (eksplikacji):

a) opowiadania, które można wyjaśnić przez wpływ istot lub wydarzeń nadnaturalnych;

b) opowiadania, które mają wytłumaczenie fantastyczne, lecz nie nadnaturalne („naukowe" nie wydaje mi się określeniem odpowiednim);

c) opowiadania, które znajdują wytłumaczenie w interwencji bytu lub wydarzenia nadnaturalnego, lecz jednocześnie sugerują możliwość wyjaśnienie racjonalnego („Średni Vashtar" Sakiego) – np. przez halucynację. Ten sposób motywacji racjonalnej mógłby prowadzić do sukcesu, stwarza bowiem szanse wzbogacenia utworu, zwykle jednak dowodzi on słabości autora, który nie potrafi nadać fantastyce cech prawdopodobieństwa. (...)

Przełożyła Dorota Walasek

Adolfo Bioy Casares: *Przedmowa*. (do:) Jorge Luis Borges, Silvina Ocampo, Adolfo Bioy Casares: *Antologia de la literatura fantastica*, Editorial Sudamericana, Buenos Aires 1976. (Tytuł przedmowy pochodzi od redakcji).

Przypisy:

1. W. W. Jacobs, *Małpia łapka*, przeł. I. Malanowska (w:) *Opowieści z dreszczykiem*, wybrali i opracowali: W. Żukrowski i T. Adrian Malanowski, Iskry, 1959.

2. Mowa tu o teatralnej inscenizacji opowiadania Jacobsa (przyp. tłum.).

3. Określenie „żółty pokój" funkcjonuje w krytyce europejskiej jako „zamknięty pokój"; zob. R. Caillois, *Powieść kryminalna* (w:) R. Caillois, *Odpowiedzialność i styl*, Warszawa 1967 (przyp. red.).

4. Zob. J. L. Borges, *Powszechna historia nikczemności*, przeł. A. Sobol-Jurczykowski i St. Zembrzuski, PIW 1976.

5. Zob. H. G. Wells, *Opowieści fantastyczne*, Wyd. II, wyboru dokonał W. Kopaliński, Wyd. Literackie, 1976.

6. Zob. J. L. Borges, *Fikcje*, przeł. K. Piekarec i in., PIW 1972, oraz: *Alef*, przeł. Z. Chądzyńska i A. Sobol-Jurczykowski, Czytelnik 1972; o opowiadaniu „Tlön, Uqbar, Orbis Tertius" pisze też S. Lem w II tomie „Fantastyki i futurologii" Wyd. Literackie 1970 (przyp. red.).



Jorge Luis Borges i Delia Ingenieros

ODYN

(Odin)

Opowiadają, że na dwór Olafa Tryggvasona, który przeszedł był na nową wiarę, przybył pewnej nocy stary człowiek, odziany w ciemną opończę i kapelusz z opuszczonym na oczy rondem. Król zapytał go, co potrafi. Przybysz odparł, iż gra na harfie i recytuje opowieści. Zagrał i przy dźwiękach starodawnej melodii mówił o Gudrun i Gunnarze. Na koniec opowiedział o narodzinach Odyna. Mówił o przybyciu trzech Parek; o tym, jak dwie z nich obiecały mu wszelką pomyślność, trzecia zaś rzekła w gniewie: „Dziecko umrze, gdy dopali się świeca, stojąca u jego wezgłowia". Wówczas, chcąc zachować Odyna przy życiu, rodzice zgasili świecę. Olaf Tryggvason nie dał wiary tej historii. Przybysz zapewnił go ponownie, że było tak, jak mówił, wydobył świecę i zapalił ją. Wszyscy wpatrywali się w jej płomień. Wreszcie nieznajomy rzekł, iż robi się późno i musi odejść. Gdy świeca dopaliła się, postanowiono go odszukać. O kilka kroków od bram zamku Odyn leżał martwy.

Przełożyła **Dorota Walasek**

Jorge Luis BORGES

Jeden z najwybitniejszych autorów Ameryki Łacińskiej urodził się w roku 1899 w Buenos Aires. Studiował w Europie – głównie w Szwajcarii, Anglii, Hiszpanii. Był profesorem uniwersytetu w Buenos Aires, wykładowcą na uniwersytetach Teksasu (1961–1962) i Harvarda (1967–1968), dyrektorem Biblioteki Narodowej, członkiem Argentyńskiej Akademii Literatury. Twórca wielu tomów poezji, nowel, opowiadań odznaczających się mistrzostwem formalnym, przejęciem doświadczeń warsztatowych awangardy europejskiej.

Do najważniejszych utworów Borgesa przekładanych na język polski należą: **„Ficciones"** (1944; „Fikcje", przeł. K. Piekarec i in. PIW 1972), **„El Aleph"** (1949; „Alef", przeł. Z. Chądzyńska i A. Sobol-Jurczykowski, Czytelnik 1972), **„Historia universal de la infamia"** (1967; „Powszechna historia nikczemności", przeł. A. Sobol-Jurczykowski, St. Zembrzuski, PIW 1976), **„El libro de los seres imaginarios"** (1978; „Zoologia fantastyczna", przy współpracy Margarity Guerro przeł. Z. Chądzyńska, Czytelnik 1983), **„El informe de Brodie"** (1970; „Raport Brodiego", tłum. Z. Chądzyńska, Wyd. Literackie 1975).

Delia Ingenieros uczestniczyła jedynie w ostatecznej redakcji tekstu przygotowując go do druku (Borges jest ociemniały).

(A.N.)

Ramón Gómez de la Serna

GORSZE od PIEKŁA

(Peor que el inferno)

Ocóż za niepojęte wręcz okrucieństwo! Skazał go Bóg na wiele tysięcy wieków czyśćca. Jak ludzie, co nie zabijając tych, którym darowują najwyższy wymiar kary skazują ich jednocześnie na cierpienia dożywocia, tak Bóg – darowując Piekło – skazuje nieraz na całą wieczność bez jednego dnia. A chociaż dzień ów wieczność przekreśla, to przecież jakże znużona i udręczona będzie dusza w dniu, który zakończy karę. Oszaleje, jak dusza stworzonej przez braci Goncourtów nierządnicy Elizy, opuszczającej milczące mury więzienia.

„Ileż kart z kalendarza, ile poniedziałków, ile niedziel, ile świąt Nowego Roku w oczekiwaniu na ów Nowy Rok tak bardzo odległy"! – myślał skazaniec i, nie mogąc znieść tej myśli, błagał Boga – tak niewzruszenie okrutnego – by na zawsze wtrącił go do Piekła, gdzie nie będzie dręczony żadnym niepokojem.

„Zabijcie we mnie nadzieję! Zabijcie tę nadzieję, która żyje myślą o dniu ostatecznym, dniu nieskończenie dalekim!" – krzyczał człowiek, aż w końcu wtrącony do Piekła doznał ulgi w swej udręce.

Przełożyła **Dorota Walasek**

Ramón GÓMEZ DE LA SERNA

Ur. w Madrycie w 1891 r., zm. w Buenos Aires w 1963. Jego utwory charakteryzuje oryginalność i pomysłowość. W Polsce jest znany z wydanego w 1979 r. przez Państwowy Instytut Wydawniczy zbioru aforyzmów zatytułowanego **„Myśli rozbrykane"** (tyt. oryg. hiszp.: „Greguerías", wybór i przekład Janusza Strasburgera). Zamieszczony fragment pochodzi ze zbioru **„Muestrario"** („Katalog"), który w Hiszpanii ukazał się w roku 1918.

(D.W.)



marzena KAWALEROWICZ

W Galerii „Fantastyki" młoda polska malarka Marzena Kawalerowicz (ur. 1952, dyplom: ASP, Warszawa 1978). Jej twórczość to subtelne skrzyżowanie konkretu z mirażem, rzeczywistego z nierzeczywistym. Wszystko jest tu płynne, dwuznaczne i tajemnicze. Ciało jest amorficzne, jego materia wyzbywa się cech anatomicznych. Ścięgna mięśni tworzą skomplikowany układ skrętów, spirali, promieniście rozchodzących się pasm i zwojów, niekiedy opasanych sznurem. Cały ten rytmiczny układ o walorach bezsprzecznie dekoracyjnych zdradza też istnienie wewnętrznej, nieujawnionej dramaturgii – bólu cierpienia, rozkoszy.

Marzena Kawalerowicz znajduje się wyraźnie pod urokiem nowych impulsów występujących w kulturze artystycznej, zarówno na obszarze samej sztuki, jak też na na jej obrzeżach. Jej wyobraźnia, inspirowana obrazami z nowoczesnego kina, telewizji i czasopism, kieruje się w stronę raczej przeczutego niż poznanego.

Obrazy Marzeny Kawalerowicz były eksponowane podczas wystaw indywidualnych m.in. w Warszawie (1978, 1979, 1981), Gorzowie Wielkopolskim (1979), Krakowie (1979), Bari (1980), Paryżu (1980, 1982, 1984) i Nowym Jorku (1982).

Julia Verlanger

Świat jak przedtem...

(Les bulles)

8 sierpnia

Dziś znów widziałam Inną. Machała przed oknem długimi ramionami i mówiła, mówiła. Jej usta ruszały się bez przerwy, ale nic nie słyszałam, bo przecież przez okno nie można słyszeć. Potem oparła ramiona o szybę i pchała. Przestraszyłam się, nacisnęłam guzik, zatrzasnęłam okiennice. A przecież dobrze wiem, że ona nie może wejść. Nikt nie może wejść.

Ojciec opowiadał, że niegdyś, w bardzo dawnych czasach, szyby w oknach się tłukły. Trudno mi uwierzyć, ale przecież ojciec wiedział. Mówił, że mieliśmy wiele szczęścia, że kule przybyły w naszej epoce, gdyż w starym świecie wszyscy by umarli. Domy nie były jak teraz i nie było sług. Nikt nie schroniłby się przed kulami.

Ojciec powiedział mi, że gdy będę duża, będę musiała pisać. Mówił: „trzeba pisać dla przyszłości". Ponieważ któregoś dnia znajdzie się sposób walczenia z kulami i wszystko będzie jak przedtem. Mówił: „Trzeba wiedzieć, co działo się przez lata kul. I dlatego, gdy dorośniesz i gdy mnie już tu nie będzie, będziesz musiała pisać, Moniko". Mój ojciec z pewnością nie przypuszczał, że nie będzie go tu tak szybko. Och, gdyby tylko nie wyszedł! Gdyby wtedy nie wyszedł!

Mówił: „Kiedy dorośniesz..." Mam dziś szesnaście lat, więc myślę, że dorosłam i zaczęłam pisać dziś rano.

Ojciec też dużo pisał. Napisał całą historię kul i jaki świat był poprzednio. Nie znałam tego świata, tylko opowiadał mi o nim ojciec. Urodziłam się zaraz po przybyciu kul.

Zdaniem ojca, bardzo wielu ludzi zmarło na początku, bardzo, bardzo wielu, zanim zrozumiano, że przeciw kulom nie można walczyć. Jedyny sposób, aby nie umrzeć lub nie stać się Innym, to nie wychodzić.

Ojciec zrozumiał to natychmiast i dlatego się uratowaliśmy. Mówił, że niegdyś byłoby to niemożliwe, aby nie wychodzić i że ludzie umarliby z głodu. Nie mieli wtedy kadzi na mięso ani na warzywa, ani sług, które by się tym zajmowały. Opowiedział mi, że w dawnych czasach ludzie musieli wszystko robić sami, sadzić warzywa w ziemi i hodować zwierzęta na mięso.

To było dziwne, nie wiedziałam, co to zwierzęta. Wówczas ojciec wytłumaczył mi i pokazał obrazki w starych książkach. Zdumiewające rzeczy! Z trudem uwierzyłam, że to naprawdę istniało.

9 sierpnia

Dziś rano poszłam do biblioteki oglądać stare książki, ale teraz, gdy nie ma ojca, by mi wyjaśniał, nie rozumiem wielu rzeczy.

Na przykład zobaczyłam obrazek zupełnie podobny do Innej, która przyszła wczoraj pod okno ze zwijającymi się ramionami. Obrazek był podpisany „Bogini Kali". Czy to znaczy, że w dawnych czasach byli już Inni? Ojciec mówił, że nie, że to z powodu kul ludzie stawali się Innymi. Przedtem ich nie było.

Nie mogę patrzeć na Innych. Drżę zwłaszcza gdy podchodzą pod okno, jak ta wczoraj. Ona często przychodzi, jakby chciała mi coś powiedzieć. Jej usta ruszają się bez przerwy.

Ojciec mówił: „To ciekawe, że o wiele bardziej niż kul boimy się Innych, którzy przecież nie są szczególnie niebezpieczni. Przypuszczam, że dzieje się tak, ponieważ Inni przerażają nas i oburzają, podczas gdy kule mają w sobie coś z doskonałego piękna".

To prawda. Kule są ładne. Przyglądam im się dość często, gdy przepływają na zewnątrz. Błyszczą delikatnie, mienią się różnymi kolorami. Trochę jak bańki mydlane, którymi bawiłam się w maleńkości. Ale są dużo większe i twarde, tak twarde, że nie można ich zniszczyć.

Ale rozbijają się na ludziach i ludzie umierają. Widziałam to raz, gdy ojciec jeszcze tu był. Mężczyzna. Biegł ze wszystkich sił, z szeroko rozwartymi ustami. Chyba krzyczał, lecz nie było słychać. A za nim sunęła ogromna kula. Szybko, jakże szybko. Dopadła go i rozbiła się dokładnie na jego głowie. Cały był pokryty rozświetloną pianą.

Zaczęłam krzyczeć. Nadbiegł ojciec i przycisnął mnie do siebie. Powiedział: „Nie patrz. Nie bój się, kochanie". Przyciskał mnie bardzo mocno, a gdy puścił i znów popatrzyłam na zewnątrz nie było już nic, tylko wielka błyszcząca kałuża, pełna wymieszanych kolorów.

Ojciec powiedział: „Ten nieszczęśnik nie żyje, został natychmiast rozpuszczony. To lepsze niż stać się Innym". Oczywiście ojciec miał zawsze rację, ale czasem zastanawiam się, czy naprawdę lepiej umrzeć niż stać się Innym. Bo jestem pewna, że nie chciałabym umrzeć.

Ale ci Inni są tak okropni!

15 sierpnia

Niańka kręciła się wokół mnie przez cały ranek. Bez przerwy pytała, czy czegoś nie potrzebuję. Ach, jakże mnie ona denerwuje! Wysłałam ją po jabłka, a kiedy wróciła, wyrzuciłam z pokoju.

Gdyby ojciec był tu jeszcze! Już od trzech lat jestem całkiem sama. Wiem dokładnie, gdyż znaczę wszystkie dni, tak samo jak robił to ojciec. Mówił niekiedy, że nie wie, po co to robi. Myślał, że z powodu silnego przywiązania do przeszłości. Ale ja nie znam przeszłości. Robię to tylko z powodu ojca. Wydaje mi się wtedy, że jakby nie odszedł całkiem. Świat, który poznałam był zawsze taki sam. Kule i puste ulice, po których chodzą tylko Inni.

Ojciec wiele opowiadał mi o uprzednim mieście. Bardzo chciałabym, aby ten świat wrócił. Móc wychodzić, widzieć ludzi nie będących Innymi. Ojciec mówił, że za miastem rozciąga się wieś. Wszystko jest zielone, trawa, drzewa, rosną kwiaty, a w rezerwatach żyją zwierzęta.

Widziałam obrazki w starych książkach i na naszym ekranie, ale ojciec mówił, że to nie to samo. Opowiadał jak wspaniale czuć na skórze słońce albo deszcz. Często widzę deszcz spływający po szybach i zastanawiam się, jaki ma on wpływ na skórę. Zdaje się, że gdzieś istnieje morze, wielkie przestrzenie słonej wody. I że ludzie pływają po niej tak jak ja w basenie w podziemiu. Sądzę, że bardzo chciałabym pływać w morzu.

Ojciec myślał, że zobaczę świat jak przedtem, może on nie, ale ja na pewno zobaczę. Podobno wielu ludzi usiłuje znaleźć jakiś sposób, aby zabić kule. Ojciec wierzył, że któregoś dnia na pewno musi się im to udać. Ale od dawna czekam, a na świecie ciągle nic. Tylko kule i Inni na zewnątrz, a ja wewnątrz.

Nudzę się, bardzo brakuje mi ojca. Tak bym chciała, żeby tu jeszcze był. Są sługi, niańka, ale jakże mnie czasem denerwują. Oczywiście nie są ludźmi. Ojciec nazywa je maszynami. Dziwna nazwa. Opowiadał, że kiedyś nie było sług. Służącymi nazywano ludzi pracujących dla innych.

Wydaje się to dziwne, ale ojciec zawsze wszystko wiedział. Przeczytał wszystkie stare książki i mógł godzinami opowiadać o dawnych czasach. Ja też usiłuję czytać, ale jest tyle spraw, których nie rozumiem. Na przykład co znaczy „być zakochanym" albo „jechać motorem"? Ojciec powinien być ze mną, aby mi wytłumaczyć!

23 sierpnia

Poszłam do pokoju matki. Otwarłam szafy – pachniało nieco perfumami. Z początku bałam się dotknąć. Wydawało mi się, że matka stoi za mną i patrzy swoimi pustymi oczami. Bałam się. Potem nabrałam odwagi, wzięłam jedną z jej sukien. W palcach czułam miękkość, była zielona jak duże kamienie ze szkatułki z biżuterią. Włożyłam suknię. Musiałam bardzo urosnąć, bo pasowała na

mnie. Obejrzałam się w lustrze. To było ładne. Na tle zielonej sukni moje oczy błyszczały jak kamienie matki.

Sądzę, że jestem ładna, ponieważ jestem podobna do matki, a ojciec mówił, że była bardzo ładna. Mówił też, że obie mamy włosy jak opromienione słońcem pole pszeniczne. Nie wiem, co to jest opromienione słońcem pole pszeniczne, lecz ojciec mówiąc to wyglądał jakby marzył, więc przypuszczam, że to ładne.

Moje włosy są bardzo długie. Mogę okryć się nimi jak płaszczem. Podobno w dawnych czasach kobiety obcinały niekiedy włosy nad uszami, tak jak robił to ojciec. Dziwny pomysł, być podobnym do ojca! Bo przecież matka, mimo wszystko, była dużo ładniejsza. Ale wolałam ojca, Tak, kochałam go!

Matki trochę się bałam. Miała taki sposób patrzenia na mnie, nie widząc, z oczami zwróconymi do wewnątrz. Nigdy się mną nie zajmowała, nie odzywała się nawet do mnie. Czasem płakała całymi godzinami, potem rzucała się na drzwi, tłukła w nie pięściami krzycząc: „Chcę wyjść, chcę wyjść, pozwólcie mi wyjść!". Wtedy ojciec przytulał ją do siebie i mówił delikatnie: „Spokojnie kochanie, bądź cierpliwa, moja droga". Ojciec bardzo ją kochał i wyszedł właśnie dla niej. Wiem, że nie powinnam tego mówić, ojciec byłby niezadowolony, ale nie powinien był! Nie powinien!

Raz byłam niedobra. Ojciec pocieszał ją, a ja powiedziałam: „Daj jej spokój! Czy nie widzisz, że nie rozumie?" Wówczas ojciec popatrzył na mnie smutnie, a później długo ze mną rozmawiał. „Nie należy nienawidzieć matki, córeczko, to nie jej wina, że jest taka... Wiem, ona nie zajmuje się tobą, nie interesuje się nikim, ale przedtem, przed kulami, nie była taka. Jej głowa nie wytrzymała tego, co się stało. Ona żyje w sztucznym, wymyślonym świecie i nie chce widzieć rzeczywistości. Ale ona nie może nic przeciw temu zrobić i tobie, Moniko, nie wolno jej nienawidzieć. Trzeba jej współczuć... Gdyby coś mi się stało, musisz się nią zająć jakby ona była twoją małą córeczką, a nie na odwrót. Dobrze wiesz, że ona niekiedy chce wyjść i trzeba jej w tym przeszkadzać, bo ona nie wie, co robi... Obiecaj mi, że będziesz dobra dla matki, że będziesz się o nią troszczyć, jeśli mnie już nie będzie. Obiecaj mi to, Moniko!" Wyglądał tak smutnie i beznadziejnie. Ale nie musiałam dotrzymywać słowa.

Umarła, gdy wyszedł.

26 sierpnia

Dziś pada deszcz.

Rano poszłam do okna i było tam masę kropli spadających na ulicę. Zastanawiałam się, jak to czuć na skórze i miałam ochotę otworzyć okno. Ale nie można. Ojciec wytłumaczył mi, że zablokował wszystkie wyjścia. Żeby otworzyć, trzeba zejść na dół piwnicy, za salę kadzi i warzywników i przesunąć wyłącznik.

Pokazał mi, jak to robić, mówił, że to na czas, gdy przyjdzie oswobodzenie, a jego by już ze mną nie było. Zablokował wszystko, by zapobiec urzeczywistnieniu chęci otworzenia drzwi, którą miałam tego ranka i z powodu matki, wciąż chcącej wyjść na zewnątrz. Ale kiedy wyszedł, zostawił dźwignię w pozycji „otwarte", a ja kilka dni później zeszłam, by znów ją zamknąć.

Wydawało mi się, że to, co powiedział było słuszne, chciałam, żeby ten wyłącznik był całkiem zepsuty, bo wtedy ojciec nie mógłby wyjść. Nie otworzyłam go już nigdy potem. Tak jest lepiej, bo jeśli, jak tego ranka, chcę otworzyć okno, nie mogę tego zrobić. Zaś zanim zejdę na dół, by przesunąć dźwignię mam czas na przypomnienie sobie, że grozi mi to śmiercią lub zostaniem Inną. Obu przypadków bardzo się boję.

Poszłam pływać w basenie w piwnicy, bo nudziłam się przy oknie. Przypomniało mi się, jak ojciec mówił, że gdyby kule przybyły w dawnych czasach nie byłoby już wody ani światła. Zdaje się, że nie było wówczas sług, które wszystko uruchamiają. Zajmowali się tym ludzie. Więc kule by ich zabiły i nic by nie działało. Oczywiście nie mogą one nic zrobić sługom, które są zbudowane, by trwać bardzo długo. Ojciec mówił, że nawet gdyby rasa ludzka całkiem zniknęła, sługi nadal uruchamiałyby wszystko jeszcze całe wieki.

Tłumaczył, że, na przykład, gdybym się stała bardzo stara i umarła, niańka i tak zostałaby, czekając. Prawie przez wieczność. Bo niańkę nastawiono na mnie. Chroni mnie przez cały czas i robi wszystko, czego od niej zażądam. Ma mnie strzec od wszystkiego złego. Gdyby kule zdołały się dostać do środka, próbowałaby je odsunąć i uratować mnie. Ale nie udałoby jej się to długo, biednej, bo jest ich tak dużo i zawsze im się udaje osiągnąć cel, to znaczy zabić nas.

1 września

To dziwne. Nikt nie wie skąd przybywają kule, dlaczego jedni od nich umierają, a drudzy stają się Innymi.

Słuchałam kiedyś starego człowieka w telewizji. Było to wkrótce po tym, jak ojciec wyszedł.

Ojciec włączał co pewien czas telewizję, ale ekran był wciąż ciemny. Kazał mi dalej włączać, gdyby go już nie było. Mówił, że jest pewien, że są inni tacy jak my i że musiano szukać sposobu zabicia kul. Mówił, że gdyby wyzwolenie było blisko, telewizja powiedziałaby o tym.

Dotychczas nie było sposobu na zniszczenie kul, tłumaczył ojciec. Nawet miotaczem płomieni, choć przecież jest to broń bardzo mocna. Na początku wypróbowano chyba wszystko, lecz kule okazały się odporne. Rozbijały się tylko na ludziach, a oni umierali. Jeśli nie umierali, było jeszcze gorzej. Stawali się Innymi.

Inni ulegają zmianie. Zamiast rozpuścić się w pianie kul, podnoszą się i z pozoru nic się nie dzieje. Ale po kilku dniach wyrastają im dziwne rzeczy. Wiele ramion, jak kobiecie podobnej do bogini ze starych książek, albo dużo nóg, albo wszędzie oczy, albo dwie głowy, czy wiele ust na karku i piersiach. To okropne!

Stary, którego słyszałam w telewizji, mówił właśnie o kulach i o Innych. Telewizor był całkiem ciemny przez wiele dni i nagle ekran się rozjaśnił. Był tam ten stary, siedział przy stole w wielkiej, całkiem białej sali. Wyglądał na zmęczonego. Sala była pełna sług, bardziej skomplikowanych od tych, które są w domu, z ogromną ilością przycisków i światełek.

Słuchałam go z przyjemnością. Jego głos tak rozgrzewał, trochę jak głos ojca. Czułam się mniej sama.

Mówił o walce, nadziei i oczekiwaniu. Nie trzeba tracić odwagi. Nadejdzie wreszcie dzień, w którym kule zostaną zwyciężone. Nie rozumiałam wszystkiego, co tłumaczył, używał wielu skomplikowanych słów, ale słuchałam go do końca. Wyglądał przyjemnie, ale był taki zmęczony. A mimo to, gdy mówił o odwadze, jego głos stawał się ciepły i młody.

Tłumaczył, że to będzie bardzo długie oczekiwanie, bo nikt nie wie, skąd przybyły kule ani z czego są zrobione. Nie umiano zrozumieć zjawiska, które zmieniało ludzi w Innych lub zabijało ich. Próbowano wszystkiego, wszystkich znanych sposobów, ale nic nie mogło ich zniszczyć. Wielu ludzi oddało życie w tej walce i wielu jeszcze odda. Nawet niektórzy Inni zaofiarowali swą pomoc, bo przerażało ich to, co się z nimi stało. Mogli wychodzić całkiem bezkarnie, co w wielu przypadkach czyniło ich bardzo użytecznymi. Należy im podziękować za walkę po naszej stronie.

Stary mówił jeszcze, że niektórzy sądzą, iż kule powstawały bardzo długo, może przez całe wieki, by ujawnić się dopiero w naszych czasach. Że może właśnie płacimy za błędy naszych przodków, którzy mnożyli eksperymenty atomowe, igrali z siłą, którą tak mało znali. Że może jesteśmy ofiarami ich głupoty, bo chcieli używać wyłącznie do zabijania tego, co miało przynieść pokój przyszłym wiekom. Wypuścili wtedy na świat za wiele radioaktywności i niektórzy przypuszczają, że kule powstały właśnie od niej. On też skłaniał się ku temu zdaniu.

Ale walka trwała, a ponieważ użyto bez skutku wszystkich aktualnych sposobów, miano wrócić do dawnych nauk, by próbować znaleźć rozwiązanie.

Potem powiedział, że przygotowanie emisji w telewizji wymagało czasu i środków, które mogą być bardziej potrzebne do walki z kulami, więc będzie do nas mówił bardzo rzadko, tylko po to, by podawać na bieżąco jak wygląda postęp prac. I jeszcze powtórzył, żeby nie tracić odwagi. I ekran znów zrobił się czarny.

Bardzo często myślę o tym starym. Nigdy go już więcej nie słyszałam ani nikogo innego. Telewizor nie rozjaśnia się nigdy. Pytam sama siebie, czy miał rację i czy ma wrócić świat bez kul. Bardzo bym chciała.

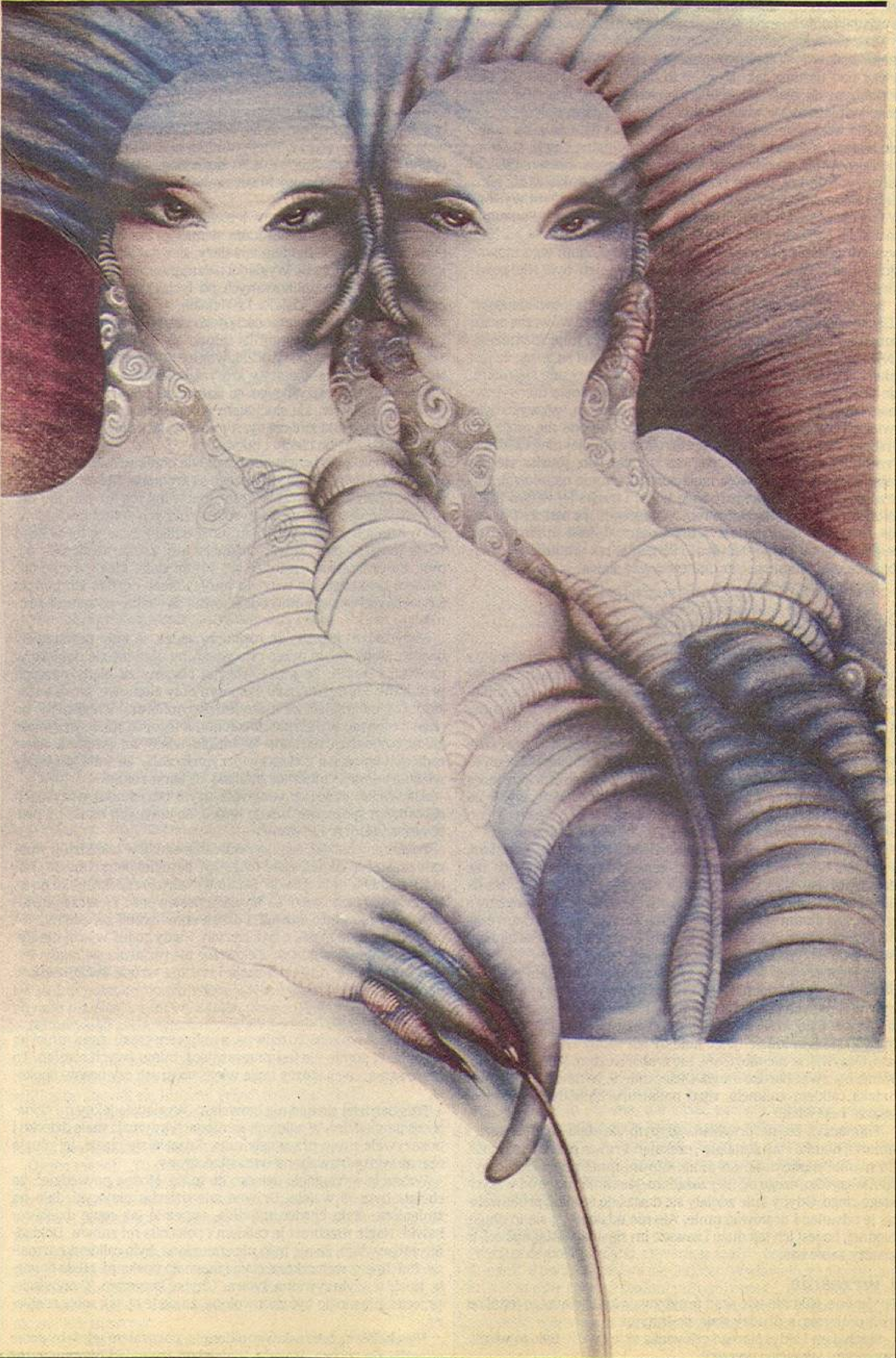
5 września

Inna z okna wróciła. To dziwne, z upływem czasu coraz mniej jej się boję. W sumie nie jest przerażająca, mimo swych ramion. To nie to samo, co ci, którzy mają wiele oczu, ust, czy nosów dookoła.

Dziś bardziej się nad nią litowałam. Wyglądała jakby mi chciała coś powiedzieć. W zgiętych ramionach trzymała małe dziecko i pokazywała mi je przez cały czas. Ruszała się ciągle, jej długie czarne włosy fruwały na wszystkie strony.

Wreszcie wyciągnęła dziecko do mnie. Można powiedzieć, że chciała bym je wzięła. Dziwne, ale dziecko nie wyglądało na zmienione. Było bardzo milutkie, zupełnie jak moje dzieci-zabawki. Nagle rozebrała je całkiem i pokazała mi znowu. Dokładnie zobaczyłam, że nie było nic zmienione, było całkiem normalne. Pulchne, z wałeczkami ciała i machało nóżkami. Miało otwartą buzię i wykrzywioną twarz. Chyba krzyczało. Oczywiście, przecież nie mogło być zadowolone, że się je ot, tak sobie rozbiera.

Nie chciałam zatrzaskiwać okiennic, pokazałam jej, żeby sobie odeszła, ale została. Płakała. Widziałam łzy na jej twarzy, przez



Marzena Kawalerowicz

cały czas wyciągała do mnie dziecko. Naprawdę można przypuszczać, że czeka aż je wezmę. Wariatka! Jak gdybym miała otworzyć i wpuścić kule! Ale przecież w tym momencie na ulicy nie było kul. Jeszcze raz pokazałam jej, żeby odeszła, a ponieważ się nie ruszała, więc to ja odsunęłam się od okna.

Bez przerwy o tym myślę. Żal mi tej Innej, wyglądała na tak bardzo przerażoną. Naprawdę nie mogłam wziąć tego dziecka i wychować małego Innego. Zresztą, nie umiałabym wychować dziecka. Znałam tylko dzieci-zabawki, a ojciec powiedział, że dzieci nie jedzą tego co my. Może niańka by wiedziała? Jestem szalona. Ojciec zdenerwowałby się gdyby wiedział. Otworzyć! Innej! Żeby wziąć małego Innego! Nie mogę o tym myśleć.

A jednak to było dziwne, że dziecko nie miało zmian. Może było za małe? Ale zwykle zmiany następują szybko, jeśli się jest na zewnątrz i nie umiera. Dokładnie w kilka dni. A jeśli miało tylko kilka dni? Nie, za bardzo przypominało moje dzieci-zabawki, a ojciec mówił, że są one jak całkiem mali dwuletni ludzie. Właściwie dlaczego ta Inna chciała mi je dać. Może ustrzegła je przed kulami i chciała je uratować zanim zostanie Innym. Ale nie można ustrzec się od kul. Nikt nie może.

7 września

Bałam się, bardzo się bałam. Bolał mnie brzuch i sądziłam, że umrę jak matka. Krzyczałam. Niańka przybiegła szybko.

Macała mi brzuch, potem burczała i powiedziała, że nic mi nie jest, że tylko zjadłam za dużo jabłek. To prawda, ale bardzo lubię jabłka. Dała mi pigułkę i ból przeszedł prawie od razu. Niańka umie mnie wyleczyć prawie ze wszystkiego.

Ojciec też wiedział, co trzeba wziąć kiedy nie czuje się dobrze. Ale nie dla matki. Nie umiał nic dla niej zrobić i niańka też.

Dlatego wyszedł po lekarza. Twierdził, że telefonowanie nic nie da, bo i tak nikt nie wyjdzie. Wziął miotacz płomieni i poszedł przyprowadzić lekarza za wszelką cenę.

To było szaleństwo z powodu kul, lecz wyszedł. Nie mógł dłużej słuchać krzyków matki trzymającej się za brzuch. Bardzo ją kochał. Myślę, że od tego zwariował, bo przecież wiedział, że wyjście nic nie da.

Zrobił matce zastrzyk, mnie też, żebym spała i poszedł. Nie powinnam tak myśleć, wiem, ale wolałabym gdyby dał jej umrzeć, bo nigdy nie wrócił, a ona i tak umarła. Niańka mi to powiedziała, gdy się obudziłam. Sługi zawinęły już jej ciało, a ojca nie było.

Płakałam z żalu, nie mogłam powstrzymać płaczu i niańka musiała mnie zmuszać, bym jadła. Powinien był zostawić ją, żeby umarła. Powinien był. Bo gdzie znaleźć lekarza? A nawet gdyby znalazł? Lekarz na pewno wolałby dać się spalić niż wyjść do kul.

Nieraz zastanawiałam się, czy ojciec został rozpuszczony, czy... Jeśli jest tam na zewnątrz, z wieloma ramionami, nogami albo jeśli wypadły mu wszystkie włosy, a na głowie wyrosły wszędzie oczy... Nie chcę o tym myśleć. Nie chcę. Wolę wierzyć, że ojciec zginął.

A jeśli... Gdyby wrócił któregoś dnia do okna, jak bogini Kali? Co bym zrobiła? Och, ojcze, co bym zrobiła?

10 września

Telefon dzwonił cały dzień, ale nie odpowiedziałam. Gdy ojciec był tu jeszcze, odpowiadał zawsze, a niekiedy nawet sam telefonował. Mówił, że nie jest dobrze żyć bez kontaktu z ludźmi, więc szukał innych, którzy przeżyli. Jednak tyle ludzi zginęło na początku czasu kul, że nie mógł znaleźć prawie nikogo. Do bardzo wielu domów wprowadzili się Inni, zresztą całe rodziny ulegały zmianie, więc na ekranie telefonu zawsze pojawiali się Inni. Byli nieprzyjemni, ojciec musiał przerywać połączenie.

Przypominam sobie, jak ten stary z telewizji powiedział, że niektórzy Inni pomagają nam przeciw kulom. Bardzo mnie to dziwi, bo ojciec mówił, że Inni nienawidzą ludzi. Sądził, że dzieje się tak, bo bardzo się od nas oddalili, a nienawidzą, gdyż jesteśmy normalni.

Przez pewien czas po odejściu ojca odpowiadałam jeszcze na telefony. Jednak byli to zawsze Inni, którzy wyciągali ręce w stronę ekranu, wbijali weń oczy i znieważali mnie albo proponowali, żeby wyjść i przyłączyć się do nich. Bałam się.

Potem, raz, na ekranie pojawiła się istota ludzka. Kobieta. Wówczas nie odpowiadałam już prawie wcale na telefony, ale dzwonek był tak długi i natarczywy, że zaciekawił mnie.

Kobieta na ekranie była stara, miała szalone oczy. Włosy o brudnym szarym kolorze zwisały z jej głowy. Składała i rozkładała ręce. Gdy tylko mnie zobaczyła zaczęła mówić szybkim głosem: „Bardzo cię proszę, moja mała, czy wiesz gdzie może być jakiś lekarz? Błagam cię, koniecznie muszę znaleźć lekarza. Wszędzie dzwonię, bez przerwy. Pomóż mi, moja mała, ktoś musi mi pomóc. Mój mąż jest bardzo chory. Umrze. Umrze, a ja zostanę sama. Bardzo proszę, pomóż mi".

Płakała. Potem odsunęła się i zobaczyłam w głębi pokoju starego człowieka leżącego na kanapie. Cały był spuchnięty i rozpalony. Oddychał ciężko, jakby już nie mógł oddychać. Kobieta wróciła na ekran.

„Widziałaś? On umrze, umrze, umrze".

Jej głos wznosił się. Nie mogłam tego znieść. Wyłączyłam się.

18 września

Coś się stało! Coś się stało!

Jestem tak podekscytowana, że bez przerwy biegam od okna do telewizora, od telewizora do okna. Nie mogę usiedzieć w miejscu.

Niańka zrzędzi, że powinnam siedzieć w miejscu i że nie jest dobrze ruszać się tyle, ale myślę, że zrzędzi głównie dla zasady. Chyba jest zadowolona. Może rozumie...

Od kilku dni widziałam na zewnątrz dużo mniej kul i prawie wcale Innych. Nie wróciła też bogini Kali i jej dziecko.

Ale nie przypuszczałam, że to było to!

Wróci świat sprzed wydarzeń. Dawny świat wróci!

Ojciec miał rację, stary człowiek w telewizji miał rację! Zwyciężyliśmy!

Włączyłam telewizor, a ekran zamiast jak zawsze zostać ciemny, rozświetlił się natychmiast. Rozpoznałam dużą salę, w której widziałam starego człowieka, ale tym razem na jego miejscu był jakiś młody. Ten wcale nie wyglądał na zmęczonego. Mówił szybko, głośno, wyraźnie, a jego oczy błyszczały.

Z początku nie rozumiałam wszystkiego, co mówił. Było to zbyt niewiarygodne! Słuchałam słów i wydawało mi się, że nie potrafię ich poskładać. Potem spostrzegłam, że płaczę. Czy łzy się leją, gdy człowiek jest taki szczęśliwy, że sądzi, że mu serce pęknie? Bez wątpienia tak, bo całą twarz miałam mokrą.

Ojcze, dlaczego nie ma cię tu ze mną, by to słyszeć? Zwyciężyliśmy! Kule przegrały!

Młody wciąż mówił mocnym, jasnym głosem. Opowiadał o broni, która zabijała kule, ubraniach ochronnych, pozwalających wyjść na zewnątrz, oraz że obecnie ekipy ochotników oczyszczają miasto.

Potem bardzo nalegał na kilka spraw. Przede wszystkim nikt nie powinien wychodzić z domu. Jeszcze na to za wcześnie. W mieście jest dużo kul i trzeba wykazać się cierpliwością. Czekano tak długo, że idiotyzmem byłoby utracenie wszystkiego przez nadmierny pośpiech. Prawda? Miały do nas dotrzeć specjalne ekipy i przynieść nam ubrania ochronne. Więc na razie trzeba zostać w bezpiecznych miejscach i czekać. Bo to już niedługo.

Potem pokazał jedną ekipę przy pracy. Zobaczyłam ulicę taką, jak moja i dwunastkę idących po niej ludzi. Byli odziani jakby w czarne, sztywne worki zakrywające nawet głowy. Oczy spoglądały przez oszklone płytki. Mieli grube rękawice z takiego samego czarnego materiału i każdy z nich trzymał tubę przypominającą miotacz ojca, ale dużo szerszą i dłuższą.

W pewnym momencie ukazały się jakieś trzy czy cztery kule płynące szybko w ich kierunku. Wymierzyli w nie tuby, z których wydostało się coś niebieskiego, bardzo błyszczącego, co raziło oczy. Kule rozbiły się. Na ziemi, nie na nich.

To było wspaniałe, ujrzeć rozbicie obrzydliwych kul! Zaczęłam krzyczeć z radości.

Niańka przyszła zawołać mnie na posiłek. Wygoniłam ją. Czy można być głodnym widząc takie wspaniałe wydarzenia i gdy wkrótce pozna się tamten, poprzedni świat?

21 września

Nareszcie! Widziałam ludzi i rozmawiałam z nimi!

Nie mogłam dłużej powstrzymać niecierpliwości. Cały dzień siedziałam przy oknie i przez cały czas była to ta sama pusta ulica, tyle że prawie wcale nie było kul i całkiem nie było Innych.

Wiele razy słyszałam tego młodego w telewizji, ale powtarzał bez przerwy to samo: „Cierpliwości, przyjdą do was". Zaczynał mnie już drażnić. Miałam powyżej dziurek w nosie słuchania go. Cały tydzień poganiałam niańkę. Zrzędziła.

Ale to ona mnie przywołała. Siedziałam wtedy przy telewizorze:

– Chodź tu, Moniko!

Podbiegłam do okna. Po mojej ulicy szli ludzie w obrzydliwych czarnych workach.

Zaczęłam krzyczeć. Zapomniałam, że nie mogli mnie usłyszeć. Ale tak bardzo gestykulowałam w oknie, że wreszcie mnie zobaczyli i przyszli pod dom, dając znaki.

Tak na to czekałam, że już od trzech dni wyłączyłam blokadę. Rzuciłam się do drzwi, otwarłam je i wtedy oni weszli.

Szybko zamknęli drzwi za sobą. Zdjęli czarne worki.

Było ich dwóch. Jeden duży i jeden mały. Duży miał czarne włosy i kasztanowe oczy skrzące się wesołością. Cała twarz rozjaśniała mu się, gdy się uśmiechał. Mały był okrągły, z bardzo, bardzo ulizanymi włosami blond i maleńkimi niebieskimi oczami ukrytymi w fałdach ciała.
Duży powiedział: - No, no. Długowłosa Lorelei. Ondyna o zielonych oczach i w pozłacanym płaszczu.
Na to mały: - Zamknij się. Przestraszysz ją bzdurami, których nikt nie rozumie!
To prawda, że nie rozumiałam, ale wcale się nie bałam.
Powiedzieli jak się nazywają. Duży - Frank, mały - Eryk. A ja powiedziałam - Monika. Uścisnęliśmy sobie dłonie i chcieli żebym ich pocałowała. Duży powiedział: - No bo w końcu jest to dość niezwykły dzień.
Zrobiłam to i odniosłam dziwne uczucie, bo dotąd całowałam tylko ojca.
Frank spytał: - Gdzie są twoi rodzice, Moniko? Jesteś sama?
Odpowiedziałam bardzo szybko: - Matka umarła, a ojciec... wyszedł.
Popatrzył na mnie smutno i położył mi dłoń na ramieniu.
- Dawno?
- Trzy lata temu.
Westchnął, a potem powiedział:
- Teraz nie trzeba o tym myśleć. Będziesz szczęśliwa. Ile masz lat?
- Szesnaście.
Znów zapadła cisza, a oni popatrzyli po sobie.
Frank powiedział:
- Tylko szesnaście? Mogłem o tym pomyśleć, wyglądasz tak młodo...
A Eryk spytał szybko:
- Szesnaście lat, od kiedy?
- Od ubiegłego miesiąca.
Zamilkli obaj. Wyglądali dziwnie zażenowani. Nie rozumiałam, o co im chodziło. Czy że mam tylko szesnaście lat? Jestem za młoda? Ale wyglądało na to, że obaj bardzo tego żałowali.
Frank pogładził mnie po policzku, Eryk odwracał oczy.
Nagle ja też poczułam się zażenowana, nieco źle i trochę smutna, nie bardzo wiedząc dlaczego. Chciałam spytać, o co im chodziło, ale nie odważyłam się.

22 września

Czekam na Franka, który ma przyjść po mnie...
Podciągnęłam mały stolik aż do okna, by wypatrywać go, pisząc. Na pewno nie będę już musiała prowadzić tego dziennika. Skończył się czas kul. Więc myślę, że to już ostatni raz.
Pomyśleć, że wyjdę na zewnątrz! Nie mogę w to uwierzyć. Spytałam Franka:
- I pokażecie mi świat jak przedtem?
Wyglądał na nieco zaskoczonego, po chwili odparł:
- Oczywiście, moja mała, oczywiście, że ci pokażę świat jak przedtem.
Ale nie wyglądał na wesołego. Czemu? Czyżby świat jak przedtem swą pięknością nie dorównywał mym wyobrażeniom? A może nigdy całkiem nie wróci?
To nic. Wyjdę i to będzie wspaniałe. Obojętnie jakkolwiek by to wyglądało.
I byłabym już całkiem szczęśliwa, gdyby nie jeszcze coś... Wreszcie zrozumiałam, dlaczego Inna tak chciała, żebym wzięła jej dziecko. Och, powinnam była to zrobić, bo usłyszałam, co wczoraj mówili Frank i Eryk, a dziś rano widziałam w telewizji.
Opuściłam ich wczoraj na moment, bo chciałam się zrobić na piękność. Poszłam włożyć jedną z sukien mojej matki. Oni usiedli w bibliotece, niańka podała im jeden z tych napojów, jakie serwowała zawsze ojcu, a mnie nie chciała.
Wróciłam po cichu, żeby ich zaskoczyć. I oto co usłyszałam. Frank mówił:
- Nie powinniśmy tego robić. To nieludzkie! W końcu oni mają takie samo prawo do życia jak my. To nie ich wina. Wydaje mi się, że można było postąpić inaczej. Nie wiem, lokując ich na przykład w rezerwatach.
A Eryk odparł:
- Nie można było „zrobić inaczej". Wiesz dobrze. Nie ma sposobu na uleczenie ich, a mogą być zaraźliwi. Nie ma innego wyjścia, to siła wyższa.
Frank zdenerwował się:
- Może tobie się to podoba, ale ja nie mogę do nich strzelać. Zwyczajnie nie mogę. Robienie tego, to jest ohyda. Wstydzę się.
Wówczas Eryk zaczął opowiadać. Głosem wysokim, szybkim. Dziwne. Wyglądało jakby się bronił. Zupełnie jak ja, gdy niańka burczy na mnie, wiem, że ma rację, ale nie chcę się z tym zgodzić.
Powiedział:
- To prawo. Nic nie można zrobić. Nie można ich zostawić, by zarażali...
Frank uciął:
- Nawet nie wiadomo, czy naprawdę są niebezpieczni. A dzieci? Te wszystkie dzieci!
- Nie możemy ryzykować! Dzieci Innych nie są zmienione. Skąd wiadomo, czy pozostały normalne? Nie ma wyboru.
- Ale może są uodpornione! Nawet nie próbowano sprawdzić.
- Na Boga! Rada podjęła decyzję! Kule są od szesnastu lat i dwóch miesięcy. To są liczby!
Coś zaskrzypiało w domu, obaj się poderwali.
- Milcz - powiedział Frank. - Gdyby wróciła...
Więc weszłam i widziałam w ich oczach, że jestem ładna. Ale nie sprawiało mi to tyle przyjemności, ile powinno, bo wydało mi się, że rozumiem. A dziś rano byłam całkiem pewna.


Jerzy Hudyma

Oglądałam telewizję, która jeszcze raz pokazywała ekipy czyszczące miasto. I nagle zobaczyliśmy.
Biegnący Inny. Miał wiele nóg, więc nie potrafił naprawdę się spieszyć. Potykał się co chwilę. Ale można było pojąć, na jaki zdobywał się wysiłek, by się uratować. Jeden z ludzi wycelował miotacz, zaś Inny skurczył się na ziemi w kupkę czarnej masy.
Nagle zmieniono obraz, zaczęto mówić o czymś innym. Z pewnością nie chcieli nam tego pokazać. Ale mimo wszystko zrozumiałam, zwłaszcza że słyszałam przedtem Franka i Eryka.
Zabijają wszystkich Innych. I tyle.
Tak! Frank miał rację, myśląc, że to nie jest dobrze. Boję się Innych, ale mimo wszystko...
To dlatego bogini chciała, żebym wzięła jej dziecko? Z pewnością wiedziała. Ciekawe, czy ją też zwęglili? Nie umiałabym zabić bogini Kali. A dziecko? Wyglądało na tak normalne!
Wydaje mi się, że to, co robią, jest niedobre. Ojcu by się nie podobało.
Ale nie trzeba o tym myśleć. Nie mogę być smutna. To wspaniały dzień. Czekam na Franka i wyjdę. Zerkam przez okno...
Idzie! Nie... To Eryk. Frank pewnie nie mógł i poprosił Eryka, żeby go zastąpił. Jestem trochę zawiedziona. Eryk jest miły, ale wolałabym Franka.
Ach, jak się wlecze. I ma nisko opuszczoną głowę. To dziwne. Widział mnie przez okno, ale nie odpowiedział, gdy zamachałam ręką do niego. Czemu?
Ma w dłoni miotacz. Co chce nim zrobić? I czemu tak długo nie nadchodzi?
Przybliża się. Otworzę mu drzwi.
Nareszcie ujrzę świat jak przedtem...

Przełożył **Wojciech Jaros**

Frederik Pohl

DAJMY SZANSĘ MRÓWKOM

(Let the Ants Try)

Trzygodzinna Wojna nie oszczędziła Detroit, ale oszczędziła Gordy'ego; gdy spadły bomby, jechał właśnie z teczką pełną planów i szkiców do Waszyngtonu.

Jego żona została w mieście i nie znaleziono później nawet śladu jej ciała. Dzieci, oczywiście, nie miały aż tyle szczęścia. Ich letni obóz znajdował się mniej niż dwadzieścia mil od miasta i tak się niefortunnie złożyło, że wiatr w tych okolicach wiał przeważnie w tym właśnie kierunku. Pozostał im miesiąc życia, lecz do ostatnich jego dni nie czuły żadnego bólu. Sieć połączeń lotniczych ogarnęło istne szaleństwo, ale Gordy'emu udało się jakoś do nich dotrzeć. Mimo iż on wiedział, a one domyślały się, że z pewnością umrą na chorobę popromienną, to i tak pozostał im cały błogosławiony tydzień, który mogli spędzić razem, aż wreszcie ból stał się nie do wytrzymania.

Przez cały następny rok Gordy właściwie nikogo więcej nie widział.

Gdy tylko spadło skażenie, wrócił do Detroit. Było to jedyne miejsce, do którego miał po co wracać. Znalazł sobie dom na obrzeżu miasta i próbował odszukać kogoś, od kogo mógłby go kupić. Ci ze Sztabu Kryzysowego wyśmiali go. „Wprowadzaj się, jeśli jesteś na tyle szalony, żeby tu zostać".

Gdy Gordy myślał o tym wszystkim, to wydawało mu się, że wtedy był w stanie szoku. Jego subtelny, wyćwiczony umysł jakby przestał działać. Gordy jadł i spał, a gdy robiło się chłodno, drżał z zimna i rozpalał ognisko. I nic ponadto. Dwa czy trzy razy pisało do niego Ministerstwo Wojny, aż wreszcie zjawił się jakiś człowiek z rządu, by dowiedzieć się, co się stało z tym, co Gordy obiecał przywieźć do Waszyngtonu. Przyjrzał się podejrzliwie różowej, bezwłosej myszy, posilającej się spokojnie w obskurnej kuchni i starał się zanadto nie zbliżać do zarośniętej twarzy i podartego ubrania Gordy'ego.

– Panie Gordy, przysłał mnie tutaj minister – zaczął. – Jest osobiście zainteresowany pańskim odkryciem.

Gordy potrząsnął głową.

– Minister nie żyje – powiedział. – Oni tam wszyscy zginęli, kiedy rozniosło Waszyngton.

– Mamy nowego ministra – wyjaśnił gość. Zaciągnął się papierosem, po czym rzucił go na grządkę, którą Gordy pracowicie próbował przekształcić w warzywnik. – Nazywa się Arnold Cavanagh. Wie o panu bardzo dużo, a mnie powiedział: „Jeśli Salva Gordy ma jakąś broń, to musimy ją mieć. Nasza potęga przestała istnieć. Powiedz Gordy'emu, że potrzebujemy jego pomocy".

Gordy skrzyżował ręce jak wychudły Budda.

– Nie ma żadnej broni – powiedział.

– Ma pan coś, co może być jako broń wykorzystane. Pisał pan przecież przed wojną do Waszyngtonu...

– Teraz jest po wojnie – odparł Salva Gordy. Wysłannik rządu westchnął i spróbował raz jeszcze, ale w końcu sobie poszedł. Więcej już nie wrócił. „Po raporcie, jaki złożyłem – pomyślał Gordy – całe to odkrycie musiało zostać zewidencjonowane jako jakiś stuknięty pomysł". Tak też zresztą było w istocie.

W maju pojawił się John de Terry. Gordy kopał właśnie w ogródku, kiedy jakiś głos zza jego pleców powiedział:

– Daj mi coś do jedzenia.

Salva Gordy odwrócił się i ujrzał małego, brudnego człowieczka. Otarł sobie usta wierzchem dłoni.

– Będziesz musiał na to zapracować – powiedział.

– W porządku – przybysz postawił na ziemi swój bagaż. – Nazywam się John de Terry. Kiedyś mieszkałem w Detroit.

– Ja też – odparł Salva Gordy.

Nakarmił człowieczka, a po posiłku przyjął zaoferowanego mu papierosa. Po pierwszych dymkach zakręciło mu się trochę w głowie – sporo czasu minęło od chwili, kiedy po raz ostatni miał okazję zapalić – i spojrzał na Johna de Terry'ego dość przyjaznym okiem. „Dobrze by mieć towarzystwo" – pomyślał. Co prawda różowe myszy też stanowiły swego rodzaju towarzystwo; okazało się jednak, że mutacja, która uczyniła je bezwłosymi, nauczyła je także lubić mięso. Gdy pewnego ranka znalazł na nodze ślady drobnych ząbków, był zmuszony je wytępić. Od tego czasu nie spotkał żadnych innych zwierząt; tylko mrówki.

– Masz zamiar tu zostać? – zapytał Gordy.

– Jeżeli można. Jak się nazywasz?

Gdy Gordy przedstawił się, oczy de Terry'ego straciły częściowo swój zwierzęcy wyraz, w miejsce którego pojawiło się zdumienie.

– Doktor Salva Gordy? – spytał. – Matematyk i fizyk z Pasadeny?

– Owszem, kiedyś tam wykładałem.

– A ja studiowałem. – John de Terry w milczeniu skubał swe zniszczone ubranie. – To było dawno temu. Nie znałeś mnie, bo specjalizowałem się w biologii. Ale ja cię znałem.

Gordy podniósł się i ostrożnie odłożył niedopałek papierosa.

– To zbyt dawne czasy, żebym miał cokolwiek pamiętać. Może byśmy porobili coś w ogródku?

Razem więc pocili się w wiosennym, popołudniowym słońcu i Gordy przekonał się, że to, co stanowiło ciężkie zadanie dla jednego, dwóm nie sprawiało większych kłopotów. Dotarli do końca działki nim jeszcze słońce dotknęło horyzontu. John de Terry ciężko dysząc oparł się na szpadlu. Wskazał na wybujałą gęstwinę sąsiadującą z poletkiem Gordy'ego.

– Można by powiększyć ogród – powiedział. – Oczyścić ten śmietnik i mieć więcej żywności. Moglibyśmy nawet... – dostrzegł, że Gordy cały czas kręci głową.

– Nie dasz rady tego oczyścić – odparł Gordy. – Niby to zwykła trawa, ale bardzo wyrośnięta i o szalenie mocnych korzeniach. Nawet ściąć jej nie mogę. Jest tu wszędzie dookoła i robi jej się coraz więcej.

– Mutacja? – skrzywił się de Terry.

– Tak sądzę. Popatrz jeszcze na to... – Gordy skinął na małego człowieczka i zaprowadził go na sam skraj oczyszczonego terenu. Schylił się i podniósł coś czerwonego, co wiło się i skręcało między jego kciukiem a palcem wskazującym. De Terry wziął to od niego.

– Też mutacja? – przyjrzał się temu czemuś z bliska. – Wygląda właściwie jak mrówka – powiedział. – Może tylko... Tak, tułów jest niezupełnie w porządku. W dodatku miękki.

Zamilkł, pogrążony w dokładnym badaniu.

Wreszcie mruknął coś pod nosem i zrzucił owada na ziemię.

– Nie masz pewnie mikroskopu? Nie... Wiesz, trudno w to uwierzyć. Niby to mrówka, ale wydaje się w ogóle nie mieć tchawek. A więc musi to być jednak coś innego.

– Wszystko jest inne – powiedział Gordy. Wskazał na kilka zapuszczonych grządek. – Miałem tam marchew. A przynajmniej myślałem, że to marchew, bo po spróbowaniu rozchorowałem się. Westchnął ciężko. – Ludzkość miała swoją szansę, John. Bomba atomowa nie wystarczyła, każda rzecz musiała zostać zamieniona w narzędzie do zabijania. Nawet ja zrobiłem broń z czegoś, co z wojną nie miało nic wspólnego. I wszystkie te nasze arsenały wybuchły nam nagle prosto w twarz.

De Terry uśmiechnął się.

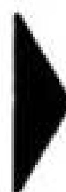
– Może mrówki będą miały więcej szczęścia. Teraz ich kolej.

– Chciałbym, żeby tak było. – Gordy pogrzebał w ziemi przy wejściu do podziemnego mrowiska i obserwował skonsternowane owady. – Obawiam się jednak, że są za małe.

– Dlaczego? Te mrówki są inne, doktorze Gordy. Owady nie osiągnęły nigdy znacznych rozmiarów, ponieważ nie pozwalał im na to ich sposób oddychania. Ale te mrówki to mutanci. Sądzę... Sądzę, że już mają płuca. One mogą rosnąć, doktorze Gordy. A gdyby osiągnęły rozmiary człowieka, opanowałyby świat.

Oczy Gordy'ego zabłysły.

– Płucodyszne mrówki! Może i opanują świat, John. Może, gdy



ludzkość unicestwi się ostatecznie w następnym wielkim BUM!...

De Terry potrząsnął głową, po raz kolejny obrzucając spojrzeniem swe brudne, złachmanione ubranie.

– Następne BUM będzie także ostatnim – powiedział. – Te mrówki pojawiły się o miliony lat za późno.

Podniósł swój szpadel.

– Znów jestem głodny, doktorze Gordy.

Wrócili do domu i w milczeniu coś przekąsili. Gordy był czymś zaabsorbowany, a de Terry nie czuł się jeszcze na tyle u siebie, żeby zmuszać go do rozmowy.

Skończyli o zachodzie słońca i Gordy uniósł się już, by zapalić lampę, ale nie zrobił tego.

– To twoja pierwsza noc w tym domu, John – powiedział. – Zejdźmy do piwnicy. Uruchomimy generator i dla uczczenia twego przybycia zapalimy prawdziwe, elektryczne światło.

Po omacku zeszli piętro niżej. Przy blasku świecy zajęli się dawno nie używanym, benzynowym generatorem. Z początku nie chciał zapalić, ale gdy już raz zaskoczył, pracował bez zarzutu.

– Sam go wyremontowałem – wyjaśnił Gordy. – Ten generator... i to jeszcze. – Wyciągnął rękę w stronę kąta piwnicy. – Jak ci powiedziałem, wynalazłem pewien rodzaj broni – powiedział. – Oto on.

De Terry spojrzał we wskazanym kierunku. Ujrzał coś, co mogło być jakąś klatką albo i czymkolwiek innym. Miało wysokość człowieka i kształt niemal dokładnego sześcianu.

– Jak to działa? – zapytał.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Salva Gordy uśmiechnął się.

– Nie potrafię ci tego wyjaśnić po angielsku – powiedział – a wątpię, czy zrozumiesz język matematyki. Najbliższe prawdy będzie wyjaśnienie, że gdy to coś działa, przemieszczeniu ulegają koordynaty czasowe. Czy to aby nie brzmi jak żargon?

– Owszem, brzmi – odparł de Terry. – Jak to działa?

– No cóż, ministerstwo wojny znalazło dla tego czegoś nazwę – nazwę pożyczoną od H.G. Wellsa. Ochrzcili to „wehikułem czasu". – Spokojnie wytrzymał wstrząśnięte, zdumione spojrzenie de Terry'ego. – Widzisz, John, jeżeli chcesz, to możemy jednak dać tym mrówkom szansę.

Czternaście godzin później akumulatory klatki były naładowane, tajemniczy silnik mruczał cichutko, weszli do niej...

...i wyszli czterdzieści milionów lat wcześniej na drżącą, wilgotną ziemię.

Gordy poczuł nagle, że trzęsie się jak galareta; z wysiłkiem zdołał nad tym zapanować.

– W polu widzenia żadnych tygrysów szablozębnych ani dinozaurów – oznajmił

– Przynajmniej na razie – zgodził się de Terry. A potem: – O mój Boże!

Rozglądał się dookoła z szeroko otwartymi ustami. Powietrze, ciepłe i wilgotne, stało bez ruchu. Dokoła nich rosły ciasno drzewa – albo coś, co wyglądało jak drzewa. De Terry doszedł do wniosku, że były to raczej jakieś paprocie nasienne lub grzyby. W górze wisiały gęste chmury.

Ciałem Gordy'ego wstrząsnął dreszcz.

– Daj te mrówki – rzucił.

De Terry podał mu je w milczeniu. Gordy zrobił w miękkiej ziemi dziurę palcem i ostrożnie przechylił buteleczkę, wypuszczając jedną z wygrzebanych za domem królowych. Tułów miała oblepiony masą jajeczek. Kilka metrów dalej – powinien to zrobić w większej odległości, ale bał się zbytnio oddalać od de Terry'ego i maszyny – zrobił drugą dziurę i powtórzył całą operację.

Przywieźli ze sobą osiem królowych. Gdy ósma znalazła się już w ziemi, wyrzucił butelkę i wrócił do de Terry'ego.

– Zrobione – oznajmił.

De Terry westchnął z ulgą. Na jego poważnej twarzy pojawił się niespodziewanie zakłopotany uśmiech.

– Chyba... Chyba czuję się jak Bóg – powiedział. – Dobry Boże, doktorze Gordy! Wszystkie te wielkie, historyczne wydarzenia – mamy je tutaj! Zastanawiam się nad tym i jedyne, co przychodzi mi na myśl, a co może się z tym równać – to Potop. Albo i to nie. Stworzyliśmy nowe życie!

– Owszem, jeśli uda im się przetrwać – Gordy starł kroplę wilgoci, jaka osadziła się na ściance wehikułu i westchnął. – Ciekaw jestem, jak sobie ułożą stosunki z ludźmi.

Zamilkli na chwilę, pogrążeni we własnych myślach. Gdzieś w dżungli rozległ się ochrypły wrzask jakiegoś zwierzęcia. Obaj mężczyźni rozejrzeli się z niepokojem, ale sekundy mijały i nic się nie pokazało.

Wreszcie odezwał się de Terry.

– Może już byśmy wracali.

– W porządku.

Z trudem wepchnęli się do nie przekraczającego rozmiarów szafy wnętrza wehikułu czasu.

Gordy, z dłonią na kole sterowniczym, myślał o mrówkach. Przypuśćmy, że przeżyją, przypuśćmy, że przez 40 000 000 lat urosną i wykształcą mózgi – co wtedy nastąpi? Czy ludzie będą potrafili żyć z nimi w zgodzie? Czy nie spowoduje to – czy nie mogłoby to spowodować, że ludzie, zjednoczeni przeciwko obcej rasie, poczuliby się braćmi? Może wtedy nie doszłoby do wojny między ludźmi i – tutaj jego myśli obrały już zupełnie szalony kierunek – może nie wybuchłaby ta wojna, która zabiła jego rodzinę?

Z tyłu de Terry poruszył się niecierpliwie. Gordy ocknął się, zakręcił kołem i znalazł się w mrocznym matematycznym wirze, który może nawet i był czwartym wymiarem.

Zatrzymali wehikuł w środku miasta, ale to nie było Detroit ani w ogóle żadne ludzkie miasto.

Wehikuł zablokował pół wąskiej uliczki. Dokoła wznosiły się, niektóre sięgające trzydziestu metrów, stożkowate budowle z metalu. Ulicą poruszały się jakieś pojazdy, z których jeden zbliżył się do nich i stanął.

– Doktorze Gordy – szepnął de Terry – widzi je pan?

Salva Gordy przełknął ślinę.

– Widzę – odpowiedział.

Wyszedł z maszyny i stanął, czekając na spotkanie z istotami, którym dał życie. W trzykołowym pojeździe znajdowali się bowiem potomkowie mrówek. Widział to dokładnie przez przezroczystą przednią szybę.

De Terry stanął tuż za nim i Gordy czuł, że jego młodszy towarzysz drży.

– Są dość nieprzyjemne – zauważył oględnie Gordy.

– Nieprzyjemne? Są ohydne!

Mrówkopodobne stworzenia były wzrostu człowieka, ale wyglądały groźnie i równie szkaradnie jak karaluchy. Ich oczy, jak spostrzegł ze zdziwieniem Gordy, zmieniły się znacznie bardziej niż ciała. Zamiast siatki oczek prostych miały tęczówkę, rogówkę i źrenicę – nie okrągłą, nie pionową, jak kot, ani nie poziomą jak koń, lecz nieregularną i rozlaną jak plama atramentu. Oczy te przypominały jednak oczy kręgowców, choć na tle pergaminowej czerni guzowatej, owadziej głowy wyglądały dziwnie i nienaturalnie.

Gordy postąpił krok naprzód i jednocześnie mrówki opuściły swój pojazd. Przez moment mrówki i ludzie stali naprzeciw siebie w milczeniu.

– Co mam teraz robić? – zapytał przez ramię de Terry'ego.

De Terry roześmiał się – albo ciężko westchnął. Gordy nie był pewien.

– Porozmawiać sobie z nimi – odparł. – Co innego jest tu do roboty?

Gordy przełknął ślinę. Nie próbował nawet przemawiać do tych stworzeń po angielsku, bo wiedział na pewno, że angielski, a prawdopodobnie i każdy inny język oparty na dźwiękach będzie dla nich całkowicie niezrozumiały. Uśmiechnął się więc przyjaźnie, ale było to, rzecz jasna, równie mało warte. Mrówki bowiem, o ile mógł się zorientować, nie operowały w ogóle mimiką i nie zetknęły się dotąd z niczym, co pomogłoby im zinterpretować uśmiech na twarzy człowieka.

Gordy uniósł dłoń w semantycznie oczywistym geście pokoju i czekał, co zrobią owady.

Nie zrobiły nic.

Zacisnął wargi i czując się jak idiota, ukłonił im się sztywno.

Mrówki nie zareagowały. Z tyłu odezwał się de Terry.

– Niech pan spróbuje coś do nich powiedzieć, doktorze Gordy.

– To nie ma sensu – odparł Gordy. – One nie słyszą.

Miało to jednak równie mało sensu, jak i cokolwiek innego. Zirytowany, ale starając się wyraźnie wymawiać poszczególne słowa, powiedział:

– Jesteśmy... przyjaciółmi.

Mrówki nawet nie drgnęły. Stały po prostu z wlepionymi w Gordy'ego swymi nieruchomymi oczami. Nie przestępowały, jak to czynią ludzie, z nogi na nogę, nie drapały się, nie widać było po nich jak oddychają. Po prostu stały.

– O rany – odezwał się de Terry. – Teraz ja spróbuję.

Wysunął się przed Gordy'ego i stanął twarzą w twarz z mrówkopodobnymi istotami. Wskazał na siebie.

– Jestem człowiekiem – powiedział. – Ssakiem. Wy – wskazał teraz na mrówki – jesteście owadami. To – pokazał w stronę wehikułu czasu – zawiozło nas w przeszłość, gdzie sprawiliśmy, że mógł powstać wasz gatunek. – Czekał na reakcję, ale żadna nie nastąpiła. Klasnął językiem i zaczął jeszcze raz.

– To jest wasze miasto – wskazał na spiczaste budowle. Słuchając go Gordy czuł beznadziejność ich wysiłków.

Coś zwichrzyło mu włosy z tyłu głowy. Sięgnął odruchowo ręką, by je przygładzić, lecz jego dłoń zatrzymała się na czymś twardym i nieożywionym. Nie było to zimne, tyle tylko że, podobnie jak kawałek nasiąkniętego wodą drewna, zdawało się nie mieć określonej temperatury. Odwrócił się. Za nim stało pół tuzina nieco większych mrówek. „Trutnie" – pomyślał. „Czy mrówki mają trutnie?"

– John – powiedział nie podnosząc głosu... i niezgrabne, krucho wyglądające kleszcze zacisnęły się na jego ramieniu. Wyczuł od razu, że nie było w tym chwycie siły. Instynktownie wykonał jakiś ruch, by się uwolnić i wtedy tysiące ostrych ząbków przebiły ubranie i zagłębiły się w jego skórze. Zupełnie jakby nadział się na pęk małych haczyków na ryby.

– John! Uważaj! – wrzasnął.

De Terry pochylony był właśnie nisko przy jednym z pokrytych gąsienicowym wzorem kół owadziego pojazdu. Zaalarmowany wyprostował się i rzucił do ucieczki, ale został schwytany

w pół kroku. Gordy słyszał jego krzyki, ale zbyt wiele miał teraz własnych kłopotów, by poświęcać mu więcej uwagi.

Gdy do pierwszej mrówki przyłączyła się druga, Gordy zaprzestał walki. Czuł ciepłą krew spływającą mu po ramieniu i ból, jakby był obdzierany ze skóry. Wisząc między mrówkami mógł widzieć te, które wysiadły z pojazdu; stały ciągle bez ruchu.

W nozdrzach kręcił mu bijący od trzymających go mrówek kwaśny fetor i Gordy zastanawiał się, czy jego własny zapach jest dla nich równie przykry. Dwie mniejsze mrówki drgnęły nagle i zbliżyły się żwawo na ośmiu cienkich nogach do maszyny czasu. Jego pogromcy dołączyli do nich i po raz pierwszy od czasu krótkiej walki Gordy ujrzał de Terry'ego. Jedna z mrówek trzymała jego ciało w uniesionych przednich odnóżach, dwie inne zaś stały po bokach w roli strażników. Z rany na karku de Terry'ego kapała krew. „Nieprzytomny" – pomyślał machinalnie Gordy i odwrócił głowę, by obserwować, co mrówki robią z maszyną.

Widok był raczej zniechęcający; stały przy niej po prostu bez ruchu. Od strony de Terry'ego dobiegło go chrząknięcie i ciche przekleństwo.

– Jak się czujesz, John? – zapytał.

– Nie najlepiej – skrzywił się de Terry. – Co się stało?

Gordy potrząsnął głową, szukając odpowiednich słów, kiedy dwie ze stojących przy wehikule mrówek odwróciły się i przysunęły do de Terry'ego. Gordy'emu głos zamarł w gardle. Kleszcze jednej z nich sięgnęły do piersi de Terry'ego. Gordy widział, jak zbliżały się do celu...

– John! – krzyknął... a potem było już po wszystkim, choć w uszach miał jeszcze ochrypły wrzask de Terry'ego. Odwrócił głowę. Kątem oka widział, jak uzębione kleszcze wędrują w górę i w dół, ale z de Terry'ego uleciało już życie, które mogłoby przeciw temu zaprotestować.

Salva Gordy siedział oparty o ścianę i gapił się na gapiące się na niego mrówki. „Gdyby nie to, co zrobiły de Terry'emu – pomyślał – nie byłoby się właściwie na co skarżyć". To prawda, że mrówki nie zadbały dla niego choćby o takie wygody, jakimi w ludzkim społeczeństwie cieszyć się mogli nawet więźniowie, ale karmiły go i pozwalały na sen – kiedy im to odpowiadało, rzecz jasna – a pewne poszlaki wskazywały nawet na to, że na swój sposób troszczyły się o niego. Kiedy pulchna papka, jaką mu przyniosły wywędrowała pół godziny później nietknięta, jego wielonożni gospodarze zaoferowali mu do wyboru kilka rodzajów pożywienia, z których był w stanie przełknąć kilka nawet niezłych w smaku owoców. Umieszczono go w ciepłym pokoju, a jeśli nie było w nim krzeseł czy okien, pomyślał Gordy, to tylko dlatego, że mrówki same ich nie używały, a on nie miał jak o nie poprosić. To był największy problem. To – i wspomnienie o de Terrym.

Wiercił się na twardej podłodze tak długo, aż wreszcie jego łopatki znalazły sobie dobre miejsce do oparcia. Spojrzał ponownie na przybyłą do niego delegację mrówek.

Przyniosły ze sobą jakiś kanciasty przemiot przypominający kamerę; miał coś, co błyszczało jak soczewka. Gordy utkwił w tym czymś posępne spojrzenie. W powietrzu unosił się ten sam kwaśny smród...

Gordy musiał przyznać w duchu, że wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż planował. Głęboko w zakamarkach jego umysłu – tak głęboko, że dopiero teraz zdołał się do niej dokopać – tkwiła nieśmiała nadzieja, że zapoczątkowany dzięki ingerencji z zewnątrz rozwój mrówek wspomoże i przyspieszy rozwój ludzkości. Nienawiść, jak o tym wiedział, narodziła się z lęku przed nieznanym. Pierwszym wrogiem człowieka jest rodzina – z nią bowiem styka się najwcześniej – a jednak staje po jej stronie, gdy dochodzi do konfliktu z sąsiadami z drugiej strony ulicy. Jednak w szerszym aspekcie – aspekcie gett i Harlemów jego miasta – sąsiedzi stają się sojusznikami; piętro wyżej miasto staje się sercem narodu, a jeszcze wyżej naród ów w razie wojny może decydować o życiu lub śmierci innych narodów.

Gordy żywił nadzieję, że inny, całkowicie obcy gatunek stanie się dla ludzkości czymś w rodzaju chłopca do bicia, na którym będzie mogła wyładować swoje pasje. A jeśli już doszłoby do walki, to byłaby to walka nie między człowiekiem a człowiekiem, lecz między ludźmi a mrówkami.

Gdzieś głęboko w nim drzemała taka nadzieja, lecz teraz nic z niej nie pozostało. Mrówki bowiem po prostu nie dopuściły do rozwoju ludzkości.

Mrówki odłożyły swój podobny do kamery przyrząd i Gordy spojrzał na nie z oczekiwaniem. Sześć z nich wyszło, a dwie zostały. Mniejsza z nich miała na przedniej nodze jakąś bransoletę i zdawała się być jego osobistym strażnikiem. Druga, o ile Gordy mógł się zorientować, była obca. Obie stały bez ruchu tak długo, że wreszcie porządnie już znudzony Gordy zaczął się wiercić, potem położył się na podłodze, wreszcie zaczął myśleć o spaniu. Sen jednak nie chciał nadejść. Gordy nie mógł pozbyć się świadomości, że zniszczył swą własną rasę, unicestwił ją, nie dopuszczając czterdzieści milionów lat temu do jej powstania. Był największym zbrodniarzem od czasów Kaina i dziwił się, że nie czuje krwi na swoich rękach.

Na jakiś sygnał, którego nie potrafił odebrać, jego strażnik zbliżył się i odtrącił go od ściany. Szedł tam, gdzie mu kazano – najpierw przez ciasną dziurę wejściową (przebył ją z trudem na czworakach), a potem korytarzem na zewnątrz, gdzie panował jasny dzień.

Zmrużył odzwyczajone od światła oczy. Na wpół oślepiony podążył za swym przewodnikiem; przecięli na ukos rozległy plac i znaleźli się pod stożkową wiatą. Dokoła sterty metalowych części zgromadziła się tutaj grupa mrówek. Gordy od razu rozpoznał te części; był to zdemontowany śrubka po śrubce jego wehikuł czasu.

Mrówka szturchnęła go ponownie, tym razem jakby z niecierpliwością i Gordy zrozumiał, czego od niego chcą. Rozmontowały maszynę, by zapoznać się z jej budową, a teraz chcą, by na powrót ją złożył.

Zadowolony, że wreszcie będzie miał czym zająć ręce i umysł, uśmiechnął się i sięgnął po dziwaczne, wykonane przez mrówki narzędzia.

Zdążył zjeść cztery posiłki i raz się przespać, cały czas przebywając w pobliżu stożkowatej wiaty. A potem praca była już zakończona.

Gordy odstąpił krok wstecz.

– Jest do waszej dyspozycji – powiedział z dumą. – Zabierze was, gdzie chcecie. To podarunek od ludzkości.

Mrówki milczały jak zaklęte. Gordy zauważył wśród nich kilka nieruchomych jak posągi trutni.

– Hej! – zawołał niezdolny nagle do jakiejkolwiek myśli. I wtedy z tyłu spadły na niego uzbrojone w tysięczne ząbki kleszcze. Przez chwilę zrobiło mu się niedobrze, ale przerażenie i nienawiść zwyciężyły. Nie zważając na szarpiące mu skórę zęby walczył z usiłującymi go obezwładnić stworzeniami. Uwolnił jedno ramię, pozostawiając w kleszczach kawałki ciała i trafił ciężkim butem w papkowate oko. Mrówka wydała świszczący, konający odgłos i zamarła na moment na czterech włochatych nogach. Gordy poczuł, że wisi gdzieś cztery metry nad ziemią, a potem spada przy wtórze cichej, nierealnej agonii mrówki. Runął na ziemię, starając się osłonić przed chwiejącym się potworem. Szlochając zmusił się do wstania na nogi; wehikuł był tuż za nim. Zataczając się wpadł do niego, może metr przed mrówkami, i zakręcił kołem.

Rurkowata, owadzia noga drgała za nim na podłodze. Były aż tak blisko.

Gordy zatrzymał maszynę tam, skąd wyruszył, na tym samym drżącym, przedwiecznym trzęsawisku i długo leżał skulony przy sterach. Wreszcie wstał z trudem.

On i de Terry popełnili błąd, co do tego nie mogło być już teraz żadnych wątpliwości. Istniał jednak, a przynajmniej powinien istnieć sposób, żeby ten błąd naprawić. Wyjrzał na zewnątrz. Rosnące dokoła paprocie nie były tymi, które widział poprzednim razem; wehikuł przemieścił się nieco w przestrzeni. Czas jednak zgadzał się co do joty. Pod tym względem mógł maszynie zaufać. „Tutaj właśnie dałem mrówkom władzę nad światem" – pomyślał. „Teraz mogę im tę władzę odebrać. Mogę znaleźć te królowe, które tu wypuściłem i rozdeptać je, mogę też odwieść samego siebie od zamiaru pozostawienia ich tutaj".

Tknięty impulsem strachu wyskoczył z wehikułu. Szybko, niepewnie rozejrzał się dookoła.

W mieście mrówek śmierć była bardzo blisko; jeszcze teraz Gordy znajdował się w stanie wywołanego szokiem psychicznego odrętwienia. Ale czy tutaj był zupełnie bezpieczny? Pamiętał słyszany poprzednio rozpaczliwy, zwierzęcy krzyk; zadrżał na myśl, że mógłby posłużyć za przekąskę dla jakiegoś dinozaura, podczas gdy królowe żyłyby spokojnie i produkowały swe straszliwe potomstwo.

Między paprociami błysnął metal i serce zabiło mu jak młotem. Wypolerowany metal w tym miejscu mógł oznaczać tylko jedno – wehikuł! Biegiem okrążył wystrzelającą z gęstej kępy widłaków grupę paproci i ujrzał przed sobą maszynę czasu. Puścił się pędem w jej stronę, lecz nagle stanął, ślizgając się na grząskim gruncie. Teraz bowiem miał przed sobą dwie maszyny czasu!

Ta nieco dalej to była jego własna; zza krzaków widział stojące przy niej dwie sylwetki – swoją i de Terry'ego. Ta bliższa zaś, znacznie większa, miała dziwny kształt i wypadł z niej tłum – nie ludzi, lecz czarnych owadzich kształtów pędzących w jego stronę.

Oczywiście, pomyślał Gordy, rzucając się do beznadziejnej ucieczki, oczywiście, mrówki miały masę czasu, żeby nad tym popracować. Wystarczająco dużo czasu, by zbudować maszynę na wzór jego własnej; wystarczająco dużo czasu, by zdać sobie sprawę, co muszą z nim zrobić, aby zapewnić bezpieczeństwo swemu gatunkowi.

Gordy potknął się i pierwszy z czarnych kształtów siedział już na jego karku.

Jego przerażone płuca po raz ostatni zachłysnęły się powietrzem i Gordy wiedział już, co to za zwierzę krzyczało w gęstwinie karbońskiego lasu.

Przełożył
Arkadiusz Nakoniecznik

W roku 1875 na licytacji „cennych ciekawostek" w Melton Mowbray mój pradziadek, w towarzystwie M., swojego przyjaciela, kupił penisa kapitana Nichollsa, zmarłego w roku 1873 w więzieniu w Horsemonger. Nabytek, zakonserwowany w szklanym słoju wysokości dwunastu cali, zachował się, jak to zanotował mój pradziad owego dnia wieczorem w swoim diariuszu „w pięknym stanie". Pradziadek żył sześćdziesiąt dziewięć lat. Z tego przez czterdzieści pięć codziennie przed pójściem spać zasiadał i zapisywał swoje myśli w dzienniku. Te dzienniki leżą teraz na moim stole, czterdzieści pięć tomów oprawnych w cielęcą skórę, a na lewo w szklanym słoju siedzi kapitan Nicholls.

Mój pradziadek żył z dochodu, jaki mu przynosił wynalazek jego ojca, zmyślna haftka używana przez gorseciarki aż do wybuchu pierwszej wojny światowej. Pradziadek lubił plotki, liczby i teorie. Lubił także tytoń, dobre porto, potrawkę z zająca i – z rzadka – opium. Uważał się za matematyka, chociaż nigdy nie pracował ani nie opublikował żadnej książki. Tak samo nigdy nie podróżował ani nie doczekał się tego, żeby jego nazwisko znalazło się na łamach „Timesa", nawet po śmierci. W roku 1869 poślubił Alice, jedyną córkę wielebnego Toby'ego Shadwella, współautora niezbyt wysoko cenionego dzieła o dzikich kwiatach Anglii.

Jestem przekonany, że mój pradziad był wspaniałym pamiętnikarzem i, kiedy skończę redagowanie jego dzienników i zostaną one wydane, z pewnością doczeka się należnego mu uznania. A ja wezmę wtedy długi urlop i wyjadę gdzieś, gdzie jest zimno, czysto i bezdrzewnie, na przykład na Islandię czy w rosyjskie stepy. Zawsze sobie myślałem, że na koniec, po tym wszystkim, rozwiodę się ze swoją żoną Maisie, ale teraz już nie ma takiej potrzeby.

Maisie często krzyczała przez sen i musiałem ją budzić.

– Obejmij mnie – mówiła. – To był straszny sen. Już kiedyś mi się to śniło. Leciałam samolotem nad pustynią. Ale tak naprawdę to nie była pustynia. Zeszłam tym samolotem niżej i wtedy zobaczyłam, że to tysiące niemowląt spiętrzonych aż po horyzont, nagich, włażących jedno na drugie. Kończyło mi się paliwo i musiałam lądować. Usiłowałam znaleźć miejsce, więc leciałam dalej i dalej, wypatrując miejsca do lądowania...

– Ale teraz już śpij – mówiłem ziewając. – To był tylko sen.

– Nie – płakała. – Nie wolno mi teraz zasnąć, jeszcze nie.

– Dobrze, ale przynajmniej ja chcę zasnąć – mówiłem. – Muszę wcześnie wstać.

Potrząsnęła mnie za ramię.

– Proszę cię, jeszcze nie zasypiaj. Nie zostawiaj mnie tu samej.

Ale przecież jestem w tym samym łóżku – mówiłem. – Nie zostawiam cię.

– To nie o to chodzi. Nie zostawiaj mnie na jawie. – Ale mnie już się zamykały oczy...

Ostatnio nabrałem zwyczajów mojego pradziadka. Zanim się położę, siadam sobie na pół godziny, żeby przemyśleć miniony dzień. Nie mam żadnych matematycznych wizji ani seksualnych teorii do zanotowania. Głównie zapisuję to, co powiedziałem Maisie i co Maisie powiedziała mnie. Czasami, dla uzyskania całkowitego spokoju, zamykam się w łazience, siadam na sedesie i kładę sobie notatnik na kolanach. Poza mną znajdzie się czasem w łazience jakiś pająk czy dwa. Łażą po rurze i siedzą tam, idealnie nieruchome, na tle jaskrawej bieli emalii. Pewnie się zastanawiają dokąd trafiły. Po godzinach takiego czajenia się zawracają, zdumione czy też zawiedzione, że niczego więcej nie zdołały się dowiedzieć. O ile wiem, mój pradziadek tylko raz wspomniał o pająkach. Ósmego maja 1906 roku napisał: „Bismarck jest pająkiem".

Popołudniami Maisie przynosiła mi herbatę i opowiadała swoje koszmarne sny. Ja zwykle przeglądałem stare gazety, robiłem indeksy, katalogowałem różne przedmioty, to odkładałem jakiś tom, to znów brałem inny. Maisie powiedziała, że jest w złej formie. Ostatnio po całych dniach przesiadywała w domu gapiąc się w książki z dziedziny psychologii i okultyzmu i prawie co noc miewała złe sny. Od czasu, kiedy wymieniliśmy ciosy w sensie fizycznym, czatując na siebie z tym samym butem pod drzwiami łazienki, nie miałem dla niej współczucia. Jej problem w dużej mierze brał się z zazdrości. Była bardzo zazdrosna... o czterdziestopięciotomowy dziennik mojego pradziadka i o upór i energię, z jakimi przygotowywałem go do druku. Maisie nie robiła nic. Kiedy weszła z herbatą, odkładałem właśnie jeden tom i brałem następny.

– Czy mogę ci opowiedzieć mój sen? – spytała. – No więc leciałam tym samolotem nad czymś w rodzaju pustyni...

– Później mi opowiesz, Maisie. Jestem bardzo zajęty. – Po jej wyjściu gapiłem się na ścianę przed biurkiem i myślałem o M., który przez piętnaście lat regularnie przychodził do pradziadka na kolację aż do swojego nagłego i niezrozumiałego zniknięcia pewnego wieczoru w roku 1898. M. był kimś w rodzaju uczonego, a zarazem był człowiekiem czynu. Na przykład wieczorem dziewiątego sierpnia 1870 roku, gdy omawiali we dwóch z pradziadkiem pozycje przy stosunku, M. powiedział mojemu pradziadkowi, że pozycja *a posteriori* jest najbardziej naturalna w świecie – a to z powodu położenia łechtaczki i dlatego, że małpy człekokształtne też ją preferują. Mój pradziadek, który miał stosunek może ze sześć razy w całym życiu, i to z Alice w pierwszym roku ich małżeństwa, zaczął się zastanawiać głośno, co na to kościół, na co M. z miejsca mu odpowiedział, że teolog z siódmego wieku, Theodore, uważał kopulację od tyłu za grzech równy masturbacji, a tym samym zasługujący na pokutę. Później tego samego wieczoru mój pradziadek udowodnił matematycznie, że maksymalna ilość pozycji nie może przekraczać liczby pierwszej – siedemnastu. M. wyszydził go i oświadczył, że widział kolekcję rysunków Romano, ucznia Rafaela, w której autor pokazał dwadzieścia cztery pozycje. A ponadto, dodał, słyszał o niejakim panu F.K. Forbergu, który wymieniał dziewięćdziesiąt. Herbata, którą mi Maisie postawiła, była już zimna, kiedy sobie o niej przypomniałem.

Ian McEwan

stereometria

(Solid Geometry)

Ważny etap rozkładu naszego małżeństwa osiągnęliśmy w sposób następujący. Pewnego wieczoru siedziałem w łazience i spisywałem naszą rozmowę na temat kart do taroka, kiedy nagle Maisie zaczęła walić w drzwi i szarpać za gałkę.

– Otwórz mi! – zawołała. – Chcę wejść.

Odpowiedziałem:

– Musisz chwilę poczekać. Już kończę.

– Wpuść mnie zaraz – krzyknęła. – Ty wcale nie używasz klozetu!

– Poczekaj – odpowiedziałem i napisałem jeszcze z jedną czy dwie linijki. Teraz już Maisie kopała w drzwi.

– Dostałam miesiączki i muszę sobie coś wziąć!

Zignorowałem jej wrzaski i dokończyłem to, co pisałem, a co wydawało mi się szczególnie ważne. Gdybym to zostawił na później, umknęłyby mi pewne detale. Ponieważ przestałem słyszeć Maisie, uznałem, że jest w sypialni. Ale kiedy otworzyłem drzwi stwierdziłem, że stoi dokładnie na mojej drodze z butem w ręce. Z całej siły wyrżnęła mnie obcasem w głowę, tak że ledwie zdołałem zrobić lekki unik. Obcas trafił mnie w czubek ucha i rozciął je paskudnie.

– Masz – powiedziała omijając mnie i wchodząc do łazienki. – Teraz krwawimy oboje. – I zatrzasnęła za sobą drzwi. Podniosłem pantofel i trzymając chusteczkę przy uchu stałem cicho i cierpliwie pod drzwiami. Maisie siedziała w łazience z dziesięć minut, a kiedy wyszła, trafiłem ją dokładnie w sam czubek głowy. Nie zostawiłem jej czasu na żaden ruch. Stała przez chwilę bardzo spokojnie patrząc mi prosto w oczy.

– Ty padalcu – wydyszała i poszła do kuchni opatrzyć sobie głowę.

Wczoraj podczas kolacji oświadczyła, że człowiek zamknięty w celi tylko z kartami do taroka miałby praktycznie klucz do wszystkiego. Stawiała sobie karty po południu i do tej pory leżały porozkładane na podłodze.

– Czy mógł wyczytać z kart plan ulic Valparaiso? – zapytałem.

– Jesteś głupi – odparła.

– Czy karty mogłyby mu powiedzieć, jak najlepiej założyć pralnię, jak zrobić automat do smażenia omletów i cynaderek?

– Jesteś strasznie ograniczony – stwierdziła Maisie. – Masz bardzo wąskie horyzonty i zawsze wiadomo, co powiesz.

– A czy mógłby – nalegałem – powiedzieć mi, kim był M. albo dlaczego...

– Te sprawy się nie liczą – krzyknęła. – Nie są ważne.

– Ale to też wiedza. Czy mógłby to ujawnić?

Zawahała się.

– Owszem, mógłby.

Uśmiechnąłem się i nic nie powiedziałem.

– Ciekawe, co w tym śmiesznego? – Wzruszyła ramionami, zaczynała być zła. Chciała, żeby jej wykazać, że nie ma racji. – Po co zadajesz te wszytkie bezsensowne pytania?

Znów wzruszyła ramionami.

– Chciałem się przekonać, czy rzeczywiście masz na myśli w s z y s t k o.

Maisie bębniąc palcami po stole wrzasnęła:

– Pocałuj mnie w dupę! Dlaczego zawsze się tak ze mną drażnisz?! Dlaczego nie powiesz czegoś sensownego? – W tym momencie zrozumieliśmy, że osiągnęliśmy punkt, do którego zmierzały wszystkie nasze rozmowy i zapanowało pełne goryczy milczenie.

Nie posunę się w pracy nad dziennikami, dopóki nie wyjaśnię tajemnicy otaczającej M. Po piętnastu latach przychodzenia na kolację i dostarczania mojemu pradziadkowi bogatego materiału do jego teorii, M. po prostu znika z kart diariusza. We wtorek szóstego grudnia mój pradziadek zaprosił go na sobotnią kolację i mimo że M. przyszedł, pradziadek w tym dniu zapisuje po prostu: „M. na kolacji". W inne dni ich rozmowy podczas tych posiłków są potraktowane bardzo obszernie. M. był na kolacji w poniedziałek piątego grudnia i rozmowa dotyczyła geometrii; wszystkie zapiski z owego tygodnia dotyczą tego samego tematu. Nie ma najmniejszego śladu jakiegokolwiek antagonizmu między panami. Poza tym M. był mojemu pradziadkowi p o t r z e b n y. M. dostarczał mu materiału, M. był dobrze poinformowany, znał Londyn i wiele razy był na kontynencie. Wiedział wszystko o socjalizmie i Darwinie i miał znajomego w ruchu na rzecz wolnej miłości, przyjaciela Jamesa Hintona. M. był człowiekiem światowym w sensie, w jakim mój pradziadek, który tylko raz w życiu opuścił Melton Mowbary, żeby pojechać do Nottingham, nie był. Nawet w młodości pradziadek wolał teoretyzować przy kominku; nie potrzebował niczego więcej poza historiami, których mu dostarczał M. Na przykład pewnego wieczoru w czerwcu 1884 roku M., który właśnie przyjechał z Londynu, zdał mojemu pradziadkowi sprawę z tego, jak ulice w stolicy są zapaskudzone i zawalone końskim łajnem. W tym samym tygodniu pradziadek przeczytał esej Malthusa „Prawo ludności". Również z tego wieczoru datuje się pełen podniecenia zapis w dzienniku na temat broszury, którą chciałby napisać i opublikować. Miała nosić tytuł „De Stercore Equorum" („O końskim łajnie"). Broszura nigdy nie została opublikowana, a najprawdopodobniej nawet napisana, ale poczynając od tego wieczoru przez dwa tygodnie pradziadek robił w dzienniku szczegółowe notatki. W „De Stercore Equorum" przyjmuje, że populacja końska rośnie w postępie geometrycznym i na podstawie szczegółowego planu ulic oblicza, że do roku 1935 stolica będzie nieprzejezdna. Przez „nieprzejezdna" pradziadek rozumie warstwę (sprasowaną) o przeciętnej grubości jednej stopy na każdej większej ulicy. Opisał też eksperymenty, jakich dokonywał przed swoimi stajniami w celu zbadania ściśliwości końskiego nawozu, co udało mu się przedstawić matematycznie. Była to oczywiście czysta teoria. Jego wyniki opierały się na założeniu, że przez najbliższe pięćdziesiąt lat nikt nie będzie tego łajna uprzątał. Jest wysoce prawdopodobne, że to właśnie M. wyperswadował mojemu pradziadkowi ten projekt.

Pewnego ranka, po długiej, ciemnej nocy koszmarów sennych Maisie, leżeliśmy w łóżku obok siebie i ja powiedziałem:

– O co ci właściwie chodzi, Maisie? Dlaczego nie wrócisz do pracy? Te twoje spacery, te analizy, przesiadywanie w domu, wylegiwanie się w łóżku przez całe ranki, tarok, te koszmarne sny... o co ci właściwie chodzi?

– Chodzi mi o to, żeby sobie wyprostować w głowie.

Mówiła to już nieraz przedtem.

– Twoja głowa, twój umysł – powiedziałem – to nie jest kuchnia hotelowa, z której możesz powyrzucać różne rzeczy w rodzaju starych puszek od konserw. Twój umysł bardziej niż miejsce przypomina rzekę, ruchomą i zmieniającą się cały czas.

– Nie zaczynaj tego wszystkiego od początku. Nie mam zamiaru prostować rzek, mam zamiar wyprostować sobie w głowie.

– Ale ty musisz coś r o b i ć – powiedziałem. – Nie możesz nie robić nic. Dlaczego nie wrócisz do pracy? Jak pracowałaś, nie miałaś koszmarnych snów. Nigdy nie byłaś taka nieszczęśliwa.

– Muszę się trzymać od tego wszystkiego z daleka – powiedziała. – Nic z tego nie rozumiem.

– Moda – odparłem. – To wszystko moda. Modne metafory, modne czytanie, modna choroba. Co ty wiesz o Jungu na przykład? Czytasz dwanaście stron na miesiąc.

– Przestań – prosiła. – Wiesz, że to do niczego nie prowadzi.

Ale ja nie przestałem.

– Nigdzie nie byłaś – ciągnąłem. – Nigdy nic jeszcze nie zrobiłaś. Jesteś miłą dziewczyną nawet bez dobrodziejstwa nieszczęśliwego dzieciństwa. Twój sentymentalny buddyzm, ten mistycyzm dla ubogich, twoje pseudochińskie metody leczenia, astrologia rodem z brukowców... nic z tego nie jest twoje własne, żadnej z tych rzeczy nie wypracowałaś sama. Wpadłaś w to wszystko. Brak ci oryginalności czy pasji, żeby wyczuwać cokolwiek innego poza swoim własnym nieszczęściem. Po co wypełniasz swoją wyobraźnię cudzymi banałami i narażasz się tylko na koszmarne sny? – Wstałem z łóżka, rozsunąłem zasłony i zacząłem się ubierać.

– Mówisz jak na seminarium z literatury – powiedziała Maisie. – Dlaczego mi jeszcze utrudniasz? – Zaczęła się rozczulać nad sobą, ale się opanowała. – Kiedy tak mówisz – podjęła – czuję się jak zmięty świstek papieru.

– A może właśnie uczestniczymy w seminarium z literatury – powiedziałem ponuro. Maisie usiadła w łóżku, zapatrzona w swoje kolana. Nagle zmieniła ton. Poklepała poduszkę i powiedziała łagodnie:

– Chodź. Chodź tu, usiądź koło mnie. Chcę cię dotknąć. Chcę, żebyś ty dotknął mnie... – Ale ja wzdychałem i byłem już w drodze do kuchni.

W kuchni zrobiłem sobie kawy, którą zabrałem do gabinetu. W ciągu źle przespanej nocy uświadomiłem sobie, że klucz do zniknięcia M. może być zawarty na stronach dotyczących geometrii. Do tej pory zawsze je opuszczałem, ponieważ nie interesuje mnie matematyka. W poniedziałek piątego grudnia 1898 roku M. i mój pradziadek dyskutowali *vescia piscis*, najwyraźniej przedmiot pierwszej tezy Euklidesa, która dała podstawy planom wielu budynków kultu religijnego w starożytności. Przeczytałem dokładnie przebieg rozmowy, usiłując jak mogłem najlepiej zrozumieć zawartą w niej geometrię. Następnie, przewróciwszy kartkę, znalazłem przydługą anegdotę, którą M. opowiedział jeszcze tego samego wieczoru po wniesieniu kawy i zapaleniu przez panów cygar. Dokładnie w chwili, kiedy zacząłem czytać, weszła Maisie.

– A ty? – zagadnęła, jakby w naszej wymianie zdań nie było godzinnej przerwy. – Ty masz tylko te swoje książki. Grzebiesz się w przeszłości, jak mucha w gównie.

Byłem oczywiście wściekły, ale uśmiechnąłem się i powiedziałem wesoło:

– Grzebię się? Być może, ale to przynajmniej jakiś ruch.

– Ty już do mnie nie mówisz – odparła Maisie – grasz mną jak w mechaniczne kręgle, na punkty.

– Witaj, Hamlecie – wygłosiłem i usiadłem w fotelu czekając cierpliwie, co ma mi jeszcze do powiedzenia. Ale ona nie odezwała się więcej. Wyszła zamykając za sobą cicho drzwi.

M. zaczął opowiadać mojemu pradziadkowi:

We wrześniu 1870 r. wpadły mi w ręce dokumenty, które nie tylko unieważniają wszystko, co zgodnie z naszą wiedzą stanowi podstawy stereometrii, ale także podważają kanony praw fizycznych i zmuszają człowieka do ponownego określenia swojego miejsca w naturalnym porządku rzeczy. Te dokumenty wydają się ważniejsze niż prace Marksa i Darwina razem wzięte. Zostały mi powierzone przez młodego amerykańskiego matematyka i są owocem pracy Dawida Huntera, również matematyka, i Szkota. Amerykanin nazywał się Goodman. Przez wiele lat korespondowałem z jego ojcem w związku z jego pracą na temat cyklicznej teorii menstruacji, która – o dziwo – jest dalej w naszym kraju dość powszechnie dyskredytowana. Młodego Goodmana spotkałem w Wiedniu, gdzie uczestniczył wraz z Hunterem i matematykami z kilkunastu krajów w międzynarodowej konferencji matematycznej. Goodman był blady i bardzo wzburzony i zamierzał wracać do Ameryki następnego dnia, mimo że konferencja jeszcze się nie skończyła. Powierzył te dokumenty mojej opiece i powiedział, żebym je oddał Dawidowi Hunterowi, jeśli go kiedykolwiek znajdę. A następnie, po wielkich perswazjach i naleganiu z mojej strony, powiedział mi, czego był świadkiem trzeciego dnia konferencji. Spotkania zaczynały się codziennie o wpół do dziesiątej wygłoszeniem jakiegoś referatu i dyskusją. O jedenastej wnoszono napoje i wtedy wielu spośród matematyków zebranych wokół stołu politurowanego na wysoki połysk wstawało



Marzena Kawalerowicz

i przechadzając się po obszernej, eleganckiej sali ucinało z kolegami pogawędki. Konferencja miała trwać dwa tygodnie i zgodnie z dawno ustalonym programem wszyscy najwybitniejsi matematycy mieli przeczytać swoje referaty jako pierwsi, po nich nieco mniej wybitni i tak dalej, według hierarchii, co wywołało, jak to bywa w środowiskach ludzi wysoce inteligentnych, przypadkowe, ale silne zawiści. Hunter, chociaż zdolny matematyk, jako młody był praktycznie nie znany poza swoim uniwersytetem macierzystym, czyli edynburskim. Zgłosił na konferencję pracę, którą uważał za bardzo ważną w dziedzinie stereometrii, a ponieważ w tym panteonie zajmował miejsce dość poślednie, wyznaczono mu na wystąpienie przedostatni dzień trwania konferencji, kiedy to już wielu luminarzy zdążyłoby wrócić do swoich krajów. Tak więc trzeciego dnia rano, kiedy służba wniosła napoje, Hunter zerwał się nagle z miejsca i zwrócił się do kolegów w momencie, kiedy zaczęli wstawać z krzeseł. Był to duży mężczyzna z kudłatą czupryną i mimo wieku odznaczał się autorytetem, który sprawiał, że szmery rozmów ucichły.

– Panowie – rzekł – wybaczcie mi, proszę, tę niewłaściwą formę wystąpienia, ale mam do poruszenia sprawę najwyższej wagi. Otóż odkryłem płaszczyznę bez powierzchni. – Pośród ironicznych uśmieszków i rozbawienia zebranych Hunter wziął ze stołu dużą białą kartkę papieru. Scyzorykiem zrobił w niej nacięcie długości jakichś trzech cali, nieco w bok od środka. Potem szybko, w bardzo skomplikowany sposób poskładał kartkę i trzymając ją wysoko, tak żeby wszyscy mogli to zobaczyć, przeciągnął jeden róg przez nacięcie, w wyniku czego kartka zniknęła. – Popatrzcie panowie – powiedział Hunter, demonstrując zgromadzonym puste ręce – oto płaszczyzna bez powierzchni.

Maisie weszła do mojego pokoju, umyta już i pachnąca mydłem toaletowym. Stanęła za moim krzesłem i położyła mi ręce na ramionach.

– Co czytasz? – spytała.

– Fragmenty dziennika, których do tej pory nie czytałem. – Zaczęła mi delikatnie masować kark. Podziałałoby to na mnie kojąco, gdyby to był pierwszy rok naszego małżeństwa. Ale był to rok szósty, więc jej zabiegi wywołały we mnie rodzaj napięcia, które odczuwałem wzdłuż krzyża. Maisie czegoś chciała. Żeby ją powstrzymać, położyłem prawą dłoń na jej lewej ręce, a ona biorąc to za pieszczotę, pochyliła się i pocałowała mnie w okolice ucha. Jej oddech pachniał pastą do zębów i grzanką. Pociągnęła mnie za ramię.

– Chodźmy do sypialni – wyszeptała. – Nie kochaliśmy się już ze dwa tygodnie.

– Wiem – powiedziałem. – Wiesz, jak to jest... z tą moją pracą. – Nie pragnąłem ani Maisie, ani żadnej innej kobiety. Chciałem jedynie móc przewrócić następną kartkę dziennika mojego dziadka. Maisie zdjęła ręce z moich ramion i stanęła koło mnie. W jej milczeniu była taka nagła zaciekłość, że poczułem napięcie jak sprinter na starcie. Sięgnęła ręką po zamknięty szczelnie słój z kapitanem Nichollsem. Kiedy go podniosła, penis kapitana leniwie podryfował z jednej strony słoja w drugą.

– Jesteś taki cholernie zadowolony z siebie! – wrzasnęła, a zaraz potem cisnęła słojem o ścianę przed moim stołem. Instynktownie zasłoniłem twarz z obawy przed odpryskami szkła. Kiedy otworzyłem oczy, usłyszałem swój głos:

– Dlaczego to zrobiłaś? To należało do mojego pradziadka. – Wśród potłuczonego szkła i coraz intensywniejszego odoru formaliny leżał kapitan Nicholls, wylany na skórzaną oprawę dziennika mojego pradziadka, szary, wiotki, złowrogi, z cennej ciekawostki przemieniony w ohydne świństwo.

– To było obrzydliwe z twojej strony. Dlaczego to zrobiłaś? – powtórzyłem.

– Idę się przejść – odpowiedziała Maisie i strzeliła drzwiami, tym razem już wychodząc z pokoju.

Długo nie ruszałem się z miejsca. Maisie zniszczyła coś, co przedstawiało dla mnie wielką wartość. Kapitan Nicholls stał w gabinecie pradziadka za jego życia, a potem stał w moim, łącząc w ten sposób moje życie z jego życiem. Zebrałem z kolan kilka odłamków szkła gapiąc się na stusześćdziesięcioletni kawałek innej ludzkiej istoty leżący na moim stole. Ciekawe, jak długo istniałby w tym szklanym słoju. Zacząłem sprzątać bałagan. Przyniosłem z kuchni kubeł na śmieci. Zmiotłem i pozbierałem wszystkie odłamki szkła, jakie zdołałem znaleźć i wytarłem formalinę. A następnie ująwszy kapitana Nichollsa za jeden koniec usiłowałem przełożyć go na gazetę. Żołądek podjeżdżał mi do gardła, kiedy napletek zaczął mi się usuwać pod palcami. Wreszcie zamknąłem oczy i zawinąwszy go starannie w gazetę zaniosłem do ogrodu i pochowałem pod geranium. Przez cały czas usiłowałem pohamować wzbierającą we mnie urazę do Maisie. Chciałem wrócić do przerwanej lektury. Zasiadłem w fotelu, wytarłem pozostałe kilka kropel formaliny, które rozmazały atrament i zabrałem się do czytania.

Na minutę sala zamarła i wydawało się, że z każdą sekundą zamiera coraz bardziej. Pierwszy odezwał się dr Stanley Rose z Uniwersytetu w Cambridge, który miał wiele do stracenia z powodu płaszczyzny bez powierzchni Huntera. Swoją pozycję, istotnie bardzo znaczną, opierał na opublikowanych przez siebie „Zasadach stereometrii".

– Jak pan śmie. Jak pan śmie obrażać to czcigodne zgromadzenie bezwartościową sztuczką kuglarza. – I czując poparcie w podnoszącym się szumie dodał: – Powinien się pan wstydzić, młody człowieku, naprawdę wstydzić. – Po tych słowach sala wybuchła jak wulkan. Z wyjątkiem młodego Goodmana i służby, która w dalszym ciągu stała z napojami, wszyscy obrócili się przeciwko Hunterowi atakując go bezsensownym oskarżycielskim bełkotem, stekiem inwektyw i gróźb. Niektórzy z wściekłością walili w stół, inni wymachiwali zaciśniętymi pięściami. Jeden bardzo wątły dżentelmen z Niemiec padł rażony apopleksją i trzeba go było sadzać na krześle. A pośród tego wszystkiego stał Hunter, silny i przynajmniej na pozór niewzruszony, z głową nieznacznie przechyloną na bok, palcami lekko oparty o długi politurowany stół. Fakt, że głupia sztuczka kuglarza mogła wywołać tyle szumu, wyraźnie świadczył o rozmiarach ukrytego niepokoju i Hunter doceniał to z pewnością. Uciszając raz jeszcze zebranych podniesioną ręką powiedział:

– Panowie, wasze zainteresowanie jest zrozumiałe, dlatego przedstawię kolejny dowód, tym razem ostateczny. – To powiedziawszy usiadł i zdjął buty, a następnie wstał i zdjął marynarkę, po czym spytał, czy ktoś mu pomoże na ochotnika, na co wystąpił młody Goodman. Hunter przedostał się przez tłum do sofy, która stała pod jedną ze ścian, i sadowiąc się na niej powiedział otumanionemu Goodmanowi, żeby wracając do Anglii zabrał jego pracę i zatrzymał, dopóki on się po nią nie zgłosi. Kiedy matematycy zgromadzili się wokół sofy, Hunter przewrócił się na brzuch i wygiął ręce do tyłu przyjmując dziwną pozę i robiąc z ramion coś w rodzaju pętli. Następnie poprosił Goodmana, żeby mu w tej pozycji przytrzymał ręce, i przewrócił się na bok wykonując całą serię energicznych, szarpanych ruchów, w wyniku których udało mu się przełożyć przez tę pętlę jedną ze stóp. Wtedy poprosił swego pomocnika, żeby go przewrócił na drugi bok, po czym, wykonując podobne ruchy jak poprzednio, przełożył drugą stopę. Jednocześnie w taki sposób wygiął cały tułów, że i głowa przeszła mu przez tę pętlę – tyle że w kierunku przeciwnym. Z pomocą asystenta Hunter zaczął przewlekać nogi i głowę przez pętlę. To właśnie wtedy szacowne zgromadzenie wydało z siebie, jak jeden mąż, skowyt niedowierzania. Hunter zaczął znikać i kiedy jego nogi i głowa przechodziły pomiędzy ramionami z coraz większą łatwością, wydawało się, że go wsysa jakaś niewidzialna siła... Już go prawie nie było. Wreszcie... zniknął... zniknął całkowicie, nic z niego nie zostało.

Opowieść M. rozpaliła wyobraźnię mojego pradziadka do białości. Tego dnia zapisał w dzienniku, jak to usiłował wpłynąć na swego gościa, „żeby natychmiast posłał po tę pracę", mimo że była druga nad ranem. M. jednak zapatrywał się na sprawę znacznie bardziej sceptycznie. „Amerykanie", powiedział, „lubują się w takich fantastycznych historiach". Ale zgodził się przynieść pracę nazajutrz. Jak się okazało, M. tego dnia nie był u pradziadka na kolacji, umówił się z kimś innym, ale zjawił się późnym popołudniem z opracowaniem Huntera. Przed wyjściem powiedział pradziadkowi, że czytał je wiele razy i że nie widzi w nim żadnego sensu. Nie zdawał sobie wtedy jeszcze sprawy z tego, jak bardzo nie docenia mojego pradziadka jako matematyka-amatora. Siedząc przed kominkiem w salonie, z kieliszkiem sherry, dwaj panowie umówili się na kolację w sobotę. W ciągu najbliższych trzech dni pradziadek przerywał sobie lekturę pracy Huntera zaledwie po to, żeby coś zjeść i się przespać. W tym czasie w jego dzienniku nie ma dosłownie nic innego. Całe strony są pokryte bazgrołami, diagramami i symbolami. Wyglądało na

Ian McEWAN

Urodził się w roku 1948. Jego debiutancki tom opowiadań **„First Love, Last Rites"** (Pierwsza miłość, ostatnie posługi) z roku 1975 został uznany za najważniejszy debiut prozatorski dziesięciolecia. McEwan znalazł się też na liście 20 najwybitniejszych młodych pisarzy brytyjskich ogłoszonej przez Radę Sztuki. W swoich utworach często szokuje nagromadzeniem rzeczy odrażających, badając człowieczeństwo na jego najniższym poziomie. Sam pisze: *„W moich opowiadaniach zło występuje w dużym stężeniu i przejaskrawionych formach po to jedynie, żeby umożliwić zauważenie rzeczywistego dobra".*

L.J.

to, że Hunter wynalazł zupełnie nowy system znaków, dosłownie nowy język, na wyrażenie swoich pomysłów.

Pod koniec drugiego dnia pradziadek dokonał swego pierwszego przełomu. U dołu strony, zapełnionej matematycznymi bazgrołami, napisał: „Pojęcie wymiarów to funkcja świadomości". W zapiskach z następnego dnia przeczytałem: „Zniknęło mi w rękach". Pradziadek na nowo odkrył płaszczyznę bez powierzchni. Miałem przed sobą jak na dłoni szczegółową instrukcję, krok po kroku, jak poskładać arkusz papieru. Kiedy przewróciłem następną kartkę, nagle zrozumiałem tajemnicę zniknięcia M. Niewątpliwie zachęcony przez mojego pradziadka, wziął tamtego wieczoru udział w eksperymencie naukowym, prawdopodobnie z bardzo sceptycznym nastawieniem. W tym miejscu bowiem mój pradziadek wykonał całą serię szkiców przedstawiających coś, co na pierwszy rzut oka robiło wrażenie pozycji yogi. Z pewnością była to odpowiedź na zagadkę tajemniczego zniknięcia M.

Ręce mi drżały, kiedy robiłem miejsce na biurku. Wybrałem czysty arkusz papieru maszynowego i rozłożyłem go przed sobą. Z łazienki przyniosłem brzytwę. Następnie, grzebiąc w szufladzie, znalazłem stary cyrkiel, zaostrzyłem ołówek i osadziłem w nim. Przewróciłem dom do góry nogami w poszukiwaniu bardzo dokładnej stalowej linijki, która mi kiedyś służyła do dopasowywania ram okiennych, i byłem gotów. Przede wszystkim należało przyciąć papier do odpowiednich wymiarów. Arkusz, który Hunter tak niedbale wziął ze stołu, musiał być starannie przedtem przygotowany. Za pomocą cyrkla wyznaczyłem środek arkusza i poprowadziłem przez niego linię równoległą do jednego z boków, którą pociągnąłem aż do krawędzi. Potem musiałem zbudować prostokąt o wymiarach pozostających w związku z bokami arkusza papieru. Środek tego prostokąta wypadł na linii w taki sposób, że ją podzielił według złotego środka. Z wierzchołka prostokąta poprowadziłem krzyżujące się łuki, znów o określonych, proporcjonalnych promieniach. To samo powtórzyłem w dolnej części prostokąta i kiedy połączyłem dwa punkty przecięcia, uzyskałem linię, wzdłuż której należało naciąć kartkę. Potem przystąpiłem do wyznaczania linii, wzdłuż których miałem ją poskładać. Każda z nich wyrażała swoją długością, stopniem nachylenia i punktem przecięcia z innymi liniami jakąś tajemniczą wewnętrzną harmonię liczb. Kiedy już podzieliłem łuki, poprowadziłem linie i poskładałem kartkę, poczułem, że na ślepo posługuję się najwyższą, najbardziej przerażającą formą wiedzy, matematyką absolutu.

W chwili, kiedy złożyłem kartkę po raz ostatni, przybrała ona kształt geometrycznego kwiatu, z trzema koncentrycznymi pierścieniami wokół nacięcia w środku. Był w tym układzie jakiś dziwny spokój i taka doskonałość, coś tak odległego, a zarazem zniewalającego, że w miarę jak na niego patrzyłem, zapadałem w lekki trans, a mój umysł stawał się jasny, bierny. Potrząsnąłem głową i odwróciłem wzrok. Nadszedł czas, żeby wywinąć kwiat i przeciągnąć go przez nacięcie. Była to operacja bardzo delikatna i stwierdziłem, że znów drżą mi ręce. Uspokajałem się jedynie patrząc w sam środek figury. Zacząłem kciukami zbliżać brzegi papierowego kwiatu do środka i podczas tej czynności czułem dziwne odrętwienie u nasady czaszki. Popchnąłem jeszcze trochę, papier na moment błysnął jaśniejszą bielą i wtedy wydało mi się, że znika. Mówię „wydało mi się", ponieważ w pierwszej chwili nie byłem pewien, czy czuję go jeszcze w rękach, a nie widzę, czy widzę, a nie czuję, czy też może wyczuwam, że znika, podczas kiedy jego zewnętrzne właściwości pozostają. Odrętwienie ogarnęło mi całą głowę i ramiona. Moje zmysły były zbyt niedoskonałe, żeby ogarnąć to, co się działo. „Pojęcie wymiarów to funkcja świadomości" – pomyślałem. Złożyłem ręce i stwierdziłem, że nic w nich nie mam, ale nawet kiedy je znów otworzyłem i nie zobaczyłem nic, to i tak nie byłem pewien, że kwiat zniknął całkowicie. Zostało wzrokowe wrażenie, nie na siatkówce jednak, ale w samej świadomości. Dokładnie w tej chwili otworzyły się za mną drzwi i Maisie powiedziała:

– Co ty robisz?

Powróciłem, jak gdyby ze snu, do pokoju i do lekkiego zapachu formaliny. Akt zniszczenia kapitana Nichollsa miał miejsce dawno, dawno temu, ale zapach ożywił moje rozżalenie, które ogarnęło mnie jak drętwota. Maisie stała oparta w drzwiach, opatulona w gruby płaszcz i wełniany szal. Wydawała się bardzo odległa i kiedy na nią patrzyłem, mój żal przeszedł w zwykłe małżeńskie znudzenie. Pomyślałem: dlaczego ona rozbiła ten słój? Bo chciała się ze mną kochać? Bo chciała tego penisa? Bo była zazdrosna o moją pracę i próbowała zniszczyć związek, jaki miała ona z życiem mojego pradziadka?

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytałem głośno, mimo woli. Maisie parsknęła. Otworzyła drzwi i zobaczyła mnie pochylonego i wpatrzonego we własne ręce.

– Przesiedziałeś tu całe popołudnie myśląc o t y m ? – zachichotała. – A co się z nim stało?

– Pochowałem go – odparłem. – Pod geranium.

Weszła nieco głębiej do pokoju i powiedziała poważnie:

– Przepraszam cię za to. Naprawdę bardzo cię przepraszam. Zrobiłam to, zanim zdążyłam pomyśleć. Przebaczysz mi? – Zawahałem się przez chwilę, a następnie, ponieważ moje znużenie zaowocowało nagłą decyzją, powiedziałem:

– Tak, naturalnie, że ci przebaczam. To był ostatecznie tylko kutas marynowany. – I oboje roześmieliśmy się. Maisie podeszła i mnie pocałowała, a ja odwzajemniłem ten pocałunek, rozchylając jej usta językiem.

– Nie jesteś głodny? – spytała, kiedy skończyliśmy już z całowaniem. – Może bym zrobiła jakąś kolację?

– Aha – powiedziałem. – Byłoby cudownie. – Maisie pocałowała mnie w czubek głowy i wyszła z pokoju, a ja wróciłem do moich studiów obiecując sobie, że dziś wieczór postaram się być dla niej jak najmilszy.

Później siedzieliśmy w kuchni jedząc posiłek, który ugotowała Maisie i upijając się powoli butelką wina. Wypaliliśmy też skręta, pierwszego razem od dłuższego czasu. Maisie mówiła, jak to zamierza w lecie przyszłego roku podjąć pracę w Komisji Zalesiania przy sadzeniu drzew w Szkocji. Ja z kolei opowiedziałem jej o rozmowie pradziadka z M. na temat stosunku od tyłu i że według teorii pradziadka podstawowa liczba pozycji nie przekracza siedemnastu. Śmieliśmy się oboje i Maisie ścisnęła mnie za rękę, a w ciepłym zaduchu kuchennym kochanie dosłownie wisiało między nami w powietrzu. A potem włożyliśmy płaszcze i poszliśmy na spacer. Była prawie pełnia. Szliśmy główną ulicą, która biegnie koło naszego domu, a potem skręciliśmy w wąską uliczkę, gdzie stał dosłownie dom przy domu z maleńkimi wypieszczonymi ogródkami. Nie rozmawialiśmy wiele, ale nasze ręce były złączone i Maisie mówiła mi, jak bardzo jest zapruta i szczęśliwa. Doszliśmy do niewielkiego parku, który był zamknięty, więc staliśmy przed bramą patrząc na księżyc przez prawie bezlistne gałęzie.

Po powrocie do domu Maisie wzięła rozkosznie ciepłą kąpiel, a ja poszedłem do gabinetu, żeby posprawdzać jakieś szczegóły. Nasza sypialnia jest ciepłym, wygodnym pokojem, na swój sposób luksusowym. Łóżko na wymiary siedem na osiem stóp i zrobiłem je sam w pierwszym roku naszego małżeństwa. Maisie uszyła bieliznę pościelową, ufarbowała ją na głęboki, intensywny błękit, a poszewki na poduszki wyhaftowała. Jedyne oświetlenie pokoju stanowiła lampa ze starym abażurem z prymitywnie wyprawionej koziej skóry. Maisie kupiła go od jakiegoś domokrążcy. Dużo czasu upłynęło, odkąd się interesowałem sypialnią. Leżeliśmy obok siebie w plątaninie prześcieradeł i koców – Maisie zmysłowa i rozmarzona po swojej kąpieli, ja wsparty na łokciu. Maisie powiedziała sennie:

– Po południu szłam nad rzeką. Drzewa są teraz piękne, dęby, wiązy... jakieś dwie mile ze mostkiem rosną dwa czerwone buki, powinieneś je teraz obejrzeć... aaach, jak dobrze. – Przewróciłem ją na brzuch i głaskałem po plecach. – Są jeżyny – mówiła – największe, jakie w życiu widziałam, rosną wzdłuż ścieżki, i dziki bez. Zrobić jesienią trochę wina... – Pochyliłem się nad nią, pocałowałem ją w kark i wykręciłem jej ręce do tyłu. Lubiła, żeby się nią tak bawić i poddała się temu z rozkoszą. – A rzeka jest naprawdę spokojna – mówiła. – Wiesz, drzewa się w niej odbijają i liście spadają do wody. Przed zimą musimy się razem wybrać nad rzekę i iść tak w liściach. Znalazłam takie fajne miejsce. Nikt tam nie chodzi... – Trzymając jedną ręką ramiona Maisie złączone, drugą przybliżałem jej nogi ku tej pętli... – Siedziałam tam z pół godziny bez ruchu, jak drzewo. Widziałam szczura wodnego, jak biegł na przeciwległym brzegu, i różne rodzaje kaczek, które lądowały i zrywały się do lotu na rzece. Słyszałam pluski, ale nie wiedziałam, skąd one pochodzą, a potem zobaczyłam dwa pomarańczowe motyle, prawie mi usiadły na ręce. – Kiedy już przełożyłem jej nogi, Maisie powiedziała: – Pozycja numer osiemnaście. – Roześmieliśmy się cicho oboje. – Chodź, pójdziemy tam jutro, nad rzekę – powiedziała, kiedy delikatnie zbliżałem jej głowę do pętli z ramion. – No, ostrożnie, to boli – krzyknęła nagle, próbując mi się wyrwać. Ale było za późno. Głowę i nogi miała już w pętli i już je zacząłem przepychać. – Co ty wyprawiasz? – wrzasnęła. Teraz jej pozycja wyrażała niewiarygodne piękno, szlachetność ludzkiej formy i – tak jak w papierowym kwiecie – fascynującą siłę symetrii. Znów wpadłem w trans, czując narastającą drętwotę z tyłu głowy. Kiedy już przeciągnąłem jej ręce i nogi, Maisie przypominała wywróconą skarpetkę. – O Boże – westchnęła. – Co ty wyprawiasz? – Jej głos doszedł mnie jakby z daleka. A potem zniknęła... nie, nie zniknęła. Mówiła teraz bardzo cichutko. – Co ty wyprawiasz? – Było to już tylko echo jej pytania nad ciemnoniebieską pościelą.

Przełożyła **Zofia Uhrynowska-Hanasz**

Jan Wojewódzki

DZIEDZICTWO

ELI

Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki"

I

W Dziecińcu byłem zawsze. Swoje najbliższe otoczenie znałem doskonale. Widywałem prawie stale tych samych ludzi. Byli to przeważnie rówieśnicy, ale zdarzali się także młodsi. Nie wiem skąd przychodzili i dokąd odchodzili. Gdy powracali nie pytałem ich o to. Cieszyłem się, że są. Bałem się, że pytaniami mogę zrazić ich do siebie. Chciałem, aby kiedyś, powiedzmy, w przypływie dobrego nastroju, a może rozgoryczenia, czy nawet załamania, powiedzieli mi o tym sami. Zauważyłem jedynie, że nieregularnie, co jakiś czas opadało ku nam śpiące, skąpane w dziwnie zielonej poświacie, ciało dziecka. Opadało wewnątrz przezroczystej rury, leżąc na plecach, na czymś półprzezroczystym, nieco bardziej zielonym niż owa poświata. Ruch ten wydawał się niezmiernie wolny, jakby specjalnie zwolniony, aby można było lepiej przyjrzeć się całości. Patrząc na to zawsze popadałem w odrętwienie. Jasny snop skierowanego z góry ostrego światła opierał się na ciele dziecka, a niknął w otworze sufitu, z którego opadała szklana rura. Czerń przestrzeni otaczającej rurę stanowiła wspaniałe uzupełnienie sceny. Uwaga nas patrzących musiała koncentrować się właśnie na ciele dziecka. Trwało to do momentu zetknięcia się ciała z podłogą.

Chociaż nie, niezupełnie. Już przy zbliżaniu się dziecka do podłogi, pomieszczenie stopniowo rozjaśniało się i bladł snop światła królujący dotąd niepodzielnie. Szklana rura stopniowo nikła. Po chwili na miękkiej podłodze zostawało tylko dziecko budzące się ze snu. Przezroczysta tafla odgradzająca obserwujących od reszty pomieszczenia rozpływała się, pozwalała wejść do wewnątrz. I od tej chwili było nas więcej. Jeszcze jeden człowiek bez wspomnień mogących przywołać obraz rodziców czy rodziny. Bez wspomnień i prawie całkowicie bez przyszłości.

Nic konkretnego nie było wiadomo, ale niektórzy z nas przysiegali, że z osiągnięciem pewnego wieku przejdziemy do innego sektora. Był on przeznaczony dla starszych. Co tam się znajdowało nikt nie potrafił powiedzieć. Dlatego między innymi, że cały Dzieciniec był zarządzany, obsługiwany i kontrolowany przez komputer ściśle przestrzegający pewnych zakazów. Dotyczyły one najczęściej możliwości zbliżania się do określonych śluz, a zwłaszcza do jednej.

Przy zbliżaniu się do niej narastało w człowieku uczucie osłabienia. Zdarzały się nawet przypadki omdleń. Najczęściej jednak ciekawość zwyciężała słabość fizyczną i z kolei zaczynało gwałtownie wzrastać w człowieku przekonanie o niecelowości jego poczynań. Wydawało mu się wtedy, że to co robi jest bez znaczenia, że zwyczajnie marnuje energię. Ludzie świadomi zachodzących zmian przekraczali i tę barierę. Następnej jednak niemal już nie pamiętali. Zmieniali się nagle przeobrażając się w dziwne dzikie bestie nie do opisania. Co ciekawe agresja ich była kierowana do wewnątrz, to znaczy na siebie. Gryźli ręce, bili i drapali się po twarzy i całym ciele. Trwało to do momentu, aż przypadkowo wydostali się do strefy pierwszej, gdzie natychmiast popadali w stan rezygnacji. Wtedy wychodzili już stamtąd spokojni. Po powrocie opowiadali co czuli, ale nie potrafili tego wytłumaczyć. Wszyscy próbowali, ale skutek był zawsze taki sam. Było to dla nas tajemnicą i fizyczną, i intelektualną. Fizyczną, bo nie mogliśmy sprawdzić co jest za tak dobrze strzeżonym przejściem, a intelektualna sprowadzała się do pytania – czym kierowano się budując tak przemyślny system zabezpieczający, że niejako sam prowokujący do zgłębiania jego tajemnicy. Bardzo nas to intrygowało i nie pozwalało spokojnie zasnąć. Wejście do czegoś, co znajdowało się za śluzą mechaniczną było zawsze zamknięte i niedostępne. Nikt nie ucierpiał, próbując dostać się do śluzy, ale też nikt nie sforsował wszystkich barier psychicznych stawianych przez system zabezpieczający.

Pewnego razu najbliżej śluzy znalazł się Gull atakując ją z rozpędu. Niestety, w ostatniej chwili niewidzialna siła odrzuciła go zdecydowanie. Prawdopodobnie siłą tą była zapora wytwarzana przez pole z szybko zmieniającego się bieguna gravimetu. Gwarantowało to odpychanie wszelkich ciał materialnych, a także fal niezależnie od ich biegunowości. Niestety nigdy tego nie sprawdziliśmy.

Poza tym żyliśmy w Dziecińcu spokojnie i beztrosko. To znaczy poza tym i zajmującą nas bardzo „sprawą starszych". To co się działo ze starszymi stanowiło tajemnice, której w żaden sposób nie mogliśmy rozwikłać, a która dotyczyła bezpośrednio nas wszystkich. Nikomu nie było obojętne co stanie się z nim po przekroczeniu progu drzwi oznaczonych numerem czternastym.

Chociaż tak zwana biblioteka zawierała mnóstwo informacji o świecie zewnętrznym i o samym Dziecińcu to jednak niczego tam nie było o drzwiach nr 14, o drzwiach z polem siłowym, o nas samych, o naszej przeszłości ani o przyszłości. Wierząc bibliotece bez zastrzeżeń musielibyśmy uznać się za jedynych ludzi w całej Przestrzeni.

Jeżeli tak, to czym wytłumaczyć fakt pojawiania się niemowląt? Czyżby były wytwarzane sztucznie przez komputer? W takim razie za drzwiami nr 14 mieściłby się następny etap wtajemniczenia. Intrygowało nas to bardzo. Pogłębiało jednocześnie jeszcze bardziej zainteresowanie drzwiami z polem siłowym. Bo skoro wejście prowadziło przez nr 14, to czym były drzwi z zaporą i dlaczego zastosowano drzwi, a nie rozpływające się ściany?

Pewnej nocy zbudziło nas głośne przerywane brzęczenie. Zerwaliśmy się na nogi i nie wiedząc co robić czekaliśmy na zmianę sytuacji stojąc. Mniejsze dzieci przeczuwały coś złego, zaczęły krzyczeć i płakać. Wyczekiwanie trwało około minuty, po czym nastąpiła zmiana tonu ciągle pracujących brzęczyków oraz przygasanie i rozjaśnianie światła. Odważniejsi ruszyli się wtedy z miejsca próbując rozeznać się w sytuacji. Ktoś krzyknął „Cisza"! i w tym momencie dało się słyszeć niskie, basowe buczenie stopniowo narastające i paraliżujące wszystkich. Rzuciliśmy się na oślep próbując w ruchu znaleźć uspokojenie. Uczucie grozy wzrastało gwałtownie potęgując chaos i dezorientację.

Nagle brzęczyki umilkły. Zaległa cisza powodując nową konsternację. Wodziliśmy tylko oczami po oświetlonych ścianach. Nagle bez żadnego zewnętrznego symptomu zgasło na moment światło i gwałtownie uderzył w nas nowy akord ponurego buczenia. Ściany i całe otoczenie zafalowało gnąc się i wykręcając we wszystkich możliwych kierunkach. Rzuciliśmy się w panice na oślep, każdy z nadzieją uratowania siebie. Kątem oka w rozpływającej się przestrzeni zobaczyłem Gulla próbującego się przedostać przez bujające w powietrzu przedmioty ku śluzie z zaporą. Zauważyłem, że całe przejście jaśniało teraz seledynową poświatą, w którym nie było już żadnych drzwi. Seledyn pulsował nieznacznie przyciągając wzrok; ten wzrok nie mógł się oderwać od innych mniej przyjemnych obrazków. Ściany gnąc się i rozpływając zmieniały nieustannie kolory. Powietrze stało się mętne i gęste. Każdy ruch wymagał niezmiernego wysiłku i wyobraźni. Nawet swego ciała nie mogłem poznać. Palce u rąk to rozdwajały się, to znowu łączyły tworząc płaską powierzchnię znakomicie ułatwiającą poruszanie się w takim środowisku.

Poruszając się jak w mazi skierowałem się ku pulsującemu seledynowi – seledynowe przejście było jedynym miejscem dającym podświadomą nadzieję. Wszystko dookoła wyglądałoby nawet zabawnie, gdyby nie jęki i rozdzierające krzyki tych, którzy przypadkowo znaleźli się w części środkowej, gdzie zupełnie bezsensownie poczęły wyrastać nowe ściany. Łapani w ich stalowe wnętrze umierali w strasznych mękach. Po chwili bezruchu ściany rozwiewały się, a na falującą podłogę opadało uwolnione zniekształcone ciało. Wariactwo jakiemu oddawała się materia przybierało na sile. Powietrze w niektórych miejscach gęstniało do tego stopnia, że można je było uchwycić rękami, gdyż tworzyło prawie nieprzezroczyste bryły o nieregularnych kształtach. Odpychając się rękami i całym ciałem od gęstniejącego powietrza, przeciskałem się coraz bliżej śluzy. Gull z jakąś dziką pasją i zaciśniętymi zębami także podążał ku seledynowi.

W półmroku wypełnionym przeszywającym buczeniem pulsowanie gęstniejącej przestrzeni było jakby oddechem zbliżającej się śmierci. Dobrnąłem wreszcie do wejścia potykając się o

ciała tych, których zabiły kłopoty z oddychaniem. Przeszedłem przez seledynowy otwór, przez który moment wcześniej wciągając się rękami przeniknął Gull. Metr dalej cichła cała przestrzenna burza. Nadal jednak było słychać buczenie, ciągle zbierające swoje straszne żniwo. Postąpiłem krok dalej i poczułem jak z niezwykłą łatwością dźwiga mnie w powietrzu dziwna siła i błyskawicznie przesuwa w długim tunelu, na końcu którego ostre różowe światło rozświetla jakieś pomieszczenie. Wpadłem do środka, usłyszałem szczęk gwałtownie zamykanego przejścia, chłodne mrowie przeniknęło najgłębsze zakamarki mego ciała. Błyskawicznie ruszyłem dalej i znalazłem się w następnym pomieszczeniu. Było tam już kilka osób. Rozpoznałem Gulla, młodą dziewczynę oraz jeszcze kogoś, kogo nie znałem wcześniej. Usiadłem obok nich i nic nie mówiąc czekałem na dalszy ciąg.

Po kilku minutach wnętrze pomieszczenia rozbłysło na krótką chwilę i raptem znikło prezentując cały świat zewnętrzny. W pierwszej chwili przeraziłem się, że znaleźliśmy się bezbronni w Przestrzeni, ale nie czując żadnej zmiany na ciele pomyślałem, że to tylko zapewne statek stał się przepuszczalny dla promieni świetlnych. Ze wszystkich stron otaczała nas czerń gęsto upstrzona różnokolorowymi jasno świecącymi punktami. Nieznacznie z prawej strony jaśniał stopniowo gasnący obłok. Wpatrywaliśmy się w niego przez dobrą chwilę zanim stał się ledwo widoczną malutką poświatą.

– ...i tyle zostało z Dziecińca...

Zdrętwieliśmy na dźwięk tych słów wypowiedzianych wprost do naszych mózgów. Jedynie dziewczyna i nieznajomy zdawali się być spokojni. Spojrzeliśmy z Gullem na nich. Nie zwracając na nas uwagi nadal wpatrywali się w czerń Przestrzeni, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się jasna poświata. Poświata – jedyny ślad po tragedii setek ludzi, tych którym nie udało się dostać do statku. Dziewczyna i nieznajomy pochylili nisko głowy, cierpienie malowało się na ich twarzach. Spostrzegłem, że zamknęli oczy. Co odczuwali w tej chwili? Ból? Uczucie osamotnienia? Wstałem z fotela i podszedłem do nieznajomego. Położyłem mu rękę na ramieniu. Podniósł głowę i spojrzał mi w oczy przez łzy.

– Tam zginęli nie tylko twoi przyjaciele – rzekłem. To co powiem będzie brutalne, ale powinieneś to usłyszeć. Oni przeminęli... To było straszne, nic na to nie poradzimy. Możemy się tylko pogodzić z tym. Pogodzić i próbować zapomnieć. Ze świadomością tego co się stało nie zdołamy normalnie żyć.

Nieznajomy ponownie spuścił głowę. Cofnąłem rękę i robiąc kilka kroków tam i z powrotem pewniej już kontynuowałem:

– Ślepy traf czy przeznaczenie – nieważne, sprawiło, że przeżyliśmy tylko my. W całej Przestrzeni nie znajdziesz innej żywej istoty. Kogoś kto mógłby ci pomóc.

– W pewnym sensie TAK.

Zaskoczony nie wiedziałem przez chwilę co powiedzieć.

– Co masz na myśli?

– Nic poza tym, że masz rację... W pewnym sensie.

– Jaśniej!

Nieznajomy nieco ożywiony spojrzał ponownie na mnie i po chwili zastanowienia odparł:

– Z tego co mówisz wynika, że nie jesteś z mego sektora. Powiem więcej, jesteś z sektora przejściowego.

– Co to znaczy „mego sektora"?

– Nie denerwuj się, mój mały. Teraz ty musisz się pogodzić z czymś nowym i nieznanym. Otóż jesteś z pewnością z sektora dla młodszych i wielu rzeczy nie wiesz.

Iskra przeszyła mój mózg. Więc to musi być ktoś ze starszych spoza zakazanego przejścia numer czternaście. Ona pewnie też przyszła stamtąd. Pamięć mam dobrą, ale przypominałem sobie jej twarz bardzo mglisto, jakby podświadomie.

Milcząc patrzyłem na niego jak na przybysza z innej planety. Gorzej nawet – jak kogoś niematerialnego, jak ducha, jak wysłannika, który w tak przemyślny sposób przybył mnie uświadomić. Mnie – ciemnego.

– Z pewnością – przytaknąłem mimo woli.

– Dobrze, że chociaż z tego zdajesz sobie sprawę.

Urażony słowami, w których nieznajomy sugerował moją niewrażliwość na cudze nieszczęście, niemożność przeżycia mocnych, a zarazem subtelnych odczuć, jak te związane ze śmiercią bliskich, a może najbliższych, usiadłem na swoim poprzednim miejscu.

– Powinieneś wiedzieć, że ja i Sue jesteśmy z sektora dla starszych. Pamiętasz chyba zakazane dla was drzwi numer czternaście. – Pamiętałem doskonale. – Ja także kiedyś byłem ciekaw co za nimi jest. Dzisiaj wiem. Wiem, ale nie czuję się przez to uspokojony.

Droczył się ze mną, ale mu nie przerywałem. Usiadłem na swoim miejscu, skinieniem głowy nakazałem milczenie Gullowi. Pozwoliliśmy nieznajomemu mówić dalej.

– W dniu, w którym ukończyłem czternasty rok życia jakiś impuls pchnął mnie w kierunku drzwi numer czternaście. Tego dnia, o dziwo, otworzyły się przede mną. Wszedłem do długiego korytarza pokrytego białymi prostokątami. Podszedłem do pierwszego prostokąta i jego wnętrze rozpłynęło się w powietrzu. Wszedłem do środka, gdzie zastałem Sue i jeszcze kogoś, kogo wcześniej nie znałem. Od tej pory nasza trójka nie rozstawała się ani na moment. Najpierw byliśmy uczeni przez Centrum Programowe ogólnej budowy świata. Później przeszliśmy na treningi psychofizyczne oraz poznawaliśmy zagadnienia lotów przestrzennych. Uczyliśmy się szybko, niemniej program był tak ułożony, abyśmy nie mieli zbyt wiele czasu dla siebie. Zresztą już od samego początku mówiono, że nie ma chwili do stracenia i trzeba się spieszyć. Widzicie, Dzieciniec był położony w Przestrzeni w takim miejscu, które gwarantowało niedostępność, praktycznie z każdej strony. Znajdowaliśmy się wewnątrz gigantycznego bąbla utworzonego z sił znoszących się w tym miejscu. Odkrycie tego obszaru kosztowało ludzkość wiele ofiar. Przestrzeń dookoła wizualnie nie różniła się od innej, w rzeczywistości kipiała i gotowała się. Burze magnetyczne, gigantyczne wyładowania promieniowań różnej częstotliwości, zakrzywienia przestrzeni zmieniające się w każdej minucie – to tylko część cech charakterystycznych tego obszaru. Istne piekło, jak powiedzieliby starożytni.

– „Piekło"? „Starożytni"? – wtrącił Gull.

Nieznajomy zreflektował się nagle i badawczo na nas spojrzał.

– Nie znacie tych wyrazów?

– Nie. To znaczy są niejasne.

– Sue powiedz im co one oznaczają.

– Nie jestem pewna Steve, ale chyba w Dziecińcu nie mówiono nam nic o tym

Zaległa cisza. Steve zamyślony patrzył w podłogę niewidzącym wzrokiem.

– Dziwne... – powiedział po chwili. – Wydawało mi się, że wszystkim wiadomo co one oznaczają, a teraz sam nie jestem pewien. Ale wracajmy do wspomnień... Procesy zachodzące w Dziecińcu nie zostały do końca zbadane. Zauważono jednak stałe zmniejszanie się bąbla. Było to coś w rodzaju kurczenia się, a raczej ściskania go ze wszystkich stron. Jedyna droga prowadząca do bąbla także ulegała zwężeniu. Jednocześnie wzrastała aktywność przestrzeni otaczającej. W końcu stało się jasne, że długo to nie potrwa. Stabilność układu została zachwiana i w każdej chwili burze mogły przenieść się tak blisko, że mogły zagrozić istnieniu Dziecińca. Koniec Dziecińca znacie.

– Nie było żadnej ochrony?

– Była. Pole gravimetu chroniło Dzieciniec do ostatniego momentu, ale gdy stało się jasne, że siła jego jest za mała, aby całą konstrukcję uchronić przed zagładą, Centrum Programowe zdecydowało się chronić tylko prom ratunkowy i tunel doprowadzający. Nie bez powodu do promu prowadziły drzwi typu tradycyjnego. Tylko takie drzwi, z odpowiedniego materiału, mogły zapewnić sprawność działania w warunkach dezorganizacji i zniszczenia. Widzieliście sami co się działo z rozpływającymi się ścianami.

Steve przerwał pogrążając się na chwilę w odrętwieniu.

– Hank nie miał szczęścia. Nie zdążył nawet krzyknąć. Tworząca się w nieoczekiwanym miejscu ściana chwyciła go i niemal przepołowiła. Gdy znikła, ciało osunęło się bezwładnie, a w miejscu gdzie przechodziła, ciało było porozrywane jakby minieksplozjami. Wszystko było we krwi. Umarł natychmiast.

– Ja i Sue przedostaliśmy się do seledynowego przejścia na samym początku. Później przybyliście tylko wy. Automatyczny Start zamknął śluzę i w ostatnim momencie przelecieliśmy przez tunel. Wnioskując z obrazu jakim poczęstował nas Mózg Pokładowy, Dzieciniec eksplodował...

– Przypomina mi to dawne transplantacje. Robiło się przeszczep i albo organizm go przyjmował, albo odrzucał – wtrącił Gull.

– Transplantacje? – spytał Steve.

– Tak, nie słyszałeś o tym nigdy?

– Nie mówię, żę nigdy, ale nie wiem o co ci chodzi. Chociaż, to fakt, w Dziecińcu miałem uczucie, że jestem kimś innym niż CP mówiło.

– Czy myślicie, że Dzieciniec i te nasze dziwne przeczucia pozostają w związku? – spytałem. – A ta przestrzeń, czy to jakaś forma życia?

– Trochę to nieprawdopodobne, ale kto wie – odparł Steve.

– Może byliśmy skierowani tam, aby umrzeć niejako w wyniku selekcji. Albo nas pożre, albo nie.

ciąg dalszy na stronie 43

tworzą. To, co do nich mówisz, odwracają i kierują do ciebie ponownie w formie pytań, ale ty tego nie zauważasz. Sądzisz, że mówią ci coś, czego one wcale nie mówią.

– Katalizatory – powiedział Colman po krótkim namyśle. – Wiesz, gdy teraz o tym myślę, widzę że masz rację. One tylko zmuszają cię do ćwiczenia umysłu. I to wszystko.

– No to już wiesz – powiedziała Kath lekkim tonem. – Czy nie na tym polega właśnie uczenie dzieci?

*

„Dwa Księżyce" zajmowały jeden ze skrajów piwnic i parterów w ulokowanym w centrum miasta labiryncie budynków, stojącym naprzeciw końcowej stacji maglewu, od której dzielił je wąski i wysoko zabudowany plac. Nad nimi znajdowała się księgarnia, a jeszcze wyżej jednostka mieszkalna. Składały się z jednego dużego baru poniżej poziomu chodnika, gdzie prawie każdej nocy odbywały się występy estradowe, i dwóch mniejszych i zaciszniejszych wyżej. Kath zaproponowała jeden z małych i Colman wyraził zgodę, po raz pierwszy pozwalając sobie na myśl, że może z tego wyniknie przyjemna romantyczna przygoda; ale czemu właśnie on miałby mieć takie szczęście, to już przekroczyło granice jego zrozumienia. Gdyby jednak się zdarzyła, nie zamierzał się opierać.Oczywiście musieli już tam być Swyley, Stanislau, Driscoll i Carson. Nie było jak się wycofać; Swyley dostrzegł go, zanim Colman zdążył zauważyć cztery mundury w kącie.

– Świat jest mały, szefie – oświadczył Driscoll, rozkosznie mrużąc oczy.

– Owszem, jest – zgodził się smętnie Colman.

Niedługo po tym, jak Colman i Kath zajęli miejsca, radar Swyleya wykrył sierżanta Padawskiego i grupę żołnieży z kompanii „B", wchodzących przez główne wejście do baru. Rozmawiali głośno i wyglądali na trochę podpitych. Colman dostrzegł,że towarzyszyła im Anita i jeszcze jedna dziewczyna z brygady, przylepione do żołnierzy i zachowujące się wyzywająco.Potrząsnął rozpaczliwie głową, ale w końcu nie była to jego sprawa. Po paru napreżonych chwilach, podczas których w hotelu trwała niezdecydowana debata,nowo przybyli zeszli na dół, nie zauważywszy grupy z kompanii „D". Nastąpiło odprężenie, a Colman wkrótce zapomniał o nich, bo znajomi Kath przysiadali się do nich pojedyńczo i parami. Napatoczył się też i malarz, który rozpoznał Colmana, sam zaś wstąpił tu po drodze do domu, by szybko coś przełknąć.

Przysłuchując się rozmowom wokoło, Colman zaczynał rozumieć, że Chirończycy darzą się wzajemnie szacunkiem. Szanowali wiedzę i fachowość wszelkiego rodzaju i okazywali to. Może, pomyślał sobie, w ten sposób pierwsze pokolenie starało się współzawodniczyć i zdobywać tożsamość w swym sterowanym przez maszyny środowisku, w którym takie rzeczy, jak pochodzenie,pozycja społeczna, bogactwo i dziedzictwo nie miały żadnego znaczenia. I zachowano to na stałe w miarę rozwoju chirońskiej kultury.

Przypomniał sobie okres, gdy miał lat szesnaście i oddał synkowi senatora tylko tyle, ile mu się należało. Dwóch zastepców szeryfa dało mu bolesną lekcję „szacunku" w celi miejskiego więzienia, zaś armia do tej pory bez przerwy też starała się uczyć go „szacunku". Ale był to szacunek w stylu ziemskim. Colman zaczął odczuwać, że być może po raz pierwszy w życiu uczy się prawdziwego znaczenia tego słowa. Na prawdziwy szacunek można tylko zasłużyć, nie można go wymusić. Prawdziwy przywódca przewodził dzięki zgodzie swych zwolenników, w taki sposób, jak ludzie w zakładach termojądrowych przyjmowali zwierzchnictwo Kath, a dzieci Adama – jego nie na mocy rozkazu. Chirończycy mogli wzajemnie obrócić się do siebie plecami w sposób, z którym ludzie podobni do Howarda Kalensa nigdy się nie spotkają; w taki, w jaki Colman mógł to robić wobec swego plutonu. Ci tutaj należeli do jego gatunku. To było niesamowite, ale zaczynał czuć się tu u siebie w domu – coś, czego nigdy naprawdę nie doznał przez całe życie.

Dlatego, że po raz pierwszy miał poczucie, że jest kimś – nie tylko „Sierżantem, Armia Stanów Zjednoczonych" czy „Numerem Rejestracyjnym 5648739210", albo „Białym, Anglosasem, Płci Męskiej" – ale „Stevem Colmanem, Osobą, Jedynym w Swoim Rodzaju Produktem Wrzechświata".

Było to miłe uczucie.

Koniec części drugiej

CZĘŚĆ DRUGA CHIROŃCZYCY

Rozdział X

„Mayflower II" powoli obracał się w przestrzeni, wysoko nad powierzchnią Chirona. Zewnętrzne wrota Hangaru Promowego Nr 6 w segmencie Vandenberg rozpadły się na cztery sektory i rozwinęły jak płatki kolosalnego metalicznego kwiatu, ukazując dziób stojącego za nimi lądownika. Po chwili, pod działaniem siły reakcji odśrodkowej wywołanej obrotami statku macierzystego, prom nagle wyfrunął na zewnątrz. W trzydzieści sekund później zapalił silniki, kładąc się wirażem prosto na kurs prowadzący do „Kuan-yin", orbitującej o dziesięć tysięcy mil niżej.

*

– Otrzymaliśmy rozkaz, że mamy „poprzedzać świtę Ambasadora przez śluzę wyjściową, by sformować wartę honorową w holu zewnętrznym „Kuan-yin", gdzie odbędzie się ceremonia" – Sirocco czytał głośno tekst rozkazu na porannej odprawie żołnierzy kompanii „D", przydzielonych jako eskorta ambasadora. – „Przez cały czas należy utrzymywać najściślejszą dyscyplinę i porządek, zaś biorącym udział w uroczystości żołnierzom należy zwrócić uwagę na niezbędność zachowania należytych form, stosownych dla powagi tego niepowtarzalnego wydarzenia historycznego". To znaczy, Swyley, że powstrzymasz się od brzuchomówczych komentarzy dla ulżenia nudzie, wy zaś wszyscy wystąpicie w najlepszych w całym waszym życiu paradnych ciuchach. „Ponieważ ocenia się jako wysoce nieprawdopodobne, by ze strony Chirończyków nastąpiły działania o charakterze prowokacyjnym, oddział wystąpi w Mundurach Defiladowych Numer Jeden, z bronią załadowaną wyłącznie jako środek ostrożności. Na wypadek wystąpienia nieprzewidzianych okoliczności, w promie będzie się znajdować oddział posiłkowy żołnierzy Służby Specjalnej, w pełnej gotowości bojowej dla wykonania takich rozkazów, jakie najstarszy rangą generał towarzyszący składowi delegacji uzna za stosowne wydać".

– Mieliście kiedykolwiek uczucie, że was wystawiają do sprzedanego meczu? – zapytał kwaśnym tonem Garson z trzeciego plutonu. – Zgadnijcie, kto weźmie na siebie pierwsze uderzenie?

– Czy nie wiesz, że jesteś towarem jednorazowego użytku? – zapytał rzeczowo Stanislau.

Sirocco raz jeszcze przejrzał rozkaz i dodał: – „Wysunięty oddział wartowniczy wykona zwrot dla utworzenia dwóch szeregów, ustawionych pod kątem czterdziestu pięciu stopni po obu stronach śluzy wejściowej, z dowódcami sekcji przed ich frontami. Oficer dowodzący wartą będzie się znajdował o dwa kroki na lewo od wyjścia ze śluzy. Po zakończeniu ceremonii wstępnych, warta zostanie zmieniona przez oddział kompanii „B", który zajmie pozycję na rampie wyjściowej, sama zaś podąży do wnętrza „Kuan-yin", wystawiając posterunki w punktach wymienionych w załączonym Planie A. Posterunki pozostaną na wyznaczonych im miejscach aż do otrzymania zmiany lub dalszych rozkazów". Są jakieś pytania na temat?

Ambasadorem, któremu mieli asystować jako warta honorowa, miał być Amery Farnhill, zastępca Howarda Kalensa w Departamencie Łączności. Sam Kalens miał stanąć na czele delegacji głównej, wysyłanej na powierzchnię planety dla podjęcia pierwszych kontaktów z Chirończykami we Franklinie. Decyzję skierowania na „Kuan-yin" delegacji niższego szczebla, jak również rozmieszczenia na tym statku oddziałów wojskowych podjęto po to, by dać Chirończykom do zrozumienia, że ich statek-robot jest nadal uważany za własność Ziemi. Ze względów protokolarnych Wellesley ani Sterm nie wystąpią tak długo, póki na Chironie nie nastąpią kontakty na odpowiednim szczeblu i nie zostanie należycie przygotowany porządek dzienny dalszych dyskusji.

Od czasu, gdy „Kuan-yin" wyruszyła z Ziemi w 2020 roku, kształt statku w porównaniu ze znanym z ówczesnych ilustracji zmienił się znacznie – zauważył z zainteresowaniem Colman, siedząc wyprostowany, by nie załamać kantów na odprasowanym mundurze pod pasem bezpieczeństwa, przytrzymującym go na fotelu. Rosnącemu obrazowi statku przyglądał się na ekranie umieszczonym w przedniej części kabiny. W pierwotnej wersji „Kuan-yin" miała formę hantla, z zapasami paliwa jądrowego i impulsowymi silnikami termojądrowymi skupionymi na jednym końcu, zaś komputerami i czułymi urządzeniami rozpoznawczymi na drugim. Łączyła je długa, walcowata konstrukcja, której zadaniem było zarówno sprzęgnięcie obu części w całość, jak odsunięcie wrażliwych przyrządów poza zasięg promieniowania członu napędowego. Modyfikacje konstrukcji, które przeprowadzono po roku 2015 w związku z potrzebą stworzenia pierwszych Chirończyków i zapewnienia dla nich pomieszczeń, pociągnęły za sobą konieczność rozbudowania członu instrumentów oraz wmontowania silników pomocni-

czych. Miały one, po przybyciu na Chirona, obracać hantel wokół jego osi, by zapewnić pierwszym mieszkańcom statku pseudograwitację na okres, w którym na powierzchni planety będą budowane pierwsze osiedla.

W następnych latach człon instrumentów obrósł całą kolekcją struktur pomocniczych, która podwoiła jego objętość. Zbiorniki paliwa, mieszczące się początkowo na rufie, znikły, zastąpione, jak się wydawało przez wiązkę ogromnych metalowych butli, otaczających środkową część walca łącznikowego. Ogon również znikł i zamiast niego pojawił się na rufie nowy zespół gigantycznych spirali, otaczających rurową obudowę, uwieńczoną paraboliczną misą odrzutową. Przypominała ona główny napęd „Mayflower II", znacznie jednak mniejszy wobec mniejszych wymiarów statku. Konstruktorzy „Mayflower II" zaprojektowali złącza cumownicze promów w taki sposób, by pasowały do wejść do „Kuan-yin".Chirończycy zaś, przebudowując swój statek, zachowali jednak moduły wyjściowe. Tak więc połączenie lądownika ze statkiem nie stwarzało żadnych problemów.

W rzędzie foteli na lewo od Colmana siedziała reszta żołnierzy Sekcji Czerwonej, w przednim zaś rzędzie Sekcja Niebieska, przy której znajdowali się Hanlon i Sirocco. Wszyscy byli dziwnie milczący. Przyglądali się ekranowi, ukazującemu na dalszym planie świetlisty półksiężyc Chirona; dla niektórych z nich był to pierwszy obraz planety oglądany w czasie rzeczywistym. Zgodnie z planem wyładunku, w głębi kabiny, otoczony grupą wyższych oficerów, siedział generał Portney; za nimi zaś Amery Farnhill, napięty i poważny, w towarzystwie świty pracowników dyplomatycznych i pomocników. Sam koniec promu zajmował oddział ponurych i milczących „S"-manów w stalowych hełmach i polowych mundurach, obwieszonych pękami granatów, przytrzymujących między kolanami karabiny maszynowe.

Sztab Farnhilla zrezygnował z dalszych prób uzyskania od Chirończyków oficjalnej listy osobistości. W końcu po prostu zawiadomiono „Kuan-yin" o terminie przybycia promu i pogodzono się z myślą, że dalej sprawę trzeba będzie rozgrywać na wyczucie. Chirończycy dosyć łatwo zgodzili się przyjąć delegację, czego wynikiem był rozkaz dla asysty złagodzenia stanu pogotowia. Delegacja Kalensa w rozmowach środkami łączności z Franklinem również nie odniosła sukcesu i ostatecznie zdecydowała, że wyląduje na powierzchni planety na tych samych zasadach, co delegacja udająca się na „Kuan-yin", jednak z bardziej szczegółowo opracowanymi przygotowaniami i ceremoniałem.

Przez interkom rozległ się głos kapitana promu, kóry formalnie był dowódcą operacji do chwili zetknięcia się statków: - Odległość tysiąc mil, przewidywany czas przybycia za sześć minut. Wchodzimy na orbitę spotkania i rozpoczynamy manewr styku. Przygotować się na decelerację. „Kuan-yin" potwierdziła, że otworzy śluzę numer trzy.

Gdy prom, hamując głównym silnikiem, wszedł w wiraż, na ekranie obraz przesunął się w bok i po chwili, gdy włączono tylne kamery, pojawił się na nowo. Przez prawie dwie minuty Colmana przyciskało do fotela, następnie na ekran znów powrócił obraz z kamer dziobowych. Colman miał przez pewien czas wrażenie, że kilka razy staje na głowie, w miarę jak komputery kontroli lotu zmieniały trajektorię promu za pomocą kombinacji działania małego ciągu głównego i silników bocznych, by dopasować w chwili końcowego zbliżenia położenie lądownika do orbity „Kuan-yin". Po niewielkich poprawkach kursu prom obracał się zgodnie z ruchem „Kuan-yin", co u pasażerów wywołało wrażenie, że leżą na plecach, na koniec przesunął się lekko w przód i w górę, kończąc manewr dokowania. Operacja przebiegła gładko i wkrótce rozległ się głos kapitana: - Złączenie wykonane. Grupa lądująca może podjąć swe zadania.

- Przystąpić do działania, Generale - powiedział Farnhill z głębi kabiny.
- Rozwinąć przedni oddział wartowniczy, Pułkowniku - polecił generał Portney ze środka.
- Warta, naprzód marsz - rozkazał pułkownik Wesserman z rzędu foteli przed Portneyem.
- Oddział wartowniczy, sekcjami, rzędem, w prawo i w lewo marsz - powiedział Sirocco w przedniej części promu. - Dowódcy sekcji na czoło.

Stanął między fotelami w przejściu, którego podłoga dla ułatwienia ruchu wzdłuż osi podłużnej promu zmieniła się w strome schody i wspiął się po nich do bocznej śluzy wyjściowej, mając za sobą Colmana i Hanlona. Sekcje Czerwona i Niebieska sformowały się w przejściu bezpośrednio za nimi. W śluzie drzwi wewnętrzne były już otwarte. Przed otwarciem zewnętrznych oficer wyładowczy ze stałej załogi promu dokonywał ostatniego odczytu instrumentów. Czekając aż to zakończy, zaś reszta delegacji posunie się do przodu kabiny, Colman wpatrywał się w pokrywę włazu przed sobą. Pomyślał, że po jej drugiej stronie znajduje się statek, który opuścił Ziemię wcześniej niż Colman się urodził, a teraz czeka tu na nich, przeleciawszy ten sam dystans czterech lat świetlnych, których przebycie kosztowało sierżanta równo połowę życia. Za kilka minut, po latach snucia domysłów, znana będzie odpowiedź na wszystkie pytania dotyczące Chirończyków. Opuszczenie pokładów „Mayflower II" i ujrzany na ekranie widok pobudziły jego ciekawość w najwyższym stopniu. Bo pomimo wszystkich krążących dowci-

- Bezczelnie? - Adam uśmiechnął się do siebie. - Tacy są raczej ludzie, którzy są pewni, że wiedzą, nie ja. Ja po prostu staram się najlepiej interpretować fakty, które mi są dostępne. - Zastanawiał się przez chwilę dłużej. - A w każdym razie bezczelność i duma to są dwie różne rzeczy. Na pewno jestem dumny z tego, że jestem człowiekiem.
- Oni by też powiedzieli, że skromność jest większą cnotą - rzekł Colman.
- Bo jest - zgodził się chętnie Adam. - Ale skromność i samoponiżanie się to też dwie różne rzeczy.

Colman bezwiednie zerknął na Kath, chcąc poznać jej zdanie.

- Jeśli masz na myśli system wierzeń oparty - mimo powierzchownych pozorów, że jest przeciwnie - na chorobliwej obsesji śmiercią, nienawiścią, rozkładem, dehumanizacją i upokorzeniem, to odpowiedź moja na twoje pytanie brzmi: „Nie" - powiedziała, patrząc na Colmana. Rzuciła okiem na swe wnuki. - Ale jeśli poświęcenie się życiu, miłości, rośnięciu, osiągnięciom i potędze ludzkiej twórczości odpowiada twojej definicji, wtedy odpowiedź brzmi: „tak, Chiron ma swoją religię".

*

Gdy Hanlon i reszta powrócili ze spaceru, wszyscy już byli głodni, zaś Kath i Susie postanowiły obejść się bez usług automatycznego kuchmistrza i przeprowadzić eksperyment w zakresie staromodnej sztuki gotowania, nie posługując się niczym więcej, jak mikserem, mieszadłem, krajarką, obieraczką, samoregulującym się piecykiem i własnymi gołymi rękami. Wynik, zgodnie z jednomyślnym orzeczeniem, został uznany za sukces. Podczas posiłku Ziemianie mówili głównie o godniejszych pamięci wydarzeniach z okresu podróży, Kath zaś starała się dowiedzieć czegoś więcej o systemie napędowym „Mayflower II", przygotowując się do wycieczki na pokład, w której miała wziąć udział w składzie chirońskiej delegacji. Colman doszedł jednak do wniosku, że niewiele więcej może dodać do wiadomości, które Kath już na ten temat zebrała.

Powstało więc zagadnienie, co robić z resztą wieczoru. - Tim opowiadał nam o szkole przysposobienia wojskowego, do której chodzi ze swoją młodą panną - powiedział Hanlon. - Wydaje mi się, że to coś ciekawego. Podejrzewam, że i Jay wzdycha, żeby tam rzucić okiem, ja zaś sądzę, że poszedłbym wraz z nim.

- Bret jest instruktorem walki wręcz w wojsku - wyjaśnił Tim.

Adam przeprosił, że nie będzie im towarzyszył, ponieważ ma robotę do wykonania, zaś Bobby i Susie szykowali się do obejrzenia komedii muzycznej, którą miano niedaleko stamtąd dawać tego wieczoru. Colman przypuszczał, że Kath z nimi pójdzie, musiałby więc zagrać w orła i reszkę, by zdecydować, które z widowisk wybrać. Ale ku jego zdumieniu zaproponowała zamiast tego, by poszli gdzieś we dwoje na drinka. Wyjaśniła szeptem: - Bo ja już widziałam to niezliczoną ilość razy. - Kimże jestem, by odrzucić taką propozycję? - spytał Colman samego siebie. Ale równocześnie nie mógł się pozbyć podskórnego uczucia, że to wszystko jest nieco dziwne.

Kath zaproponowała, by poszli do miasta pod „Dwa Księżyce" - gdzie ona i jej przyjaciele zwykle zbierali się dla rozrywki i towarzystwa i które znajdowało się akurat w takiej odległości, by zrobić tam odpoczynkowy wieczorny spacer. Po drodze minęli dom, przy którym Colman i jego koledzy zatrzymali się wcześniej tego dnia. Nasunęło mu to myśl, by wspomnieć o robocie, należącym do malarza. - Wyglądał, jakby się uczył tego rzemiosła - powiedział Colman.

- Bardzo prawdopodobne, tak właśnie było - odrzekła Kath. - Człowiek, którego widziałeś zrobił sobie pewnie jedno czy dwudniowy relaks z czynnym wypoczynkiem. Dobrze jest mieć koło siebie maszyny, które mogą zająć się naszymi sprawami, jeśli te stają się nudną rutyną.
- Ludzie nie boją się, że automaty ich zastąpią?
- Jeśli automat może wykonać jakąś twoją pracę, prawdopodobnie zrobisz lepszy użytek z życia, zająwszy się czymś innym.

Po krótkim milczeniu Colman zapytał: - Te wszystkie roboty, właściwie jak są inteligentne?

- Są sterowane przez skomplikowany, samoadaptujący się i samouczący program, wprowadzony do komputerów tworzących sieć, to wszystko. Nie sądzę, żeby ta technika była aż tak odmienna od tego, do czego jesteś przyzwyczajony.
- A więc nie są w ogóle inteligentne... samoświadome. Nic z tych rzeczy?

Kath parsknęła śmiechem. - Oczywiście nie... ale można się na nich oszukać, nieprawdaż? Musimy pamiętać, że one rozwinęły się z systemów zaprojektowanych, by się dostosowały do dzieci i uczyły je. W to co mówią, rzutujesz bardzo dużo własnych myśli.

- Ale wygląda, że one są wyposażone w intuicję, pozwalającą im formułować ludzkie sądy wartościujące - sprzeciwił się Colman. - Wiedzą zbyt wiele o ludzkim sposobie myślenia.

Kath znów się zaśmiała. - Naprawdę? W rzeczywistości tak nie jest, bądź pewien. Gdybyś się im uważnie przysłuchał, zauważyłbyś, że poza obiektywną, rzeczową informacją, one wcale tak dużo nie

obrazy, przesłane przez sondy badawcze statku. Monkity były wszystkożerne, choć wyewoluowały z czystych mięsożerców, miały wysoko rozwinięty system społeczny i zaczynały eksperymentować z wytwarzaniem pierwszych prostych narzędzi ręcznych. Chirończycy obserwowali je z zainteresowaniem, ale przede wszystkim starali się nie wtrącać do nich – chyba, że zostali zaatakowani, co obecnie zdarzało się rzadko, gdyż monkity niezmiennie źle na tym wychodziły. Inną formą życia, w oczywisty sposób niezabezpieczoną, były daskrendy, o których Jay już opowiadał Colmanowi; różne jadowite gady i duże owady. Zamieszkiwały one głównie w południowych regionach Selene i cieśniny łączącej ją z Terranovą, chociaż niektóre rodzaje posunęły się już aż po Morze Śródchirońskie. Dalej latający ssak z Artemii, o zabójczych pazurach i zębatym dziobie, który pikował z lotu na wszystko co dostrzegł, oraz duży wybór drapieżników typu kociego, psiego i niedźwiedziego, które w mniejszym lub większym stopniu nawiedzały części wszystkich czterech kontynentów.

Colman przypomniał sobie, co Jay opowiadał mu o chirońskim zwyczaju wychodzenia poza osiedla zawsze z bronią i domyślił się, że pochodzi on z czasów, gdy Założyciele po raz pierwszy ośmielili się wyjść poza bazy. Wiedząc, jak zachowują się tu dzieci, Colman doszedł do wniosku, że wszystko to musiało się zdarzyć zanim bardziej podrosły, co oznaczało, że nauczyły się wcześnie dawać sobie radę w życiu, niezależnie od tego, czy zajmowały się nimi maszyny, czy nie. Zapewne wszystko to decydująco wpłynęło na ukształtowanie poczucia niezależności i polegania na sobie, co było tak widoczne wśród Chirończyków.

– A jakże mogłoby być inaczej? – spytał Adam, gdy Colman zagadnął go na ten temat. – Oczywiście musieli nauczyć się strzelać. Wiesz, jakie są dzieci. Maszyny nie mogą być równocześnie we wszystkich miejscach. Spytaj o to moją matkę, nie mnie.

Kath posłała mu uśmiech przez szerokość pokoju. – Należałam do pierwszej stworzonej grupy. Była nas setka. Leon – to jest ojciec Adama – też do nas należał. Nazywaliśmy maszynę, która uczyła nas strzelania Mickey Mouse, ponieważ miała czujniki obrazowe wyglądające jak wielkie czarne uszy. Zastrzeliłam daskrenda, gdy miałam sześć lat... a może mniej. Wyskoczył na Leona spod skały, dlatego satelity wcześniej go nie wykryły. Leon do dziś kuleje z tego powodu. – Zachichotała cicho. – Biedny Leon. Przypomina mi Kulasa.

Słuchając tego Colman na moment szeroko otworzył oczy. – Nigdy o tym nie pomyślałem – przyznał się. – Ale mam wrażenie... tak, musiało być właśnie tak. Wasze dzieci dzisiejsze nie zmieniły się tak bardzo od tego czasu.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Kath.

Colman wzruszył ramionami i bezwiednie skinął głową w stronę Bobby'ego i Susie. – Mają głowy na karkach, mają zaufanie do własnych rozmów i opierają się na własnych ocenach. To dobrze.

– No to przyjemnie mi, że przynajmniej jeden Ziemianin jest tego zdania – powiedział Bobby. – Ten człowiek, który wtedy opowiadał w mieście o czymś tam niewidzialnym w niebie i twierdził, że niedobrze jest mieć dzieci, był innego zdania. Mówił, że gdy umrzemy, będziemy cierpieli na zawsze. Skąd on to może wiedzieć? Nigdy nie był umarłym. To było absurdalne.

– Spotkałam na rynku kobietę, która opowiadała, że umarli z nią rozmawiają – powiedziała do niego Susie. – To jeszcze większe głupstwo.

– Chyba nie wszyscy Ziemianie są tacy, prawda? – rzekł Bobby, patrząc z nadzieją na Colmana.

– Jestem przekonany, że nie wszyscy – odpowiedział Colman z uśmiechem. Zwrócił się do Adama i Kath. – Wy tutaj... eee... wy tu nie macie żadnej religii, o ile mi wiadomo, w każdym razie nic takiego nie widziałem. Mam rację? – Wyrósłszy w warunkach, w których musiał ją uznać za część składową życia, nie mógł tego nie zauważyć na Chironie.

Adam zastanawiał się nad opowiedzią przez dłuższy czas. – Nie... – odrzekł na koniec powoli. – Na tym ziarnku kurzu zanurzonym gdzieś w gazie galaktycznym, jesteśmy zdani sami na siebie. Wynajdowanie aniołów stróżów, by dotrzymywały nam towarzystwa, nie zmieni tego faktu. Czy damy sobie radę czy nie, zależy od nas. Jeśli zawalimy sprawę, wszechświat nie odczuje naszej nieobecności.

Przerwał, by przyjrzeć się, jak przyjmuje to Colman, po czym kontynuował: – To nie znaczy, że z tego powodu odczuwamy chłód i samotność. Prawda, oznacza to, że musimy sobie dawać radę bez żadnych wielkich nadnaturalnych braci, którzy dla nas kierowaliby przyrodą i rozwiązaliby nasze problemy, ale czy na tym tracimy, jeśli oni i tak nie istnieją? Z drugiej strony nie musimy obawiać się wszystkich nonsensów, które wymyślono wraz z nimi. Oznacza to więc, że mamy całkowitą wolność podejmowania decyzji co do naszych losów i ufania własnemu rozsądkowi. Dla mnie nie jest to aż takie złe samopoczucie.

Colman zawahał się na chwilę, porównując filozofię Adama z dogmatami, które przyzwyczaił się słyszeć. – Znam parę osób, które orzekłyby, że brzmi to nader bezczelnie.

pów i anegdot, Colman był pewien, że wszystkie zmiany w budowie i wyposażeniu „Kuan-yin", które zaobserwował na zewnątrz, nie mogły być dziełem nieodpowiedzialnych, przerośniętch nastolatków.

– Wyjście wolne – poinformował Sirocca oficer wyładowczy.

– Śluza wolna dla wyjścia – zawołał Sirocco w stronę kabiny.

– Dowódca warty – wykonywać dalej – odpowiedział pułkownik Wesserman z głębi kabiny.

– Pokryć, wyrównać – rozkazał Sirocco. Oddział wartowniczy posunął się do przodu, stając bezpośrednio za Sirocco, Colmanem i Hanlonem i robiąc przejścia dla oficerów i dyplomatów z głębi. Sirocco spojrzał na oficera wyładowczego i skinął głową. Otworzyć właz zewnętrzny – Oficer wyładowczy wystukał polecenie na tablicy obok siebie i zewnętrzne drzwi promu z wolna odsunęły się na bok.

Sirocco marszowym krokiem przeszedł przez rampę łącznikową do wnętrza „Kuan-yin", zrobił w lewo zwrot i zastygł w postawie na baczność. Równocześnie Colman i Hanlon wprowadzili sekcje wartowników z karabinami utrzymywanymi precyzyjnie w pozycji „na ramię broń", wolnymi rękami ostro wymachującymi, jakby poruszały je niewidzialne druty, butami unisono łomoczącymi w stalowe płyty podłogi. Oddział rozdzielił się na dwa rzędy i zatrzymał w miejscu, formując dwa zwrócone do siebie szeregi dokładnie wzdłuż bocznych ścian wejścia. Za nimi wynurzyła się czwórka oficerów i podzieliła na dwie dwójki, podążające za pułkownikiem Wessermanem na lewo i generałem Portneyem na prawo.

– Prezentuj... broń – szczeknął Sirocco i dwadzieścia dwie dłonie w jednym momencie zgodnie klasnęły o komory zamkowe.

Przejściem między oficerami wystąpili do przodu dyplomaci w nieskazitelnie czarnych garniturach i niepokalanie białych koszulach, w porządku od najniższego do najwyższego rangą. Zatrzymali się. Na koniec ukazała się szlachetna sylwetka Amery Farnhilla i majestatycznym krokiem podążyła naprzód, zajmując miejsce na czele grupy.

– Jego Ekscelencja, Amery Farnhill – stojący o krok z tyłu i dwa kroki w prawo pomocnik oznajmił czystym, dźwięcznym głosem, który odbił się echem od ścian holu śluzy wejściowej „Kuan-yin". – Zastępca Dyrektora Łączności Najwyższego Dyrektoriatu Urzędującego Kongresu „Mayflower II" i wysłannik Dyrektora Kongresu na „Kuan-yin"... – Głos pomocnika stopniowo tracił przekonanie, w miarę, jak jego oczy mu wskazywały, że używa słów niewłaściwych dla sytuacji. Niemniej zgodnie z instrukcją brnął przez formułę, po męsku kontynuując: – ...pełniący obowiązki ambasadora przy systemie planetarnym Alfy Centaura z ramienia rządu... – przełknął ślinę i wziął głęboki oddech – „Stanów Zjednoczonych Wielkiej Ameryki Północnej, planety Ziemia."

Grupka szeroko uśmiechających się Chirończyków przyglądała im się z małej odległości, a tłumek zgromadzony w głębi holu zaklaskał entuzjastycznie. Nie spodziewano się takiego zachowania. Tworzyło niewłaściwą atmosferę.

– Porządne chłopy – rozległ się znikąd bezcielesny szept kaprala Swyleya. – A my robimy z siebie pajaców.

– Zamknij się – syknął Colman przez zęby.

Najstarszy z grupy Chirończyków nie mógł mieć więcej, niż trzydzieści kilka lat, wyglądał jednak na starszego, z głową zaczynającą łysieć na czubku i niską, zaokrągloną sylwetką z małym brzuszkiem. Nosił koszulę bez krawata i zwykłe, granatowe spodnie na pasku. W rysach twarzy miał coś azjatyckiego. Koło niego stał młody chłopak i dziewczyna, oboje, jak się zdawało, liczący nieco ponad dwudziestkę, ubrani w białe fartuchy laboratoryjne, a dalej jeszcze jedna, młodsza ciemnoskóra para, wyglądająca na nastolatków. Grupę uzupełniał stojący opodal sześciostopowy robot-android ze srebrzystego metalu, niosący na ramionach małą czarną dziewczynkę. Jej nogi dyndały po obu stronach jego szyi, ręce zaś obejmowały jego głowę.

– Cześć – pozdrowił ich przyjacielsko mężczyzna z brzuszkiem. – Jestem Clem. To jest Carla i Hermann oraz Francine i Borys. Ten tutaj, duży, nazywa się Cromwell, a mała pani na jego ramionach to Amy. No cóż, mam wrażenie... witajcie na pokładzie.

Farnhill rozejrzał się na wszystkie strony ze zmarszczonym czołem, oblizał wargi i wziął głęboki oddech. Nagle wypuścił powietrze i potrząsnął głową. Po prostu nie mógł znaleźć słów odpowiednich dla tej sytuacji. Grupa dyplomatów zakołysała się niepewnie, żołnierze patrzyli w przestrzeń bez mrugnięcia okiem. Sekundy ciągnęły się niezręcznie. Na koniec pomocnik przejął inicjatywę i spojrzał pytająco na człowieka, który przedstawił się jako Clem.

– Kim pan jest? – zapytał. Z jego głosu ulotnił się całkowicie ton urzędowy. – Czy reprezentuje pan tu władzę? Jeśli tak, jaki jest pana stopień służbowy i tytuł?

Clem zmarszczył grwi i potarł w zamyśleniu podbródek. – Zależy od tego, co nazywasz władzą – odpowiedział. – Organizuję bieżącą pracę załogi inżynieryjnej statku i mam nadzór nad utrzymywa-

niem go w sprawności. Przypuszczam, że według ciebie jest to swego rodzaju władza. Ale z drugiej strony nie mam wiele do czynienia z specjalnymi programami badawczymi i modyfikacjami, to sprawa Hermanna.

– To prawda – zgodził się Hermann, młody człowiek w kitlu laboratoryjnym. – Ale trzeba dodać, że część tego miejsca służy jako szkoła dla dzieci, by wcześniej zapoznać je z warunkami pozaplanetarnymi. Pani, która prowadzi te sprawy, jest nieobecna w tej chwili, ale później będzie wolna.

– Została zatrzymana na lunchu, gdzie próbuje odpowiedzieć na pytania o supernowe i kwazary – wyjaśniła Francine.

– Z innej znów strony, jeśli pytasz kto odpowiada za kierowanie tutaj wyposażenia z powierzchni oraz rejestrowanie, kto i kiedy jest przydzielony do jakichś zadań, to należy to do Cromwella – powiedziała Carla. – Jest połączony z głównymi komputerami statku, a poprzez nie z siecią planetarną.

– Cromwell wie wszystko – oświadczyła Amy ze swej grzędy. – Cromwell, czy ci żołnierze mają ziemskie działa sztumowe M32 czy M30?

– M32 – odpowiedział robot. – Mają udoskonalone celowniki.

– Mam nadzieję, że nie zaczną tutaj do siebie strzelać. Na orbicie byłoby to wręcz okropne. Mogliby spowodować dekompresję całego statku.

– Sądzę, że oni o tym wiedzą – odrzekł Cromwell. – W przestrzeni kosmicznej przebywali o wiele dłużej niż ty, która zrobiłaś tylko parę wycieczek.

– Tak właśnie przypuszczałam.

Cierpliwość pomocnika nagle się wyczerpała. – To są kpiny! Chcę wiedzieć, kto tu jest władzą najwyższą. Musicie mieć przecież Dyrektora Operacji czy jakiś jego odpowiednik. Bądźcie więc uprzejmi...

Farnhill zatrzymał go ostrym ruchem ręki. – To przedstawienie trwa już zbyt długo – oświadczył. Spojrzał na Clema. – Może będziemy kontynuować tę dyskusję w warunkach większej poufności. Czy jest jakieś odpowiednie miejsce niedaleko stąd?

– Oczywiście – Clem zrobił ogólnikowy gest do tyłu. – Jest tam w korytarzu duży pokój, wolny w tej chwili, który pomieści wszystkich. Możemy tam dostać także trochę kawy. Mam wrażenie, że wam dobrze zrobi – mieliście długą podróż, hę? – Wyszczerzył zęby do własnego dowcipu i odwrócił się, by wskazać drogę. Odnosiło się wrażenie, że żart niezbyt się Farnhillowi spodobał.

– Mhm... – odchrząknął generał Portney. – Na czas negocjacji rozmieścimy posterunki na terenie „Kuan-yin". Ufam, że nie ma sprzeciwów. – Oficerowie zesztywnieli, oczekując odpowiedzi na zawarte w tych słowach pierwsze wyzwanie, rzucone prawowitości chirońskich rządów na „Kuan-yin".

Clem nie odwracając się niedbale machnął ręką. – Ależ proszę – odpowiedział. – Choć nie sądzę, żebyście ich naprawdę potrzebowali. Jesteście tu całkiem bezpieczni. Nie mamy wielu włamywaczy. – Farnhill rzucił swym pomocnikom bezradne spojrzenie, po czym zebrał siły i poprowadził swą grupę za Clemem, podczas gdy inni Chirończycy zrobili im przejście. Oddział wojskowy złamał szeregi, by podążyć za grupą, Wesserman zaś szorstko rzucił przez ramię w stronę Sirocca: – Dowódca warty, wykonywać dalej.

Zmiana z kompanii „B" wymaszerowała z luku promu, zajmując pozycję naprzeciw rampy, Sirocco zaś wystąpił przed front wartowników, by wydać rozkazy. – Oddział pokładowy, baaaość! W dwurzędzie, w szyku marszowym, zbiór-ka! – Dwa szeregi odwołane od luku wejściowego stanęły w rzędach za dowódcami sekcji. – Posterunki wystąpią i zajmą kolejno wyznaczone miejsca. W lewo... marsz! – Dwa rzędy żołnierzy z ciężkim tupotem podążyły za Sirocco przez hol, zaszły w lewo, przy czym każdy żołnierz po wewnętrznej stronie szyku wykonał w miejscu cztery kroki, po czym oddaliły się, maszerując korytarzem w głąb „Kuan-yin".

Amy przyglądała się ciekawie znad czubka głowy Cromwella jak znikali z pola widzenia. – Zastanawiam się, czemu oni chodzą w taki sposób, gdy krzyczą na siebie – powiedziała zadumana. – Cromwell, czy nie wiesz dlaczego tak robią?

– Czy przemyślałaś to już? – zapytał Cromwell.

– Niezupełnie.

– Powinnaś nie tylko zadawać pytania, ale i myśleć o tym co widzisz. W przeciwnym wypadku skończy się tym, że inni ludzie zaczną za ciebie myśleć zamiast tego, byś ty polegała na sobie.

– Oooch... Tego bym nie chciała – powiedziała Amy.

– No więc dobrze – odparł Cromwell. – W takim razie, jak myślisz, czemu miałabyś chodzić w ten sposób dlatego, że ktoś na ciebie krzyczy?

Susie, siedzących z nią na drugim końcu pokoju i pogrążonych w trudnym zadaniu opanowywania reguł gry w szachy. – Połowa przyjemności z przychodzenia tutaj bierze się z obecności Kulasa.

– Ale ty nie musisz z nim mieszkać, matko – odpowiedział Adam.

Przez okno dolatywały głosy ludzkie z położonego za domem pasa zalesionego terenu. Hanlon i Jay poszli tam w towarzystwie drugiego syna Adama, jedenastoletniego Tima i jego dziewczyny, by obejrzeć co nieco z chirońskiej zwierzyny. Tim był znawcą tych spraw, niewątpliwie odziedziczywszy zainteresowania po Adamie, specjalizującym się w biologii i geologii i spędzającym wiele czasu na podróżach po planecie, zwykle w towarzystwie trójki swych dzieci.

A przynajmniej tej trójki, która z nim mieszkała. Adam miał jeszcze dwoje z Pam, dawniejszą „współlokatorką", mieszkającą teraz w jakiejś bazie arktycznej daleko na północy Selene. Mieszkał tam również ojciec Adama, który kilka lat wcześniej rozstał się z Kath. Obecna partnerka Adama, Barbara, odleciała na dwa tygodnie z wizytą do bazy arktycznej i wzięła ze sobą córkę – swoją, ale nie Adama – która mieszkała wraz z nimi we Franklinie. Barbara miała także odwiedzić Pam i dwoje dzieci, które miał z nią Adam, ponieważ Barbara i Pam były dobrymi przyjaciółkami. Wynikało z tego, że na Chironie nie było instytucji małżeństwa ani czegoś podobnego i nie liczono na monogamiczne ani trwałe wiązanie się poszczególnych jednostek, ani też na przestrzeganie przez nie jakichkolwiek wzorców zachowania w tym zakresie.

Gdy Hanlon wyraził wątpliwość co do słuszności takiej postawy, Adam nie wyglądał na szczególnie zdziwionego. Odpowiedział tylko, że na Chironie sprawy osobiste są uważane za osobiste. Niektóre pary mogą zdecydować się na trwałe związanie ze sobą i swymi rodzinami, inne nie, ale ani społeczeństwo, ani ktokolwiek inny nie miał prawa wypowiadać się na ten temat. Jeśli zaś idzie o jego zdanie – oświadczył Adam – pomysł, że ktokolwiek mógłby orzekać o standardach moralnych dla innych ludzi, a tym bardziej próbować je narzucać na drodze ustawowej, jest „nieprzyzwoity".

Adam – ku zdziwieniu Ziemian – miał również starszą siostrę, która była projektantką instrumentów nawigacyjnych dla statków kosmicznych w zakładach leżących w głębi półwyspu, oraz brata bliźniaka, który był architektem i – jak dochodziły wieści – zaprzyjaźnił się z wesołą, rudowłosą dziewczyną z „Mayflower II", której Colman nie potrafił zidentyfikować. Adam miał też młodszą siostrę, która mieszkała z dwiema innymi nastolatkami gdzieś we Franklinie oraz brata przyrodniego, który jednak nie był synem Kath i mieszkał z ich ojcem na Selene. Bardzo to było powikłane.

– Ale czy taki stan rzeczy nie odbija się potem na dzieciach? – spytał zażenowany Hanlon.

– Nie tak bardzo, jak zamknięcie w pudle z parą ludzi, którzy nie mogą znieść się nawzajem – odpowiedział Adam. – A zresztą co by to miało za sens, gdy dzieci mają poza domem rodzinę, liczącą sto tysięcy osób?

– Umieramy z ciekawości, by poznać twoją siostrę, Jay – powiedziała dziewczyna Tima, siedząc między swym chłopcem i Adamem, trzymając obu pod ręce.

– Jej matka też umiera – odpowiedział sucho Jay.

Colman wciągnął Adama w rozmowę o jego pracy i w ogóle o fizycznym i biologicznym środowisku planety. Chiron był w mniej więcej tym samym wieku co Ziemia, gdyż został utworzony wraz z gwiazdą macierzystą przez tę samą falę uderzeniową, która przyspieszyła kondensację Słońca i jego sąsiadów z chmury gazu międzygwiezdnego. Jest to ciekawa myśl – podsunął Adam – że ciała ludzi obecnie rodzących się na Chironie i na Ziemi zawierały takie same ciężkie pierwiastki, które utworzyły się w tej samej gwieździe pierwszej generacji – tej właśnie, która wywołała falę uderzeniową, gdy wybuchła jako supernowa. – Mogliśmy się urodzić oddaleni o lata świetlne – powiedział Colmanowi – ale nasze ciała są zbudowane z materii, pochodzącej z tego samego źródła.

Powierzchnia Chirona została uformowana przez takie same procesy tektoniczne, które ukształtowały powierzchnię Ziemi i uczeni chirońscy zrekonstruowali większość dziejów ruchu jego kontynentów, procesów górotwórczych, osadowych, wulkanicznych i erozji. Podobnie jak Ziemia, Chiron posiadał pole magnetyczne, które periodycznie odwracało swą biegunowość i zapisało w zrozumiały sposób swe dzieje w ruchomych dnach oceanów w miarę, jak podnosiły się one do góry i ochładzały, wypiętrzając się z grzbietów podmorskich. Skomplikowany cykl pływowy, wynikający z posiadania przez Chirona dwóch satelitów, został rozszyfrowany i na jego podstawie odtworzona historia dawnych periodycznych powodzi oceanicznych, zaś analiza sejsmizmu planetarnego pozwoliła na nakreślenie planu jego sieci aktywnych uskoków przekształcających i stref nieciągłości, wzdłuż których znajdowała się większość wulkanów i pasów trzęsień ziemi.

Najciekawszą formą zwierzęcą był gatunek stworzenia podobny do małpy człekokształtnej, z pewnymi cechami kocimi. Zamieszkiwał on region na północ od Occidenii i był znany jako „monkity" – nazwa utworzona przez Założycieli, gdy byli jeszcze dziećmi na pokładzaie „Kuan-yin" i obejrzeli pierwsze ich

– Czemu nie? – spytał malarz. – Wszystkim byłoby przykro za takiego człowieka. Przynajmniej trzeba by się postarać, aby był należycie odżywiany i miał zapewnioną opiekę. Paru takich właśnie mamy i tak są traktowani. To skandal, że tacy się zdarzają, ale co można z nimi zrobić?

– Nie zrozumiałeś mnie – powiedział Jay. – Masa ludzi na Ziemi uważałaby takie zachowanie za cel życia.

Malarz przyglądał mu się przez chwilę i powoli skinął głową. – Mhmmm... Ano, wykombinowałem sobie, że tak by u was było – odpowiedział.

*

W pięć minut później trzech Ziemian skręciło za róg i zaczęło posuwać się po ścieżce wzdłuż strumienia, prowadzącej do domu Adama. Od momentu pożegnania z malarzem pogrążyli się w myślach i zamienili niewiele słów. Po krótkiej chwili Jay zwolnił kroku i zatrzymał się, zagapiwszy na grupę wysokich chirońskich drzew, stojących po drugiej stronie strumienia w otoczeniu dobrze znanych mu i oczywiście importowanych wiązów i klonów – zmodyfikowanych genetycznie przez roboty z „Kuan-yin", by mogły rosnąć na obcej ziemi. Obaj sierżanci zaczekali, a po chwili skierowali ciekawe spojrzenia za wzrokiem Jaya.

Pnie chirońskich drzew pokrywały szorstkie, dachówkowato ułożone tarcze, bardziej przypominające łuski gadów niż korę; gałęzie zaś, zebrane w baldachy przy wierzchołku, wygięte w górę i na zewnątrz, w sposób trochę przypominający kalifornijskie sekwoje, podtrzymywały kopulasto sklepione masy liści na kształt kapeluszy gigantycznych grzybów. Listowie u podstawy kopuł było zielone, lecz ku górze stawało się stopniowo coraz bardziej żółte, koło czubków zaś kilka latających zwierząt futerkowych wielkości kotów krążyło powolnym, leniwym ruchem, świergocąc między sobą nieustannie.

– Nigdy się nie domyślilibyście, ale to żółte tam w górze wcale nie jest częścią tych drzew – powiedział, wskazując ręką Jay. – Jeeves opowiedział mi o tym. To zupełnie odrębny gatunek – rodzaj paproci. Jego zarodniki wnikają do pędów, gdy drzewa zaczynają rosnąć, przez całe lata pozostają w stanie uśpienia, drzewa zaś rosną dalej i bezpłatnie wynoszą je w górę, ku słońcu. Wtedy paproć atakuje pączki liściowe i czerpie pożywienie z soków krążących w systemie naczyniowym rośliny.

– Mmmm... – mruknął Colman. Nie miał pojęcia o botanice.

Hanlon starał się okazać zainteresowanie, ale jego myśli nadal zaprzątała osoba malarza. Po kilku chwilach spojrzał na Colmana. – Wiesz, pomyślałem sobie, że ludzie, którym tam na Ziemi by zazdroszczono, tutaj są traktowani w podobny sposób, jak my traktujemy wariatów. Czy sądzisz, że dla Chirończyków my wszyscy jesteśmy obłąkani.

– To jest myśl – odpowiedział dwuznacznie Colman. Podczas rozmowy z malarzem doszedł do podobnego wniosku.

*

Przez drzwi między kuchnią i salonem doleciał odgłos upadku czegoś kruchego na podłogę i brzęk rozbijanej porcelany. Adam rozwalony na końcu kanapy w wykuszu pod wielkim oknem, cicho jęknął. Miał około dwudziestu pięciu lat, ale wyglądał na znacznie starszego, niż spodziewał się Colman. Był chudy i żylasty, miał twarz pełną wyrazu, co podkreślały błyszczące ciemne oczy; wąską, starannie przyciętą brodę i falujące czarne włosy. Ubrany był w koszulę w szkocką kratę z przewagą czerwieni i jasnoniebieskie dżinsy, co umacniało wrażenie, jakie odniósł na jego temat Colman: człowieka łączącego lekceważącą postawę wobec materialnych aspektów życia z namiętnym oddaniem się pracy umysłowej.

W parę chwil później domowy robot Kulas – niezbędny element w każdym miejscu na Chironie, gdzie znajdowały się dzieci – ukazał się w progu. – Wyślizgnęło się – oświadczył. – Przepraszam, szefie. Nadałem polecenie wysłania zamiany.

Adam z rezygnacją machnął ręką. – Okay, okay. Nie musisz się kajać. A co, żeby tak posprzątać?

– O tak. Powinienem był o tym pomyśleć. – Kulas zrobił w tył zwrot i chwiejnie podążył do kuchni. Doleciał odgłos otwierania drzwi i gmerania w schowku, z którego coś wyciągano.

– Czy on tak często robi? – zapytał Colman z głębin fotela, który godzinę temu w związku z ich przybyciem został uwolniony ze stosu leżących na nim książek oraz wypchanych ptaków.

– To jest szmelc – powiedział Adam znużonym tonem. – Ma gdzieś nawalone obwody wizualne... czy coś w tym rodzaju. Nie znam się.

– Nie możesz go dać naprawić? – spytał Colman.

Adam machnął ręką. – Dzieci się nie zgadzają! Mówią, że to już nie byłoby to samo. Co można zrobić?

– Nie pozwolimy mu na to, prawda? – zwróciła się Kath do dziesięcioletniego Bobby'ego i ośmioletniej

– Nie wiem. – Amy wykrzywiła twarz i potarła grzbiet nosa palcem. – Myślę, że musiałabym chyba zwariować.

– No to m a s z temat do przemyślenia – oświadczył Cromwell.

Rozdział XI

ŁUP, ŁUP, ŁUP, łup, łup, łup, łup, łup.

– Oddział... stój!

Łup-łup!

Oddziałek z kompanii „D" zatrzymał się w korytarzu wiodącym z Laboratorium Spektroskopii Rentgenowskiej i Analizy Obrazu, w miejscu, w którym rozszerzał się on w pionową wnękę, mieszczącą schody o stalowej poręczy. Prowadziły one na Pokład Obserwacyjny, gdzie znajdowały się pięciusetcentymetrowe interferencyjne teleskopy optyczne oraz teleskopy dla obserwacji w promieniach gamma. Paru przechodzących Chirończyków zatrzymało się na chwilę, by popatrzeć, wesoło pomachało rękami i poszło dalej do swoich zajęć.

– Wartownik na posterunek... marsz! – wrzasnął Sirocco. Starszy szeregowiec Driscoll wykonał krok w tył z końca znacznie już uszczuplonego rzędu żołnierzy, wykonał zwrot o dziewięćdziesiąt stopni w prawo, jeszcze krok w tył, w końcu zastygł w postawie zasadniczej plecami do ściany, u wejścia do bocznego mniejszego korytarza. – Defiladowe... spocznij! – Driscoll odstawił lewą stopę stając na rozstawionych nogach i przerzucił karabin z ramienia w ten sposób, by stopka kolby znalazła się o jeden cal od jego buta. – Reszta oddziału w lewo... marsz!

Łup, łup, łup, łup...

Rytmiczny łomot maszerujących nóg ucichł w oddali. Zamiast niego pojawiły się zmieszane odgłosy codziennego życia na „Kuan-yin": głos dziewczynki, wykrzykującej jakieś liczby do kogoś o jeden pokład wyżej: odległy śmiech dziecięcy, dolatujący z otwartych drzwi na drugim końcu korytarza, przy którym stał Driscoll; cichy szum maszynerii. Z dołu dobiegł przytłumiony pulsujący dźwięk, przez chwilę narastał, wywołując wibrację podłogi. Z prawej strony rozległy się kroki i urywek rozmowy, przerwane nagle odgłosem zamykanych drzwi.

Driscollowi trochę ulżyło. Jeśli to, co widział dotychczas, będzie trwało nadal, Chirończycy nie sprawią żadnych kłopotów. W holu koło rampy wejściowej musiał ugryźć się w język, by zachować powagę, a cudem tylko nikt ważny nie usłyszał, jak chichocze stojący obok niego Stanislau. Chirończycy są w porządku – zdecydował. Wszystko będzie w porządku... pod warunkiem, że błazny w rodzaju Farnhilla nie wmieszają się, by spieprzyć całą sprawę.

Największe wrażenie zrobiło na nim to, że dzieci zdawały się nie mniej zaangażowane we wszystko, co tu się działo, niż dorośli. Zupełnie nie zachowywały się jak dzieci, lecz raczej jak mali ludzie, bardzo zajęci uczeniem się, jak się to wszystko robi. W pokoju o dwa posterunki wcześniej zauważył kilkoro dzieci nie starszych niż dwanaście lat, bardzo ostrożnie i z głębokim skupieniem badających wnętrze urządzenia elektronicznego, które musiało kosztować miliony. Starszy Chirończyk, który im towarzyszył ograniczał się do zaglądania im przez ramię i sugerowania czegoś od czasu do czasu. To ma sens – pomyślał Driscoll. Traktuj je jakby były odpowiedzialne, a będą się zachowywać odpowiedzialnie; daj im do zabawy kawałek taniego plastyku, a tak się będą zachowywały, jak na to zasługuje tani plastyk. A może Chirończycy ubezpieczyli swą aparaturę na wysokie sumy?

Driscoll zastanawiał się , do czego mógłby dojść, mając taki start życiowy, jak te dzieci. I co robiłby taki facet jak Colman, który więcej wiedział o maszynerii „Mayflower II", niż połowa zasmarkanych inżynierków w czwartym stopniu służbowym razem wziętych? Jeśli komputery wychowały pierwsze dzieci w taki sposób – myślał – to mógłby wskazać paru ludzi, którym przydałyby się takie lekcje.

On sam inaczej zaczynał życie. Wojna obdarzyła jego rodziców skazą genetyczną i dwoje ich pierwszych dzieci zmarło w niemowlęctwie. Starzejąc się przedwcześnie z powodu wojennych skutków ubocznych, poświęcając kilka pozostałych im lat, które mogli spędzić na Ziemi i wiedząc, że nigdy nie ujrzą Chirona, zabrali na pokład swego ośmioletniego chłopca, by zapewnić mu gdzieś daleko nowe życie. Paradoksalnie stan ich zdrowia zakwalifikował ich do udziału w wyprawie, ponieważ planiści domagali się włączenia w skład Misji starców oraz ubezpieczonych na życie o małym prawdopodobieństwie przeżywalności, po to, by zapewnić wolne miejsce dla przyszłych nowo narodzonych. Dynamiczny model populacji uznano za pożądany i choć niektórzy uznali przyjęte metody za toporne, niemniej były one konieczne.

Jako chłopak marzył o karierze estradowej: piosenkarza, a może humorysty. Ale nie umiał ani śpiewać, ani opowiadać kawałów. Gdy zaś jego rodzice w dwuletnich odstępach zmarli gdzieś w połowie drogi, wylądował w wojsku. A teraz, choć nadal nie umiał zaśpiewać ani jednej nuty, ani opowiedzieć

dowcipu, wiedział doskonale w jaki sposób za pomocą M32 zniszczyć z odległości dwóch tysięcy jardów mały budynek, umiały z zawiązanymi oczami obsługiwać kompak polowy i był specjalistą od rozbrajania wyzwalanych optycznie min przeciwpiechotnych.

Ale ponad wszystko był mistrzem w sprawie zupełnie ubocznej: w kartach. Nie pamiętał dokładnie, kiedy zaczęły go fascynować, ale musiało to nastąpić wkrótce potem jak Swyley, wówczas szeregowiec tak jak on, nauczył go tasować talię w taki sposób, by cztery asy znalazły się na jej wierzchu oraz kierować je do właściwych rąk podczas rozdawania. Stwierdziwszy ze zdumieniem, że ma do tego zdolności, Driscoll przez wiele wolnych od służby godzin tak długo ćwiczył magiczne ruchy jednej i obu dłoni, póki nie nauczył się wyczarowywać z pustych rąk trzech rozłożonych w wachlarze talii i podnosić określonej liczby kart z leżącej talii osiem razy na dziesięć. Swinką morską dla tych doświadczeń stał się Swyley, ponieważ Driscoll odkrył, że jeśli Swyley nie potrafi zauważyć triku, nikt nie potrafi. W następnych latach wydoskonalił swą technikę do tego stopnia, że Swyley był mu obecnie winien za długi karciane wraz z procentami 1 343 859 dolarów i 20 centów.

Lecz zdobyty rozgłos postawił go w sytuacji bez wyjścia na piątkowych nocnych rozgrywkach pokerowych: jeśli wygrywał, wszyscy mówili, że szachruje; jeśli zaś przegrywał, to mówili, że widocznie już się skończył. Przestał więc grać w pokera, ale dopiero wtedy, gdy jego nazwisko pojawiło się w raportach z tyłu sprzeczek i bójek, że został przeniesiony do kompanii „D". Gdy tak patrzył nieruchomym wzrokiem na ścianę po przeciwnej stronie korytarza, przyszło mu na myśl, że tam, gdzie jest taka masa dzieci, magik również powinien być bardzo pożądany. Im więcej o tym myślał, tym bardziej zapalał się do pomysłu. By jednak coś w tym kierunku zdziałać, musi najpierw znaleźć sposób na wydostanie się z wojska. Swyley powinien mieć na ten temat jakieś dobre pomysły - doszedł do wniosku.

Łup, łup, łup, łup. Tok jego myśli zakłócił odgłos zbliżających się marszowych kroków, lecz nie ze strony, w którą oddalił się oddział wartowniczy, który i tak nie wracałby tędy, lecz z przeciwnej, lewej. Ponadto odgłos nie przypominał tupania wielu par przepisowych butów wojskowych. Brzmiał, jakby wydawała go tylko jedna para, był też głośniejszy i bardziej metaliczny. Towarzyszyły mu dwa głosy dziecięce, przyciszone i przerywane chichotem.

Driscoll zerknął w bok. Oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia, gdy w pole widzenia wmaszerował jeden ze stalowych kolosów znajdujących się na „Kuan-yin", trzymając na ramieniu kawałek rury z aluminiowego stopu. Za nim podążała brązowa, wyglądająca na Hinduskę siedmioletnia dziewczynka i jasnowłosy chłopak prawie w jej wieku.

– Oddział... stać! – zawołała dziewczynka. Robot zatrzymał się. – Oddział... Och, nie wiem, co teraz trzeba powiedzieć. Stań na rozstawionych nogach i postaw karabin na dole. – Robot zrobił zwrot dokładnie naprzeciwko Driscolla, cofnął się o parę kroków pod przeciwległą ścianę i stanął w pozycji naśladującej jego postawę. Górna połowa głowy robota była zrobiona z przezroczystego materiału, wewnątrz zaś zapalały się i gasły kolorowe światełka; dolna połówka miała zamiast ust metalową kratkę i kamerę telewizyjną zamiast nosa. Wyglądała, jakby się uśmiechała.

– Zostań... tutaj! – rozkazała dziewczynka. Zdusiła kolejny wybuch śmiechu i powiedziała do chłopca cichszym głosem: – Chodź, postawimy jeszcze jednego naprzeciw Laboratorium Grafiki. – Oddalili się po cichu, Driscoll zaś został na miejscu, gapiąc się przez szerokość korytarza na niewzruszonego robota.

Przeszło kilka minut. Żaden z nich nie drgnął. Światełka w głowie robota wesoło mrugały na Driscolla, który z trudem walczył z narastającą chęcią wycelowania działa szturmowego i odstrzelenia robotowi jego głupiej głowy.

– Dlaczego stąd nie spływasz? – warknął na koniec.

– A dlaczego ty tego nie robisz?

Przez chwilę Driscoll miał wrażenie, że maszyna czyta jego myśli. Zamrugał ze zdziwieniem, ale zdał sobie sprawę, że to niemożliwe – po prostu zbieg okoliczności. – Jakże miałbym to zrobić? – odpowiedział. – Otrzymałem rozkazy.

– Ja także.

– Jest różnica.

– Jaka?

– Ty nie musisz tego robić.

– A ty musisz?

– Oczywiście.

– Dlaczego?

Driscoll westchnął poirytowany. Nie miał czasu na długie dyskusje. – Nie rozumiesz tego – powiedział.

maszyna na nóżkach, z pękiem pojemników, zaworów i rur na jednym końcu; na drugim zaś jeżyły się wiertarki, piły i różne inne narzędzia dodatkowe. Przed domem parkował pojazd naziemny z wieloczłonkowym wysięgnikiem teleskopowym, podtrzymującym pomost roboczy. O kilka jardów z boku wysmarowany farbami robot z wyglądem ucznia o niewielkiej praktyce uważnie przyglądał się malarzowi. Chirończyk zdawał się mieć tyle samo lat, co którykolwiek ze spotkanych dotychczas przez Colmana i miał brązową, ogorzałą twarz. Ale jeszcze bardziej zaintrygował Colmana sam dom, wybudowany na wzór mieszkań ziemskich sprzed stu lat - z prawdziwego drewna, pomalowanego farbą olejną. Nie był to jedyny ze spotykanych we Franklinie anachronizmów, gdzie budowle według projektów liczących trzy wieki doskonale współistniały z wagonami maglewu i genetycznie zmodyfikowanymi roślinami. Ale Colman nie miał jeszcze okazji zapoznać się bliżej z takim zjawiskiem.

Malarz obejrzał się i zauważył, że jest obserwowany. – Piękny mamy dzień – rzucił, kontynuując pracę. Ściana, którą wykańczał, była gruntownie oczyszczona, wyszpachlowana, wypolerowana i zagruntowana. Wymieniono parę desek i zreperowany został parapet okienny, wszystko gotowe do pomalowania. Robota ciesielska była dobra i czysta, wymienione części pasowały dokładnie. Malarz pracował powolnymi, odmierzonymi ruchami, którymi równo nakładał farbę, nie zostawiając smug po pędzlu czy nierównych miejsc. Trójka Ziemian przeszła przez ulicę i zatrzymała się na chwilę, by dokładniej przyjrzeć się pracującemu.

– Dobrze to robisz – odezwał się wreszcie Hanlon.

– Miło, że tak sądzisz – odrzekł nie przerywając pracy malarz.

– To ładny dom – zauważył Hanlon po krótkiej przerwie.

– Owszem.

– Twój?

– Nie.

– Kogoś znajomego? – spytał Colman.

– Trochę. – To zdawało się coś wyjaśniać, póki malarz nie dodał: – Czy wszyscy nie znają trochę wszystkich?

Colman i Hanlon wymienili spojrzenia. Było jasne, że nie dowiedzą się niczego, jeśli nie spytają wprost. Hanlon wytarł dłonie o spodnie na biodrach. – My... nie chcemy być wścibscy ani nic w tym rodzaju, ale pytamy z czystej ciekawości: czemu ty to malujesz? – zapytał.

– Bo to wymaga pomalowania.

– I co z tego? – spytał Jay. – Jaka to dla ciebie różnica, czy czyjś dom wymaga pomalowania, czy nie?

– Jestem malarzem – odpowiedział malarz przez ramię. – Lubię dobrą robotę malarską. Jakiż mógłby być inny powód do robienia czegokolwiek? – Cofnął się o krok, przyjrzał się krytycznie wynikom własnej pracy, kiwnął twierdząco głową i wrzucił pędzel do otworu w swym samobieżnym warsztacie, gdzie uchwyciła go mechaniczna łapa i zaczęła płukać w rozpuszczalniku. – A znów ludzie, którzy tu mieszkają, są hydraulikami, prowadzą bar w mieście, jeden z nich uczy gry na tubie. Moja instalacja niekiedy potrzebuje naprawy, lubię od czasu do czasu wypić drinka na mieście, a któregoś dnia któreś z moich dzieci może zechcieć uczyć się gry na tubie. Oni naprawiają krany, a ja maluję domy. Co w tym dziwnego?

Colman zmarszczył brwi, potarł ręką czoło i w końcu zrobił gest zniechęcenia. – Nieee... jakoś nie możemy się dogadać. Powiedzmy to inaczej – w jaki sposób możesz z m i e r z y ć, ile kto jest komu winien?

Malarz podrapał się po nosie i wlepił wzrok w ziemię. Oczywiste było, że jest to dla niego nowe pojęcie.

– Skąd wiesz, że wykonałeś tyle pracy, ile trzeba? – odezwał się Jay, starając się malarzowi ułatwić zrozumienie.

Zapytany wzruszył ramionami. – Po prostu wiem. Skąd wiesz, że zjadłeś tyle, ile trzeba?

– A jeśli różni ludzie są na ten temat różnego zdania? – nalegał Colman.

Hanlon, usiłując zamknąć swoje sto i jeden sprzeciwów w paru słowach, oblizał wargi. – No i kto by pomyślał? Ale jak można w ogóle cokolwiek zrobić takim sposobem? A co przeszkodzi jakiemuś facetowi dojść do wniosku, że nie będzie nic robił, tylko opalał się na słoneczku.

Malarz, właśnie oglądający parapet okienny, do którego miał się wkrótce zabrać, miał niepewną minę. – To jest bezsensowne – mruknął po chwili. – Po co ktoś miałby być biedny, kiedy nie musi? To by było dziwaczne zachowanie.

– Oczywiście nic by mu z tego nie przyszło – odrzekł z powątpiewaniem Jay. – To znaczy nie pozwolilibyście mu ot tak spacerować sobie i brać darmo wszystko, czego zechce, prawda?

przez które oglądała widok Dystryktu Kolumbia. – Zdawało mi się, że wcześniej powiedziałeś, iż istnieje paragraf zapewniający ciągłość nadzwyczajnych uprawnień, o ile wymagają tego względy bezpieczeństwa – powiedziała marszcząc brwi.

– Gdy dyskutowaliśmy nad paragrafem o Ciągłości Urzędu – powiedział Kalens.

Fulmire zastanawiał się przez chwilę, po czym pochylił w fotelu, by przejrzeć jeden z otwartych podręczników. – To się znajduje w rozdziale „Krytyczne Sytuacje", a nie „Bezpieczeństwo" – odpowiedział po chwili nie podnosząc wzroku. – Zgodnie z postanowieniami, dotyczącymi krytycznych sytuacji, które mogłyby pojawić się p o d c z a s t r w a n i a p o d r ó ż y , Dyrektor może zawiesić działalność Kongresu po obwieszczeniu, że powstała sytuacja krytyczna.

– Tak, wiemy o tym – zgodziła się Quarrey. – Ale czy nie było tam czegoś na temat przeniesienia tych uprawnień na Zastępcę Dyrektora?

Fulmire pochylił głowę nad innym paragrafem, a po chwili niechętnie potwierdził. – Jeśli Dyrektor staje się niezdolnym do wykonywania, lub w inny sposób zostaje mu uniemożliwione sprawowanie jego funkcji, wówczas Zastępca Dyrektora automatycznie przejmuje wszelkie uprawnienia, które uprzednio przysługiwały Dyrektorowi – oświadczył.

Kalens poderwał się. – Gdyby więc Dyrektor już uprzednio zawiesił Kongres, czy ten stan prawny trwałby nadal pod rządami nowego Dyrektora? – Zastanowił się i dodał: – Jestem pewien, że tak musi być. Oczywiście celem jest zapewnienie kontynuacji właściwych środków zaradczych podczas trwania sytuacji krytycznej.

Fulmire zaniepokoił się, ale w końcu był zmuszony pogodzić się z tą interpretacją. – Ale – ostrzegł – taka sytuacja może powstać tylko wówczas, gdy już u p r z e d n i o została wprowadzona w życie klauzula stanu krytycznego. W żadnym wypadku nie może się to odnosić do obecnie istniejących okoliczności.

– Nie sądzisz, że statek kosmiczny pełen uzbrojonych po zęby Azjatów nadlatujący w naszym kierunku stanowi sytuację krytyczną? – zapytał sarkastycznie Borfontein.

– Wyłącznie Dyrektor ma uprawnienia do podjęcia co do tego decyzji – odpowiedział zimno Fulmire.

Dyskusja trwała jeszcze pewien czas nie czyniąc widocznych postępów, ale Kalens stał się mniej natarczywy i bardziej pogrążył się w myślach. W końcu goście wyszli, Fulmire zaś długo siedział przy biurku, wpatrując się w jego powierzchnię z wyrazem głębokiego niepokoju. Wreszcie włączył ponownie terminal komunikacyjny obok fotela, wyłączony uprzednio w odpowiedzi na prośbę Kalensa „o jedną czy dwie opinie, których wolałbym nie rejestrować".

– Z jakim działem? – zapytał terminal.

– Środków łączności – odpowiedział powoli Fulmire z wyrazem głębokiej troski na twarzy. – Zechciej znaleźć dla mnie Paula Lechata i połącz, jeśli jest wolny. Połączenie kanałem bezpodsłuchowym.

Rozdział XVIII

– Ciągle nie mogę zrozumieć, co tych ludzi motywuje do działania – powiedział Colman do Hanlona, gdy szli wraz z Jayem do domu Adama. – Wygląda, że wszyscy pracują bardzo ciężko, ale czemu właściwie pracują, gdy nikt im nie płaci za nic?

Przejechał autokar. Kilku Chirończyków pomachało im z okien. – Chyba to nie zupełnie jest tak – zauważył Jay. – Kobieta, o której mówiłem, powiedziała Jerry'emu Pernakowi, że praca badawcza na uniwersytecie jest dobrze opłacana. To chyba musi coś znaczyć.

– No, na pewno nie jest opłacana w pieniądzach – zwrócił się Colman do Hanlona. – Co sądzisz, Bret?

Gdy Jay telefonował rano, Adam powiedział mu, by przyprowadził tylu Ziemian, ilu będzie miał ochotę. Jay dostał połączenie z Colmanem do szkoły w Canaveral City, używanej przez armię jako tymczasowe koszary, ale sierżant zaczął się tłumaczyć, że przeznaczył to popołudnie na inne zajęcia. W rzeczywistości chciał się dowiedzieć od chirońskich komputerów czegoś więcej o Port Norday. Niemniej, gdy Jay nadmienił, że będzie tam Kath z wizytą u swoich wnuków, Colman zmienił plany. W końcu – przekonywał sam siebie – nie ma lepszego źródła informacji o Port Norday, niż Kath. Ponieważ Hanlon miał dzień wolny od służby, Colman zaprosił również i jego.

– Myślę, że spodziewasz się odpowiedzi na twoje pytania – odrzekł Hanlon. – Dla mnie to wszystko jest kompletna abrakadabra... – Zwolnił kroku i pokazał głową w kierunku przeciwnej strony ulicy. – Tam właśnie masz faceta, którego powinieneś o to zapytać – podsunął.

Dwaj pozostali poszli za jego spojrzeniem i ujrzeli Chirończyka, ubranego w kombinezon i zielony kapelusz z czerwonym piórem, malującego dolną część ściany jednego z domów. Koło niego stała

– Czyżby? – odpowiedział robot.

Driscoll musiał namyśleć się nad odpowiedzią, przeszło więc parę sekund. – To nie to samo – odrzekł. – Ty po prostu zabawiasz dzieci.

– A ty co robisz?

Na to Driscoll nie miał gotowej odpowiedzi. Ponadto zbyt mu się chciało palić, by miał ochotę na dialog filozoficzny. Zwrócił głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę korytarza i znów popatrzył na robota. – Czy możesz mi powiedzieć, czy którykolwiek z naszych znajduje się w pobliżu?

– Tak, mogę. Nie, nie znajduje się. A co – masz już tego dosyć?

– Czy nie będę nikomu przeszkadzał, jeśli zapalę?

– Mnie nie będzie przeszkadzało nawet, jeśli zapalisz się płomieniem. – Robot ochryple zachichotał.

– Skąd wiesz, że nie ma nikogo w pobliżu?

– Wszystkie kamery sieci dozorowania na statku są w tej chwili włączone, a ja jestem połączony z siecią. Mogę oglądać wszystko i wszędzie. Pozwól sobie, jest okay. Okrągła pokrywka w ścianie obok ciebie to wejście do spalarki. Możesz jej użyć zamiast popielniczki.

Driscoll odstawił działo szturmowe, z wewnętrznej kieszeni wyłowił paczkę papierosów i zapalniczkę, zapalił i oparł się o ścianę, wdychając dym z lubością. Podrażnienie jakie odczuwał rozwiało się z dymem. Robot odłożył swój kawałek rury, założył ręce na piersi i również oparł się o ścianę. Oczywiście był zaprogramowany w ten sposób, by postępować zgodnie z zachowaniem się ludzi wokół niego. Driscoll znowu spojrzał z ciekawością na robota. Miał ochotę wdać się z nim w rozmowę, ale sytuacja była na to zbyt dziwaczna. Błysnęło mu w głowie, że o wiele łatwiej byłoby porozmawiać, gdyby robot był szeregowcem piechoty z FWA. Nigdy nie myślał, że coś go może łączyć z Chirończykiem. Nie wiedział, czy rozmawia z robotem, czy przez niego z komputerami gdzieś na „Kuan-yin", a może nawet na powierzchni Chirona; czy te komputery myślały, czy tylko były sprytnie zaprogramowane, czy jeszcze inaczej. Rozmawiał kiedyś z Colmanem na temat inteligencji maszynowej. Colman powiedział, że w zasadzie jest ona możliwa, ale zanim powstaną sztuczne mózgi, wyposażone w autentyczną osobowość, upłynie przynajmniej jeszcze sto lat. Na pewno Chirończycy nie mogli ich na tyle przegonić. – Jaką maszyną jesteś? – zapytał. – To znaczy, czy potrafisz myśleć jak człowiek? Czy wiesz kim jesteś?

– A jeśli powiem, że wiem? Czy tobie coś to powie?

Driscoll zaciągnął się papierosem. – Myślę, że nie. Skąd miałbym wiedzieć, czy ty wiesz, co mówisz, czy po prostu jesteś zaprogramowany do takiej odpowiedzi? Nie ma sposobu, by to odróżnić.

– Więc czy to robi jakąś różnicę?

Driscoll zmarszczył brwi, pomyślał nad odpowiedzią, potrząsnął głową i zmienił temat. – To trochę dziwne – powiedział.

– Co jest dziwne?

– Czemu jesteście uprzejmi dla ludzi, którzy tak się zachowują, jakby chcieli wam odebrać statek?

– Czy ty chcesz nam odebrać statek?

– Ja? Do diabła, wcale nie. Cóż bym z nim zrobił?

– No to masz odpowiedź.

– Ale ludzie, dla których pracuję, mogą dojść do wniosku, że są jego właścicielami – zwrócił uwagę Driscoll.

– To ich sprawa. Jeśli taka myśl zrobi im przyjemność, co nas to obchodzi?

– Czy ludzi stąd nic by nie obchodziło, gdyby nasi zaczęli im mówić, co mają robić?

– Czemu miałoby to ich obchodzić?

Driscoll nie mógł się z tym pogodzić. – Chcesz powiedzieć, że spokojnie robiliby to, co nasi ludzie by im polecili? – zapytał.

– Nie powiedziałem, że oni by cokolwiek z r o b i l i – odrzekł robot. – Powiedziałem tylko, że nie zrobi im różnicy, czy wasi będą im cokolwiek polecać.

W tym momencie dwie chirońskie dziewczyny ukazały się zza rogu węższego korytarza. Wyglądały ładnie i świeżo w luźnych bluzkach, dopasowanych spodniach i lekkich wysokich butach z jakiegoś elastycznego, połyskliwego srebrzystego materiału. Jedna z nich miała falujące kasztanowate włosy z rudawym odcieniem i wyglądała na trzydzieści parę lat, druga była blondynką i miała chyba jakieś dwadzieścia dwa lata. Przez moment Driscoll poczuł odruchowy lęk, że zapewne śmiesznie wygląda, ale dziewczyny nie okazały zdziwienia. Zamiast tego zatrzymały się i spojrzały na niego bez wrogości, natomiast z pewną rezerwą – jakby chciały się do niego uśmiechnąć, ale nie były całkiem pewne, czy powinny.

– Cześć – powiedziała ruda nieco powściągliwym tonem.

Driscoll wyprostował się pod ścianą i wyszczerzył zęby, nie wiedząc, co by tu zrobić. – No... cześć – odpowiedział.

Twarze dziewczyn natychmiast rozjaśniły się uśmiechami. Podeszły do niego. Ruda serdecznie uścisnęła mu dłoń. – Widzę, że już poznałeś się z Wellingtonem. Jestem Shirley. To moja córka, Ci.

– To jest twoja c ó r k a ? – Driscoll zamrugał ze zdziwienia. – No wiesz, myślę, że to jest... bardzo miłe.

Ci zachowywała się dokładnie, jak jej matka. – Kim jesteś? – zapytała.

– Ja? Och... nazywam się Driscoll, Tony Driscoll. – Oblizał wargi, szukając co by dalej powiedzieć. – Mam wrażenie, że ja i Wellington strzeżemy korytarza.

– Przed kim? – zapytała Ci.

– Dobre pytanie – skomentował Wellington.

– Jesteś pierwszym Ziemianinem, z którym rozmawiamy – powiedziała Shirley. Kiwnęła głową w kierunku, z którego przyszły. – Mam tam klasę dzieci, które palą się z ciekawości. Czy chciałbyś pójść do nich, przywitać się i porozmawiać przez pięć minut? Sprawiłbyś mi wielką przyjemność.

– Co? – zdumiał się Driscoll. – Nigdy nie rozmawiałem z żadnymi klasami. Nie wiedziałbym, od czego zacząć.

– Najwyższy czas, abyś zaczął się w tym ćwiczyć – zwróciła mu uwagę Ci.

Przełknął ślinę i potrząsnął głową. – Muszę stać w tym miejscu. Nawet ta rozmowa wystarczy, by mnie rozstrzelano. – Ci wzruszyła ramionami, ale wyglądało, że pogodziła się z takim stanem rzeczy. – Czy wy dwie, e... jesteście tutaj nauczycielkami albo czymś w tym rodzaju? – spytał Driscoll.

– Czasami – powiedziała Shirley. – Ci głównie uczy angielskiego, ale robi to przede wszystkim na planecie. To znaczy wtedy, gdy nie pracuje w elektronice albo nie zakłada gdzieś podziemnych przewodów elektrycznych dla fabryk. Ja nie mam tak technicznych zainteresowań. Hoduję oliwki i winorośl na Półwyspie i projektuję wnętrza. Po to właśnie tu przyleciałam – Clem chce zmienić wyposażenie i dekorację pomieszczeń załogi i pokładu jadalnego. Ale od czasu do czasu uczę także krawiectwa, choć niewiele.

– Ale ja mam na myśli stałą pracę – powiedział Driscoll. – Jakie masz podstawowe zajęcie?

– Wszystkie, które wymieniłam. – Shirley była z lekka zdziwiona. – Co rozumiesz przez „podstawowe"?

– Oni robią zawsze to samo, od chwili ukończenia szkoły do przejścia na emeryturę – przypomniała matce Ci.

– No tak, oczywiście – zgodziła się Shirley. – To okropne. Niemniej to ich sprawa.

– A co robisz najlepiej? – spytała go Ci. – To znaczy... zamiast podpierania ścian, dla innych ludzi. Przecież to żadna przyjemność.

Driscoll pomyślał na ten temat, ale w końcu był zmuszony bezradnie potrząsnąć głową. – Obawiam się, że nie robię nic, co by cię mogło zainteresować – przyznał wreszcie.

– Ależ każdy ma coś takiego – nalegała Shirley. – Co lubisz robić?

– Naprawdę chcecie wiedzieć? – W głosie Driscolla pojawiło się napięcie.

– Hej, hamuj się, żołnierzu – rzekła podejrzliwie Ci. – Jeszcze jesteśmy obcy. Później, kto wie? Ale to musi dojrzeć.

– Ależ nic takiego nie miałem na myśli – zaprotestował zaambarasowany Driscoll. – Jeśli już naprawdę chcesz wiedzieć, to lubię karty.

– Masz na myśli sztuczki karciane? – zainteresowała się Shirley.

– Oczywiście potrafię robić sztuki.

– Czy dobrze je robisz?

– Znakomicie. Potrafię je zmusić, by wstały z miejsca i mówiły.

– Lepiej dla ciebie będzie, gdy okaże się, że mówisz prawdę – ostrzegła Shriley. – Nie ma nic gorszego, jak próbować wydawać pieniądze, których się nie posiada. To tak, jakby się ludzi okradało.

Driscoll nie zrozumiał, co miała na myśli, więc powiedział tylko: – Mówię prawdę.

Shirley zwróciła się do Ci. – Słuchaj, czy nie byłoby cudowne, gdyby on przyszedł na najbliższe przyjęcie? Uwielbiam takie rzeczy. – Odwróciła się ponownie do Driscolla. – Kiedy lądujesz na Chironie?

– Jeszcze nie wiem. Nic nie słyszeliśmy na ten temat.

– No to zgłoś się do nas, gdy już będziesz wiedział, a wtedy coś zorganizujemy. Mieszkam we Franklinie, więc nie będzie żadnych problemów. Tam się zwykle spotykamy.

– Myślę, że to dobry pomysł – odpowiedział Driscoll. – Ale w tej chwili nie mogę niczego obiecywać. Wszystko zależy, jak sprawy się potoczą. Jeśli dobrze, jak znajdę twój adres?

zabezpieczenia się przed nawrotem kolonializmu i przyjęty system rządzenia całkiem skutecznie oddawał ówczesne nastroje. Stąd cały problem dzisiaj.

Jak oceniał Borfontein, Kalens poparty przez niego samego i wszystkie siły zbrojne, będzie miał pełnię władzy jakiej będzie potrzebował – oczywiście pod warunkiem, że wygra nadchodzące wybory. Ale po rozmowie na ten temat ze Stermem, Kalens zgodził się, że otwarta próba narzucenia Chironowi nowej władzy pociąga za sobą ryzyko zrażenia sobie ludności Wyprawy. Sytuacja wymagała bardziej subtelnego podejścia.

– W ostatecznym rachunku ludzie instynktownie lgną do tego, co znane i swojskie – wykładał Kalens po spotkaniu Borfonteinowi. – Jawne oparcie się na praworządności, jako alternatywa wobec bezprawia panującego na tej planecie, jest sposobem na utrzymanie spoistości. Nie możemy tego narażać na uszczerbek.

Borfontein musiał się więc zgodzić, że zastosuje się do reguł gry, opartych na postanowieniach prawnych dotyczących nienormalnych okoliczności, związanych z dwudziestoletnią podróżą przez kosmos.

By umożliwić szybkie i skuteczne reagowanie w krytycznych sytuacjach, Dyrektor Misji miał prawo zawiesić procedury demokratyczne, których wyrazicielem była instytucja Kongresu i przejąć wyłączną i pełną władzę na okres, jaki uznał za konieczne w istniejącej sytuacji. Chociaż intencją tych jego prerogatyw było ustępstwo na rzecz niewiadomych związanych z lotem międzygwiezdnym i były one w mocy tylko do momentu ukończenia podróży, Kalens interpretował je, zaś sędzia Fulmire potwierdził stanowisko, że formalnie będą one pozostawać w mocy aż do końca kadencji Wellesleya. Powstał więc następujący problem prawny: czy prorogatywy takie mogą zostać rozciągnięte na każdego, kto będzie szefem następnego rządu; jeśli zaś tak, kto był władny wpisać taką poprawkę do księgi zasad prawnych? Oczywiście mógłby to zrobić Kongres na swej plenarnej sesji. Ale nie zechce, ponieważ sprowadzałoby się to do uchwalenia końca własnego istnienia. Czy więc, biorąc pod uwagę wyjątkowe uprawnienia jakimi dysponował i które formalnie biorąc nadal miały moc prawną, mógłby to zrobić Wellesley?

Kalens podtrzymywał tezę, że Wellesley mógł. Wykoncypowało to kilku prawników, z którymi rozmawiał poprzedniego dnia. Ale równocześnie prawnicy ostrzegli go, że ta kwestia musi zostać rozstrzygnięta orzeczeniem sądowym. Kalens przyszedł więc, by spróbować wysondować opinię Fulmire'a co do jego przyszłego wyroku, zanim sprawa zostanie wniesiona, dając przy tym sędziemu do zrozumienia, że przychylne stanowisko nie będzie w przyszłości zapomniane. Próba spaliła na panewce we wręcz spektakularny sposób.

– Nie wezmę udziału w tego rodzaju szwindlach! – wrzasnął sędzia. – Wiesz doskonale, że jest to całkowicie niezgodne z prawem. Orzeczenie może nastąpić po normalnej rozprawie sądowej i tylko po takiej rozprawie. I na tym koniec. To, o co prosisz, jest niewybaczalne.

– Nasi ludzi mają prawo ze strony legalnie ustanowionego porządku prawnego oczekiwać ochrony, a na tej planecie nie ma niczego podobnego – upierał się Kalens. – Myślałem że etyka twojego zawodu wymaga, byś współdziałał ze wszystkim, co zmierza do jego ustanowienia. Przecież dokładnie taki jest sens tych postanowień.

– Wręcz przeciwnie, to prowadziłoby do ustanowienia faktycznej dyktatury – ripostował Fulmire. – Stan prawny ustanowiony przy użyciu bezprawia nie może być legalny.

– Ale przecież już zgodziłeś się, że nie ma w ogóle zagadnienia nielegalności – zwrócił uwagę Kalens. – Klauzula krytycznej sytuacji ma zastosowanie do chwili odbycia nowych wyborów.

– Ale Dyrektor nie dysponuje wyraźnie sformułowanym uprawnieniem przekazania tego przywileju swemu następcy – odpowiedział Fulmire. – Możesz nie próbować wydusić ze mnie jakichkolwiek zobowiązań co do możliwego orzeczenia w tej sprawie. Byłoby w najwyższym stopniu bezprawne, gdybym przyznał sobie prawo dawania ci jakichkolwiek obietnic w tym zakresie. To samo dotyczy wszelkich działań, które w ich wyniku byś podjął. Powtarzam, że nie mam nic do dodania.

– Więc powołaj się na klauzulę zagrożonego bezpieczeństwa – zaproponował Borfontein, wiercąc się na fotelu zmęczony całą aferą. – To sprawa bezpieczeństwa, prawda? Chirończycy oddali ją nam w trybie niestawiennictwa na wezwanie, a zagrożone jest nie tylko nasze bezpieczeństwo, ale i ich własne. „Pagoda" jest o dwa lata podróży. Ktoś musi przejąć kierownictwo tego wszystkiego.

Fulmire wskazał gestem na księgi i dokumenty rozłożone na biurku. – Klauzula bezpieczeństwa stanowi, że Kongres może uchwalić nadzwyczajne uprawnienia dla Dyrektoriatu w wypadku jawnego zagrożenia bezpieczeństwa, a Dyrektoriat może przekazać je szefowi rządu dopiero, gdy K o n g r e s przyzna takie uprawnienia. Klauzula nie upoważnia szefa rządu do przyznania takich uprawnień samemu sobie, a wobec tego nie może ich także przyznać swemu następcy.

Zapadło krótkie milczenie, sprawa stała w martwym punkcie. Marcia Quarrey odwróciła się od okna,

Bernard spojrzał na niego podejrzliwie. – Coś ty znowu wykombinował?

Jay wyszczerzył zęby z odrobiną zakłopotania. – Eeee... czy byś się bardzo wściekał, gdybym poprosił, by Steve poszedł tam ze mną?

– Jestem pewna, że Adam strasznie by się ucieszył – wtrąciła się Kath. Rzuciła Bernardowi wyczekujące spojrzenie, które byłoby w stanie stopić misę odrzutową „Mayflower II".

Bernard spojrzał na Kath, na Colmana, na Jaya i w końcu znowu na Colmana. Został pokonany i wiedział o tym. A po tajemniczym oświadczeniu Kath nie był skłonny spierać się zbyt mocno.

– Do licha, przecież nie jest aż tak źle. Nikt nie musi go pilnować, by nie został zastrzelony – odpowiedział. Jay zasmucił się. Ale Bernard kontynuował: – Ale jak amen w pacierzu potrzeba, by ktoś trzymał go z dala od tych wszystkich dziewczyn od których miasto się roi. – Kiwnął głową Colmanowi z krzywym uśmieszkiem. – Pilnuj go dobrze, Steve. To bardzo chytry chłopak. – A do syna zwrócił się zrezygnowany: – Ty zaś – mruknął – wracaj do domu na czas i nie wygadaj się przed matką.

Rozdział XVII

Generał Johannes Borfontein kierował się prostą i praktyczną filozofią życiową; tylko ten coś ma, kto sam tego szuka, a jeśli trzeba – bierze. Nikt nie daje nikomu czegoś za nic i nikt nie utrzyma długo w rękach tego, czego nie będzie bronił. Ta gra nosi nazwę: Przetrwanie. Nie on ustalał jej reguły; zostały wpisane do praw przyrody na długo, zanim pojawił się na świecie.

To bardzo ładnie starać się być miłym i układnym wobec wszystkich – jeśli to skutkuje; ale w ostatecznym rachunku jedyne, co powodowało, że ludzie brali pod uwagę piękne słowa wymieniane nad stołem rokowań, to liczba dywizji oraz głowic atomowych jakimi dysponowali – na poparcie słów. A gdy zawiodły wszystkie inne środki, jedynym sposobem obrony przez naród własnych interesów było: bronić ich siłą. Wtedy zaś największe szanse przetrwania dawało działanie na swoją korzyść w sposób totalny, przy użyciu wszelkich dostępnych sposobów; półśrodki prowadziły do zguby.

Koszty bezpośrednie, które należało płacić, były pożałowania godne, ale czy zdarzyło się, by przyroda dawała coś za darmo? A na dłuższą metę, czy miało to jakiekolwiek znaczenie?

Jak wszyscy dojrzali realiści, Borfontein pogodził się z godnym ubolewania faktem, że od czasu do czasu plany i posunięcia, które akceptował, powodowały zabijanie ludzi, nieraz w okropnych męczarniach. Ale nauczył się „obiektywizować swój punkt widzenia" z bezstronnością, jakiej wymagał jego zawód. Przewidywane ilości zabitych w planowanej operacji analitycy podawali mu jako „Współczynnik Start", rannych zaś jako „Współczynnik Obniżenia Zdolności Bojowej"; miasto przeznaczone do spopielenia wraz z mieszkańcami określano jako „Wyznaczone"; teren zalany napalmem i poddany skoncentrowanemu bombardowaniu był obszarem „Ofensywnego Rozpoznania Walką"; zrównanie zaś z ziemią wioski jako ostrzeżenie przeciw udzielaniu schronienia powstańcom było „Działaniem Obronnym". Taki był regulamin.

Jako major artylerii, zaledwie ukończywszy trzydzieści lat zorientował się, że sprawa Afryki Południowej jest ostatecznie przegrana. Wyemigrował więc, by zaofiarować swe usługi i doświadczenie rodzącemu się Nowemu Porządkowi Wielkiej Ameryki, gdzie weteranów doświadczonych w walce z ofensywami partyzanckimi i demonstracjami obywateli cywilnych usilnie poszukiwano, jako pomocnych w „renormalizacji" chaosu odziedziczonego po wojnie. Gdy awansował szybko w szeregach elity, której powierzono siły nowego narodu, Borfonteinowi na chwilę zaświtała wizja dowodzenia siłami zbrojnymi rzeczywiście zdolnymi rzucić na kolana cały świat. Ale marzenie wkrótce zgasło.

Opuścił więc Ziemię na pokładzie „Mayflower II" w poszukiwaniu lepszej przyszłości. Było ironią losu – powtarzał sobie wielokrotnie – że porywczość i niecierpliwość doprowadziły go do decyzji, która miała go unieruchomić na statku kosmicznym przez dwadzieścia lat.

Niecierpliwość ogarnęła go znowu, gdy siedział w apartamencie Williama Fulmiere'a, Sędziego Najwyższego „Mayflower II", słuchając jak Howard Kalens i Marcia Quarrey debatują nad subtelnościami konstytucji Misji. Tymczasem na planecie żołnierze otwarcie fraternizowali się z prawdopodobnymi przyszłymi wrogami, zaś w przestrzeni, o dwa lata lotu za nimi, pojazd kosmiczny Federacji Wschodnio-Azjatyckiej co dzień był bliżej.

Chociaż sondaże opinii publicznej ciągle wykazywały, że ma poparcie znacznej większości – Kalens martwił się, że nawet jako szef rządu będzie musiał dzielić władzę z Kongresem Misji, co pozbawi go możliwości jednoosobowego kierownictwa, którego, jak był przekonany, sytuacja będzie wymagać. Tylko mocny przywódca z zakresem władzy umożliwiającym podejmowanie ostatecznych decyzji będzie miał szanse stawienia czoła pojawiającym się problemom; ale konstytucja „Mayflower II" została zredagowana w sposób, uniemożliwiający komukolwiek osiągnięcie takiej pozycji. Jej duch był anachronizmem odziedziczonym ze starożytności, gdy nowo utworzona Federacja Amerykańska szukała dróg

– Och, po prostu zapytaj gdziekolwiek komputery, jak dostać się do domu Shirley-z-rudymi-włosami, matki Ci. One się tobą dalej zaopiekują.

– No to może zobaczymy się kiedyś tam, na dole – rzekła Ci.

– Nooo... tak. Kto wie? – Miał jeszcze coś dodać, gdy Wellington przerwał:

– Dwóch waszych oficerów idzie w tym kierunku. Myślę, że powinieneś o tym wiedzieć.

– Kto? – zapytał automatycznie Driscoll, wrzucając niedopałek do spalarki i podrywając broń na ramię. Pokrywa na piersiach Wellingtona odsunęła się, ukazując ekranik, na którym widniały postacie Sirocca i Colmana, w ujęciu z góry. Szli swobodnym krokiem wzdłuż korytarza, rozmawiając z garstką towarzyszących im Chirończyków. Driscoll powrócił do poprzedniej postawy i w chwilę później rozległy się kroki z szerszego, biegnącego w prawo korytarza. Zbliżały się.

– W porządku, Driscoll – zawołał z daleka Sirocco, gdy towarzystwo wynurzyło się zza zakrętu korytarza. – Daj sobie spokój z pantomimą. Znów jesteśmy w Fabryce Bomb. – Driscoll odprężył się i posłał zdumione spojrzenie w głąb korytarza.

– Mogłem się tego domyślać – powiedział do siebie Colman, obrzucając równocześnie taksującym spojrzeniem obie dziewczyny. Zatrzymał się.

– Bardzo tu przytulnie – zgodził się Sirocco.

– To jest Shirley i Ci – powiedział Driscoll. – A to Generał Wellington.

– Miałeś pogawędkę, prawda? – spytał Sirocco.

– Tak, rzeczywiście, takie odniosłem wrażenie, sir. Skąd pan wie?

Sirocco machnął ręką w kierunku korytarza, z którego przybył. – Bo wszędzie tak się dzieje, stąd właśnie wiem. Carson dyskutuje o futbolu, a Maddock opowiada jakimś dzieciom jak wyglądało dzieciństwo spędzone na „Mayflower II". – Westchnął, ale nie wydawał się przy tym szczególnie wzburzony. – Jeśli nie da się ich pobić, trzeba się do nich przyłączyć, co, Driscoll? Przynajmniej na godzinkę czy coś koło tego. A poza tym oni chcą coś pokazać Colmanowi w obserwatorium o piętro wyżej. Absolutnie nie rozumiem o czym rozmawiają.

– Steve jest inżynierem – wyjaśnił jeden z Chirończyków, brodaty młodzieniec w czerwonej koszuli w kratę, wskazując Colmana i zwracając się do Ci. – Opowiedzieliśmy mu o drganiach rezonansowych w zawieszeniu żyroskopu C7, a on powiedział, że może będzie mógł zasugerować sposób ich wytłumienia przez sprzężenie z laserem osiowania. Zabieramy go na górę, żeby rzucił na to okiem.

– Gustav był dokładnie tego samego zdania – powiedziała Ci, patrząc z aprobatą na Colmana. – Oglądał to wczoraj.

– Wiem. Może uda się załatwić, żeby Gustav i Steve razem nad tym popracowali.

– Hej, nie podniecajcie się tym zanadto – ostrzegł Colman. – Powiedziałem tylko, że chciałbym to obejrzeć. Armia może być zupełnie odmiennego zdania co do mojego angażowania się w tę sprawę. Więc nie dawajcie głowy za to, że się uda.

Chirończycy i Colman wspięli się na schodki o stalowej poręczy, dyskutując o przetwornikach różnicowych i kompensatorach indukcyjnych, Shirley zaś i Ci poszły swą drogą, bo Welligton przypomniał im, że do odejścia promu do Franklina mają mniej niż piętnaście minut. Driscoll i Sirocco zostali z Wellingtonem na korytarzu.

– Jeśli pozwoli pan zrobić uwagę, to czy to nie jest trochę ryzykowne, sir? – wyraził obawę Driscoll. – To znaczy... przy tym wszystkim, co się dzieje. Bo gdyby pokazał się pułkownik Wesserman czy ktoś inny...?

– Nie ma obawy gdy są tutaj chirońskie roboty. Cały statek jest dokładnie obstawiony. – Powąchał powietrze marszcząc nos i poruszając wąsami. – Odpocznijcie sobie, gdy jest okazja, szeregowiec Driscoll – doradził. – Zapaliłbym też jednego z tych papierosów, co ty.

Driscoll uśmiechnął się i poczuł się pewniej. – Widzisz, Wellington – powiedział – oni nie są wszyscy aż tacy źli, jak myślisz.

– Zadziwiające – odpowiedział Wellington obojętnym tonem.

Tego wieczoru odbyło się przyjęcie w Bowery z okazji szczęśliwego ukończenia podróży przez „Mayflower II". Wiele rozmów poświęcono wiadomościom nadanym wcześniej tegoż wieczoru, które z oburzeniem opisywały afronty wyrządzone z premedytacją przez Chirończyków delegacji wysłanej na „Kuan - yin", przez co rozumiało się, że obrażono całą Misję i wszystko, co reprezentowała. Zdaniem wielu obecnych nieźle byłoby dać Chirończykom lekcję, po prostu napraszali się o nią. Nikt z tak sądzących nie spotkał Chirończyka – pomyślał Colman – ale wszyscy znają się na nich doskonale. Nie chcąc jednak psuć nastroju na przyjęciu, nie podjął dyskusji na ten temat. Inni żołnierze z kompanii „D", którzy byli wraz z nim na „Kuan - yin", a teraz towarzyszyli mu w Bowery myśleli, jak się zdawało, podobnie.

Rozdział XII

Howarda Kalensa to nie bawiło.

– Skandaliczne przedstawienie – oświadczył odkrawając kawałek wyhodowanego w segmencie Kanzas melona, by go dołączyć do innych owoców na talerzu stojącym obok aperitifu na stole, przy którym siedzieli. – Kretyni i kompletne zera, co do jednego. Żaden nie reprezentuje władzy godnej uwagi. A przecież jest jasne, że muszą mieć jakąś organizację rządzącą, choć Bóg wie z jakich ludzi się ona składa, wnosząc ze stanu, w jakim znajduje się miasto... kompletna ruina. Wynika z tego jedyny wniosek, że oni przywarowali, a ludność im w tym pomaga. Myślę, że John ma rację – jeżeli oni wprost zapraszają nas do wzięcia władzy, powinniśmy to zrobić i mieć to z głowy.

Rozmawiano na świeżym powietrzu, na roboczym śniadaniu wydanym na tarasie ogrodowym na szczycie Centrum Rządowego, wieńczącego wznoszące się stopniowo kondygnacje budynków środkowej części Dystryktu Kolumbia. Wysoko nad nimi odsunięto żaluzje przykrywające z zewnątrz przezroczysty dach segmentu, by pozwolić cieszyć się niemal zapomnianym zjawiskiem: naturalnym światłem słonecznym, płynącym od Alfy Centaura stojącej nisko na niebie, na wprost dziobu Wrzeciona. „Mayflower II" z wolna obracał się, z osią obrotu wycelowaną w stronę gwiazdy.

Garfield Wellesley skończył smarowanie cienkiego tostu pasztetem z wątróbki i spojrzał na mówiącego. – A co z tym typem w Selene, który twierdzi, że jest gubernatorem planety i proponował spotkanie z nami? Co się z nim dzieje?

Kalens rzucił pogardliwe, pełne wyższości spojrzenie. – Moi ludzie skontaktowali się z nim przez chirońską sieć telekomunikacyjną. Okazało się, że jest to pustelnik mieszkający w górach z całym zoo ziemskich i chirońskich zwierząt i trzema uczniami. Wszyscy są chorzy umysłowo.

– Rozumiem...– Wellesley zmarszczył brwi i skubnął kawałeczek tostu.

– Każcie wylądować „S" – manom i ogłoście stan wojenny – warknął siedzący obok Kalensa Borfontein. – Mieli swą szansę. Jeśli się od niej odwrócili i oddali ją nam, bierzmy. Co się patyczkować?

Dyrektor Handlu i Polityki Gospodarczej Marcia Quarrey sączyła koktajl z niezbyt zadowoloną miną. – Oczywiście to byłoby możliwe – oświadczyła odstawiając szklankę. – Ale czy to się na coś przyda? Plany dotyczące nieprzewidzianych wypadków były robione z założeniem, że spotkamy się z oporem. No cóż, żadnego oporu nie było. Jaki sens ma przepuszczenie okazji robienia dobrych interesów i to z perspektywą ich rozwoju, niepotrzebnie prowokując działania wojenne? Franklin możemy mieć po prostu tam wchodząc. Wcale nie musimy tego robić demonstracyjnie.

– Właśnie tak myślałem – dorzucił Wellesley kiwając z aprobatą głową. – Musicie też pamiętać, że nasi ludzie, teraz gdy przestali się bać, stają się coraz bardziej niespokojni. Po dwudziestu latach nie możemy bez żadnych oczywistych powodów trzymać ich stłoczonych jak w klatce na „Mayflower II". Mają przygotowane mieszkania we Franklinie koło kosmodromu. Skłaniam się do zdania, że powinniśmy zacząć wysyłać na planetę pierwsze grupy. O ile wiemy, rząd Chirona mógł się ukryć, ponieważ niepokoi się, jakie mamy zamiary. Może to okaże się właściwym sposobem skłonienia ich do tego, by się pokazali.

– Zgadzam się – oświadczyła Marcia Quarrey. Spojrzała na Borfonteina. – Jeśli sprawy mają się w taki sposób, wysyłanie „S" – manów tylko potwierdziłoby ich obawy. To najgorsze, co możemy zrobić.

Kalens, który żuł plaster pomarańczy zrobił minę, jakby owoc był zgniły. – Ale przecież zostaliśmy publicznie obrażeni – zaprotestował. – Chcesz powiedzieć, że powinniśmy zwyczajnie schować to do kieszeni? To nie do pomyślenia. Jakiż precedens stworzylibyśmy w ten sposób?

– Z ludźmi tego pokroju nie można być delikatnym – oświadczył bez ogródek Borfontein. – Daj im palec, a znienawidzą cię, bo chcą całą rękę. Nie daj nic i przyciśnij ich ostro, to później, gdy im popuścisz na cal, będą cię kochać. Wszystko to już widziałem.

Quarrey westchnęła i potrząsnęła przecząco głową. – Możesz mieć Franklin i cały obszar wokół miasta jako kwitnący okręg produkcyjny i bogaty rynek albo też możesz go mieć w ruinach – powiedziała. – Co byś wolał, mając taki wybór? A przecież sprawy nie stoją tak, byśmy nie mieli wyboru, prawda? Wybór mamy.

– Słuszna opinia, zgadzam się z nią – oświadczył Kalens. – Ale przy tym trzeba ich nauczyć właściwych manier.

Wellesley lekko uniósł dłoń. – Nie powinieneś tego traktować jako sprawy tak bardzo osobistej, Howardzie – ostrzegł. – Wiem, że wczoraj byłeś w kłopotliwej sytuacji i nie mam zamiaru wybaczyć ich postawy, niemniej powinniśmy... – Przerwał, gdyż Sterm, Zastępca Dyrektora, zrobił ruch jakby chciał coś powiedzieć. Zdarzało się to tak rzadko, że już z samego tego powodu zasługiwało na uwagę. – Tak, Matt? – Inni spojrzeli na Sterma zdziwieni.

Sterm złożył dłonie na wysokości twarzy – szlachetnej twarzy o rysach godnych rzymskiego imperatora, uwieńczonej laurowym wieńcem kędzierzawych włosów, płasko zaczesanych do przodu. Skrywa-

transportera. Ci, którzy mieli odpoczywać, jak widać zapomnieli o tym. – Dzieje się tutaj coś bardzo dziwnego – powtórzył w duchu Colman.

Ledwie mignęła mu, widziana kątem oka, rozczochrna postać wyłaniająca się z głównego wejścia, gdy postać go rozpoznała i zatrzymała się zaskoczona. Zwróciło to uwagę Colmana, który odruchowo spojrzał w tym kierunku i zobaczył Jaya Fallowsa. Zanim któryś z nich zdążył cokolwiek powiedzieć, o kilka kroków z tyłu pojawił się Bernard Fallows, ujrzał Colmana i stanął jak wryty. Było za późno, by mógł się wycofać, a niemożliwe, by iść dalej. Przeszło kilka niezręcznych sekund. Bernard okazywał wszelkie oznaki bolesnego ataku zażenowania i złego samopoczucia, z równoczesną ostrą niezdolnością zrobienia czegokolwiek, by je przezwyciężyć. Colman nie uważał, by miał najmniejszy obowiązek zrobienia pierwszego kroku. Wzrok Bernarda przesuwał się od Colmana do Kath i Colman natychmiast zorientował się, że ci dwoje już się znają. Bernard miał minę, jakby chciał odezwać się do niej, a równocześnie nie mógł tego zrobić w obecności Colmana.

A wówczas Jay, który patrzył to na jednego, to na drugiego, podszedł do ojca i zaczął mu coś po cichu perswadować. Bernard zawahał się, znowu z ukosa spojrzał na Colmana, wziął głęboki oddech i z Jayem u boku niezdecydowanie się zbliżył.

– Dawnośmy się nie widzieli – wyjąkał. Jego wzrok uciekał na bok, aż wreszcie Fallows spojrzał Colmanowi wprost w oczy. – Steve, wiesz, wtedy na statku w sali pomp, ja, eee, ja...

– Nie ma sprawy – przerwał Colman. – Każdemu mogło się zdarzyć. Dajmy sobie spokój z tym i z innymi bzdurami, które mamy za sobą.

Bernard z ulgą kiwnął głową, lecz zwracając się do Kath, która patrząc z ciekawością zbliżyła się do nich, nadal miał nieszczęśliwą minę. Wyglądało, że chce coś powiedzieć, ale nie wie jak zacząć.

Jay ze swej strony coraz lepiej przyswajał sobie chirońską bezpośredniość. – Interesują nas ci ludzie w środku – powiedział. – Szczególnie mego tatę. Dziwne, że mu o tym nic nie powiedziano.

Bernard drgnął zaskoczony, ale Kath ani nie obraziła się, ani zdziwiła.

– Przypuszczałam, że tak będzie – odpowiedziała, lekko skinąwszy głową. – Nanook mi o tym powiedział. – Spojrzała na Bernarda. – Nie mamy tu wiele tajemnic – rzekła mu. – Farnhill powiedział, że to należy do planu wymiany wizyt, ale ta zasłona dymna jest dla nas zupełnie przezroczysta, o czym nie wie, bo nigdy o to nie pytał. Próbują robić rozpoznanie zakładów na wypadek, gdyby następnie zdecydowali się je przechwycić. Dlatego przyjechał z nimi twój szef, Merrick – by ocenić, czy jego inżynierowie potrafiliby nimi pokierować. Wybrał Waltersa i Hoskinsa jako przyszłych szefów, jeśli Dyrektoriat zdecyduje się na takie posunięcie.

Początkowe zaskoczenie Bernarda jej szczerością szybko ustąpiło uczuciu goryczy, gdy zdał sobie sprawę, że słowa Kath potwierdzają jego najgorsze obawy. Dotychczas uparcie trzymał się resztek nadziei, że może fałszywie ocenił sytuację. Teraz, gdy nadzieja znikła, załamał się w widoczny sposób. Jay wbił wzrok w ziemię, Colman starał się wydusić z siebie jakiekolwiek słowa.

Kath przez parę sekund przyglądała im się w milczeniu, ale równocześnie z jakiejś przyczyny zdawała się rozbawiona sytuacją. Spojrzenie Bernarda wyrażało niepewność zmieszaną z urazą.

– Sądzę, że wiem o czym myślisz – powiedziała Kath. – Ale nie martw się o to. Farnhill ani Merrick nie będą nam tu rozkazywać. Hoskins nie ma żadnego poważnego doświadczenia z techniką wysokostrumieniową, a Walters jest niezły, ale niedbały jeśli idzie o szczegóły. Jeżeli ludzie stąd mieliby zaakceptować kogoś nowego, to tylko takiego, który znałby się na ich robocie i którego obecność nie wprowadziłaby nawet najmniejszego elementu ryzyka.

– Ale właściwie... co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Bernard podejrzliwie, a równocześnie nie wierząc własnym uszom.

Twarz Kath znowu rozjaśniła się szelmowskim uśmiechem. – To wszystko co zamierzałam powiedzieć – odrzekła. – Przynajmniej w tej chwili. Po prostu sądziłam, że będzie ci przyjemnie to usłyszeć. – Zwróciła się do Jaya zmieniając temat. – Czang opowiadał o tobie memu synowi Adamowi, Adam zaś twierdzi, że powinieneś wpaść do niego, Jay. Mieszka we Franklinie, czyli niedaleko. Mógłbyś to zrobić?

– Wspaniała myśl. Oczywiście wpadnę. Jak dowiedzieć się o drogę? Przez sieć?

– No to już wiesz – uśmiechnęła się Kath.

Jay zerknął na Colmana, a później spojrzał w oczy Bernardowi. Świtała w nich nowa nadzieja, coraz silniejsza w miarę, jak zaczynał pojmować ukryte znaczenie słów Kath. Jay zawahał się, ale w końcu zdecydował, że ojciec jest we właściwym nastroju.

– Wiesz tato, ta planeta jest niezbyt bezpieczna – powiedział grobowym głosem. – Wszędzie strzelają do ludzi i tak dalej. Działając na własną rękę mógłbym się wplątać w niebezpieczne sprawy. Jestem pewien, że byłbym znaczanie bardziej zadowolony, gdybym miał zawodową ochronę.

– Nadal żadnych. Czas byś i ty odpoczął. Za parę minut wyjdę z Carsonem i Youngiem, by was zluzować. Powiedz Swyleyowi i Driscollowi, by zeszli z posterunku wraz z tobą. Byli na zewnątrz najdłużej ze wszystkich.

– Przyjąłem. Do zobaczenia za parę minut.

Gdy odkładał komunikator, za jego plecami żołnierze wydali stłumiony pomruk, przerwany jednym czy dwoma niemal niesłyszalnymi gwizdnięciami. Odwróciwszy się ujrzał, że przedmiotem ich podziwu była kobieta wychodząca przez główne wejście. Zatrzymała się na chwilę, rozejrzała, zobaczyła żołnierzy i podeszła do nich.

Miała dobrze ponad trzydziestkę – musiała więc należeć do Założycieli – i nosiła się z elegancją pełną godności, w postawie dumnie wyprostowanej, lecz bez cienia wyniosłości. Miała włosy opadające swobodnie na ramiona, blond z żywym, ognistym odcieniem, który w świetle słonecznym wydawał się niemal pomarańczowy; twarz kształtną i energiczną, która trochę przypominała Colmanowi Celię Kalens, choć o bardziej dziewczęcym wyrazie, łagodniejszej linii nosa i podbródka i ustami, które zdawały się gotowe do spontanicznego uśmiechu. Była wysoka, raczej szczupła, ale pięknie zbudowana, ubrana w wytworny, lecz nie pretensjonalny beżowy kostium z rudoczerwonym przybraniem i spódniczką ukazującą kształtne, mocno opalone łydki z mięśniami grającymi pod skórą przy każdym kroku.

Kobieta zatrzymała się i przez chwilę z zaciekawieniem obiegła wzrokiem ich twarze, żołnierze zaś pod jej spojrzeniem z zakłopotaniem prostowali się i szurali nogami.

– Jeśli idzie o nas, to naprawdę nie musicie stać tutaj na dworze – powiedziała. – Jeżeli chcecie, możecie wejść do środka. Może kawy albo coś do zjedzenia?

Colman podszedł bliżej i twarze żołnierzy instynktownie zwróciły się w jego stronę. Odruchowo zaczął się uśmiechać.

– To piękna myśl, proszę pani, ale otrzymaliśmy rozkazy i musimy tutaj zostać. Niemniej – jesteśmy wdzięczni.

I nagle zmarszczył brwi. Znowu to samo. Przecież ona cholernie dobrze wiedziała, że muszą stać w tym miejscu.

Oczy kobiety zatrzymały się przelotnie na jego dystynkcjach.

– Czy pan nazywa się sierżant Colman, ten interesujący się sprawami inżynierii?

Zaskoczony Colman otworzył szeroko oczy.

– Tak, to ja. Ale jak...

– Słyszałam o tobie. – Mogła słyszeć tylko od tych dwóch Chirończyków, z którymi wcześniej rozmawiał. Dlaczego powtórzyli jej jego nazwisko? Kim była?

Podeszła bliżej i uśmiechnęła się.

– Nazywam się Kath. Mam coś wspólnego ze stroną techniczną tego, co tutaj się robi. Z tego co słyszałam, to miejsce powinno cię zainteresować. Może gdy będziesz miał trochę wolnego czasu, miałbyś ochotę spotkać się z paru ludźmi stąd. Jeśli chcesz, mogę im o tym powiedzieć.

Colman nie posiadał się ze zdumienia. Potrząsnął głową, jakby chciał w ten sposób rozjaśnić myśli.

– Co... co pani tutaj właściwie robi?

Uśmiech Kath stał się figlarny, jakby rozbawiło ją jego zakłopotanie. – Och, ale byś się zdziwił.

Colman zmrużył oczy, ledwie słysząc zazdrosne pomruki za plecami. – No... jasne – powiedział ostrożnie. – Jeśli by to nikomu nie sprawiło kłopotu. Pewnie rozmawiała pani z tymi dwoma, którzy tu przedtem byli.

Kath potwierdziła skinieniem. – Wally i Sam. Rozmawialiśmy bardzo krótko, bo musiałam wracać do Farnhilla i reszty waszych ludzi, ale z tego co opowiadali wynika, że znasz się całkiem dobrze na generatorach magnetohydrodynamicznych. Gdzie studiowałeś?

– Och, byłem przez pewien czas w Korpusie Inżynierii, a poza tym myślę, że podłapałem trochę wiadomości tu i tam. – Jeśli ona tam w środku rozmawiała z delegacją Farnhilla, to oczywiście musiała być czymś więcej, niż zwykłą recepcjonistką. To po co u diabła wyszła na parking, by okazać uprzejmość żołnierzom?

– Ilu jeszcze inżynierów jest tutaj? – spytała niedbale, patrząc na resztę oddziału. Oczywiście była to forma nawiązania rozmowy, a nie pytanie na serio. Żołnierze poruszyli się niezręcznie i wymienili lękliwe spojrzenia, nie mogąc się zdecydować, czy mówi ona poważnie, czy tylko robi sobie z nich widowisko.

Ale Kath mówiła dalej swobodnie i naturalnie i z wolna ich skrępowanie zaczęło ustępować. Zaczęła od pytań, jak się im podoba Franklin i po dziesięciu minutach oczarowała ich zupełnie. Wkrótce wszyscy trajkotali jak dzieciaki na letnich wakacjach – włącznie ze zmiennikami, którzy tymczasem nadeszli z

ło to przed wszystkimi prócz najbardziej spostrzegawczych rysującą się na jego obliczu brutalność. Teraz wpatrywał się w środek stołu.

– Byłoby szaleństwem działać popędliwie tylko po to, by ułagodzić nasze krótkotrwałe urazy – oświadczył. Przemawiał powoli, z namysłem, starannie wymawiając spółgłoski. – Powinniśmy się przenieść na powierzchnię planety, do Franklina i narzucić naszą władzę spokojnie, ale zdecydowanie, bez melodramatycznych posunięć. Chirończycy własnym postępowaniem udowodnili, że są niezdolni do podjęcia odpowiedzialności i niegodni niczego więcej, niż statusu obywateli drugiej klasy. Ich przywódcy zrezygnowali ze wszelkich stanowisk, jakie mogli uzyskać dla siebie w przyszłej administracji planety i nie będą w stanie ustalać warunków czy domagać się względów w momencie, gdy się ujawnią. – Przerwał i zwrócił wzrok na Howarda Kalensa. – To zabierze więcej czasu, ale w ten sposób nauka dobrych manier, którą otrzymają, będzie znacznie trwalsza. Podstawa góry lodowej, o której tak często mówiłeś, już się ujawniła. Jeśli we właściwy sposób spojrzysz na potencjalną sytuację, zobaczysz, że trochę cierpliwości zaoszczędzi nam o wiele więcej czasu i wysiłków później.

Przez czas posiłku trwała dyskusja. Na koniec osiągnięto zgodę, że zostanie udzielone zezwolenie dla ludności cywilnej oraz symbolicznej jednostki wojskowej na rozpoczęcie przenosin na powierzchnię, do Franklina.

– Nadal mi się to nie podoba – utyskiwał Borfontein, rozmawiając z Kalensem po zakończeniu zebrania. – Tak jak ja to widzę, staramy się uzyskać oficjalne uznanie faktu, że istniejemy, przez tych cholernych Chirończyków. Gdyby było po mojemu, szybko bym im pokazał czy istniejemy, czy nie.

– Nie jestem pewien, czy zgadzam się z tobą tak bardzo, jak to myślałem początkowo – odpowiedział Kalens. – Sterm może mieć rację. Przynajmniej na początek powinniśmy spróbować sposobu, który zaproponował. Nie musimy się bez końca trzymać naszego pierwotnego planu.

– Nie podoba mi się pomysł ograniczonej obecności wojskowej na planecie – odrzekł Borfontein. – Nadmiernie ufamy Chirończykom. Nadal jestem zdania, że mogą posiadać jeszcze nie ujawnione siły. Nie wykluczone, że narażamy tych cywilów na wielostronne ryzyko – terroryzm, prowokacje. A jeśli zostaną zaatakowani znienacka? Widziałem już takie rzeczy.

– Wtedy będziesz miał wszelkie uzasadnienie jakiego potrzebujesz, by zastosować ostre sankcje, prawda? – odparł Kalens.

Borfontein myślał przez chwilę nad tą uwagą. – Czy sądzisz, że Sterm tego się właśnie spodziewa? – Jego ton zdradzał, że dopiero w tej chwili zrozumiał, o co chodzi.

– Nie jestem pewien – odpowiedział Kalens z rezerwą. – Próby dojścia do prawdziwych motywów Sterma, to coś podobnego do obierania cebuli. Ale gdy przemyśleć to, co powiedział, to jeśli nie będzie oporu – wygrywamy automatycznie; jeśli zaś będzie, to Chirończycy będą zmuszeni do wykonania pierwszego pociągnięcia, co da nam wolną rękę dla reagowania i jasne usprawiedliwienie, które zadowoli naszych ludzi... co jest tym ważniejsze wobec zbliżających się wyborów. Musisz się więc w końcu zgodzić, Joe, że ten program ma poważne zalety.

Rozdział XIII

Bernard Fallows podwinął zaczynający opadać mankiet koszuli i cofnął się, by ogarnąć wzrokiem główną sypialnię nowego, tymczasowego miejsca zamieszkania jego rodziny niedaleko od bazy promowej na przedmieściach Franklina. Osiedle składało się z około stu domków, rozmieszczonych w grupach po cztery wśród drzew podobnych do palm i oddzielonych żywopłotami. Dawało to miłe wrażenie intymności, nie wywołując równocześnie poczucia izolacji. Osiedle było faktycznie samowystarczalną wspólnotą, znaną pod nazwą Cordova Village. Znajdowały się w nim: jeden duży odkryty basen w kształcie liścia koniczyny, drugi kryty, położony w pobliżu hali sportowej i boisk; restauracja i bar, przylegające do obszernej świetlicy, która służyła również jako sala gier; dla rozrywek zaś były w osiedlu: laboratorium, warsztat i pracownie artystyczne, wszystko w pełni wyekwipowane; był również pełny zestaw instrumentów muzycznych. Ze stacji końcowej pod głównym budynkiem odjeżdżały wagony z kolei podziemnej na poduszce magnetycznej zwanej maglewem, napędzanej liniowymi silnikami indukcyjnymi – w jedną stronę do centrum Franklina, w drugą zaś do lądowiska promów kosmicznych, i dalej do stacji położonych wzdłuż półwyspu Mandela.

Na słonecznym, błękitnym niebie płynęło parę chmurek, przyjemny ciepły wietrzyk przynosił ożywcze, wiejskie aromaty od wznoszących się na południu pagórków. Fallows ciągle jeszcze nie mógł oswoić się z myślą, że wszystko to istniało naprawdę i nie było obrazem rzutowanym przez projektory spod dachu segmentu Wielkiego Kanionu, zaś dochodzące bez przerwy przez otwarte okna salonu na parterze stłumione ryki silników wydawane były przez promy kosmiczne, nieustannie krążące między statkiem i miejscem, które dla jego mieszkańców miało stać się teraz ich drugim domem. Podczas gdy

myśli Bernarda pochłaniała sprawa przenosin na nowe miejsce zamieszkania, w jego umyśle odbywał się równocześnie proces adaptacji. Rzeczy były już rozpakowane, a Jean sama zdecyduje, gdzie rozmieścić leżącą jeszcze na wierzchu resztę. Przeprowadzka odbyła się szybko i gładko, przede wszystkim dlatego, że Chirończycy wyposażyli dom we wszystko, z ręcznikami i bielizną pościelową włącznie. Dzięki temu Fallowsowie mogli zostawić w przechowalni na lądowisku większość swoich rzeczy aż do czasu, póki nie zamieszkają gdzieś na stałe.

Jeszcze bardziej zaś zdumiał ich gatunek tego wszystkiego, co otrzymali od Chirończyków. Szafy, komody i toaletka, które tworzyły meblościankę koło drzwi do łazienki, były staroświeckie w stylu, ale wykonane z prawdziwego drewna o pięknych słojach, mistrzowsko rzeźbionego. Drzwi i szuflady były doskonale dopasowane i otwierały się za dotknięciem palca. Wszystkie tkaniny były miękkie, o skomplikowanych wzorach tkanych, a nie drukowanych laserowo; dywany z naturalnego, samooczyszczającego się i samonaprawiającego włókna, które przypominało w dotyku dwudziestowieczne ręcznie tkane puszyste dywany z Axminster czy z Wilton; armaturę w łazience odlano z metalizowanego kryształu, który lekko fluoryzował; ogrzewanie i klimatyzacja działały bezgłośnie. Na Ziemi taki dom kosztowałby przynajmniej sto tysięcy – pomyślał Fallows. Nie był pewny, czy Chirończycy nadal pozostawali właścicielami osiedla i wynajęli je Misji na pewien czas, czy załatwiono to inaczej, ale list od Merricka, przydzielający Fallowsowi mieszkanie na Chironie nic nie wspominał o płaceniu czynszu. Bernard, przejęty chęcią jak najszybszego opuszczenia „Mayflowera II", po krótkim wahaniu zdecydował nie pytać o to.

Nucąc cichutko pod nosem przespacerowa się korytarzem, by obejrzeć pokój, który Jay wybrał dla siebie. Pod jedną ze ścian leżał w nieładzie stos pudeł i skrzynek Jaya, na nich zaś porozrzucane książki, mapy, narzędzia oraz sterta zwierciadeł i przyborów optycznych, które Jay wyłudził przed miesiącem od Jerry'ego Pernaka pod pozorem, że będzie budował mikroskop holograficzny. Szkielet rozebranego komputera sterowania procesami produkcyjnymi leżał na podłodze przy łóżku, koło niego zaś jeszcze więcej pudeł, hełm wojskowy oraz pas amunicyjny – pamiątka z obowiązkowego przysposobienia wojskowego na „Mayflower II", jak również złom ze średniej wielkości sprzęgła hydraulicznego, którego przeznaczenie było całkowicie tajemnicze. Sam Jay znikł od rana, udając się na wyprawę badawczą. Bernard wzruszył ramionami. Jeśli Jay chce sobie odłożyć porządkowanie aż do wieczora, kiedy będzie zmęczony, to jego sprawa.

– Bernie, tego już za wiele – dobiegł głos Jean z holu o piętro niżej. – Nigdy się do tego nie przyzwyczaję – Bernard uśmiechnął się pod nosem i wyszedł z pokoju Jaya, by wstąpić do otwartej kabiny koło górnego podestu biegnących łagodnym łukiem schodów. W chwilę później wysiadł i udał się do holu. Jean stała naprzeciw ogromnego ekranu ściennego, pośrodku między jadalnią i zagłębioną częścią podłogi, tworzących enklawę otoczoną przez kanapę, dwa duże fotele i obrotową ścienną półkę na książki. Środek jej zajmował stół do kawy z ciemnego szkła. Jean zrobiła bezsilny gest. – Co my zrobimy z tą całą przestrzenią? Wiesz, naprawdę zaczynam myśleć, że zachorowałam na agrofobię. – Bernard uśmiechnął się. – Potrzeba nieco czasu, by przywyknąć do tego. Myślę, że byliśmy tak długo zamknięci w statku kosmicznym, iż zapomnieliśmy jak wygląda życie na planetach.

– Czy zawsze tak wyglądało? Zupełnie nie pamiętam.

– Może nie dokładnie tak, ale weź pod uwagę, że minęło dwadzieścia lat. Jak widać czasy się zmieniają.

Marie, która zwiedzała cały dom, wynurzyła się z windy. – Suterena jest ogromna – obwieściła. – Są tam bardzo różne pokoje i nie wiem, który do czegoś służy. Mogę tam mieć własny pokój na skład moich rzeczy. I wiecie – są tam jeszcze drzwi prowadzące do tunelu. Myślę, że on może wprowadzić do miejsca, w którym zatrzymują się wagony, bo wzdłuż niego biegnie coś podobnego do przenośnika taśmowego. Może w ogóle nie potrzebowaliśmy wozić naszych bagaży i wnosić ich frontowymi drzwiami.

– Mówiłam, że zbyt się spieszysz – powiedziała Jean do Bernarda. – Pomyśl: tyle pracy na darmo. Mogliśmy jeszcze trochę poczekać, aż ci Chirończycy się nami zajmą.

Bernard wzruszył ramionami. – No to co? Wszystko już zrobione. Potrzeba nam było trochę gimnastyki.

Marie podeszła do wielkiego ekranu i spojrzała nań. – Czy to działa? – zapytała.

– Nie wiem. Jeszcze nie próbowaliśmy – odpowiedział Bernard. – Jest tu kto? – zapytał podniesionym głosem. – Co trzeba zrobić, by połączyć się z komputerem? – Nie było odpowiedzi.

– Gdzieś tu musi być główna tablica rozdzielcza czy coś podobnego – powiedziała rozglądając się Jean. – A może to? – Zeszła dwa stopnie niżej do zagłębionej części holu, siadła na końcu kanapy i wzięła do ręki stojący obok na cokole przenośny ekran z szeregiem przycisków na obudowie. Po dziesięciosekundowych próbach oświadczyła, obserwując uzyskane wyniki: – Może to jest to? Spróbuj teraz.

– Czy wiesz coś, by jacyś inni ludzie ze statku mieli być tu dzisiaj?

Nanook zdziwił się nieco. – Oczywiście. Myślałem, że i ty o tym wiesz. Jest tu trochę osób z twojego działu, mają spotkanie z Kath i paru innymi.

– Mojego działu?

– Inżynierii. Przecież tam pracujesz, prawda?

Bernard nagle zmarszczył brwi. – Tak jest. I nic o tym nie wiedziałem. – Nagle zaczął pojmować, co to wszystko znaczy i jego niepokój wzrósł. – Kto przyjechał?

– No, jest tam jeden generał i paru innych z armii – odpowiedziała po namyśle Juanita. – A z Inżynierii jest niejaki... Merrick, tak, Leighton Merrick. – Spojrzała na Nanooka. – I jeszcze jakiś Walters... i jeszcze jeden gość...

– Hoskins – podpowiedział Nanook.

– Tak, Frank Hoskins – powiedziała Juanita. – A także ten zabawny człowiek, który wygłosił mowę i dał to przedstawienie na pokładzie „Kuan – yin" – kieruje tą grupą... Farnhill.

W miarę słuchania podejrzenia Bernarda przekształcały się w coraz silniejszy lęk. Walters i Hoskins byli mu równi stopniami i funkcjami. Mogło to oznaczać tylko jedno: że został z rozmysłem pominięty. Zamilkł i przez cały lunch prawie się nie odzywał, rozmyślając ze zdumieniem, co tu się u diabła dzieje.

*

– A ja się założę, że ona to robi – upierał się Stanislau. – Wszystkie to robią. Carson zeszłej nocy robił to z dziewczyną w Canaveral.

– Kto tak twierdzi? – spytał Driscoll.

– On sam. Dziewczyna ma mieszkanie w mieście, zaraz naprzeciwko bazy.

– Carson nie miałby pojęcia, co z tym robić – prychnął szyderczo Driscoll. – On myśli, że to jest do zabawy.

– Po prostu powtarzam, co facet powiedział.

– Och, w takim wypadku murowane, że to prawda. Dodaj jeszcze, że Swyley jest daltonistą.

Stojący o parę kroków dalej Swyley nie zwracał na nich uwagi. Stał wraz z Fullerem i Batesmanem, którzy wymieniali wrażenia na temat znanych im dotychczas jako najlepsze barów we Franklinie i przyglądał się samolotowi, który powoli schodził do lądowania na wielkiej wyspie w ujściu rzeki. Swyley nie przypuszczał, by na Chironie podróże były płatne, jak i wszystko inne, i zastanawiał się, jakie połączenia lotnicze mogą istnieć z Port Norday do bardziej odległych okolic planety. Interesujące. Najprościej zapewne było to sprawdzić pytając jakikolwiek chiroński komputer, jako że na Chironie, jak się zdawało, nikt nie robił szczególnych tajemnic na jakikolwiek temat.

Po przeciwnej stronie grupy żołnierzy i blisko nich stał Colman. Podobnie jak i inni zaczynał mieć tego wszystkiego dość. Było już późne popołudnie, a delegacja Farnhilla ciągle siedziała w środku, nie dając najmniejszego znaku, by sprawy ich tam zajmujące miały się ku końcowi. Oddziałowi rozkazano stać w luźnym szyku, co trochę ułatwiało sytuację, ale mimo wszystko zaczynało być nudno. Colman ciężko westchnął i któryś raz z kolei przespacerował się do rogu budynku, zatrzymał się i zaczynał się gapić na naziemną część zakładów. Driscoll i Stanislau nagle przerwali dyskusję nad życiem seksualnym Carsona, gdyż dwóch Chirończyków idących do głównego wejścia przystanęło koło nich.

Pomagało znosić nudę przynajmniej to, że mieszkańcy Chirona nie zachowywali się z rezerwą. Przed godziną czy dwiema sam Colman odbył z przyjemnością długą rozmowę z parą inżynierów nukleoników z kombinatu, którzy ku jego zdumieniu z chęcią odpowiadali na wszystkie pytania na ten temat. Nawet zaproponowali mu krótką wycieczkę po zakładzie. Wydało mu się to dziwne. Nie z powodu chirońskiej uprzejmości wobec każdego, bez względu na jego stopień czy stanowisko – do tego już się zaczął przyzwyczajać – ale dlatego, że bez najmniejszych wątpliwości jego rozmówcy nie gorzej niż on sam zdawali sobie sprawę z rygorów dyscypliny wojskowej. Ale z premedytacją zachowywali się tak, jakby wiedzieli mniej niż wiedzą, a równocześnie byli zbyt bystrzy, by sądzić, że da on się na to nabrać. I tak było z Chirończykami przez cały czas. Jakiś człowiek w bazie Canaveral ni mniej, ni więcej zaproponowali Sirocco miejsce w składzie geograficznej wyprawy badawczej, wiedząc, że Sirocco nie jest w stanie tego przyjąć. Im więcej Colman o tym rozmyślał, tym bardziej był przeświadczony, że zachowanie się Chirończyków nie mogło być tylko wynikiem łańcucha zbiegów okoliczności.

Komunikator przyczepiony na pasie głównym przekazał mu sygnał wezwania od Sirocca, który, wraz z Hanlonem i paru innymi, odpoczywał w chirońskim transporterze powietrznym, który przyleciał z Canaveral.

– Jak leci? – spytał Sirocco w odpowiedzi na zgłoszenie Colmana. – Czy wojsko już się buntuje?

– Narzeka, ale nie zanadto. Czy były wiadomości ze środka?

– Dlaczego? Co się z nimi dzieje? – zapytał Bernard.

Nanook wahał się przez chwilę, jakby nie chciał, wyjaśniając rzeczy oczywiste, ryzykować, że obrazi rozmówców. Wzruszył ramionami.

– No cóż... zwykle kończy się na tym, że ich ktoś zastrzeli – odpowiedział. – Więc naprawdę nie stwarza to problemów.

Przez chwilę Bernard i Jay byli zbyt osłupiali, by cokolwiek odpowiedzieć. – Ależ... to jest szaleństwo! – krzyknął w końcu Bernard. – Przecież nie możecie pozwalać, by każdy mógł zastrzelić kogokolwiek dlatego, że mu się nie podoba.

– A cóż innego można zrobić? – spytała Juanita.

– Tak długo, póki nie bierzesz sobie za zadanie, by obrzydzać innym życie, nic ci się nie stanie – zwrócił uwagę Nanook. – Więc to się nie często zdarza. A jeśli się zdarzy... no to się zdarzy.

Po chwili milczenia Jay przyznał im rację. – Okay, rozumiem, że to może być dobry sposób na pozbycie się pojedynczego wyrodka tu i ówdzie. Ale co robicie, gdy zbierze się ich razem cała grupa?

– Przede wszystkim – jak mogą się zebrać, jeśli nawet jeden zdarza się bardzo rzadko? – spytała go Juanita. – Powiedzieliśmy ci już, że oni nie trwają długo.

– A poza tym w jakim celu taka grupa miałby się w ogóle zebrać? – zapytał Nanook.

Jay wzruszył ramionami. – Jak sądzę, by osiągnąć to, po co szaleńcy zwykle popierają szalonych przywódców.

– Na przykład? – spytał Nanook.

Jay znowu wzruszył ramionami. – Może obronę?

– Przed czym?

Dobre pytanie, przyznał w duchu Jay. – Poczucie bezpieczeństwa? – zastanowił się. – Wzbogacić się?.. Cokolwiek.

– Bezpieczeństwo mają zapewnione wszyscy – oświadczył Nanook. – A jeśli nie są dość bogaci, w jaki sposób zwariowany przywódca może im to zapewnić?

Zirytowany Bernard zamachał rękami. – Och, do diabła, powiedzmy, że tylko dlatego, że są zwykłymi szaleńcami. Że nie mają żadnych rozsądnych powodów. Mniejsza o to, za jakich przyczyn się zbiorą, załóżmy tylko, że tak się zdarzyło. Co wtedy robicie?

Nanook ciężko westchnął. – Od czasu do czasu, choć bardzo rzadko, coś takiego się zdarzało – wyznał wreszcie. – Ale to nie trwa nigdy długo. W końcu zbiera się jeszcze większa grupa i pozbywa się ich. Więc na jedno wychodzi – tak czy inaczej kończy się na tym, że zostają zabici.

Jay był zmartwiony, Bernard przerażony. – Przecież nie można pozwalać, by ludzie bezkarnie dokonywali samosądów – upierał się inżynier. – Rozpętana przemoc... rządy motłochu... Bóg jeden wie, co jeszcze. To wprost dzikość, barbarzyństwo. Prędzej czy później będziecie musieli to zmienić.

– Mylisz się całkowicie – odrzekł Nanook, starając się lekkim uśmiechem uspokoić Bernarda. – Tak źle nie jest. Takie wypadki nie zdarzają się często; tylko zupełnie wyjątkowo. Po prostu niekiedy...

Juanita pojęła wreszcie, co maluje się na twarzach Bernarda i Jaya. – Czy chcecie powiedzieć, że nasze społeczeństwo jest bardziej brutalne i barbarzyńskie niż wasze? Nigdy nie mieliśmy wojny. Nigdy nie rzucaliśmy bomb na domy pełne ludzi, nie mających nic wspólnego z przedmiotem sporu. Nigdyśmy nie palili na stosach, nie torturowali, nie oślepiali ani nie odrąbywali rąk i nóg ludziom, którzy chcieli tylko żyć po swojemu i nie wyrządzali krzywdy innym. Nigdy nie zabiliśmy nikogo, kto nas do tego nie zmusił. Czy możesz powiedzieć to samo o was. Okay, nasz system nie jest doskonały. A wasz jest?

– A przynajmniej nie rozkazujemy innym ludziom, by brali na siebie ryzyko zamiast nas – dodał spokojnie, by rozładować atmosferę, Nanook – Juanitę zaczynały bowiem ponosić emocje. – Ryzykują ci ludzie, którzy są przekonani, że warto to zrobić. Zadziwiające, jak często okazuje się, że nie warto bić się o coś, gdy wiesz, że to ty masz być tym, który się bije. – Pokiwał wolno głową. – Nie, takie rzeczy prawie się u nas nie zdarzają.

– I nic was nie obchodzi, gdy zaczynają się gromadzić fanatycy, którzy znajdują powody, za które warto umierać? – spytał Jay.

– Fanatycy są łatwowiernymi durniami. Jeśli na tej planecie durnie nie zdołają się nauczyć albo nie potrafią trzymać się z dala, umierają młodo.

Robot-kelner podjechał do stołu i zaczął podawać potrawy, trajkocząc na temat doskonałej jakości steków i rozmaitości deserów do wyboru. Bernard wyjrzał przez okno i zaczął się zastanawiać. Zauważył niedaleko od wjazdu na główny parking grupę stojących ludzi, ubranych w kolor khaki. Zesztywniał ze zdumienia. Nosili mundury – mundury armii Stanów Zjednoczonych. Wywnioskował z tego, że jakaś delegacja z „Mayflower II" zwiedza zakłady i natychmiast przyszło mu na myśl, że mogą to być ci goście, do których odeszła Kath. Na koniec odwrócił się do Nanooka i zapytał:

– Czy jest w tym domu komputer? – zawołał Bernard.

– Do usług – odpowiedział głos ze strony ekranu. – Mam na imię Jeeves, chyba, że zechcecie je zmienić. – Zamiast poprzedniego, rozległ się głos dziewczęcy z dobrym francuskim akcentem. – Une petite française, possiblement? – Następnie gardłowy męski zapytał: – Albo Karl, bhawahrski khamerdhyner? – i dalej, łagodnym tonem: – A może coś skrajnie angielskiego spotka się z waszą aprobatą? – Na koniec znów rozległ się znajomy amerykański akcent: – Wszystkie planetarne środki telekomunikacji oraz banki danych stoją do waszej dyspozycji – publiczny, domowy, szkolny, zawodowy oraz danych osobistych; ponadto zapamiętywanie informacji, obliczenia, rozrywki, instruktaż, korepetycje, dane źródłowe, organizacja podróży, mieszkania, usługi, towary oraz zasoby, prowadzenie sekretariatu i konsultacje. Wystarczy wymienić, a ja to zorganizuję dla was albo skontaktuję was z odpowiednimi osobami.

Bernard uniósł brwi. – No to witaj, Jeeves. Co słychać w ogóle? Myślę, że lepiej będzie, jeśli na razie zostaniesz tym, kim jesteś. Czy mógłbyś nam na początek objaśnić jak działa ten dom? Na przykład jak ty...

Jean usłyszała, jak otwierają się drzwi wejściowe i spojrzała w ich stronę. W chwilę później pojawił się Jay. Niósł na jednym ramieniu nowiutki plecak, pod pachą zaś oprawiony w ramy obraz, przedstawiający lodowcowy górski pejzaż pod burzliwym niebem. Na jego trochę nieprzytomnej twarzy malowało się zakłopotanie.

– Jay! – zakrzyknęła Jean. – Czy znalazłeś ukryty skarb? Co to za rzecz?

– Czyżby? – Jay ustawił malowidło pod ścianą i przyjrzał mu się uważnie, jakby je widział po raz pierwszy. – Myślałem, że będzie ładnie wyglądało w moim pokoju. – Zsunął plecak z ramienia i wsadził rękę pod klapę, której nie chciało mu się nawet zapiąć. – Wpadłem na paru kolegów ze szkoły i przyszło nam do głowy, żeby trochę się rozejrzeć po terenie w towarzystwie kilku spotkanych Chirończyków. Tu naprawdę jest o wiele więcej przestrzeni, niż w segmencie Wielkiego Kanionu. No to wziąłem to. – Wyciągnął parę butów na grubych podeszwach, wiatrówkę z kapturem z grubego, jaskrawo czerwonego wiatroodpornego materiału z przykrywającą zamek błyskawiczny klapą sztormową, parę rękawiczek, wkładkami termoizolacyjnymi, trochę grubych skarpetek i czapkę z nausznikami. – Planujemy wycieczkę w góry za morzem – wyjaśnił. – Z Franklina można tam dolecieć awionetką w ciągu dwudziestu minut.

Jean wzięła buty i obracała je w rękach. Następnie podniosła wiatrówkę, rozłożyła ją i badała przez pewien czas w milczeniu. – Ale... to jest d o b r e, Jay – powiedziała. Jej twarz przybrała wyraz zaniepokojenia. – Skąd... jak ty to dostałeś? To znaczy... ile to wszystko będzie kosztowało?

Jay miał niewyraźną minę i tarł czoło palcami. – Wiem, że w to nie uwierzysz, mamo – powiedział. – Ale to nic nie będzie kosztować. Wygląda na to, że tutaj wszystko nic nie kosztuje. Ja też tego nie rozumiem, ale...

– Och, Jay, nie bądź głupi. No dość tego – powiedz mi, skąd to wszystko masz.

– Naprawdę – po prostu wchodzisz i bierzesz sobie. Tak to się tu robi... ze wszystkim.

– Co się stało? – spytał podchodząc do nich Bernard, który tymczasem skończył rozmawiać z Jeevesem. Marie szła tuż za nim.

Jean spojrzała na niego zmartwiona. – Jay wrócił do domu z tym wszystkim i stara się wmówić, że dostał to za darmo. Twierdzi, że każdy może sobie wszystko po prostu wziąć. W życiu nie słyszałam takich bzdur.

Bernard ostro spojrzał na Jaya. – Chyba nie myślisz, że w to uwierzymy. Więc mów skąd się te rzeczy wzięły. Chcę słyszeć prawdę. Jeśli narozrabiałeś, jestem skłonny o tym zapomnieć i przypisać to zawrotowi głowy od lądowania na planecie. No więc – czy na pewno nie masz nam nic do powiedzenia.

– Powiedziałem tylko prawdę – upierał się Jay. – W mieście jest coś w rodzaju supermarketu. Jest tam prawie wszystko i zwyczajnie się tam wchodzi i bierze. Rozmawialiśmy o tym z paru Chirończykami i oni nam pokazali, co robić. Ja też tego nie rozumiem, ale tak tu jest.

– Och, Jay – jęknęła Jean. – Oni zapewne cię nabierali, by się z ciebie pośmiać. W twoim wieku powinieneś się lepiej orientować.

– Nic podobnego – zaprotestował Jay. – Z początku my też tak myśleliśmy, ale przyglądaliśmy się tam innym ludziom i rozmawialiśmy z robotem, który tym kieruje i on nam powiedział, że tak właśnie się postępuje. Oni mają głęboko pod ziemią zakłady atomowe i wielkie automatyczne fabryki, które produkują wszystko, co może być komukolwiek potrzebne, a produkcja jest tak tania, że nikomu nie przychodzi do głowy, by ustalać na to ceny... albo coś w tym rodzaju. Ja też tego nie rozumiem.

– Czy to jest prawda? – spytał niepewnie choć bardzo podejrzliwie Bernard.

– Oczywiście tak – westchnął znużony Jay. – Przecież nie wszedłbym tak zwyczajnie do domu, gdybym to ukradł albo zrobił coś w tym rodzaju. Nie sądzicie?

– Jestem pewna, że to zrobił – obwieściła Marie.
– Serdeczne dzięki – odpowiedział Jay.
– Chcę obejrzeć ten magazyn. Czy istnieją powody, abyś mnie tam nie mógł zaprowadzić natychmiast?
Jay znowu westchnął. – Sądze, że nie. Chodźmy. To jeden przystanek stąd maglewem.
– Czy my też możemy pójść? – spytała Marie, oczywiście zapominając, co twierdziła przed chwilą. – Chcę dostać całą masę rzeczy.
– Lepiej niech pójdzie twój ojciec z Jayem, kochanie – odrzekła Jean. – Pomożesz mi tutaj skończyć porządki. Możemy tam pójść i obejrzeć jutro.
– Czy nie chcecie iść z nami? – zapytał żonę Bernard. – Przejdziecie się na powietrzu i odpoczniecie troche.
Jean potrząsnęła głową i dyskretnie wskazała oczami Marie. – Lepiej będzie, jeśli pójdziecie sami. Mamy tu mnóstwo do roboty. – Marie wykrzywiła się, ale nic nie odpowiedziała.
Bernard skinął głową. – Okay. No to zobaczymy się później. Lepiej zostaw wszystkie te rzeczy tutaj, Jay. Jeśli okaże się, że nie wszystko wygląda tak jak mówiłeś, lepiej żebyś się z nimi nie pokazywał.

*

Widok Franklina z mknącego wagonu maglewu zrobił na Bernardzie wrażenie, jakby miasto stanowiło beznadziejnie pogmatwany zlepek budynków. W przeciwieństwie do schludnego i uporządkowanego wzoru, według którego planowano miasta wyrastające na stosach amerykańskich gruzów w okresie odbudowy po Chudych Latach – z dzielnicami handlowymi, rozrywkowymi, przemysłowymi i mieszkalnymi, oddzielonymi pasami zieleni i starannie ukształtowanym krajobrazem – we Franklinie wszystko wyglądało na mieszaninę bez ładu i przyczyny. Budynki, wieże, domy i niezrozumiałe konstrukcje wszelkich kształtów, wielkości i kolorów przylegały do siebie, w jednych miejscach łącząc się i zrastając, w innych zaś ustępując kępom drzew i zieleni. Wszystko to razem wglądało jak pstrokaty dywanik, zszyty z kawałków zminiaturyzowanego i obniżonego Nowego Jorku, Paryża i portu w Hong Kongu. W jednym miejscu kanał, wzdłuż którego biegł wiadukt kolejowy, zdawał się przeszywać na wskroś kompleks budynków wyglądających na szkołę albo szpital; w innym schody imponującej budowli o dostojnej fasadzie wiodły wprost do basenu pływackiego, położonego na środku wielkiego trawiastego placu, otoczonego drzewami oraz chaotycznie rozrzuconymi domkami mieszkalnymi i sklepami. na odcinku, gdzie rura tunelowa maglewu wisiała nad ziemią, z wagonu otworzył się widok na rzekę, ukazując parę jachtów leniwie dryfujących tu i tam, parę większych statków zakotwiczonych niżej, gdzie szerokie ujście otwierało się w dali na morze; nad głowami zaś brzęczały krążące we wszystkich kierunkach indywidualne pojazdy latające. Mignęły automatyczne dźwigi i spychacze, pracujące na budowie na drugim brzegu, aż wreszcie wagon zaczął zjeżdżać w dół, ku niższym poziomom zbliżającej się metropolii, i zwalniać bieg przed stacją końcową.
– Troche to inaczej wygląda, niż przejazd kapsułą wokół Pierścienia – zauważył Jay, gdy wagon zatrzymał się.
– Trudno zaprzeczyć – zgodził się Bernard.
– Czy tak wyglądały miasta na Ziemi?
– Nooo... być może niektóre z nich, dawno temu. Ale nie te nowoczesne.
„Dom towarowy" – jak go określił Jay – leżał kilka pięter poniżej stacji kolejowej. By się tam dostać, zjechali schodami ruchomymi. Wokół kręciło się mnóstwo ludzi, noszących odzież we wszelkich możliwych stylach, modach i barwach. W tłumie, jak tego można się było spodziewać z faktu, że kody genetyczne na „Kuan-yin" reprezentowały w równych proporcjach wszystkie ziemskie typy etniczne, występowały w prawie jednakowych ilościach wszystkie rasy ludzkie. Wszędzie było widać dzieci i młodzież; zaś roboty i androidy były, jak się wydawało, częścią systemu społecznego. Zaintrygowały one Bernarda. Takie stworzenia znano na Ziemi, ale spotykało się je tylko w laboratoriach badawczych jako ciekawostki, ponieważ funkcjonalnie nie na wiele się przydawały. Prawdopodobnie roboty chirońskie były ewolucją maszyn, które wychowały pierwszych Chirończyków i wobec tego nie zaprojektowano ich na kształt blaszanych ludzi, ale tak, by mogły spełniać swe zadania jako ciepłe i miękkie nianki. Wynikałoby z tego, że obecność maszyn jako towarzyszy człowieka była normalną sprawą na Chironie. Modele zmieniono w sposób odpowiadający życzeniom i zachciankom dzieci w okresie, gdy już pojawili się rodzice naturalni, zapewniający potomstwu zaspokojenie podstawowych potrzeb fizjologicznych i psychologicznych. Bernard ze zdziwieniem złapał się na myśli, że stosunki między człowiekiem i humanoidalną maszyną mogą być całkiem serdeczne, a nawet mieć pewne powaby; w każdym razie nie zaobserwował oznak zimnej i ponurej atmosfery, które odmalowała mu Jean.

którzy jemu i Jayowi towarzyszyli na lunch do baru samoobsługowego, położonego w gmachu administracyjnym naprzeciw budynku głównego reaktora. Jednym był młody Polinezyjczyk imieniem Nonook, który zajmował się urządzeniami sterowania; drugą była nieco młodsza, blada blondynka imieniem Juanita, która zajmowała się statystyką, prognozowaniem i – jak się zdawało – miała też dużo do czynienia ze sprawami ekonomicznymi zakładów. Sama Kath pożegnała się wcześniej, wyjaśniając, że oczekuje następnej grupy zwiedzających.
Bernard rozłożył ręce błagalnym gestem. – To znaczy... kto jest właścicielem tych zakładów? Kto decyduje o polityce kierowania nimi?
Chirończycy spojrzeli na siebie z niedowierzaniem. – Właścicielem? – powtórzyła Juanita. Z tonu jej głosu wynikało, że nie spotkała się jeszcze z takim pojęciem. – Nie jestem pewna, co masz na myśli. Chyba ludzie, którzy tu pracują.
– Ale kto decyduje o tym, kto tu ma pracować? Kto wyznacza ich na stanowiska?
– Oni sami. Jak mógłby to robić za nich ktoś inny?
– To przecież warte śmiechu! Co przeszkodzi zacząć wydawać rozkazy komukolwiek, kto wejdzie z ulicy?
– Nic – powiedziała Juanita. – Ale po co miałby to robić? Kto w ogóle zwróciłby na niego uwagę?
– No to w takim razie skąd się wszyscy dowiadują, czyje polecenie wypełniać – zapytał Jay, nie mniej zdumiony niż jego ojciec.
– Bardzo szybko to odgadują – zapewniła Juanita, jakby to już wszystko wyjaśniało.
Weszli do baru, w którym panował dość duży ruch, gdyż zbliżało się południe i siedli przy oknie z widokiem na parking awionetek, za którym wzdłuż bliższego brzegu rzeki biegła szosa. Ekran na końcu stołu ukazywał ilustrowane menu; równocześnie deklamując, co szef kuchni poleca tego dnia. Juanita podyktowała ekranowi zamówienie. Przed sąsiednią lożą robot na kółkach, który kończył wydawanie potraw, zamknął drzwiczki podawcze ogrzewanego pojemnika stanowiącego górną część jego korpusu i odtoczył się dalej.
Bernard zdał sobie sprawe, że go nie rozumieją. – Weźmy na przykład Kath – powiedział, zwracając się do Nanooka. – Cała masa ludzi wydaje się tutaj uważać ją za... powiedzmy, w braku lepszego słowa, szefa... w każdym razie w ogromnym zakresie.
Nanook potwierdził skinieniem. – Zgadza się. Ja także, przez większość czasu.
– Dlatego, że ona wie o czym mówi, prawda?
– Jasne. Nie wystarczy?
– No to załóżmy, że pojawi się ktoś inny, przekonany, że wie akurat tyle samo. Co będzie, jeśli połowa ludzi tutaj zgodzi się z nim, a druga nie? Kto zadecyduje? Jak rozwiążecie taką sprawe?
Nanook niezdecydowanie podrapał się w brodę. – Pomysł takiej sytuacji wygląda mi na bardzo naciągany – odpowiedział po chwili. – Nie wyobrażam sobie, by mógł się pojawić ktoś o takim samym doświadczeniu. Ale gdyby to się wydarzyło i gdyby to była prawda... to przypuszczam, że Kath zgodziłaby się z nim. Byłaby w takim właśnie stopniu zadłużona. I to byłoby decydujące w przypadku każdego innego.
Bernard gapił się na niego z jawnym niedowierzaniem. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że ona by po prostu ustąpiła? Ależ to wariactwo!
Odpowiedź Naooka była niezrozumiała: – Wszyscy musimy płacić nasze długi.
– Gdyby była taka głupia, by tego nie zrobić, to przede wszystkim nie byłoby jej tutaj – starała się wyjaśnić Juanita.
Ale to znów niczego nie wyjaśniało. Jay też nie mógł się połapać. – Tak, byłoby pięknie, gdyby każdy człowiek na świecie myślał rozsądnie i racjonalnie w każdym momencie i na każdy temat, ale to przecież niemożliwe. Chirończycy mają taki sam zestaw genów, jak wszyscy inni ludzie. Nie może więc tutaj istnieć coś zasadniczo odmiennego.
– Nigdy nie twierdziłem, że istnieje – odrzekł Nanook.
– A co z wariatami? – spytał Jay. – Co robicie z ludźmi, którzy upierają się, by być tak nierozsądni i nieznośni jak tylko się da po prostu dla draki?
– Mamy takich – przyznał Nanook. – Ale niewielu. Ludzie zwykle bardzo wcześnie uczą się, co jest mile widziane, a co nie. Bo wszyscy mają oczy, uszy i mózgi.
– Ale ciągle nie odpowiedzieliście Jayowi – upierał się Bernard, pokazując głową na syna. – Co się stanie z ludźmi, którzy nie zechcą ich używać?
– Nie ma wielu takich – raz jeszcze powtórzył Nanook. – Jeśli nie zmienią się, i to szybko, nie mają dużych szans przetrwania. – Juanita spojrzała na Bernarda, a potem na Jaya z zadowoleniem, że wszystko już jest jasne. Ale nie było.

dla osób, którym wygodniej było wykonywać krótko - lub średnioterminowe prace przebywając na miejscu, niż dla stałych mieszkańców. Niemniej połowa ludności miasta mieszkała tam już od lat. Okazało się bowiem, że Chirończycy przyjęli styl życia bardziej zorientowany na realizowanie zadań, niż na robienie karier zawodowych i często przenosili się z miejsca na miejsce, jeśli im to odpowiadało.

Wydajność zespołu została obliczona na podstawie długoterminowych prognoz popytu i o wiele przewyższała obecne zapotrzebowanie przemysłów, rozmieszczonych wokół niego. Podstawowym źródłem energii zespołu był zamknięty w pułapce magnetycznej reaktor termojądrowy, łączący w sobie elementy układów stworzonych w końcu poprzedniego stulecia: tokamaka, zwierciadlanego oraz „nierównego pierścienia". Odznaczał się on wysoką sprawnością produkcji energii elektrycznej metodą szybkościowego przedmuchu wysokotemperaturowej, zjonizowanej plazmy przez szereg olbrzymich zwojów magnetohydrodynamicznych. Ponadto szybkie neutrony, obficie powstające w toku tego procesu, były wykorzystywane do przetwarzania litu na jeszcze więcej paliwa trytowego, wytwarzania rozszczepialnych izotopów uranu i plutonu z pierwiastków paliworodnych, uzyskiwanych w innej części kombinatu, oraz do „spalania" w drodze transmutacji jądrowej małych ilości odpadów radioaktywnych po materiałach rozszczepialnych, używanych w tym zespole. W ten sposób cykl paliwowy był całkowicie zamknięty, obejmował pełne przetwarzanie oraz ponowne wprowadzenie do obiegu produktów reaktora.

Po wykorzystaniu w procesie podstawowym, plazma miała jeszcze dość energii resztkowej, by dostarczać ciepła na potrzeby zakładu wytwarzającego wodór z wody morskiej drogą krakingu termicznego. Plazmę poprodukcyjną wykorzystywano również w zakładach wydobywczych i przetwórczych metali surowych, w fabryce chemikaliów oraz w zakładzie odsalania wody morskiej, który jeszcze nie był uruchomiony, ale przygotowywano go dla planowanych na najbliższe lata systemów irygacyjnych w głębi lądu.

Zakład wydobywający metale wykorzystywał będącą na miejscu do dyspozycji wysoką temperaturę reakcji termojądrowej dla przetwarzania wody morskiej, zwykłach kamieni i piasku oraz wszelkich domowych i przemysłowych odpadów i śmieci na plazmę jonów pierwiastkowych o wysokich ładunkach, które następnie łatwo i dokładnie rozdzielano metodą magnetyczną; działało to jak spektrometr masowy o skali przemysłowej. W fabryce chemicznej wytwarzaneo takie związki, jak nawozy sztuczne, plastyki, oleje i paliwa oraz półprodukty dla całego szeregu zakładów podległych.

Chirończycy eksperymentowali także z przesłaniem energii wiązkami promieniowania mikrofalowego z Port Norday do sztucznych satelitów, dla jej ponownego przekazywania z orbity na powierzchnię tam, gdzie będzie potrzebna. Projekt ten nie wyszedł jeszcze poza fazę badań; jeśli zakończyłyby się one sukcesem, naziemna stacja energetyczna wykorzystująca tę technikę na skalę produkcyjną zostałaby zbudowana gdzie indziej.

Bernard Fallows był mocno zdziwiony, gdy zadzwonił Czang z potwierdzeniem, że Kath, matka jego przyjaciela Adama, zgodziła się zorganizować wizytę. Zdziwił się zaś jeszcze bardziej, gdy okazało się, że Kath nie jest młodszym technikiem ani niższym urzędnikiem kombinatu, lecz osobą odpowiedzialną za poważną część głównego procesu termojądrowego, choć nie udało się wyjaśnić w jakim trybie uzgadniała swe czynności i kto dawał jej polecenia. A już najbardziej zadziwiające było to, że zgodziła się osobiście przyjąć Bernarda z Jayem i poświęcić im całą godzinę ze swego czasu. Było wręcz nie do pomyślenia, by w rewanżu Leighton Merrick oprowadził Czanga i jego przyjaciół po dziale głównego napędu „Mayflower II". Prawda, że grupa Chirończyków miała się wkrótce udać pod opieką przewodników na zwiedzanie niektórych sekcji napędu statku, ale było to wynikiem oficjalnego zaproszenia fachowców i nie obejmowało ojców ani synów, którzy chcieliby odbyć prywatną wycieczkę. Być może - snuł domysły Bernard - potraktowano go w ten szczególny sposób z uwagi na jego pozycję pracownika inżynieryjnego wyższej rangi, wyspecjalizowanego w technice termojądrowej.

Na Chironie nie istniało jednak pojęcie rangi ani statusu społecznego. Bernard był oczywiście świadkiem, jak wydawano i przyjmowano bez słowa polecenia, ale role, w jakich ci ludzie występowali, zdawały się być czysto funkcjonalne i mogły być bez trudności zamieniane zależnie od tego, kto był uznany za posiadającego najlepsze kwalifikacje do podjęcia kierownictwa sprawy, którą właśnie załatwiano. Wydawało się również, że decyzje takie podejmowano na podstawie milczącej zgody wszystkich zainteresowanych. Taki system Chirończycy w jakiś sobie znany sposób wypracowali bez kłótni, zawiści i konfliktów, które dla Bernarda byłyby nie do uniknięcia. O ile zdołał ustalić, nie istniała tu w ogóle żadna pionowa struktura hierarchiczna. Zaczynał podejrzewać, że na tym polegał system całej planety. Może więc nie było dziwne, że Dyrektoriat miał trudności z odnalezieniem jej rządu. Zadziwiające zaś było nie tylko to, że taki system istniał, ale że - jak wszystko wskazywało - całkiem dobrze funkcjonował.

- Nadal jednak nie rozumiem polityki, która się za tym kryje - powiedział dwojgu Chirończykom,

Ogólnie rzecz biorąc panował dość wesoły nastrój; lokale rozrywkowe i inne, wyglądające na handlowe, trochę barów i restauracji, wystawa dzieł sztuki oraz nie licujący z tym wszystkim zespół clownów, występujący, ku uciesze publiczności, w jednym z przejść podziemnych. W jednym zaś miejscu było widać za oknem zespół maszyn krawieckich - trudno powiedzieć, czy rzeczywiście produkujących odzież, czy tylko wystawionych z jakichś powodów.

Bernard zauważył wiele młodych dziewczyn, niewiele starszych od Marie, wiozących w wózkach lub noszących niemowlęta. Nagle wstrząsnęła nim myśl, że były to prawdopodobnie ich własne dzieci. Zaszokowało go to, ale równocześnie poczuł ulgę na myśl, że Jean i Marie zostały w domu. A sposób, w jaki Jay przyglądał się chirońskim dziewczynom zapowiadał jeszcze więcej kłopotów na przyszłość. Pod pewnymi względami - doszedł do wniosku Bernard myśląc o przyszłości - zwyczajne i uporządkowane życie na „Mayflower II" miało swoje zalety.

Gdy przebyli wreszcie ostatnie schody ruchome, Jay poprowadził do szerokiego wyjścia, położonego blisko głównej hali. Widniał nad nim napis: DOM TOWAROWY ZATOKI MANDELA, ODDZIAŁ FRANKLIN CENTRUM. Na zewnątrz, w obszernej wnęce, grupa ludzi z uznaniem przysłuchiwała się kwartetowi smyczkowemu, grającemu znany Bernardowi utwór Beethovena. Na chwilę Ziemia wydała mu się nie aż tak odległa. Trzech Chirończyków spośród słuchaczy poznało Jaya i podeszło do nich. Byli to: wyglądający na Chińczyka młodzieniec w płaszczu koloru zielonej cytryny, wysoki Murzyn z małą bródką, ubrany w ciemną marynarkę, koszulę i krawat, oraz jasnowłosy, niebieskooki biały w koszuli z podwiniętymi rękawami. Jay przedstawił ich jako Czanga, Rastusa i Murphy'ego. Wprawiło to Bernarda w zakłopotanie, gdyż Murphy był Chińczykiem, Czang czarnym, zaś Rastus białym. Z początku Bernard miał wątpliwości, ale młodzieńcy wyglądali nader przyzwoicie, a jeśli słuchali Beethovena - zdecydował - nie było tak źle. Obejrzał się odruchowo, ale przypomniał sobie, że „Mayflower II" jest oddalony o dwadzieścia tysięcy mil. Doszedł do wniosku, że może się trochę odprężyć. - Ja, eee, widzę, że chyba lubicie chłopaki muzykę - powiedział, bo pod wrażeniem chwili nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Jedna z moich sióstr gra tam na wiolonczeli - poinformował go Murphy. (Czy rzeczywiście on? O tak - Chińczyk nazywał się Murphy). Bernard przyjrzał się kwartetowi. Na wioloneczeli grała oliwkowoskóra dziewczyna o śródziemnomorskim typie urody.

- Oooo... jest bardzo dobra - odpowiedział Bernard.

Wyglądało na to, że zrobił Murphy'emu przyjemność. - Nie sądzisz, że ma doskonały ton? To jedna z tych, które Czang wyrabia.

- Rzeczywiście - zgodził się Bernard. Nie miał pojęcia, o czym właściwie rozmawiają.

- To są chłopcy, o których ci opowiadałem - rzekł Jay. - Ci z grupy, która wybiera się w góry.

- Jeśli chcesz także pojechać, będziesz mile widziany - oświadczył Rastus.

Bernardowi udało się uśmiechnąć z wysiłkiem - To miło z waszej strony, ale mam robotę. Będziemy jeszcze przez pewien czas zajęci. Niemniej bardzo dziękuję. - Zastanowił się przez chwilę. - Mam nadzieję, że nie planujecie czegoś zbyt trudnego. Jay, wiecie, nie miał dość dużej praktyki w takich sprawach. Nigdy jeszcze nie widział planety. - Jay skrzywił się bez słowa i odwrócił wzrok.

Czang zaśmiał się. - W porządku. Nie idziemy zbyt wysoko i będzie to raczej spacer. Nie grozi nam nic bardziej ryzykownego, jak pojawienie się paru daskrendów.

- Umiesz strzelać, Jay, prawda? - zapytał Murphy.

- No tak, ale... - odpowiedział zaskoczony Jay.

- Powinniśmy mu to byli wcześniej powiedzieć - rzekł Murphy. - Weź ze sobą strzelbę. Kaliber czterdzieści pięć albo coś koło tego byłby najlepszy, jeśli masz taką.

- Chwileczkę, chwileeeczkę - przerwał przestraszony Bernard, unosząc rękę. - Co to u licha znaczy? Co to jest ten das...?

- Daskrend - dokończył za niego Murphy. - O, to coś w rodzaju wilka, tylko większe i ma zęby jadowe. Ale one są dość tępe i łatwo się z nimi uporać. Spotyka się je czasem trochę wyżej na wzgórzach nad morzem Śródchirońskim, ale większość żyje po drugiej stronie Łańcucha Bariery.

- Pogadamy jeszcze o tym, Jay - powiedział Bernard bardzo poważnie.

- Oczywiście żartowałem - rzekł Murphy. - Z awionetką lecącą nad nami nie ma szans, by daskrendy do kogokolwiek podeszły. Ale jest w zwyczaju, że poza miastami chodzimy z bronią...na wszelki wypadek.

- Może byśmy trochę zwolnili tempo - zaproponował Bernard. Spojrzał na Jaya. - Powinieneś dać sobie trochę czasu na aklimatyzację, zanim weźmiesz udział w czymś podobnym. - Ton jego głosu wskazywał, że stara się w taktownych słowach powiedzieć, że Jay nie pojedzie. W tym zaś przynajmniej momencie sam Jay nie był skłonny się sprzeczać.

– Jak uważasz. Po prostu daj nam znać – powiedział Murphy, zamykając sprawę lekkim wzruszeniem ramion. – Więc przyjechałeś jeszcze po coś?
– Nie. Mój ojciec chciałby tylko obejrzeć dom towarowy.
– Czy nie poszlibyście z nami? – poprosił Bernard.
– Chętnie – zgodził się Murphy i wszyscy ruszyli z miejsca. Po drodze Jay wytłumaczył trójce swych przyjaciół, o co poszło.
Wewnątrz, w wielkiej hali, na kontuarach i półkach wyłożone były towary wszelkiego rodzaju, od urządzeń elektronicznych i przyrządów naukowych na jednym końcu, po płaszcze przeciwdeszczowe i sprzęt sportowy na drugim. Gdy wchodzili, z szeregu samobieżnych wózków stojących pod ścianą wyjechał jeden i zaczął się toczyć o parę kroków za nimi, oznajmiając równocześnie: – Witajcie w Domu Towarowym Zatoki Mandela. Czy pomyśleliście kiedykolwiek, by założyć sobie ogródek i uprawiać go ręcznie? Jest to doskonałe ćwiczenie na wolnym powietrzu, bardzo odprężające i stwarzające świetną sposobność do obrócenia parę razy w myśli tego wszystkiego, co mieliście zamiar sobie przemyśleć... jak również gleby w ogródku, ha, ha, ha! Mamy specjalną dostawę niezwykle kunsztownie wykonanych i wykończonych narzędzi do prac ręcznych, najlepszych jakie spotkaliście kiedykolwiek, każde wraz z...
– Odejdź – powiedział mu Czang. – Dzisiaj tylko zwiedzamy.
Wózek zamilkł, zawrócił w miejcsu i odjechał do szeregu, oczekując nowej ofiary.
Bernard zatrzymał się, zmarszczył brwi i rozejrzał się wokół. Ruch w domu towarowym był umiarkowany, ludzie raczej spacerowali, przyglądając się towarom, niż je nabywali. Wyjątek stanowiło małżeństwo z „Mayflower II", łatwe do zauważenia z powodu ciągnących się na nimi trzech wózków, wyładowanych wszystkim co się dało. Małżeństwo należało do urzędników biurowych niższego szczebla i Bernard z daleka odpowiedział na ich ukłony ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy.
– Myślę, że to wszystko wydaje się wam, moi drodzy, trochę dziwne – zauważył Rastus. – Ale biorąc pod uwagę, że od czasów Założycieli maszyny dostarczają nam wszystkiego, pomysł ograniczenia dostaw jakichkolwiek towarów nigdy nikomu nie przyszedł do głowy. Nie było ku temu żadnych powodów. Od samego początku zawsze tak postępowaliśmy. Przyzwyczaicie się.
– Ale... przecież nie możecie opierać na tej zasadzie gospodarki całej planety – sprzeciwił się zdumiony Bernard. – To znaczy wiem, że wasza produkcja w porównaniu z zaludnieniem jest olbrzymia, ale ludność szybko wzrasta. Powinniście zacząć myśleć o jakiegoś rodzaju... systemie regulowania. Wasze bogactwa naturalne nie są przecież nieograniczone.
Rastus się zdziwił. – Przecież jest do dyspozycji cała galaktyka, a dalej jeszcze kilka ich miliardów – oświadczył. – Upłynie wiele czasu, zanim zrobi się tam tłok. Europa niegdyś oparła swą produkcję o zasoby drewna i to stanowiło ograniczenie, ale dziś nikt o tym nie myśli, bo mamy do dyspozycji lepsze rozwiązania. – Wzruszył ramionami. – Tak jest ze wszystkim. Umysł ludzki jest nieograniczonym bogactwem naturalnym i więcej niczego nie potrzeba.
Bernard potrząsnął głową i pokazał palcem małżeństwo z „Mayflower II", które oglądało się ukradkiem dokoła, podczas gdy maszyna pakująca przy wejściu wyładowywała zawartość ich wózków na taśmę transportującą towary na niższe piętro. – Ależ spójrzecie co się dzieje – powiedział. – Jak długo możecie się utrzymać przy takim stanie rzeczy? Co będzie, gdy każdy zacznie się tak zachowywać?
– A dlaczego by miał? – spytał Czang. Przyjrzał się małżeństwu ze zdziwieniem. – Zastanawiałem się, co oni właściwie zamierzają robić z tym wszystkim. Zachowują się tak, jakby zapasy miały się wyczerpać.
– By zyskać pozycję społeczną – powiedział Jay. Czang spojrzał na niego zupełnie nie pojmując.
– To w porządku – powiedział Rastus. – Oczywiście jeśli za to zapłacą.
– O to mi właśnie chodziło – wyjaśnił Bernard. – Oni nie płacą za to, nawet jednego centa.
– Zapłacą – powiedział Rasus.
– Jak?
Rastus zdziwił się trochę. – Znajdą sposób – oświadczył. W tym momencie zza rogu wyszedł Jerry Pernak w towarzystwie swej narzeczonej Ewy Verritty i dwojga Chirończyków. Za nimi jechał wózek z paru drobiazgami. Jerry wlepił zdumione spojrzenie w Bernarda i Jaya, po czym się uśmiechnął.
– Hej! Więc Jay wyciągnął cię z domu na zwiedzanie, co? Cześć, Jay. Już masz nowych przyjaciół?
Nastąpiły uśmiechy, uściski dłoni i wzajemne przedstawianie się. Chirońskimi towarzyszami Pernaka byli: Sal, niska, kędzierzawa blondynka, prowadząca badania naukowe w zakresie fizyki na uniwersytecie niedaleko od Franklina, i Abdul, stolarz i jeden z Założycieli, mieszkający w bardziej zacisznej okolicy w głębi lądu i wyglądający na Eskimosa. Wnuk Abdula – jak ich z dumą poinformował – ręcznie wyrzeźbił oryginały wzorów, według których zakodowano programy produkcji wszystkich drewnia-

A może jej obecny niepokój był ostrzegawczym sygnałem podświadomości, która już zauważyła rysy na gmachu marzeń? Może on był skazany na zagładę, tylko jej świadomość nie chciała się z tym pogodzić? Czy, uczciwie mówiąc, w najtańszych zakątkach jej duszy nie zaczęła rodzić się pogarda dla Kalensa za to, że na to wszystko pozwala? Na mocy milczącej umowy Celia powierzyła mu dwadzieścia lat swego życia, ale czy Howard w tej chwili nie nadużywał jej zaufania pozwalając, by to wszystko, czego obiecywał bronić, zostało zagrożone przez niebezpieczeństwa, od których milcząco zobowiązał się ją ochronić? Wszędzie wokół nich Ziemianie z gorączkowym pośpiechem wyrzekli się wszystkiego, co mieli przenieść nienaruszone przez kosmos na odległość czterech lat świetlnych, walcząc o to z wytężeniem wszystkich sił – i z entuzjazmem przejmowali chiroński tryb życia. Dyrektoriat – a dla niej oznaczało to Howard – nie robił nic, by się temu przeciwstawić. Przypomniała sobie uwagę Janet Schaw, która jako gość z Wielkiej Brytanii odwiedziła w 1763 roku Trzynaście Kolonii w Ameryce – że zauważyła tam panującą powszechnie „najobrzydliwszą równość". Bardzo dobrze określało to obecną sytuację.
Zdawszy sobie sprawę z biegu własnych myśli, Celia zdławiła łzy i spróbowała się opanować. Wiedziała, że albo stara się coś zracjonalizować, albo ukryć przed sobą. Howard wielokrotnie wracał do domu zły i rozgoryczony z posiedzeń, na których zostały odrzucone jego żądania, by zastosować środki hamujące proces rozkładu. Robił co mógł, ale wpływ planety rozprzestrzeniał się coraz dalej. Zrozumiała, że mąż służy jej tylko jako projekcja i personifikacja czegoś innego, czegoś co wyrastało z jej największej głębi. To inne zaś, zaledwie odczuła jego istnienie, przekształcało się w wizję jej i Howarda, samotnych i nieugiętych, odrzuconych w ślepy zaułek, podczas gdy główny nurt płynął swoją drogą, obojętnie i lekceważąco. Po dwudziestu latach nie było przed nimi nic, prócz pustki i zapomnienia. Za jej wściekłością na Howarda kryła się gorzka prawda, że jej obrońca był równie bezsilny jak ona sama.
Teraz zrozumiała, czemu Ziemia wydała jej się tak daleka. I także to, co jej umysł w swej mądrości starał się przed nią ukryć i zasłonić. Był to strach.
I z wolna uświadomiła sobie także, co wyrażały twarze trojga dzieci na chirońskiej rzeźbie, na które jej umysł nieświadomie zareagował. Twórca był więcej niż artystą, był mistrzem. Wyrażały także strach i to nie w sposób uchwytny świadomie, ale podprogowo, strach tajemnie wkradający się do duszy patrzącego i przenikający go do szpiku kości. Dlatego była tak wytrącona z równowagi przez całą drogę z Franklina. Ale i to jeszcze nie było wszystko. Czuła jeszcze coś drgającego na samym skraju świadomości, jeszcze głębiej niż dotychczas dotarła. Znowu spojrzała na rzeźbę.
Przyglądając się, odkryła wreszcie, na co wyłaniającego się z oddali i przerażającego czekały dzieci. Zrozumienie ścisnęło ją za gardło. Bo nawet piętnaście lat temu... to była właśnie ona – bo to ona przybyła na „Mayflower II". Pojęła wreszcie, że Chirończycy toczyli wojnę, a ta wojna skończy się dopiero wówczas, gdy albo oni sami, albo ci, których przysłano by ich zawojowali, zostaną zniszczeni. Już przy pierwszym zetknięciu poczuła bezsilność własnego gatunku. Teraz odczuła ją znowu. Ostatnia zasłona skrywająca tajemnicę artysty opadła i ukazała na jedno mgnienie, głębiej niż drżenie lęku i niepokoju, coś o wiele potężniejszego i groźniejszego niż całe uzbrojenie „Mayflower II" razem wzięte. Celia Kalens ujrzała własną zagładę.
Zerwała się z miejsca, chwyciła rzeźbę i drżącymi rękami wepchnęła do pudełka, a pudło wcisnęła do szafy najgłębiej jak zdołała sięgnąć.

Rozdział XVI

Port Norday był położony o jakieś dwadzieścia pięć mil na północ od Franklina, za najdalszym przylądkiem Zatoki Mandela, na skalistym odcinku wybrzeża, w które wrzynało się ujście rzeki, opływającej tu jedną dużą i kilka mniejszych wysp. W początkowym okresie istnienia kolonii, gdy Założyciele po raz pierwszy zaczęli opuszczać teren bazy pierwotnej, by zbadać w pieszych wędrówkach jej okolice, ustalili, że miejsce to leży mniej więcej o dzień drogi na nordzie od Franklina. Stąd nazwa jaką mu nadano.
Osiedle rozwinęło się stopniowo z budowli, które zaczęto tam stawiać pod koniec pierwszego dziesięciolecia istnienia kolonii na Chironie. W tym czasie Założyciele, wyciągając właściwe wnioski z niektórych swych doświadczeń we Franklinie, byli bardziej skłonni stosować się do upomnień, udzielanych bez ogródek przez maszyny. Powiedziały one: „Tutaj ma powstać zespół przemysłowy. Jeśli będziecie się do tego mieszać, nie zacznie on działać". W rezultacie powstała miejscowość o porządnym, sprawnym, funkcjonalnym układzie, bliskim temu, co zakładali planiści misji „Kuan - yin", z modyfikacjami niezbędnymi z uwagi na miejscowe warunki. Prócz zakładów przemysłowych, do zespołu Norday należał port morski, terminal lotniczy i kosmiczny położony za wyspami, z którymi istniało połączenie systemem tuneli; wyższa szkoła techniczna oraz niewielka dzielnica mieszkaniowa, przeznaczona raczej

– Celio, daj sobie spokój z odnoszeniem czegokolwiek – dobiegł z daleka głos Weroniki. – Wrócę po te rzeczy.

Celia usiadła, spojrzała na pudła i zaczęła się zastanawiać, co w tej całej sprawie tak ją rozzłościło. Była pewna, znając te kobietę od wielu lat, że nie można oczekiwać po pani Crayford niczego innego, jak bezmyślnego afiszowania się bogactwem, które teraz już nic nie znaczyło. To zaś, że ona sama uległa podobnej pokusie też nie mogło być powodem, wzięła bowiem rzecz o wiele mniejszej wartości; jedną tylko niezbyt dużą rzeźbę, i to taką, którą sporządzono bez użycia metali szlachetnych i drogich kamieni. Zwróciła głowę, by raz jeszcze się jej przyjrzeć – umieściła ją we wnęce przy narożnym oknie. Rzeźba przedstawiała głowy trojga dzieci: dwóch chłopców i dziewczynki, dziesięcio- a może dwunasto-letnich, patrzących w górę na coś przerażającego, ale jeszcze odległego, groźbę już dostrzeżoną, ale jeszcze nie bezpośrednią. Artyście udało się nie tylko oddać w ich oczach wyraz lęku, ale także nieuchwytny spokój i odwagę bynajmniej nie dziecięcą, co w zestawieniu z gładkością ich twarzy tworzyło wyraz dziwnej zadumy, urzekającej i zapadającej w pamięć. Sprzedawca we Franklinie powiedział im, iż rzeźbę wykonał piętnaście lat temu jeden z Założycieli. Celia podejrzewała, że autorem był sam sprzedawca, lecz nie zareagował on na jej okrężne pytania na ten temat. Z jakich przyczyn wyraz twarzy tych dzieci zrobił na niej takie wrażenie? Czy biegłość artysty, któremu udało się ,wykorzystując strukturę materiału, stworzyć wrażenie światła padającego z góry – spowodowała, że Celia poczuła się, jakby znieważyła prawdziwe dzieło sztuki pozwalając, by wraz z innymi stało się jeszcze jednym przedmiotem chciwie pochwyconym, by się nim przechwalać? Weronika wróciła do pokoju i zaczęła zbierać pudła pani Crayford. – W porządku Celio, możesz się nie ruszać. Dam sobie radę.

Zauważyła minę Celii i uśmiechnęła się. Zniżyła głos do szeptu. – Wiem, to okropne, prawda? Ale to przejściowe. Ona z tego wyjdzie.

– Mam nadzieję – mruknęła Celia.

Weronika, zbierająca się do wyjścia, zatrzymała się na chwilę. – Zaczyna mi trochę brakować tego wyrzucania z domu w środku nocy. Co się dzieje z twoim przystojnym sierżantem? Nie rzuciłaś go chyba?

Celia spojrzała na nią z wyrzutem. – Och, daj spokój... przecież wiesz, że to była tylko rozrywka. Nie widziałam go już dość dawno, ale wszyscy są teraz tacy zajęci. Czy rzuciłam? Może nie... ale kto wie? – Celia odniosła wrażenie, że Weronika podniosła ten temat nie przez zwykłą ciekawość. I okazało się, że miała rację.

– Ja też mam coś takiego – szepnęła Weronika wprost do ucha Celii.

– Co?

– Nowego kochanka. Co o tym sądzisz?

– Kogoś ze znajomych?

Weronika zagryzła wargi, tłumiąc chichot. – Chirończyka.

Celia szeroko otworzyła oczy. – Żartujesz!

– Ani trochę. Jest to architekt... i cudowny. Spotkałam go wczoraj we Franklinie i zostałam z nim na noc. To takie proste – oni się tak zachowują, jakby było najnormalniejsze w świecie... I zupełnie nie mają zahamowań!

Celia gapiła się na nią oniemiała. Weronika mrugnęła i skinęła głową. – Naprawdę. Później ci opowiem. Muszę już iść.

– Ach ty dziwko! Natychmiast mi wszystko opowiedz – zażądała Celia.

Weronika wybuchnęła śmiechem. – Uważaj na siebie, bo umrzesz z ciekawości. Zadzwonię wieczorem.

Wszyscy wyszli. Celia usiadła w fotelu i pogrążyła się w myślach. Po raz pierwszy od dwudziestu lat poczuła, że jest samotna, Ziemia zaś bardzo daleko. Jako młoda dziewczyna, dorastająca w czasach wprowadzania Nowego Porządku w okresie odbudowy po Chudych Latach, zamknęła oczy na twarde realia polityczne i militarne dwudziestego pierwszego wieku, zatapiające się w lekturach historycznych i powieściach z okresu, gdy Ameryka była kolonią brytyjską. Być może wynikiem jej wysokiej pozycji społecznej było to, że wyobrażała sobie samą siebie w rolach nowo przybyłych angielskich dam na bogatych plantacjach Wirginii, czy obu Karolin, jeżdżących powozami, otoczonych służbą, mieszkających we dworach o kolumnowych gankach i przebierających w garderobach pełnych sukien na sobotnie bale w kręgu wytwornej elity. Te fantastyczne marzenia nigdy nie zbladły do końca i zapewne właśnie z tego powodu Howard stał się później jej naturalnym partnerem. Dla niego zaś Celia stała się ucieleśnieniem jego teorii i przekonań. W ciągu lat, które od tej chwili upłynęły, Celia w głębi duszy nie jeden raz rozważała, czy dla niej samej Wyprawa Chirońska nie rysowała się wówczas jako możliwość urzeczywistnienia dziewczęcych snów na jawie, rojeń, które nie mogły spełnić się na Ziemi.

nych sprzętów w Cordova Village. Był zachwycony, gdy Bernard zaczął chwalić ich jakość i obiecał, że przekaże swemu wnukowi opinię Ziemianina.

– A co wy na to? – zapytał Pernak. – Sal mówi, że uniwersytet marzy o kimś z wiedzą w zakresie nieliniowej dynamiki fazowo-przestrzennej i teorii cząsteczek. Prawie że obiecała, że mogę tam dostać posadę, a tego rodzaju praca jest tu najwyżej wynagradzana. Co sądzisz o takim zajęciu?

Bernard uśmiechnął się z wysiłkiem. – Wygląda to dobrze – zgodził się. – Ale Dyrektoriat może też mieć coś do powiedzenia.

– Wiem o tym, ale pomyślałem sobie, że z samej ciekawości obejrzę sobie to miejsce. Nic w tym złego. A później, cóż... nie wiadomo, co się może zdarzyć.

– W jaki sposób będą ci płacić? – zapytał Jay.

– Jeszcześmy o tym nie rozmawiali – odpowiedział mu Pernak.

– To bardzo osobiste pytanie, Jay – ostrzegł go Bernard.– W każdym razie jest na nie za wcześnie.

– Jay powiedział nam, że jesteś inżynierem na „Mayflower II" – rzekł z zainteresowaniem Czang. – Specjalistą procesów termojądrowych.

– To prawda. – Bernarda zdziwiło to, ale i mile połechtało. – Pomagam utrzymywać w porządku urządzenia głównego napędu.

– Chyba będziemy mogli i dla ciebie zorganizować wizytę – zaoferował się Czang. – Na wybrzeżu jest duży zakład termojądrowy, dostarczający energii i większości surowców przemysłowych dla Franklina. Wkrótce zostanie zbudowany drugi i będzie potrzebował załogi. Jeśli myślisz, że cię to może zainteresować, to załatwię ci tam wizytę.

Oczywiście, że go to interesowało. – No... może – odpowiedział ostrożnie Bernard. – Kogo tam znasz?

– Mam przyjaciela, którego matka pracuje tam przez większość swego czasu. Na imię ma Kath.

– I to wystarczy, by wyznaczyć wizytę?

– Oczywiście – powiedział z całkowitą pewnością Czang. – Zadzwonię do ciebie, gdy pogadam z Adamem. To ten przyjaciel. Jay też pewno chciałby tam pojechać.

Bernardowi nie przyszło to do głowy. Ujrzał, jak Jay energicznie zaczął kiwać głową, więc podniósł ręce do góry. – Czemu nie? Jeśli jesteś pewien, że można, no to dziękuję... dziękuję bardzo.

– Nie ma sprawy – odpowiedział mu Czang.

Ewa spojrzała na wózek, który cierpliwie czekał i zwróciła się do Pernaka. – To chyba już wszystko – oświadczyła. – Czy możemy teraz oglądać dalej miasto?

– Chodźmy – zgodził się Pernak. – Zabiorę rzeczy.

– Mogą pojechać sobie same maglewem – poinformował ich Murphy. – Automat na stacji w wiosce prześle je dalej. Odbierzesz koło windy we własnej piwnicy. Pod jakim numerem mieszkasz?

– Dziewięćdziesiątym siódmym – odpowiedział Pernak. Spojrzał na Ewę i pokiwał głową.

– To już wszystko – powiedział Murphy do wózka. – Dziewięćdziesiąt siedem, Cordova Village. Jazda.

– Chwileczkę – odezwał się głos za nimi. Obejrzeli się. Stał tam chiroński robot, błyskając lampkami w ich stronę. Należał do modeli niewysokich i zaokrąglonych, przez co wyglądał jak baryłka. – Nie weźmiecie żadnego z naszych specjalnych ręcznych narzędzi ogrodniczych. Czy chcecie się przedwcześnie zestarzeć i utyć? Pomyślcie o wszystkich przyjemnych i twórczych godzinach, które możecie spędzić w popołudniowym słońcu, z wietrzykiem delikatnie głaszczącym wasze czoła, odległym brzmieniem...

– Oj, daj spokój, Hoover – odpowiedział robotowi Rastus. – Ci ludzie dopiero przybyli. Mają zajęć wyżej uszu. – Spojrzał na Ziemian. – To jest Hoover, zarządza tym składem. Nie przejmujcie się nim zbytnio, bo inaczej zasypie was złomem po dziurki w nosie.

– Złomem?! – wszystkie naraz lampki Hoovera zapłonęły purpurą. – Co chcesz przez to powiedzieć? Zawiadamiam cię, młody człowieku, że mamy na składzie towary najlepszej jakości i w największym wyborze na całym Półwyspie. A osiągamy to przy najmniejszych zapasach magazynowych i z najmniejszą ilością problemów wynikających z braków na składzie ze wszystkich domów towarowych porównywalnej wielkości. Złom... coś podobnego! Czy zadałeś sobie trud zapoznania się z naszym...

– W porządku, w porządku, Hoover – Rastus podniósł dłoń przepraszającym gestem. – Przecież wiesz, że to nie było na serio. A wystawy są dzisiaj naprawdę artystycznie ułożone.

– Dziękuję panu i moje uszanowanie dla pana, sir – Hoover odwzajemnił się o wiele uprzejmiejszym tonem. – Mam nadzieję, że wizyta tutaj sprawiła wam wszystkim przyjemność i że wkrótce ujrzymy was tu ponownie. – Wózek odjechał, by przekazać swą zawartość maszynie pakującej. Hoover towarzyszył grupie klientów aż do wyjścia – Ponadto w przyszłym tygodniu oczekujemy dostawy absolutnie pierwszorzędnych...

– Daj spokój, Hoover – powiedział Czang zmęczonym głosem. – Obejrzymy to sobie przez sieć. No dobrze, może cię odwiedzimy w przyszłym tygodniu.

Kwartet na korytarzu grał teraz Mozarta. – Czy roboty zachowano jako swego rodzaju... tradycję? – spytał Bernard.

– Dzieci lubią ich towarzystwo – potwierdziła Sal. – A uczciwie mówiąc, my też je lubimy. Wszyscy wyrośliśmy wraz z nimi.

– Pamiętam pierwszego, który uczył mnie mówić – powiedział Abdul. – Jeszcze dziś jest czynny, tam na „Kuan-yin". Ale współczesne modele bardzo się od tamtych różnią.

Wreszcie po raz pierwszy od przybycia do Franklina znaleźli się na wolnym powietrzu i mogli z bliska obejrzeć chaotyczne, choć w jakiś sposób przytulne centrum miasta.

– No, a to wszystko? – zapytała Ewa. – Czy to też pochodzi z pierwszego okresu?

– Tak – odpowiedziała Sal. – Czterdzieści lat temu było tu tylko parę kopuł mieszkalnych i port dla promów orbitalnych. Główna baza, przez którą wyście przybyli, została zbudowana zaledwie dziesięć lat temu. W pierwszych dniach istnienia kolonii Założyciele zaczęli zmieniać plany zawarte w komputerach „Kuan-yin", a maszyny zrobiły co mogły, aby być temu posłuszne. – Westchnęła. – No i takie są skutki. Oczywiście moglibyśmy to przebudować, ale większość ludzi woli, by zostało tak, jak się przyzwyczaili. Czasem popełniano koszmarne błędy, ale w rezultacie nauczyło to nas, że wszystko w życiu trzeba z góry przemyśleć. Inne, dalej położone miasta, są znacznie nowsze i staranniej planowane, ale każde z nich ma odrębny charakter i różni się od innych.

– Nie uwierzylibyście w wiele rzeczy, które dokładnie pamiętam – mruknął Abdul, gdy znów podjęli spacer. – Cholerne maszyny... zawsze robiły to, co im się kazało. Przez pewien czas myśleliśmy, że są całkiem niegłupie. Ale okazało się, że to my byliśmy głupi.

– Ile lat miałeś wtedy? – zapytała ciekawie Ewa.

– Och, nie wiem... cztery, może pięć. Lubiłem wówczas te wszystkie światła i to ożywienie, które tu panuje, ale po pewnym czasie życie tutaj wydało mi się zbyt już gorączkowe. Teraz wolę góry. Obecnie we Franklinie mieszka głównie młodzież, chociaż są też niektórzy z Założycieli.

Zatrzymali się na małym placyku pod gołym niebem, otoczonym z trzech stron przez budynki z pasiastymi markizami nad balkonami i oknami. Kaznodzieja z „Mayflower II", widocznie chcąc nadrobić dwadzieścia lat straconego czasu, perorował do mieszanej grupy Chirończyków z narożnika muru, otaczającego klomb obsadzony krzakami. Fakt, że wśród słuchaczy znajdowali się kilkunastoletni rodzice, rozwścieczył go, a już najbardziej wyprowadzały go z równowagi widoczne u dziewczyn w tym wieku wyraźne oznaki zbliżającego się macierzyństwa. Chirończycy wydawali się zainteresowani, lecz sceptyczni. Z całą pewnością brakło objawów jakichkolwiek nagłych przebudzeń ducha ewangelicznego czy też dramatycznych, byskawicznych nawróceń.

– Wydaje mi się nierozumne dyskutowanie w jakiejkolwiek formie o rzeczach, na które brak dowodów – zauważył chłopak na oko czternastoletni. – Możesz zmyślić, co sobie zechcesz, jeśli nie istnieje sposób zbadania, czy to prawda czy nie; więc o co chodzi?

– Musicie mieć w i a r ę – ryknął kaznodzieja z oczami rozpalonymi namiętnością.

– Dlaczego? – spytała dziewczyna w różowym żakieciku.

– Ponieważ Biblia mówi nam, że musimy.

– A skąd wiesz, że to jest słuszne?

– Są rzeczy, które musimy p r z y j ą ć ! – zagrzmiał kaznodzieja.

– O to mi właśnie chodziło – odpowiedział mu chłopiec. – Fakty się nie zmienią, niezależnie od tego, jak mocno byś wierzył, że są inne i niezależnie od tego, ile osób przekonałbyś, aby się z tobą zgodziły, nieprawdaż? Opowiadanie, że są rzeczy, których nie możesz ujrzeć i wierzenie w rzeczy, których nie możesz zbadać po prostu nie ma sensu.

Kaznodzieja zakręcił się w miejscu i wpatrzył się w niego groźnym wzrokiem, który jednak chłopca nie przestraszył.

– Czy wierzysz w atomy?

– Oczywiście. Wszyscy wierzą.

– Aha! – Kaznodzieja zrobił błagalny gest w stronę słuchaczy. – Czyż więc istnieje jakakolwiek różnica, przyjaciele? Czy możemy z o b a c z y ć atomy? Czyż to nie jest bezczelne zuchwalstwo? – Spojrzał znów na chłopca, wytykając go oskarżycielsko palcem. – Czy twierdzisz, że widziałeś atomy? Powiedz, że tak, a oświadczę ci, że k ł a m i e s z ! – Ponowny błagalny gest. – Czyż to także nie jest wiara, a przecież ten osobnik oświadczył, że nie czuje potrzeby wiary. Czyż wobec tego nie popadł w naszej przytomności w sprzeczność?

– Twoje porównanie jest zupełnie nielogiczne – zwróciła uwagę towarzysząca chłopcu dziewczynka.



- Trzeba by mu stworzyć możliwość, by tam pojechał i obejrzał - potwierdził Borfontein. - W jaki sposób można to najlepiej zorganizować?

Kalens nie podnosząc wzroku wzruszył ramionami. - Z tego co wiem na temat panującej tu anarchii, wystarczy tam zatelefonować i powiedzieć, że przyjeżdżamy.

- Może by zaproponować im wymianę wizyt dobrej woli - podsunął Sterm. - W zamian możemy zaoferować, że pokażemy grupie ich techników wybrane fragmenty „Mayflower II". Dobrze będzie mieć uzasadniony pretekst.

- Coś w tym jest - zgodził się z rezerwą Wellesley. Obrzucił spojrzeniem zebranych przy stole. - Czy ktoś ma lepszy pomysł? - Nikt nie miał. - Wobec tego wezwiemy tu Merricka i pogadamy z nim - odrzekł Wellesley. Wyprostował się i oparł dłonie na krawędzi stołu. - Nadszedł stosowny moment na przerwę obiadową. Pisarzu, odnotuj przerwę w obradach. Powrócimy do nich za dziewięćdziesiąt minut. Skontaktuj się z Leightonem Merrickiem w Inżynierii i wezwij go do nas. Poproś go, by wziął ze sobą dwóch, lub więcej, swoich najzdolniejszych współpracowników. W razie jakichkolwiek przeszkód, zawiadom mnie natychmiast. Koniec.

- Przyjęte - odpowiedział komputer.

Rozdział XV

Pani Crayford, pulchna, ekstrawagancko ubrana żona wiceadmirała Crayforda, zastępcy dowódcy załogi „Mayflower II" Slessora, zamknęła kasetę z nowym kompletem chirońskich srebrnych sztućców stołowych i dołączyła ją do stosu pudełek na stole obok fotela, na którym siedziała. W całym tym kramie znajdowało się między innymi trochę przepięknej biżuterii, intarsjowana miniaturowa komódka z wybitymi atłasem szufladkami na klejnoty, zestaw jednej wielkości figurek zwierzęcych, wyrzeźbionych w czymś podobnym do onyksu oraz chirońska futrzana etola.

- Nie mam pojęcia, gdzie wreszcie zamieszkamy, ale jestem pewna, że to wszystko wzbogaci nasze otoczenie, gdziekolwiek to będzie. Czy nie sądzicie, że te srebra są zachwycające? Nigdy bym nie pomyślała, że taki niezwykły, nowoczesny model może wywierać wrażenie wręcz antycznej jakości, prawda? Muszę tam pojść jeszcze raz, za następnym pobytem we Franklinie. Widziałam tam zastawę stołową, która by doskonale do tego pasowała.

- To wszystko jest bardzo ładne - zgodziła się Weronika, wstając z fotela stojącego w obszernym salonie domu Kalensów w Dystrykcie Kolumbia. - Jestem pewna, że znajdziesz gdzieś coś cudownego.

Od pierwszych dni wyprawy „Mayflower II" Weronika należała do najbliższych przyjaciółek Celii. W niektórych środowiskach zyskała sobie nieco wątpliwą reputację, nie tylko przez to, że była jedną z nielicznych rozwiedzionych kobiet, ale że i nadal pozostawała rozwiedziona. Z przyczyn, z których Celia sama nie bardzo zdawała sobie sprawę, właśnie dlatego Weronika stała się jej jeszcze bliższa jako przyjaciółka i powiernica.

- Nie ma na nie ceny - skomentowała sucho Celia ze swego fotela. Dosłownie tak było, ale pani Crayford nie uchwyciła ironii. Weronika rzuciła Celii ostrzegawcze spojrzenie.

- Rzeczywiście, rzeczywiście - zgodziła się z zachwytem pani Crayford. Potrząsnęła głową. - Pod pewnym względem wydaje się, że brać je, to prawie przestępstwo, ale... - westchnęła. - Jestem pewna, że gdyby nie to, zostałyby zmarnowane. W końcu ci ludzie to zupełne dzikusy, całkowicie niezdolne do doceniania prawdziwej wartości czegokolwiek.

Celia zacisnęła zęby, ale udało jej się nadal udawać spokój. Pani Crayford grzebała w stercie pudełek.

- Och, nie wiem, czy nie powinnam w końcu zostawić tutaj części z nich i przysłać po nie później. Zupełnie nie wiem, jak moglibyśmy je udźwignąć przez całą drogę tylko we dwójkę.

- Tak byłoby najlepiej - powiedziała Celia.

- Damy sobie radę - obiecała Weronika. - One są nieporęczne, ale wcale nie ciężkie. Zbyt się tym przejmujesz.

Pani Crayford spojrzała na czasomierz na domowym kompanelu. - No cóż, naprawdę muszę już ruszać. Ta wycieczka i wasze towarzystwo sprawiły mi wielką przyjemność. Musimy niebawem wybrać się jeszcze raz. - Dźwignęła się z miejsca i rozejrzała wokół. - Ale gdzież ja zostawiłam mój płaszcz?

- Powiesiłaś go w holu - odpowiedziała wstając z miejsca Weronika. Ruszyła przed siebie i pierwsza przeszła przez drzwi, pani Crayford podreptała za nią.

- Istnieją dostateczne przesłanki, zweryfikowane przez powszechnie potwierdzone wyniki eksperymentalne, by przyjąć założenie, że byty posiadające właściwości przypisywane atomom istnieją naprawdę. To zaś, czy mogą lub nie mogą być bezpośrednio odbierane zmysłami, jest nieistotne. Jakie porównywalne dane możesz przedstawić?

Na ułamek sekundy kaznodzieja stracił rezon, ale opanował się szybko. - A ten świat wokół nas - krzyknął, szeroko rozkładając ramiona. - Czyż nie istnieje? Czyż go nie widzę? Kto go stworzył? Powiedz nam. Czy to nie jest dostateczny dowód?

- Nie jest - odpowiedział chłopiec po chwili namysłu. - Mogę powiedzieć, że to wróżki powodują, że kwiaty rosną, ale fakt, że kwiaty rosną, nie dowodzi istnienia wróżek, prawda?

- Przyjmować wniosek jako przesłankę nie jest jego dowiedzeniem - wyjaśniła dziewczynka, spoglądając na kaznodzieję. - Niestety, twój dowód opiera się całkowicie na zasadzie błędnego koła.

Grupka Ziemian i Chirończyków poszła w dalszą drogę, pozostawiając słuchaczy kaznodziei na pastwę gwałtownej tyrady, która nastąpiła w odpowiedzi.

- Ale to przecież były jeszcze niemal dzieci - szepnęła Ewa Verritty.

- Wyglądasz na zdziwionego - zwrócił się Rastus do Bernarda.

- To te dzieciaki - odrzekł Bernard wskazując za siebie. - Są wśród nich bardzo bystre mysły. Czy wszyscy tutaj są tacy?

- Oczywiście nie - powiedział Rastus. - Ale każdy ceni to, czym dysponuje. Powiedziałem, że umysł jest niewyczerpalnym bogactwem naturalnym. Ale tylko wówczas, gdy się go nie trwoni. Czy nie sądzisz, że to ciekawy paradoks?

Rozdział XIV

Przywódcy chirońscy nadal nie dali znaku życia. Chirończyk, który zdawał się kierować znaczną częścią działalności głównej bazy promowej pod Franklinem, zwanej Canaveral, oświadczył, że ze swej działalności nie składa raportów ani żadnemu określonemu człowiekowi, ani organizacji, która zatwierdzałaby jego decyzje i dawała mu dyrektywy. Kto więc wskazał mu, w jaki sposób zarządzać bazą? To zależało. On sam wystawiał zamówienia na wyposażenie czy nowe konstrukcje w bazie, ponieważ wiedział czego potrzebuje. Skąd wiedział? Stąd, że ludzie, którzy zajmowali się planowaniem przepustowości i kontrolą ruchu, informowali go, jakie są potrzeby, a ponadto jego własna praca polegała właśnie na tym, by to wiedział. Z drugiej zaś strony spółki budujące promy orbitalne i tym podobne rzeczy ustalały ich normatywy techniczne, ponieważ to właśnie do nich należało. Klienci zaś ustalali między sobą kolejność priorytetów dla wypraw, odlatujących z bazy. Tym się nie zajmował w ogóle, starał się natomiast jak najlepiej dotrzymywać terminów rejsów, jakie mu podawano. Więc ostatecznie kto zarządzał bazą? Kto polecał innym co mają robić i kto to wykonywał? To zależało. Wszystko to razem było niezrozumiałe.

Zgodnie z dyrektywą Wellesleya, Howard Kalens polecił Amery Farhillowi otworzyć ambasadę w małym budynku w Canaveral, który Chirończycy udostępnili im tym chętniej, że i tak sami byli w przeddzień przeprowadzki do większego, gdzie indziej położonego lokalu. Zamiarem Dyrektoriatu było stworzenie ośrodka, który Chirończycy uznaliby i odpowiedzieli na tę inicjatywę otwarciem kanałów łączności dyplomatycznej. Niestety, krajowcy w ogóle nie zwrócili na to uwagi. Po dwóch dniach bezpłodnego wysiadywania za biurkiem, Amery Farnhill zwrócił się do Kalensa o wyrażenie zgody na wysłanie na miasto patroli, które sprowadziłyby do niego ewentualnych kandydatów do rozmów. Patrole miał wystawić oddział wartowniczy „S-manów", który chronił ambasadę. Kalens mógł na to zgodzić się tylko częściowo, ponieważ był związany ścisłymi instrukcjami, wydanymi przez Wellesleya.

- Jeśli potrafisz ich do tego przekonać, to zrób to - odpowiedział na prośbę Farnhilla przez telełącznośc z pokładu „Mayflower II". - Można się zgodzić na pewien zakres presji, ale patrole w żadnym wypadku nie mogą używać siły. Mnie też się to nie podoba, Amery, ale obawiam się, że przez pewien czas musimy się stosować do tych zasad.

★

- Hej, ty tam! Stój - zwrócił się major do Chirończyka, za którym podążali od wyjścia z restauracji, mieszczącej się niedaleko za rogiem. Major dowodził patrolem czterech „S"-manów, wysłanym na zwiady do centrum Canaveral City - mieszkalnego i handlowego przedmieścia koło bazy promowej, przylegającego na przeciwległym skraju do Franklina. Chirończyk był starannie ubrany, miał trzydzieści parę lat i niósł w ręce teczkę-dyplomatkę. Zignorował ich zupełnie i poszedł dalej. Wobec tego major wyprzedził go i zatrzymał się dokładnie na jego drodze. Chirończyk wyminął oficera i zatrzymał się dopiero wówczas, gdy „S"-mani utworzyli wokół niego zaporę nie do przebycia.

– Pójdziesz rozmawiać z ambasadorem – poinformował go major.
– Nie, nie pójdę. Idę na rozmowę w sprawie klimatyzacji w nowym hotelu pasażerskim w bazie.
– Mów „sir", gdy się do mnie zwracasz.
– Jak chcesz. Mów „sir" gdy się do mnie zwracasz.
Chirończyk dał krok do przodu, ale jeden z „S"-manów zastąpił mu drogę.
– Jak się nazywasz, chłopcze? – Major pochylił się do niego i groźnie zmrużył oczy.
– Nie twój interes.
– Chcesz, żebyśmy cię tam zaciągneli siłą?
– A chcesz wyjść stąd z życiem?
Majorowi zadrżały wargi, zaczerwienił się. Widział dobrze, jak twarze otaczających ich „S"-manów stężały we frustacji, ale nie mógł nic zrobić. Miał ścisłe rozkazy.
– Jazda stąd – warknął. – I nie myśl, że ci to ujdzie na sucho – rzucił za oddalającym się Chirończykiem. – Zostałeś sfilmowany. Jeszcze się spotkamy.

*

Major z wysiłkiem wyszczerzył zęby i rozciągnął w uśmiechu usta prawie do uszu.
– Wybaczy pan, sir, czy może mi pan poświęcić parę minut?
– Na co? – zapytał ubrany w szkarłatny sweter i zielone szorty Chirończyk.
– Nasz ambasador chciałby z panem pomówić. To niedaleko stąd, na terenie bazy, o parę kroków.
– O czym?
– Po prostu przyjacielska rozmówka... o waszym rządzie, jak jest zorganizowany, kto do niego należy... ot parę takich spraw. To doprawdy nie potrwa długo.
Chirończyk z wahaniem podrapał się w brodę. – Zupełnie nie wydaje mi się, bym mógł być w czymś pomocny. O rządzie czego w szczególności tu chodzi?
– Planety... Chirona. Kto nią kieruje?
– Kieruje planetą? Jeeej... Nigdy nie słyszałem o czymś takim.
– Kto panu poleca, co ma pan robić?
– To zależy.
– Od czego?
– Od tego, co robię. – Chirończyk miał minę, jakby prosił o wybaczenie. – Mogę z nim pomówić o biologii morskiej na wschodnim wybrzeżu Artemii, o pokrywaniu budynków dachami albo o teoremacie Fermata teorii liczb – zaproponował. – Czy myślisz, że to by go zainteresowało?
Umęczony major westchnął głęboko. – Nieważne. Nie mówimy o tym. Czy znasz tu kogokolwiek, kogo powinniśmy o to zapytać?
– Nikogo. Zdaje mi się, chłopcy, że macie trudną robotę. Jeśli chcecie ją zmienić, znam pewnych ludzi w dole rzeki, którzy potrzebują pomocy przy budowie statków. Czy któryś z was robił już coś podobnego?
Major gapił się na niego, nie wierzył własnym uszom. – Zjeżdżaj – wyjąkał zduszonym głosem. Potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Po prostu... zmywaj się stąd do wszystkich diabłów, dobraaa...?

*

– To nie do wiary! – Wołał Amery Farnhill na plenarnym zebraniu Dyrektoriatu w Centrum Rządowym „Mayflower II". – Oni wiedzą, że mamy związane ręce i korzystają z tego; robiąc z premedytacją uniki. Jedyny sposób, by cokolwiek osiągnąć, to przyjąć ostrzejszy kurs, jeśli na to pozwolicie.
Wellesley w zdecydowany sposób zaprzeczył. – Nie pozwolimy, jeśli masz na myśli maltretowanie ludzi na ulicach. To by zepsuło wszystko, co osiągneliśmy dotychczas.
– A co osiągnęliśmy? – rzucił pogardliwie Borfontein.
– Coś musimy zrobić – nalegała Marcia Quarrey. – Musimy bezwzględnie uzyskać jakąś formę oficjalnego uznania, nawet jeśli oznaczałoby to wprowadzenie stanu wojennego w całym mieście. Tego wszystkiego już za wiele.
Słuchając tego Howard Kalens z trudem panował nad sobą. Quarrey zmieniła postawę z chwilą, gdy lobby handlowe, którego interesy reprezentowała, wpadło w panikę na myśl o konkurowaniu z wariackim systemem gospodarczym Chirona. Sygnały, jakie przekazywano jej z góry wskazywały jasno, że musi coś w tym zakresie osiągnąć, i to szybko, jeśli chce pozostać na stanowisku po wyborach. Dla Kalensa z kolei oznaczało to, że musi jej żądania otwarcie poprzeć, jeśli ma liczyć na poparcie Marcii w ubieganiu o stanowisko Dyrektora Misji.
– Stwierdzam, że nie ponoszę odpowiedzialności za fiasko tej polityki – oświadczył, rzucając Wellesleyowi gniewne spojrzenie. – Od początku byłem przeciwny fraternizacji, a teraz widzimy, jakie dała wyniki. Powinniśmy byli narzucić surowy apartheid do chwili, póki nie zostaną podjęte stosunki na właściwym szczeblu.
– To by nic nie dało – odparował Wellesley. – Po prostu siedzielibyśmy zamknięci za płotem, ignorowani i śmieszni.
– Jeśli twoim zamiarem było sprowokowanie agresywnej reakcji Chirończyków jako usprawiedliwienie dla narzucania porządku siłą, to również się nie udało – odrzucił zimno Kalens. – Teraz musimy na naszym koncie zapisać straty i zastanowić się, jaką mamy alternatywę.
– Co ty tutaj sugerujesz? – Wellesley chwycił dłońmi oparcia fotela, jakby miał zamiar zerwać się z miejsca. – Natychmiast wycofaj to oskarżenie!
– Czy zaprzeczasz, że narażając osoby cywilne, miałeś nadzieję wywołać incydent, który usprawiedliwiłby wkroczenie wojska?
Wellesley zbladł, żyły wystąpiły mu na skroniach. – Zaprzeczam temu! Zaprzeczam również, abym występował na rzecz segregacji. Moja polityka bazowała na zachęceniu ich przywódców do ujawnienia się przez demonstrację pokojowego współistnienia, a ty się z tym zgodziłeś. Wycofaj swoje oświadczenie!
Kalens przez parę chwil spoglądał na niego spokojnie, po czym kiwnął głową. – Doskonale. Wycofuję oświadczenie i przepraszam.
– Pisarzu – rzucił Wellesley ciągle jeszcze gniewnym głosem komputerowi prowadzącemu protokół posiedzenia. – Wymaż oświadczenie dotyczące agresywnej reakcji i wszystko co po nim następuje.
– Wymazane – potwierdza maszyna. – Ostatni wiersz protokołu brzmi: „... zamknięci za płotem, izolowani i śmieszni".
Insynuacja Kalensa osiągnęła swój cel. Sterm przyglądał mu się ciekawie, zaś Marcia Quarrey spoglądała nań przez szerokość stołu z nowym respektem. Zmieszany Farnhill szurał nogami.
– No to co będziemy dalej robić? – spytał Borfontein, starając się rozładować napięcie.
Sterm przez chwilę przyglądał się swym palcom, po czym zwrócił wzrok na zebranych. – Gdy bezpośrednia interwencja wojskowa jest niecelowa lub niepożądana, zwykle uzyskuje się zwierzchnictwo przez ograniczenie i kontrolowanie rozdziału bogactw – powiedział powolnym głosem. – Tradycyjne metody zastosowania takich środków byłyby tutaj utrudnione, może nawet niemożliwe, ponieważ pojęcia te nie znajdują tradycyjnych odniesień. Niemniej to społeczeństwo musi mieć miejsca wrażliwe na wywieranie nacisku. Jest to rozwinięte społeczeństwo o wysokim poziomie technologicznym; jego bogactwo musi więc w ostatecznym rachunku wynikać z zasobów technicznych i przemysłowych. Tego musimy poszukać, by wykryć ich słabe punkty.
Zapadło krótkie milczenie, zebrani przetrawiali te uwagi. Kalens pomyślał o kombinacie atomowym, o którym dowiedział się Farnhill podczas swych na ogół bezpłodnych rozmów z nader przypadkowo dobranymi Chirończykami we Franklinie. Po sarkastycznej uwadze Borfonteina, że kompania wojskowych nieudaczników uzyskała lepsze kontakty z krajowcami niż dyplomaci, Kalens polecił Franhillowi pospacerować poza ambasadą, by w ten sposób sprawdzić, czy przez przypadkowe kontakty i rozmowy nie uzyska się więcej.
– Tak... Wiem, co masz na myśli – powiedział Kalens, potwierdzając skinieniem głowy opinię Sterma. – Prawdę powiedziawszy już rozpoczęliśmy sondaże. – Zwrócił się do Farnhilla: – Amery, opowiedz nam jeszcze raz o tym osiedlu na wybrzeżu.
– Port Norday?
– Tak... jakiś kombinat przemysłowy, prawda?
– Jest to scentralizowany, oparty na energii jądrowej zakład, którego moc zainstalowana pokrywa w praktyce potrzeby prawie całego tego rejonu, jak również wytwarza on wielkie ilości materiałów w całym szeregu sprzężonych zakładów przetwórczych – poinformował zebranych Farnhill. – Główne produkty to metale surowe, chemikalia oraz energia elektryczna.
– Kto nim kieruje? – spytała Marcia Quarrey.
Zakłopotany Farnhill odpowiedział z zażenowaniem: – No, o ile mogłem się dowiedzieć, większość funkcji kierowniczych sprawuje tam kobieta znana jako Kath... oczywiście biorąc pod uwagę zakres, w jakim ktokolwiek czymkolwiek tutaj kieruje. Ale nie spotkałem jej jeszcze.
– To by było na początek dobre miejsce – zaproponował Kalens Wellesleyowi.
Wellesley siedział zamyślony. – Zastanawiam się, czy Leighton Merrick i jego specjaliści potrafiliby pokierować czymś takim – odrzekł zadumany. Po paru chwilach dodał szybko: – Oczywiście nie zaraz, ale kiedyś w przyszłości, o ile się da, zależnie od okoliczności. Dla pewności warto by dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.
– Nie mam pojęcia – odpowiedział Farnhill. – Musisz zapytać o to Merricka.

Ciąg dalszy ze strony 22

DZIEDZICTWO

– Nie sądzę. Po cóż by w takim razie wysyłali nas w Przestrzeń.

– Jakie znowu wysyłanie i skąd wiesz, że było ich wielu. Że byli w ogóle.

– Racja. Tak jakoś powiedziałem ONI. Nie wiem czy ktoś za tym stał, w każdym razie na to wyglądało. Nie mogę pojąć jakoś, aby CP, które jest mózgiem elektronicznym potrzebowało do życia młodej materii gwiezdnej.

– Co mówisz? Młoda materia gwiezdna?

– Tak. Takie zadania otrzymywali piloci, którzy wyruszali grupami. O wszelkich odkryciach takiej materii mieli meldować do CP. Czy jakieś zgłoszenia przychodziły, czy je wykorzystywano, nie wiem. Tego już nam nie powiedziano.

– Widzę, że i tak wiesz znacznie więcej niż my. Może powiesz nam także, dokąd w tej chwili lecimy?

Steve najpierw spojrzał mi w oczy, a potem rozejrzał się dookoła jakby szukając czegoś. Ściany statku ponownie stały się nieprzezroczyste. Moment później usłyszałem w myśli pytania i następujące po nich odpowiedzi. Miałem wrażenie, że pytania zadaje Steve, a odpowiedzi przychodzą od kogoś kto znajduje się na statku razem z nami. Nie byłem jednak wszystkiego absolutnie pewny.

– Co się z nami dzieje? – spytał Steve.

– Jesteście bezpieczni w ramach niebezpieczeństw przewidywalnych i obserwowalnych. Lecicie w kierunku planety zwanej Ziemia. Czas lotu jest trudny do dokładnego określenia, a to przez brak dokładnego rozpoznania trasy lotu. Znajdujecie się w odległości stu pięćdziesięciu mil świetlnych od Ziemi w kierunku Centrum Galaktyki – mówił Głos – Minęło 14,76 minut od startu statku zwanego Amiz. Za 2,20 minut nastąpi pierwszy etap osiągania prędkości przyświetlnej. Statek posiada systemy kompensacyjne całkowicie zabezpieczające załogi przed przeciążeniami. Wszystkie układy i systemy potrzebne do prawidłowej pracy statku oraz zabezpieczające życie pasażerów działają sprawnie.

– Czy to znaczy, że jesteśmy więźniami statku? Automatu?

– Chociaż światłolot jest zaprogramowany i w pełni automatyczny, to nad pracą jego czuwam ja.

– To znaczy kto?

– Ja, to znaczy wasz Krystaliczny Opiekun.

– Zatem potrafisz myśleć?

– W pewnym sensie tak.

– Co to znaczy „w pewnym sensie".

– To, że jeśli weźmie się pod uwagę odpowiednie założenia i odpowiednio ustalone kryteria – to tak. Na przykład w myślącym mózgu ludzkim każdy zauważy jego aktywność elektryczną. Mikroskopijne prądy przenikające skomplikowaną siecią cały mózg. Zatem myślę, ale w mięśniach także występują miniprądy, a wiadomo, że mięśnie nie myślą. Zatem nie myślę. Jak widać jest to kwestią kryteriów.

– Jesteś inteligentny...

– Dziękuję. Słowa te, jeśli wypowiedziano je jako obiektywne stwierdzenie faktu, mogłyby nie być komplementem.

– Skąd ta pewność i zarozumiałość?

– Zdaje się, że nie to jest tematem naszej rozmowy.

– Słusznie – odparł Steve i zamilkł na moment kiwając głową.

– Na czym staneliśmy?

– Na automatyźmie statku.

Steve uśmiechnął się pod nosem.

– Gdzie się znajdujesz, nie wiem gdzie patrzeć.

– Jestem w twoim mózgu, to znaczy słyszysz mnie tam. To musi wystarczyć. Mogę być słyszany przez jednego z was lub przez wszystkich, zależnie od woli...

– Masz więc także wolę?

– ... od woli rozmawiającego ze mną czy też słuchającego. Wola mi niepotrzebna. Przekazywanie informacji to moje główne zadanie. Nic mnie ono zresztą nie kosztuje. Ale po co pytasz o te rzeczy, skoro w Dziecińcu spotkałeś się z podobnym osobnikiem?

– Ja i Sue tak, ale nie zapominaj, że jest tutaj także jeszcze dwóch młodzieńców, którzy mogą nie znać takich inteligencji.

– Jasne.

Gull spojrzał na mnie czekając jakby na pozwolenie zrobienia czegoś, czegokolwiek, aby zabić wiszący w ciszy uśmiech politowania Steve'a i Opiekuna. Wytrzymałem jednak jego wzrok. Gull zmiękł i opadł w fotelu.

– Steve spytaj o tę planetę, chyba to jest teraz najważniejsze – wtrąciła Sue.

– Oczywiście – odparł Steve kierując w jej stronę ukłon. – Słyszałeś? Powiedz coś o tym.

– Przypuszczam, że nie spełnię waszych oczekiwań całkowicie, więc jeśli coś będzie niejasne pytajcie.

– Możesz być tego pewien – odparła Sue uśmiechając się sztucznie, ale uroczo.

– A może on wie coś o nas samych – dodałem.

– Po kolei... – charakterystycznie zawieszony głos Steve'a był zaproszeniem, bym podał mu swoje imię.

– Nazywają mnie Rex.

– Po kolei Rex. Zdaje się, że mamy dużo czasu.

Nic już więcej nie powiedziałem, a Opiekun wyczuwając stosowną przerwę zaczął:

– Lecimy w kierunku planety zwanej przez konstruktorów tego statku Ziemią.

– O jakich konstruktorach mówisz? – zniecierpliwiona Sue poprawiła się w fotelu.

– Chwileczkę. Nie przerywajmy sobie. Zbiorę wiadomości i możliwie jasno będę chciał je przedstawić. Jeśli będziecie pytać na gorąco możecie łatwo sprowadzić mnie na inną drogę i mogę przez to pominąć coś ważnego. Zresztą w waszej sytuacji wszystko wydaje się być ważne. Chciałbym jednak swój tok myśli przeprowadzić bez przerw od początku do końca. Szczegóły później. Zgoda?

W panującej ciszy spojrzeliśmy po sobie zdumieni. Steve znacząco rozłożył ręce, opierając się z rezygnacją o oparcie fotela, którego elementy natychmiast dostosowały się do nowej pozycji, jakby wyczuwając intencje siedzącego.

Ledwie wyczuwalny delikatny dreszcz przeniknął nas przywodząc na myśl podświadomie niewidzialny, pozawerbalny uśmiech zwycięstwa Opiekuna. Całkowicie opanowani przez niewidzialnego wybawcę słuchaliśmy dalej.

– Lecimy możliwie najkrótszą drogą. Mówię „możliwie" ponieważ na drodze mogą znajdować się różne dziwne rzeczy, o których nauka mało jeszcze wie. Podróż trwać będzie jeden rok z prędkościami chwilami bliskimi prędkości światła. Skonstruowano mnie i zbudowano w czasach, gdy ludzie zamieszkiwali planetę mając swoje siedziby w ogromnych latających baniach unoszonych rozgrzanym powietrzem.

Zdziwienie malujące się na twarzach pozostałej trójki wystarczyło za każde pytanie.

– Jacy ludzie? – nie wytrzymała Sue.

– Trzeba wam wiedzieć, że nie jesteście jedynymi ludźmi w Przestrzeni. Wasz świat ograniczony dotąd do Dziecińca nie był jedynym zamieszkanym w Przestrzeni. Jest odwrotnie. Stanowiliście niejako margines ludzkości. Nikt z was nie dowiedziałby się nigdy o innych ludziach, gdyby nie było niezbędnej konieczności. Taka konieczność właśnie nastąpiła i mam obowiązek opowiedzieć wam wszystko, co jest mi wiadome.

Na dźwięk tych słów oczy Gulla powiększyły się do niemożliwych rozmiarów. Wzdrygając się patrzył w czarną otchłań Przestrzeni, roziskrzonej miliardami gwiazd i galaktyk, wśród których gdzieś tam daleko znajdowała się Ziemia.

– Opatrzność Ludzkości, to znaczy centralny mózg kontrolujący życie na Ziemi zbudował Dzieciniec i umieścił w znanym wam miejscu. Miejsce to zostało odkryte przypadkowo. Podczas szukania drogi do A-3, to jest gwiazdy znajdującej się w bardzo wczesnym stadium tworzenia, kilka statków załogowych uległo gwałtownemu zniszczeniu. Przy dokładniejszej obserwacji rejonu zagrożenia odkryto przestrzeń niejako wypełnioną burzami magnetycznymi z zadziwiającym zjawiskiem wykrzywiania przestrzeni. Statki były rozrywane, bo nie wytrzymywały odkształceń strukturalnych. Odległości między atomami w niektórych rejonach do tego stopnia się powiekszały, że nastepowało kompletne zniszczenie lub dyskontrola układów elektronicznych i elektropsychicznych. Efektem końcowym były wybuchy. Wewnątrz przestrzeni burzowej istniała jednak niewytłumaczalna cisza magnetyczna. Prowadził do niej tylko jeden kanał. Tą drogą wprowadzono Dzieciniec do wewnątrz. Mnie dostarczono osobno wraz z pierwszym dzieckiem. Miałem od tej pory za zadanie wychowywać was naukowo i w odpowiednim momencie wysłać was w Przestrzeń na poszukiwanie obłoków młodej materii gwiezdnej. Miałem do dyspozycji dwa sektory. W pierwszym uczyliście się nie kierowani. Wyczuwaliście jednak, że osiągając czternasty rok życia sami powinniście przejść do sektora drugiego. System był tak obmyślony, że podświadomie dążyliście do zdobycia jak największej wiedzy. Dążyliście do maksymalnego rozwinięcia swego intelektu. W pierwszej fazie nie wolno mi było narzucać wam swojej woli. Takie były założenia ludzi, którzy mnie skonstruowali. Tylko swobodny rozwój w najwcześniej-

szych latach życia może dać gwarancję różnorodności temperamentów i umiejętności, tak potrzebnych w lotach przestrzennych. Dopiero w drugim okresie szkolenia, po przekroczeniu przejścia oznaczonego numerem czternaście wolno mi było nieco was „obrobić". Otrzymywałem przez to ludzi mądrych, a jednocześnie zamiłowanych w swoim zainteresowaniu. Dzięki temu zdarzali się między wami geniusze, lecz także osobnicy wręcz mierni. Mogę wam powiedzieć kim wy jesteście:

Sue - piękna, szesnastoletnia dziewczyna, której główną cechą jest ciekawość i wynikająca z niej skłonność do zadawania wielu pytań.

Steve - szesnaście lat, zdolności organizatorsko-przywódcze, zdecydowany, ale chwilami nieobliczalny. Aby uniknąć niepotrzebnych spięć dodam, że Steve kocha od dawna Sue. (Lekkie zmieszanie przemknęło po wszystkich twarzach).

Rex - trzynaście lat, zainteresowania techniczne i naukowe w kilku dziedzinach. Wrażliwy na piękno. Niestety o najsłabiej rozwiniętej woli działania. Trudności z podejmowaniem decyzji.

Gull - co do niego miałem najwięcej obaw. Chociaż strukturalnie i czynnościowo niemal identyczny z innymi, to jednak emocjonalnie znacznie odbiegający od normy. Niektóre jego zachowania nie dają się wręcz wyrazić znanymi mi słowami. Jest czasami wprost nieludzki. Brak zainteresowań. Miał wszelkie dane, aby wiek czternastu lat osiągnąć znacznie później.

Pewnie ciekawi was dlaczego tak dobrze strzegłem seledynowych przejść. Otóż moi konstruktorzy, po wnikliwych badaniach ludzkiej psychiki, doszli do wniosku, że gwarancją zapamiętania czegokolwiek jest świadomość pytania „dlaczego" i „po co"? Próbując odgadnąć co kryją seledynowe przejścia, drążyliście w umysłach swoich kanały świadomości. Mieliście tę zagadkę zakodowaną bardzo głęboko. Żaden wstrząs nie mógł wam jej odebrać. Było to potrzebne, gdyż już w fazie umieszczania Dziecińca wewnątrz magnetycznego bąbla stwierdzono jego bardzo powolne, ale jednak stałe kurczenie się. Zachodziła możliwość zniszczenia Dziecińca. Prawdopodobieństwo zagłady było znaczne, a mimo to nie zastosowano automatycznej ewakuacji wszystkich mieszkańców Dziecińca. Wychodzono z założenia, że zbudowanie seledynowych przejść i statku ratowniczego umożliwi naturalną selekcję. Do przejść najszybciej dostaną się ci, którzy najwcześniej przypomną sobie o nich oraz ci, którzy wykażą się największym sprytem. Moim zdaniem zachodzi tutaj analogia z pierwszym i drugim etapem pobytu w Dziecińcu. Wolna wola. Każdy ma szansę. Każdy w każdej chwili zależy tylko od siebie. Niestety konstruktorzy nie przewidzieli, że podczas dewiacji przestrzenno-magnetycznych utworzą się ściany w nowych, nieoczekiwanych miejscach. Wielu to zabiło, a jeszcze większą liczbę zatrzymało. Naturalna selekcja, zbadanie możliwości każdego w ekstremalnych warunkach stało się bezsensowną rzezią. Ale powiedzcie sami, czy można było wymyśleć lepszą sytuację do zbadania waszych reakcji? Wszystko działo się niespodziewanie, nagle, bez ostrzeżeń, było nieznane i zaskakujące... straszna rzeź.

– Cóż ty możesz wiedzieć o bólu? – niemal krzyczała Sue.

– Mogę! Pozostawiłem tam mój... co to was zresztą obchodzi...

Nikt więcej się nie odezwał. Panującą ciszę przerwał Opiekun:

– Wróćmy lepiej do tematu... Po ewakuacji moim zadaniem jest przetransportowanie was w kierunku Ziemi z jednoczesną obserwacją Przestrzeni; będę szukał innej przestrzeni burzowej. Jesteście zatem bezpieczni. Moje systemy ostrzegania oraz obrony są na tyle nowoczesne, że gwarantują bezkolizyjny lot. „Gwarantują" w ramach pewności, że wiemy już wszystko o Przestrzeni. Stopień docelowej doskonałości takiej pewności jest niewyobrażalnie wysoki.

– Co się stanie z nami potem? – spytał Steve.

– Kiedy?

– Po przylocie na Ziemię oczywiście.

– Nie wiem. Prawdopodobnie nadal będę się wami opiekował albo zajmą się wami konstruktorzy.

Steve spojrzał na nas znacząco, czując w tym, nie wiadomo dlaczego, jakiś podstęp.

– Czy możemy cię opuszczać? To znaczy, czy wolno nam wychodzić w Przestrzeń?

– Oczywiście. Nawet gdybyście chcieli, to nie możecie uciec. Wokół jest tylko pustka, a wy niczego nie macie prócz mnie, aby ją pokonać. Ja natomiast polecenia mam jasne.

Pomimo to nie poddaliśmy się i rozmawiając dalej z Opiekunem zaczęliśmy skrycie zastanawiać się nad możliwością budowy urządzenia podporządkowanego naszym rozkazom.

Następnego dnia, po śniadaniu, Opiekun dopowiedział nam resztę historii ludzkości. Ku swemu zdziwieniu dowiedzieliśmy się, że ludzie osiągając najwyższe stadium rozwoju stali się niezwykle obojętni. Ignorowali Przestrzeń, nastąpił zanik motywacji rozwoju osobowości i atrofia ludzkich uczuć. Obojętność nie dotyczyła jednej tylko rzeczy. Było nią Słońce. Tylko ten obiekt powodował żywsze bicie ludzkich serc; dla ludzkości nie był straszny żaden wysiłek związany z jego odmładzaniem bądź przedłużeniem mu życia.

Aktywność Słońca tymczasem z roku na rok malała, a ziemskie rezerwy nuklearne spalały się w zastraszającym tempie. Nie pozostało ludziom nic innego jak zasilać je młodą materią gwiezdną. Tysiąc trzysta pięćdziesiąt lat temu materię taką wykryto w odległości trzech lat świetlnych od Ziemi. Postanowiono transportować ją partiami w kontenerach. Zbudowano miliardy olbrzymich pojemników. Pierwszy zestaw tysiąca kontenerów, pchany przez dwa statki, wyruszył na trasę tysiąc dwieście lat po odkryciu A-3. Przewidywano, że akcja potrwa jeszcze około tysiąca czterystu lat.

Po zbliżeniu się do A-3 jeden statek wstrzeliwuje w najgęstsze jej warstwy otwarte na przestrzał kontenery, zamykające się automatycznie po zapełnieniu materią. Po przeciwnej stronie gwiazdy czeka już drugi statek i łapie napełnione kontenery. Po skompletowaniu całego zestawu oba statki pchają całość z powrotem. W okolicach Słońca, po odłączeniu pchaczy, całość jest kierowana w jego centrum i tam ginie bezpowrotnie.

Tysiące lat ludzie szukali dróg wyjścia rozważając różne warianty ocalenia. Nigdy jednak nie padło hasło do przesiedlenia. Exodus miliardów ludzi nie wchodził w rachubę. Ginącemu Słońcu ludzie przeciwstawili swój upór i wiedzę. Jakaś irracjonalna siła, nieokreślony magnetyzm trzymał ludzkość na Ziemi.

– Plan wariata, a przynajmniej maniaka – rzekł Steve.

– Tak... – potwierdziła w zamyśleniu Sue. – Tylko że kłóci się to z twierdzeniem o ogólnej obojętności ludzi.

– Właśnie i co niby miałoby ich popychać ku temu bezprzykładnemu wysiłkowi? Dlaczego chcą uratować Słońce? Dlaczego tak im na tym zależy? Jaki mają w tym cel? Nie wiem czy was zadowalają odpowiedzi Opiekuna, bo mnie zastanawiają te niejasności.

– Czy nie wydaje się wam, że my jesteśmy jacyś inni? – wtrąciłem. – Przecież baliśmy się, choćby podczas ucieczki z Dziecińca, zadajemy sobie nawzajem i otaczającemu nas otoczeniu wiele pytań. Wydaje mi się, że gdzieś tutaj tkwi zasadnicza różnica. Może konkretnie nie o zadawanie pytań chodzi. Moze Ziemianie, o ile tacy w ogóle istnieją, także zadają sobie różne pytania, lecz w inny sposób niż my. Nie oczekują na konkretną odpowiedź. Może o coś zupełnie innego im chodzi w przeżywaniu świata. A ty, Sue, co o tym sądzisz?

– Nie mogę zebrać myśli. Coś mi nie pasuje. Jestem trochę zdezorientowana. Jeśli jest prawdą, że gdzieś żyją ludzie, to dlaczego my żyliśmy tak daleko od nich? Opiekun twierdzi, że to Opatrzność Ludzkości kierowała nas do Dziecińca. Czyżby to znaczyło, że Opatrzność będąca ochroną i zabezpieczeniem ludzi, była wyrocznią w sprawach tak delikatnych jak macierzyństwo? Co ty na to Opiekunie?

– Nie rozumiem.

– Czego nie rozumiesz?

– Pytania.

– Pytam, czy także masz wątpliwości co do praw macierzyńskich.

– Macierzyństwo?...

– Tak macierzyństwo – rzekła podnosząc głos. – Co w tym niejasnego?

– Nie znam takiego wyrazu.

– Droczysz się ze mną.

– Nie! Naprawdę nie znam.

– Czyżby błąd programowania? – zwróciła się do Steve'a.

– Nie ma żadnego błędu – zamiast Steve'a odezwał się Opiekun.

– Skąd ta pewność?

– Stąd, że Opatrzność Ludzkości w swych pamięciach także takiego pojęcia nie posiada. Macierzyństwo?... Nie, na pewno nie ma, a co to znaczy?

Jan WOJEWÓDZKI

Urodził się w 1955 roku pod znakiem Koziorożca. Studiował – jak pisze w liście do redakcji – mechanikę, malarstwo niedzielne, stosunki ciał niebiańskich, dysharmonię otoczenia i kilka pomniejszych dyscyplin, a na co dzień pracuje w rzemiośle. **„Dziedzictwo"** jest brawurowym debiutem literackim J.Wojewódzkiego, na czym, jeśli idzie o twórczość SF, nie zamierza on wcale poprzestać (mp)

Twarz Sue z malującym się na niej niezmiernym zdziwieniem obróciła się wolno do Steve'a. Spojrzał na nią, jednak się nie odezwał.

– Dziwne masz poczucie humoru – kontynuowała. – Mimo że jest właściwie nieprawdopodobne, byś nie znał tego pojęcia, spróbuję ci je wyjaśnić. „Macierzyństwo" to nic innego jak stan w jakim matka znajduje się w stosunku do swego dziecka. W stosunku do dziecka w pierwszym okresie życia. Później macierzyństwo przeobraża się w opiekę rodzicielską.

– Opiekę rodzicielską?

– Eee! Nie chcesz chyba powiedzieć, że jesteś naszym rodzicem.

– Co to, to nie. Pamiętam przecież, że przylecieliście z Ziemi. Chcę tylko powiedzieć, że tego terminu także nie znam.

– No, to już zakrawa na kpiny...

– Mam! – krzyknął Steve podskakując na fotelu. – Powiedz Stary co to Piekło? – odezwał się kierując błyszczące z podniecenia oczy w najbliższy monitor.

– Nie znam takiego terminu.

– Kim byli Starożytni?

– Nic mi o nich nie wiadomo. Nie znam takiego wyrazu.

– Zdaje się, że mam różnicę, o której mówiłaś Sue – Steve zwrócił się w kierunku dziewczyny i chwycił ją za ramiona. – Nie wiem jak to możliwe, ale najprawdopodobniej wiemy dużo więcej niż przypuszczamy. Spróbujemy przypomnieć sobie jeszcze kilka wyrazów, których znaczenia nie jesteśmy pewni. Jeśli potwierdzi się to co do tej chwili, to będziemy przynajmniej wiedzieć co robić dalej.

– Może najpierw ty, Gull.

Gull robiąc zakłopotaną minę, ciągnąc się za nos rzekł po chwili:

– „Reaktor"...

– Znam ten termin – odparł Opiekun i zanim ktokolwiek zdążył przerwać, wyrzekł: – Reaktor służy do wytwarzania energii pochodzącej z reakcji termojądrowych występujących podczas rozbijania atomów. Energia ta jest stosowana w celach realizacji zamierzeń człowieka.

Gull drapał się po skroniach. Nie śmiał nawet na nas spojrzeć.

– Skoro już o tym mówisz, to powiedz, czy reaktor ma jakiś związek z Wielkim Rozpadem Cząsteczkowym?

– Nie wiem co to znaczy.

– Zdaje się, że trafiliśmy na żyłę nieświadomości Jego Wysokości Opiekuna – kpiąc zwrócił się do nas Steve. – Jeśli tak dalej pójdzie to pewnie lepiej się stanie, jeśli przestaniemy w ogóle z Nim rozmawiać.

– „Reaktor" był pudłem, ale czy wiesz co to „goryl"? – spytał Gull zawieszając w niepewności ostatnie słowo.

– Nie wiem, ale jeśli chcesz w ten sposób udowodnić, że jesteś lepszy, to powiedz, co oznacza wyraz „zwierzę"?

– Ha, ha, ha! – roześmiał się głośno Gull. – „Zwierzę" to istota podobna do człowieka, jednak o innej budowie anatomicznej i nie posiadająca tak wysoko rozwiniętej inteligencji. Goryl to właśnie zwierzę.

– To niemożliwe!!! Nie możecie znać tego terminu! Nigdy wam nie zdradziłem, że istnieją takie stworzenia, a w archiwum informatycznym w Dziecińcu nie było o tym żadnej wzmianki! – wykrzykiwał Opiekun miotając się w niezmierzonej sieci swoich elektronicznych obwodów.

– Uspokój się, Stary – próbował opanować sytuację Steve. – Nie twoja wina, że wiemy o takich rzeczach. Sami dziwimy się jak to możliwe. Pewne jest, że coś z nami nie tak. Albo postradaliśmy zmysły i wszystko to jest objawem choroby (byłaby to zaiste bardzo dziwna choroba), albo wiedzieliśmy to jeszcze przed przybyciem do Dziecińca.

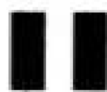
– Tak, to prawdopodobne – spokojniej już przytaknął Opiekun. – Zwłaszcza ta ostatnia możliwość. Tylko jak właściwie zdołano we wczesnym okresie życia człowieka, gdy mózg nie jest jeszcze całkowicie ukształtowany, kodować go informacjami. I po co?

– Właśnie, po co? Po co potrzebna jest nam znajomość goryla czy trawy?

– Trawy?

– Tak. To jeszcze jeden taki wyraz.

– Uhm.



Mijały dni pełne pytań i odpowiedzi, przeżywane przez nas w uniesieniu, gdyż nie szło o błahostki, a o rzeczy zasadnicze. Dowiedzieliśmy się, na przykład, jak powstało życie na Ziemi.

Historię ludzkości zapoczątkowały zjawiska elektryczno-magnetyczno-mechaniczne, zachodzące w praoceanie. Dzięki przyciąganiu się atomów i cząsteczek elementarnych, powstawały coraz bardziej złożone układy, które z kolei były zdolne do reakcji z innymi powstałymi już układami. W ten sposób cząsteczki na drodze elektrycznej, magnetycznej i termicznej oraz mechanicznej tworzyły nowe systemy. W końcu powstałe ciała były już tak duże, że zjawiska elektryczne zachodzące wewnątrz nich stawały się przyczyną reakcji ciał sąsiednich. Powstał łańcuch zjawisk przyczynowo-skutkowy. Ewolucja następowała powoli, ale stale. Dalszy rozwój życia doprowadził do powstania samodzielnych systemów o zdolności myślowej opartej na zasadach elektryczności. W ten sposób powstał świat życia krystalicznego. Następuje później okres nie do końca zbadany, w którym życie z formy krystalicznej przechodzi do formy białkowej, opartej na zasadach przemian chemicznych. Powstają pierwsze prymitywne komórki, a po wielu tysiącach lat dochodzi do powstania głównego białkowego organizmu, jakim stał się człowiek. Od tej chwili ewolucja znacznie przyspiesza bieg i już po trzech tysiącleciach ludzi zamieszkujących latające banie przestają dziwić nie tylko zjawiska atmosferyczne, ale także pozaziemskie. Powoduje to całkowity zanik zainteresowania Przestrzenią, wyłączając jednak Słońce. Eksploracja Przestrzeni miała zawsze tylko jeden cel i była mu całkowicie podporządkowana. Celem tym było znalezienie młodej materii gwiezdnej potrzebnej do podtrzymywania przy życiu umierającego Słońca.

Zadając Opiekunowi niezliczoną ilość pytań, każdy z nas podświadomie miał nadzieję uzyskać odpowiedź na pytanie, dlaczego ludziom tak bardzo zależało na utrzymaniu „przy życiu" starej, dogorywającej, jak się zdawało, gwiazdy. Co ich pchało do tak bezprzykładnego wysiłku? Wokoło aż roiło się od podobnych gwiazd z planetami o znośnych warunkach. Koszt przeprowadzki nie byłby większy od kosztu transportu materii z A-3. Jednocześnie istniał jeden niezaprzeczalny argument na rzecz exodusu. Mianowicie po przesiedleniu na inny układ kończyły się uciążliwe kłopoty ze Słońcem. W nowym miejscu różnice w budowie i układzie konstelacji gwiazd nad głowami byłyby prawie niezauważalne.

W tym nowym miejscu życie mogłoby wrócić na grunt stały i do Oceanu. Latające banie nie były przecież wygodne; mocno ograniczały możliwość poruszania się i kontaktowania mieszkańców Ziemi. Społeczność ludzka znajdująca się w zamkniętych przestrzeniach swoich latających osiedli, tworzyła przez to wiele niezależnych od siebie enklaw. Do bezpośrednich kontaktów takich osiedli dochodziło tylko wtedy, gdy podczas burz i szalejących wirów zderzały się one ze sobą. Nie były to wypadki częste, ale bardzo tragiczne. Z pękniętego pęcherza-osiedla wypadały różne przedmioty, pomieszane z wysypującym się gruntem i ciałami ludzkimi. Tysiące ludzi przy ostrych dźwiękach rozrywanego poszycia bani, złorzecząc i wrzeszcząc z bólu, umierających i mających zaraz umrzeć wypadało w przestrzeń buchającą żarem gorącego, pustynnego powietrza. W dole czekała na nich gorąca Ziemia, rozprażona wypalającym się Słońcem. Jedni rozbijali się o grunt, inni wypadali do gorącej kipieli oceanu, który wciąż wytwarzał nowe banie.

Podczas którejś z kolei rozmów z Opiekunem wpadliśmy na pewien pomysł.

Wszystko czego dowiedzieliśmy się, a raczej czego nie dowiedzieliśmy się od Opiekuna, znajdowało się w naszych umysłach i wydawało się być wiadomym znakiem czegoś, z czego na razie ani on, ani my nie zdawaliśmy sobie sprawy.

– Musimy przeprowadzić eksperyment – rzekł Steve. – Trzeba zbadać mózg któregoś z nas. Musimy wiedzieć co kryje się za tym wszystkim. Kto się zgłasza?

– Ja – odezwałem się.

– Zatem ty, Rex, udzielisz odpowiedzi. Sue przygotuj wszystko.

Przeszliśmy do salki medycznej. Umieszczono moją głowę w dzwonie detektora promieniowania biologicznego, a każdy z uczestników eksperymentu nałożył sobie hełm analogicznego generatora. W ten sposób informacje zawarte w moim mózgu były przekazywane odpowiednio sterowanymi wiązkami promieniowania biologicznego do mózgów Sue, Steve'a i Gulla.

Nasza nowa wiedza przekraczała wszelkie wyobrażenia. Nawet ja byłem później zaskoczony. Widzieli łąki pełne kwiatów i szumiących traw. Między drzewami uwijały się różne gatunki ptaków, po ziemi chodziły dziwne stwory, a były wśród nich obrośnięte długimi i gęstymi włosami stworzenia podobne do ludzi. W miejscach, gdzie biły źródła wody pitnej gromadnie żyli ludzie w prostopadłościennych budowlach ostro wystających z ziemi o dziwnych, kwadratowych najczęściej otworach. Najbardziej jednak szokujące było to, że życie, które widzieliśmy, odby-

wało się pod słońcem dużo jaśniejszym i młodszym od dzisiejszego. Była to Ziemia z czasów swojej największej świetności, zamieszkiwana przez ludzi o bogatej wyobraźni, pełnych optymizmu i chęci życia.

Po przebadaniu mego mózgu postanowiono to samo zrobić z mózgami pozostałych członków grupy. Wyniki pokrywały się. Wszyscy posiadaliśmy pozaświadome informacje o zamierzchłych czasach.

– Wychowywaliśmy się w tym przeklętym Dziecińcu – rzekłem – na peryferiach Układu Słonecznego, obsługiwani jedynie przez automaty podległe centralnemu mózgowi. Żadne z dzieci nie wiedziało, kto jest jego rodzicem. Bez przeszłości i przyszłości prowadziliśmy swój beznadziejny żywot.

– Często już po ucieczce z planetoidy, będącej naszym Dzieńcem, a zarazem więzieniem, łapałam się na myślach, że tamten stan był tworzony przez kogoś, komu bardzo zależało na odseparowaniu nas od reszty świata – dodała Sue. – Dlaczego?

– A pamiętacie – wtrącił Gull – tę burzę magnetyczną, dzięki której możliwa była nasza ucieczka z Dzieńca?

Gullowi zabłysły oczy jak zwykle, gdy przeżywał coś bardzo mocno. Zaciśnięte pięści i szczęki potwierdzały jeszcze siłę tych wspomnień. Czasami stan ten był bardzo głęboki, a to nie oznaczało niczego dobrego.

– Wiecie, przypomina mi się teraz, że czasami gdy się budzę, mam uczucie jakbym był kimś innym i jakbym znajdował się na Ziemi – powiedziałem. – To znaczy, nie w latającej bani, ale na lądzie, gdzie wieje rześki wiatr od Oceanu, bogato zamieszkałego przez jakieś stwory o opływowych kształtach – ryby. Chyba tak to się nazywało?

– Tak, Rex – odparła Sue. – Ryby.

– Ryby, a cóż to za rzecz? – niezmiernie zdziwiony spytał Opiekun.

– Nie przerywaj. Może kiedyś wyjaśnimy ci to.

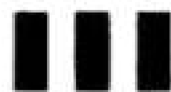
– Czasem zdarza mi się to – kontynuowałem – gdy zmęczony przymknę oczy, aby odpocząć.

– Ja mam podobne sny – dodał Gull. Śni mi się często, że uciekam przed jakimś czworonożnym stworem o wielkich zębach i w ostatniej chwili wdrapuję się na drzewo. A dzieje się to nie na jakiejś dowolnej planecie, lecz właśnie na Ziemi.

Zapanowała cisza. Nawet Opiekun zdawał się być zamyślony.

– Steve – rzekła Sue – czy nie uważasz, że coś to wszystko jest bardzo tajemnicze?

– Masz rację. Co prawda stwierdzono, że coś takiego jak pamięć genetyczna istnieje, ale przecież nie możemy pamiętać rzeczy, których nie było.



Po opuszczeniu Dzieńca nasza sytuacja zmieniła się radykalnie. Przy milczącym przyzwoleniu Opiekuna oraz dzięki moim zdolnościom twórczym, zbudowaliśmy cztery inne statki wyposażone w nowoczesną broń oraz napęd umożliwiający lot z prędkością światła.

Czas upływał i nasz ograniczony dotąd rozwój intelektualny przyspieszył w nowych warunkach, owocując stworzeniem wielu innych ciekawych urządzeń. Skonstruowałem między innymi urządzenie zwane przeze mnie „ciągiem martwych". Przy zastosowaniu odrzutnika przestrzeni uzyskuje się wręcz nieprawdopodobne przyspieszenia i prędkości. Odległość jednego roku świetlnego może być pokonywana w 30 sekund. Żadne z doświadczalnych stworzonek poddanych takiej próbie nie przeżywało przyspieszeń, pomimo zastosowania kompensatora bezwładnościowego. Na samą ideę „ciągu martwych" wpadłem będąc jeszcze w Dzieńcu. Oglądając kiedyś telewizję pomyślałem, że skoro można tak łatwo z sygnału dwuwymiarowego wymodelować obraz trójwymiarowy, to pewnie tylko jakaś psychologiczna zapora w naszych mózgach nie pozwala nam na „dotknięcie przestrzeni". Ludzie od wieków poruszają się tylko w przestrzeni dwuwymiarowej. Chodzenie jest niczym innym jak poruszaniem się po ciągle zmieniającej się płaszczyźnie. W sumie ruch może być trójwymiarowy, ale sposób jego uzyskania będzie zawsze dwuwymiarowy. Ktoś powie, że jajko jest trójwymiarowe, ale przecież – aby się o tym przekonać – należy wykonać dwuwymiarowe pomiary w dwóch przecinających się płaszczyznach.

Widać zatem, że do trójwymiarowości droga prowadzi przez dwuwymiarowość. Trójwymiarowość jest niejako wyższym stadium świadomości. Jest świadomością przestrzenną. Zapewne brak zrozumienia tej kwestii nie pozwalał na dotknięcie przestrzeni. Po ucieczce z Dzieńca wpadłem na pomysł, aby do rozwiązania tego problemu wprząc dawno już opracowaną teorię przestrzeni kwantowej. Mówi ona, że przestrzeń zbudowana jest z malutkich drobin, których egzystencja zupełnie nie zależy od czasu, który, jak się okazało, jest pojęciem abstrakcyjnym i stworzonym tylko na użytek ludzi. Pojęcie czasu tłumaczy w sposób bardzo zresztą niedoskonały zachodzące wokół ludzi zjawiska. Chodzi tu o starzenie się, ruch, przepływ energii itp. Krótko mówiąc, gdyby usunąć z otaczającego nas świata materię i wszystkie kwanty przestrzeni, to nie zostałoby NIC. Czas jako taki nie istnieje w miejscu, gdzie nie ma przestrzeni. Wykorzystując ową teorię zbudowałem nieduże urządzenie wychwytujące kwanty przestrzeni. Kierunek wychwytywania ich był ściśle określony parametrami wiązki tak zwanej widzialności przestrzeni. Wystarczyło teraz obłożyć statek kosmiczny kilkoma akceleratorami kwantowymi, aby cały statek wraz z załogą poruszał się w przestrzeni za pomocą niej samej.

Dysponowaliśmy zatem niesamowitymi wręcz możliwościami osiągania największych prędkości. Wynalazek ten miał jedną tylko wadę. Raz włączony akcelerator działał już samoczynnie, aż do chwili uzyskania stanu równowagi, to jest zrównoważenia się siły napędowej z siłą oporu ruchu wywołaną elastycznością przestrzeni lub do chwili wyczerpania się energii. Należałoby to raczej nazwać jej podatnością czy wręcz uginaniem. W doświadczeniach z genetycznie otrzymywanymi zwierzętami używaliśmy tylko tyle energii, ile było potrzeba na jedno okrążenie przestrzeni o określonym promieniu. Statek doświadczalny wypuszczony w jednym kierunku powracał ze strony przeciwnej. W ten sposób mogliśmy określić wyniki eksperymentów.

Zwierzęta nigdy nie powracały żywe. Cienie ich ciał kładły się równomierną warstwą na ściankach pomieszczeń. Nikomu z nas nie udało się rozwiązać tego problemu.

Mimo niepowodzeń wszystkie cztery światłoloty zostały wyposażone w urządzenie. Przy nieostrożnym obchodzeniu się z nim każdy mógł się wysłać z prędkością nadświetlną na „tamten świat". Nie traciliśmy nadziei, że z czasem znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Byliśmy w zasadzie samowystarczalni, mimo to ciągle lecieliśmy na pokładzie Opiekuna. Jednak polubiliśmy jego ciepły, niski głos; koił jakoś nasze serca, otulając je niemal namacalnie wyczuwalną mocą. Czuliśmy się z nim jak w domu.

Lot przebiegał spokojnie, a Opiekunowi nie udało się znaleźć innego miejsca, gdzie byłoby można umieścić nowy Dzieciniec.

Podczas jednej z dyskusji Opiekun w pewnym momencie zakomunikował nam, że odkrył w Przestrzeni rząd blisko siebie lecących statków, wyglądających z tej odległości jak srebrna nić. Musiało ich być potwornie dużo. Nieomylnie zbliżaliśmy się do szlaku zwanego przez Ziemian Drogą A-3. Znaczyło to, że byliśmy już niedaleko Słońca. Jeszcze niczym nie wyróżniającego się spośród miliardów innych słońc, ale z pewnością znajdującego się tam, na końcu srebrnej nici.

Rozmowy z Opiekunem wzbogacały nas niepomiernie, roztaczał przed naszymi oczami obraz Ziemi pokrytej pustyniami, palonej coraz goretszym słońcem. Nasz glob zmieniał się w czerwoną planetę, na której w warstwie kiedyś nazwanej glebą nie istniało już biologiczne życie. Zachował się tylko Ocean, zmieniony trochę od czasów swojej młodości. Zmieniły się role i Ocean musiał niejako zażądać, aby Życie, którym obdarzył swój glob, pozwoliło mu przeżyć w tych coraz goretszych czasach. Nie chciał umierać. Ratunkiem byli dla niego ludzie, a więc starał się umożliwić ludziom przeżycie. Zaczął wytwarzać wielkie bąble z piany morskiej. Unosiły się one za pomocą rozgrzanego powietrza. Z czasem do wytwarzania ich zaczął wykorzystywać niektóre gazy tworząc unikalny materiał, będący rodzajem galarety sztywniejącej po pewnym czasie w materię dużo lżejszą od powietrza. Takie latające bąble nadawały się już do zamieszkania przez ludzi. Mogli oni wtedy przystąpić do akcji A-3.

Zbliżaliśmy się do Ziemi skąpanej w czerwonej poświacie swego umierającego Słońca.

– Co o tym wszystkim myślicie? – spytał Steve. – Jeśli jesteśmy wariatami – kontynuował – to wszystko jasne. Jeśli natomiast jesteśmy tylko genetycznymi pomazańcami, kimś w rodzaju spadkobierców, to trzeba by rzecz wyjaśnić.

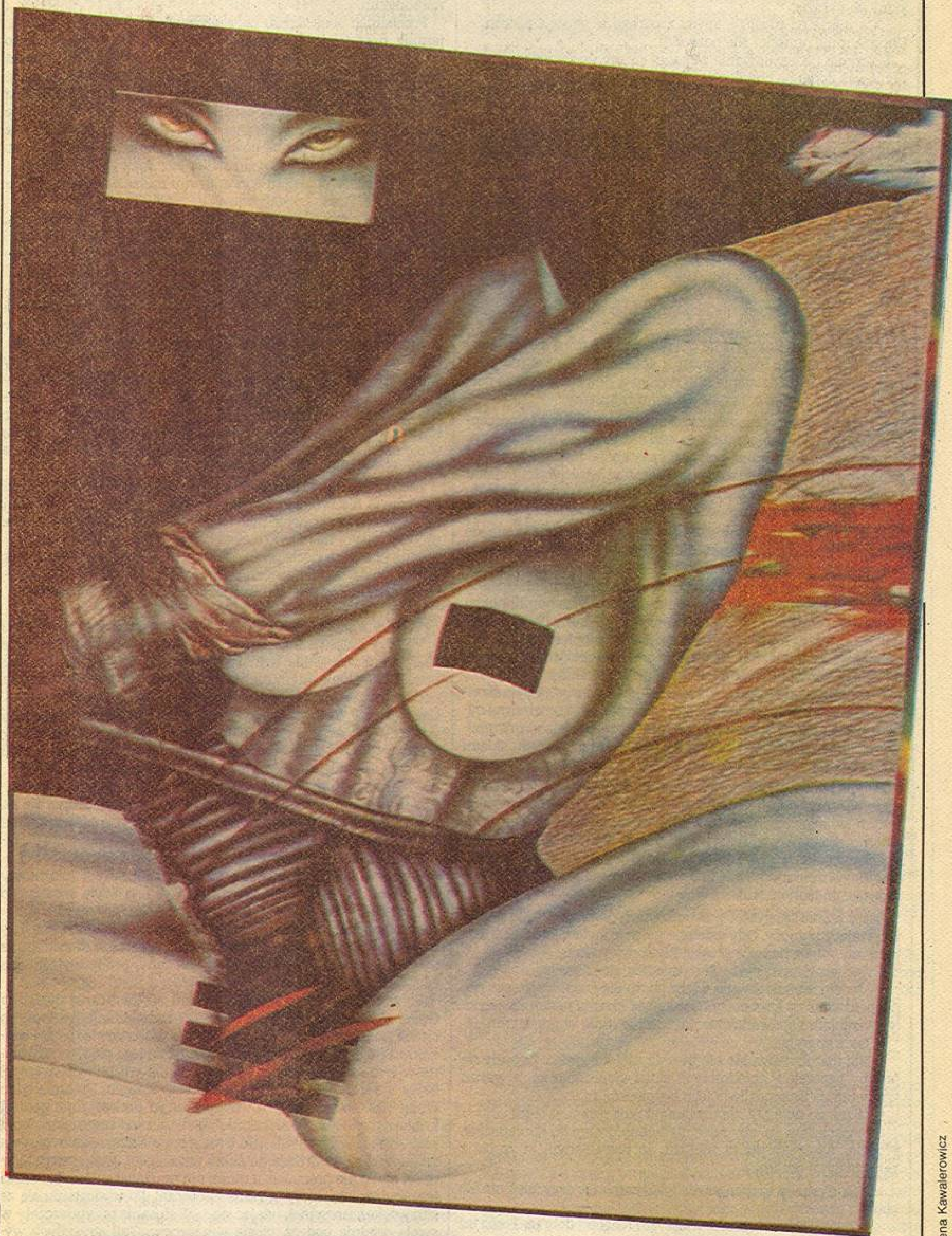
– Czy to znaczy, że przedstawiona nam historia Ziemi i ludzkości miałaby okazać się nieprawdziwa? – spytał Sue.

– Jeszcze nie można tego powiedzieć. Są jednak fakty przemawiające za tym. Widzieliście przecież to samo co ja, więc wiecie jak jest. Nie znamy swoich rodziców, ale może uda się nam poznać przeszłość. Prawdziwą przeszłość. Proponuję zatem zdobycie kilku jeszcze ludzi, aby ich mózgi przebadać.

– Ale jak to zrobić? – spytał Gull. – Nie ma już naszych braci, zamkniętych w planetoidzie będącej Dzieńcem.

– Pozostają zatem Ziemianie – powiedziałem.

– Tak – odparł Steve – ale z nimi jest jeszcze gorzej. Naruszenie pola osłaniającego Ziemię, spowoduje natychmiastową reakcję



Marzena Kawalerowicz

centralnego mózgu; zniszczy on każdego intruza wiązką psychotonów. Nie zdarzyło się jeszcze, aby cokolwiek umknęło z życiem z pola strzału.

– Sytuacja prawie bez wyjścia – rzekła Sue.

– Nie jest tak źle – powiedział Steve – Mam pewien plan. Niebezpieczeństwo jest duże, a ponieważ Opiekun był naszym strażnikiem, obrońcą i powiernikiem, więc wydaje mi się, że nie możemy go narażać.

– Co macie na myśli? – spytał z odrazą w głosie Opiekun. – Chcecie mnie opuścić? Nie pozwolę!

Milczenie i zdecydowanie z naszej strony widać załamały go ponieważ dodał po chwili z rezygnacją w głosie:

– Idźcie...

Wyszliśmy udając się każdy do swego światłolotu.

Dwadzieścia minut po odlocie czujniki mego mózgu pokładowego zanotowały silny wybuch w kierunku, z którego przyleciałem.

Transporty z materią gwiazdową zaczęły wracać na Ziemię niekompletne. Niekiedy dochodziło do tego, że brakowało połowy składu. Kontenery ginęły.

– Steve! Okradamy składy, a wyników nie ma!

– Cóż to jest dzień, miesiąc, rok w porównaniu z wiecznością, Rex?

– Nie żartuj. Przecież nie będziemy tego robić bez końca. Zaczynam się nudzić.

– W porządku, Rex. Trochę cierpliwości. To musi dać spodziewany rezultat. Prędzej czy później spostrzegą, że coś nie gra i będą zmuszeni do działania. Niech tylko wyjdą z ziemskiego pola osłaniającego, a wtedy my się już nimi zajmiemy.

Specjalnie do tej operacji skonstruowałem przystawkę percepcyjną do maszyny holograficznej. Można było od tej pory tworzyć w przestrzeni kosmicznej holograficzny obraz dowolnego przedmiotu, nadając mu jednocześnie wszystkie właściwości obiektu prócz materialności. W naszym przypadku sprowadzało się to do wytworzenia holograficznego obrazu składu kontenerów.

Po pewnym czasie nabyliśmy wprawy. Podchodziło się do transportu od strony przeciwnej niż były umieszczone statki pchające, przyczepiało światłolot do kontenera i sterując zewnętrznymi robotami przymocowywało w odpowiednim miejscu przystawkę percepcyjną. Następnie należało uruchomić pokładową maszynę holograficzną. Powstawał dokładny obraz kontenerów, przy czym można go było zobaczyć dopiero po odłączeniu się tych właściwych. Gdy odłączone kontenery odsuwały się od reszty konwoju, wyglądało to jak pozbywanie się przez nie trochę przyciasnej już skóry. Przystawka percepcyjna była skonstruowana tak pomysłowo, że łącza pozostałych kontenerów odbierały sygnały od obrazu holograficznego takie, jak od prawdziwych kontenerów. Przy przyspieszeniu lub hamowaniu składu pojawiała się nawet siła bezwładności skradzionego zestawu.

Rutyna i pewność siebie, a z czasem i nonszalancja z jaką sobie poczynaliśmy doprowadziły do wypadku. Sue manewrując swoim światłolotem przy konwoju transporterów zawadziła o jeden z kontenerów rozrywając go. Z pękniętego kontenera buchnęła materia gwiazdowa o bardzo wysokiej temperaturze, długim jęzorem trysnęła w przestrzeń, omiatając statek Sue i odrzucając go jednocześnie.

Zaraz też dał się słyszeć w światłolotach pozostałej trójki sygnał wzywający pomocy. Gdy ustalono pozycję światłolotu Sue, pierwszy na pomoc podążył w swej Błyskawicy Gull.

– Co się z tobą dzieje? – Sue usłyszała głos Steve'a.

– Miałem zderzenie. Nie wiem jak to się stało. Nagle coś popchnęło mnie na kontenery. Tryskająca plazma nadtopiła zespoły światłolotu i spowodowała odrzucenie mnie w przestrzeń.

– Jak z energią?

– Nie ma ubytków, ale nie mogę z niej korzystać. Zepsuły się pompy agregatów chłodniczych stosu syntezującego, a wzrost temperatury uniemożliwia jego bezpieczną pracę.

– Dlaczego twój MP nie uruchomił pola osłaniającego?

– Wyłączyłam go, aby mieć ułatwiony dostęp do kontenerów. Przecież tyle razy już to robiłam, że potrafiłabym to zrobić z zamkniętymi oczami.

– Tak. Teraz za to możesz nie tylko zamknąć oczy, ale i nic nie robić.

– Nie kpij, Steve. Przecież wiesz, że chciałam dobrze. Teraz też nie rozumiem, jak to mogło się stać.

– Sue, już dobrze, żartowałem. Gull za kilka minut będzie u ciebie. Nie denerwuj się. Sprawdź teraz pozostałe podzespoły. Dobrze?

– ...

– Sue, słyszysz mnie?

– Chwileczkę, Steve, muszę coś sprawdzić.

– Co się stało? Jakieś zmiany? Co się tam dzieje? Sue! Sue, odezwij się!... Sue!

Wkilka minut później, Gull widząc statek Sue postanowił najpierw zbadać samo uszkodzenie. Obłe, z lekka pofałdowane powierzchnie światłolotu świadczyły o silnym nadtopieniu.

Przelatując obok działu energetycznego spostrzegł nagle pojemnik o kształcie opływowego sześcianu przytwierdzony do statku. W pierwszej chwili nie skojarzył sobie tego faktu z niczym konkretnym. Później przypomniał sobie, że takie kapsuły stosuje się w nagłych przypadkach ewakuacyjnych, gdy konieczne jest dostanie się do statku przy zablokowanym włazie. Przykleja się kapsułę do dowolnie wybranej części statku i dysponując już małą komorą wypełnioną powietrzem można przystępować do wycinania otworu w pokryciu statku bez obawy dekompresji.

Gull zbladł. Krople potu wystąpiły mu na czoło. Zacisnął szczęki tak silnie, że zazgrzytały zęby.

Steve nie słysząc pełnej relacji Gulla z przebiegu cumowania, pomyślał z obawą, że ten szaleniec może zrobić coś złego. Wzywając go ostro, widział jednocześnie w monitorze, jak twarz Gulla zmienia się od dezorientacji przez błysk zrozumienia, do pasji i chęci zemsty. Steve zdążył zaledwie otworzyć usta, gdy spostrzegł błyskawiczny ruch ręki Gulla w kierunku włącznika brzytwy laserowej. Cięcia były tak szybkie i precyzyjne, że w dwie sekundy jedna trzecia przestrzeni życiowej statku była pocięta na kilkucentymetrowej grubości plastry. Nie pomagały wzywania Steve'a do zaprzestania niszczenia statku Sue. Gull nie zwracał na wołanie żadnej uwagi. Ciął światłolot z coraz większą zapalczywością, szczerzył zęby, oczy wpatrzone w monitor błyszczały, a twardy nerwowy uśmiech i ciągłe oblizywanie warg dodatkowo utwierdzały Steve'a w przekonaniu, że dzieje się co niedobrego.

Zaciskając ręce na dźwigience lasera Gull zaczął się oddalać od straszliwie niszczonego światłolotu. Gdy był już w bezpiecznej odległości, włączył swoje pole osłaniające, kierując jednocześnie promień lasera na najważniejszą część statku – dział energetyczny. Już pierwsze cięcie zrobiło swoje. W ułamku sekundy statek Sue najpierw lekko napęczniał, a potem zapadł się. Nastąpił potężny wybuch zalewający swą jasnością wszystko wokoło.

Steve wpadł do sterówki Gulla i zastał go jeszcze siedzącego przy pulpicie. Największa fala podniecenia już przelała się przez ciało Gulla, jednak pałające oczy i piekielny uśmiech pozostały. Steve jednym ruchem ręki obrócił go w swoją stronę i podnosząc za kombinezon w mgnieniu oka postawił na nogi. Oszołomiony Gull nie zdążył nic zrobić, tylko jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy. Prawa pięść Steve'a trafiła precyzyjnie w szczękę. Cios był silny, rozległo się ciche chrupnięcie; Gull obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i zakrwawiony padł na pulpit. Zatrzymał się na nim chwilę, szukał rękami jakiegoś punktu zaczepienia, po czym spokojnie, prawie majestatycznie osunął się na ugiętych nogach w dół, zostawiając za sobą rozmazaną plamę krwi. Kończąc swój ruch ku podłodze upadł na plecy, siła ciążenia, nawet w sztucznym wydaniu, robiła swoje.

Zanim Gull zdążył oprzytomnieć był już ubrany w próżniowy skafander z rękami wtopionymi w ogromną bryłę sztucznego tworzywa. Na głowie miał umieszczony hełm, a wszystkie urządzenia służące utrzymaniu życia wewnątrz skafandra działały prawidłowo. Wszystkie prócz systemu łączności. Krzyki Gulla były od tego momentu bezcelowe; tak samo próby wyjaśnienia czegokolwiek, wreszcie wygrażania.

Steve był zajęty zresztą czym innym niż zwracanie uwagi na Gulla. Przygotowywał mały silniczek indywidualnego lotu. Po chwili podszedł z kamienną twarzą do wijącego się Gulla i spokojnie zaczął przymocowywać silniczek do jego pleców. Zdwojone w tym czasie szarpania i miotania się więźnia plastykowej bryły nie stanowiły dla Steve'a żadnego kłopotu. Należało tylko wpiąć paski od silniczka w dwa zatrzaski umieszczone poniżej kręgów piersiowych. Następnie Steve wezwał samozaładowczą platformę i już po chwili Gull wraz z bryłą sztucznego tworzywa znajdował się w drodze do śluzy wyjściowej. Jego system łączności nadal nie pracował, a raczej nie pracował system łączności jego światłolotu, który właśnie opuszczał. Po wydostaniu się ze śluzy dekompresyjnej, udając się – jak słusznie przypuszczał – w swoją ostatnią podróż, ciągle wrzeszcząc, Gull straszliwie wykrzywił okrwawioną twarz, rzucając konwulsyjnie całym ciałem we wszystkie strony.

Steve zajął się dalszym transportem skazańca. Silniczek działał bezbłędnie. Już po chwili Gull oderwał się od platformy, która wysunęła go na metr od burty statku i poszybował w przestrzeni nadal miotając się i wijąc. Szybował tak przez chwilę, gdy nagle

poczuł jak całe jego ciało chwyta jakaś siła i nie pozwala na wykonanie żadnego ruchu. To Steve włączając system kontrolowanej grawitacji ruch swobodny Gulla zamienił na kierowany. Dwie wiązki grawitonów uchwyciły Gulla w swoje kleszcze. Steve jednym ruchem przełącznika ustawił grawitex na maksymalny zasięg. Gull nie czując jakiejkolwiek zmiany zauważył tylko, że jego światłolot zaczął się szybko oddalać. Domyślał się już jaki los szykuje mu Steve i ciarki przeszły mu po plecach. Na jego twarzy był strach.

Na głównym monitorze Steve widział twarz Gulla - pokrytą kropelkami potu, wykrzywioną w przedziwnym grymasie ukazującym napięte mięśnie i odsłaniającym zęby. Oczy wytrzeszczone przerażeniem biegały wokoło w poszukiwaniu punktu zaczepienia.

W pewnym momencie wzrok Gulla padł na Ziemię spowitą czerwonawym odblaskiem otaczającej ją atmosfery. Na twarzy pojawiły się oznaki niezmiernej tęsknoty. Tęsknoty, która już nigdy nie miała być spełniona. Gull wiedział dlaczego tak się stanie i tym bardziej zapragnął, by chwila, w której pierwszy dotarł do statku Sue nie zdarzyła się nigdy. Żałował, że miał napady szaleństwa i nagle w przebłysku zdrowej świadomości ujrzał siebie jako istotę nieludzką.

Steve obserwował uważnie twarz Gulla. Oczy skazańca przybrały szklisty połysk, a w ich kącikach pojawiły się łzy. W zupełnej ciszy, patrząc jak Gull żegnając się z życiem zaczynał przechodzić ze stanu kalectwa umysłowego w coś zbliżonego do normy zachowania ludzkiego, Steve poczuł jak żal ściska mu gardło. Przypomniał sobie jak jeszcze za czasów dzieciństwa razem z Sue zaczynał stawiać pierwsze kroki, jak biegali i śmiali się i wreszcie jak ciężko było im się rozstać, gdy przychodziła pora snu. Pamiętał doskonale jak później trudno było mu utrzymać przy sobie Sue i wreszcie jak razem uciekali z Dziecińca, a w końcu jak wspólnie przystąpili do organizowania sobie życia w przestrzeni. Nie było tego dużo, ale było to wszystko, co posiadał.

Siedział dotąd spokojnie przed głównym ekranem, lecz teraz spojrzał nerwowo na czasomierz. „Jeszcze trzydzieści sekund" - gardłowo powiedział do siebie przez zaciśnięte zęby. Czekał chwili, gdy proces transportu straceńca zakończy się i będzie można wreszcie zacisnąć palce na dźwigni brzytwy laserowej. Tej samej, której wcześniej Gull użył do zniszczenia statku Sue. Przez ustawienie przełącznika grawitexu na maksymalny zasięg, Steve przestrzennie oddzielił się jakby od tego, co za chwilę miało się stać. Miał zatem biedaka w potrzebnej odległości trzech tysięcy kilometrów unieruchomionego grawitexem, ustawionego bokiem, z szeroko rozwartymi ustami od krzyku, którego nikt nie słyszał, z wytrzeszczonymi oczami patrzącymi w kierunku, z którego przybył, gdzie teraz na tle niezliczonych miriad gwiazd płynęła majestatycznie czerwono-ceglasta bryła materii zwana Ziemią.

Gdzieś daleko pod stopami Gull zauważył w blasku czerwonego słońca szybko przemykający punkt świetlny. Nie domyślał się, że był to mój światłolot. Wiedziałem o toczących się zdarzeniach z włączonego wizjofonu i pędziłem pełną mocą swego pojazdu, aby powstrzymać Steve'a. Ten jednak nie czekał na mnie „u bram". Wręcz przeciwnie. Zagroził, że jeśli będę się mieszał w jego sprawy, to i ze mną zrobi coś stosownego. Na wszelki wypadek, asekuracyjnie, włączyłem swoje pole osłaniające i małym ciągiem, po spirali stopniowo zbliżałem się do Steve'a. Nie mogłem robić niczego raptownie lub pochopnie. Groziło to w każdej chwili sprowokowaniem Steve'a do działań zagrażających memu życiu. Dzięki wmontowanemu potajemnie rozrusznikowi „ciągu martwych" w pozostałych trzech statkach, mogłem go w każdej chwili użyć zabijając Steve'a. Jednak myśl, że z obrońcy mógłbym stać się mordercą, powstrzymywała mnie. W pewnym sensie miałem związane ręce. Mogłem jedynie spokojnym przekonywaniem Steve'a przez wizjofon powstrzymywać realizację jego nieludzkiego planu. Póki Steve siedział spokojnie w fotelu wydawało mi się, że mnie słucha, ale gdy upłynął czas przymusowej podróży Gulla przez Przestrzeń, pojąłem, że wysiłki moje mogą być bez znaczenia dla przebiegu wydarzeń.

Steve nagle drgnął, zacisnął mocniej zęby i wpił się oczami w Gulla, śledząc każde drgnienie jego twarzy, zgłodniałym krwi wzrokiem. Gull czując najwidoczniej, że ruch ustał, zmienił się nagle i od stanu żalu i skruchy przeszedł raptownie w stan nieokreślonej agresji czy też chęci sprowokowania Steve'a. Spojrzał wprost na niego z ekranu w taki sposób, że wystarczyło to, aby Steve jednym szybkim ruchem uruchomił brzytwę.

W pierwszej chwili Gull nie wiedział co się dzieje. Ni stąd, ni zowąd jego plastykowe kajdanki zaczęły w najdalszym końcu topić się i wrzeć. Wielkie bąble i drobne kawałeczki wrzącego tworzywa odrywały się od reszty i płynęły swobodnie w przestrzeni stopniowo stygnąc. Strefa wrzenia szybko przesuwała się coraz bliżej rąk wtopionych głęboko w plastyk. Na twarzy Gulla pojawiła się teraz panika, jednak pole grawitexu skutecznie hamowało wszelkie ruchy. Laserowa brzytwa w ręku Steve'a spisywała się wyśmienicie. Cięcia jej kroiły nadziewaną ludzkim ciałem bryłę plastyku na cienkie plastry, powodujące ich wrzenie. Pasja z jaką Steve wykonywał ten przerażający mord była jakby dalszym ciągiem czy też inną postacią zezwierzęcenia Gulla.

Byłem sparaliżowany widokiem sceny oraz bezwzględnością Steve'a; nie mogłem się zdecydować na jakąkolwiek reakcję. Nieszczęsny Gull z obciętymi dłońmi, na których w mgnieniu oka zastygał plastyk, zdawał się nie czuć bólu. Wciąż z ekranu patrzył mi prosto w oczy. Steve niedostrzegalnym prawie ruchem dłoni przesunął dźwigienkę lasera wstrzymując się na ułamek sekundy, potrzebny do obrócenia Gulla przodem. Następnie uniósł wolno rękę i błyskawicznym ruchem opuścił ją na starter.

Zanim palec dotknął przycisku uruchamiającego ponownie brzytwę laserową z wizjofonu udało się słyszeć jakiś obcy, krzyczący głos:

- Sue żyje! On nie jest nic winien!

Było już jednak za późno. Steve nie zdążył zatrzymać ręki i co prawda lekko, ale wystarczająco mocno dotknął startera. Laser jeszcze raz zadziałał bezbłędnie przecinając Gulla wzdłuż. Chwilę jakby nic się jeszcze nie działo. Gull nadal patrzył z ekranu prosto w oczy, ale z wyraźną już pionową cieniutką kreską, przebiegającą przez środek twarzy. Później szarpnęło nim i nagły błysk zatarł na ekranie wszelkie szczegóły. To wybuchł w skafandrze generator energetyczny układu podtrzymującego życie. Ekran po sekundzie przybrał czarny kolor, a w miejscu, z którego jeszcze przed chwilą patrzył Gull, były już tylko gwiazdy.

- Kto to powiedział!? - ryknął Steve.

- Nie denerwuj się i słuchaj uważnie - odezwał się ponownie Głos.

- Kto to powiedział! - jeszcze głośniej powtórzył Steve. Miał wrażenie, że niewidzialna ręka ściska mu gardło i pustoszy mózg powodując zerwanie kontaktu z rzeczywistością. Jeśli to ty, Rex, to jest już za późno. A jeśli widziałeś wszystko, to jest to najgłupszy dowcip jaki kiedykolwiek udało ci się zrobić!

- Nie, to nie Rex - znowu odezwał się Głos. - Mówi do was mieszkaniec Ziemi jednego z latających osiedli. Obserwuję was od dłuższego czasu i kontroluję wszystkie wasze poczynania. Nie powiem gdzie się znajduję, bo moglibyście mnie zlokalizować i zniszczyć. Niech wam wystarczy, że sygnały radiowe, które teraz odbieracie, przychodzą do was wielokrotnie załamane i odbite w atmosferze. Muszę się więc streszczać, bo w każdej chwili łączność może zostać przerwana.

Słuchaliśmy siedząc w swoich światłolotach, zupełnie zbici z tropu.

- Kim jesteś i gdzie się znajdujesz? - spytał Steve takim tonem, jakby od odpowiedzi zależało jego życie.

- Nie bądź naiwny, Steve, i nie nalegaj dłużej. Nie mogę ci ufać. Tracisz czas. Niech ci wystarczy to, co już powiedziałem na ten temat. Mogę jedynie dodać, że jestem człowiekiem takim samym jak wy. Podkreślam słowa TAKIM SAMYM. Różnimy się tylko tym, że wy żyjecie w Przestrzeni, ja zaś na Ziemi.

- Mówisz tak jakbyś wszystko o nas wiedział - ni to zapytał, ni stwierdził Steve.

- Z pewnością wiem o was dużo. Na pewno tyle ile potrzebuję. Obserwuję was od chwili, gdy zaczęły przychodzić niekompletne transporty kontenerów. Słusznie przypuszczałem, że ktoś musi je okradać. Spadliście mi jak manna z nieba.

- Manna? - Steve i ja spytaliśmy razem.

- Nie udawajcie, że nie wiecie o co chodzi.

- Tak, coś mi to przypomina - potwierdził Steve.

- Dużo czasu upłynęło zanim wykryłem co jest przyczyną zaginięcia kontenerów. Zresztą mniejsza o kłopoty, jakie z tym miałem. Udało mi się w końcu zrealizować pewien plan. Dzięki temu, iż nie zainteresowano się moją sprawą, zdobyłem jedną sondę wykrywającą obiekty sztucznie wytworzone, poruszające się w kosmosie z dużymi prędkościami. Czułość sondy jest wręcz niewyobrażalna. Żaden pojazd poruszający się z prędkościami przyświetlnymi nie ujdzie jej uwadze w przestrzeni o promieniu pół roku świetlnego. Przy czym obiekty bardziej odległe zostają wykryte ze stosownym spóźnieniem. Umieszczenie sondy na orbicie okołoziemskiej wydało się niektórym mieszkańcom Ziemi trochę dziwne, ale w końcu machnięto na to ręką, oceniając jako wybryk dziwaka. Umieściłem sondę blisko Ziemi nie bez powodów. Wiedziałem, że światłoloty zmniejszają prędkość w strefach przyplanetarnych, co jest nie bez wpływu na działanie urządzenia. Szybko przelatujący światłolot blisko sondy może łatwo spo-



Marzena Kawalerowicz

wodować jej przeciążenie i awarię. Zwykle do sondy docierają bardzo nikłe sygnały i trzeba użyć ogromnych wzmocnień do identyfikacji danego obiektu. W takich warunkach, jeśli w stosunkowo małej odległości od niej przelatuje światłolot to jasną jest rzeczą, że czas reakcji na zmniejszenie wzmocnienia sygnału jest za krótki. Miałem zatem wgląd w Przestrzeń na pół roku świetlnego. Wkrótce też miałem pierwsze wyniki. Nie wiem co was popchnęło do kradzieży i nie obchodzi mnie to. Najważniejsze, że miałem teraz okazję zdobycia dowodów potwierdzających moją teorię.

– Jaką znowu teorię? – spytał niecierpliwie Steve.

– Racja, przecież nic nie wiecie. Do pełnoletności byłem takim samym człowiekiem, jak każdy inny Ziemianin. Obojętny, bezduszny i bez cienia życia, które cechowało ludzi przed Wielkim Rozpadem.

– Rozpadem? Powiedziałeś rozpadem? – upewnił się Steve.

– Tak. Przed Wielką Wojną, w której wykorzystano wszystkie najnowocześniejsze bronie, łącznie z bronią termojądrową. Zginęli prawie wszyscy ludzie. Ocalała tylko garstka tych, którzy wcześniej udali się w kosmos w wyprawach penetracyjnych i powrócili na Ziemię już po wszystkim. Pewnego dnia bania, w której żyłem zderzyła się z inną tak nieszczęśliwie, że nastąpiło pęknięcie i część jej zawartości wraz z ludźmi wyleciała wprost do atmosfery. Z tych, którzy wylecieli, tylko mnie się udało przedostać na powierzchnię bani szybującej poniżej. Reszta osunęła się i poleciała dalej w dół roztrzaskując się o Ziemię lub ginąc na niej z głodu, pragnienia i odniesionych ran. Nie było dla nich ratunku. Społeczeństwo zamieszkujące banie nie było wrażliwe na takie historie. Po kilku minutach nowa bania wchłonęła mnie do swego wnętrza i żyję w niej do dzisiaj. Zapomniałbym o tym wydarzeniu, gdyby nie to, że od tego czasu coraz częściej miałem stany lękowe i halucynacje. Mówiłem o rzeczach, których przedtem nie rozumiałem, pamiętałem szczegóły zdarzeń, których nie przeżyłem. Ten stan pogłębiał się z dnia na dzień, aż pewnego razu budząc się stwierdziłem, że jestem na tyle zmieniony emocjonalnie i pamięciowo, że stałem się nowym człowiekiem. Pamięć genetyczna odblokowała się całkowicie, układając mi wszystkie tajemnicze epizody logicznie i po kolei. Ludzie mnie nie rozumieli i pukali się palcem po głowie lub przechodzili obojętnie. Zrozumiałem, że żyję w świecie wynaturzonym, pozbawionym jakiegokolwiek sensu.

– Jaśniej, kolego – ponaglił Steve.

– Chcę powiedzieć, że ludzie nie zawsze byli tacy obojętni jak dzisiaj. Targały nimi namiętności i żądze. Mieli wielkie marzenia i ogromne problemy. Walczyli ze sobą zabijając się dla zysków czy dla idei, ale byli to normalni ludzie, a nie roboty w ludzkich ciałach. Chodzi mi o to, że te stany, przeżywane przez ludzi z epoki przed Wielkim Rozpadem, pchały ich do robienia rzeczy wielkich. To prawda, że czasem przesadzali, dopuszczali się nawet czynów niegodziwych, ale postęp był za to ogromny. Tak ogromny, że zdobyta wiedza i doświadczenie umożliwiały im życie na najwyższym poziomie z poczuciem pewności, że każdy problem, którego podejmie się ludzkość zostanie rozwiązany.

W tym czasie próbowano nawiązać łączność z innymi cywilizacjami za pomocą Słońca. Ponieważ sądzono, że wzbudzenie Słońca może spowodować zainteresowanie się innych istot, więc skierowano ku niemu serię rakiet jądrowych o wielkiej mocy. Miały być one kierowane do wnętrza Słońca w odpowiednich odstępach czasu. Chodziło o jednoczesne połączenie informacji za pomocą rozbłysków. Było to coś na wzór sygnałów Morse'a. Eksplozje wystąpiły zgodnie z przewidywaniami, Słońce uaktywniono nieco, ale trwało to bardzo krótko. Z niewyjaśnionych przyczyn, po pewnym czasie, Słońce zaczęło nagle bardzo szybko się starzeć. Po stu latach poczęło się przekształcać w czerwonego karła. Odezwały się wówczas pierwsze głosy mówiące o błędzie poprzednich generacji naukowców. Ludzie stojący u władzy twierdzili jednak, że „czarnowidztwo" w okresie prosperity nie jest wskazane i skończyło się na ograniczeniu swobody naukowców przepowiadających rychły koniec postępu cywilizacyjnego, a nawet życia na Ziemi.

Po następnej setce lat sytuacja Słońca jeszcze się pogorszyła. Na Ziemi zaczęli to już zauważać nawet niefachowcy. Władze jednak nadal twierdziły, że nie ma powodu do paniki, że Słońce zawsze przechodziło swoje cykle aktywności i że teraz „dół energetyczny" jest jedynie nieco większy i dłuższy. Nie wiązano tego z próbą nawiązania łączności z innymi cywilizacjami. Ludzie będący u władzy mówili raczej o walce politycznej i próbach spisku. W końcu ze Słońcem było już tak źle, że dłuższa zwłoka mogłaby oznaczać zagładę ludzkości. Słońce przemieniając się w czerwonego karła zwiększało ciągle swoją objętość, przybliżając w ten sposób swoją powierzchnię coraz bardziej do Ziemi. Temperatura atmosfery znacznie się podniosła. Zaczęły ginąć zwierzęta i rośliny. Czapy biegunów stopniały, podnosząc poziom wody w oceanach. Nastąpiła wielka powódź, powódź, jakiej jeszcze nie było na Ziemi. Woda zalała wiele kwitnących miast. Wystawały ponad nią tylko tereny górskie. Mapa lądów i wysp uległa całkowitej zmianie.

Twarde i nieustępliwe stanowisko ówczesnych władz sprowokowało szarych członków społeczności ziemskiej do wystąpienia zbrojnego. Celem powstania było odsunięcie od władzy ludzi prezentujących ślepą linię postępowania oraz uruchomienie programu wskrzeszenia Słońca. Niestety konflikt zbrojny przekształcił się w totalną wojnę termojądrową, w której nie było zwycięzców. Wszystko uległo zniszczeniu. Po tysiącach lat wymarłej cywilizacji na Ziemi pozostał tylko ocean.

Do takiej krainy powrócili eksploratorzy z dalekich Przestrzeni. Podróż trwała tak długo, że nic nie wiedzieli o zaszłych wypadkach. Ostatni ludzie postanowili wyciągnąć wnioski ze zniszczeń. Oczywiście wówczas wobec świeżego obrazu katastrofy zmusili się sami do przedsięwzięcia zabezpieczeń daleko idących. Stworzyli nową człowieczą cywilizację, ale z jedną zasadniczą różnicą. W łańcuchach genetycznych ludzi pozostawiono chęć przeżycia, niszcząc jednocześnie zawiść, zazdrość, agresję i wszystko, co się z tym wiąże. Na cywilizacyjny użytek nowych ludzi stworzono sztuczną historię o pochodzeniu ich życia nieorganicznego, wykluczając tym samym jakiekolwiek domysły o wcześniejszych cywilizacjach biologicznych. Nie chciano jednak, aby historia ludzkości przepadła bezpowrotnie. Informacje prawdziwe zawarto zatem w niektórych komórkach, blokując je całkowicie.

Po pewnym czasie zauważono jednak, że czasami rodzą się dzieci dysponujące tymi zablokowanymi informacjami. Zaszła zatem konieczność stworzenia odosobnionego Dziecińca. Wy tam się wychowywaliście. Mnie to wyróżnienie ominęło, ponieważ wraz z uzyskaniem pełnoletności Ziemianie uzyskują wolną rękę w działaniu, a dopiero wtedy wydarzył mi się wypadek, którego konsekwencje otworzyły mi oczy na wszystko. Przez swoje wystąpienia o bezsensowności obecnego życia zostałem przezwany Dziwakiem i teraz już nic nie pomaga moje gadanie, nawoływanie i przekonywanie. Chcę zmiany ludzkości. Chcę, aby ludzie żyli prężnie, odważnie i z dumą, jak kiedyś...

– Jakie masz dowody na to wszystko, co powiedziałeś? – spytał Steve.

– Mam Sue. Poddam ją odpowiednim testom i przekonam Radę o słuszności swojej teorii. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów będzie można przeprowadzić badanie łańcucha genetycznego człowieka takiego jak wy.

– Jeśli mamy współdziałać, to muszę się upewnić, że Sue jeszcze żyje – rzekł Steve.

– Oczywiście. Możesz z nią porozmawiać. Sue, odezwij się!
– Steve, ja żyję i błagam cię zrób co on chce. Jeśli nie zrobisz... – głos Sue umilkł.
– To powinno wystarczyć.
– Jak ją porwałeś? – spytał Steve.
– Bardzo prosto. Z waszych lotów do konwojów wywnioskowałem, który będzie okradany przez Sue i na nim umieściłem wcześniej grawitex o dużej mocy. Sam ukryłem się wewnątrz składu, w przestrzeni po jednym kontenerze, który odłączyłem. Po zbliżeniu się do składu światłolotu Sue, grawitex zadziałał, a ja przez kabinę ratunkową dostałem się do wnętrza. Porwałem Sue i prostolotem dostałem się z powrotem na Ziemię.
– Co chcesz, abyśmy zrobili? – spytał Steve.
– Na mój znak dostaniecie się do atmosfery przez otwór utworzony w osłonie zabezpieczającej i podlecicie do wskazanej bani. Musicie wlatywać jednak kolejno. Najpierw Steve.
Wietrząc jakiś podstęp, Steve rzekł:
– Nie uda ci się to. – I przybrał wyzywający wyraz twarzy człowieka gotowego na wszystko.
Nie zwracając uwagi na słowa Steve'a, głos kontynuował: – Dzięki wam stworzę nową cywilizację, ludzi silnych, zdolnych, odważnych, nie unikających najtrudniejszych zadań.
Steve wolno wstał z fotela, udał się przez słabo oświetlony korytarz do luku wyjściowego, gdzie przycumowany był jego światłolot.
Głos nadal rozbrzmiewał słowami płynącymi jak potok z silnie bijącego źródła.
– Świat na nowo będzie musiał otworzyć się dla ludzi. Mamy jeszcze długą i piękną drogę przed sobą.
Steve zajął miejsce w fotelu swojego statku. Odcumował go i ustawił przodem do Ziemi.
– Posłuchaj teraz uważnie, cwaniaczku – rzekł. Głos umilkł. – Zrobiłeś ze mnie przed chwilą mordercę. Zabiłem Gulla i ty o tym wiesz. Specjalnie czekałeś do ostatniej chwili, bo twoja mentalność naukowca nie pozwoliła ci niczego utracić z rozgrywającej się sceny morderstwa. Za późno powiedziałeś sobie, że czas działać. Nacisnąłem ten cholerny przycisk i nic mnie teraz nie powstrzyma przed jego ponownym użyciem. Albo przed zrobieniem czegoś jeszcze bardziej ohydnego, jeśli natychmiast nie zwrócisz Sue. Nie chciałbym zabijać niewinnych ludzi, ale jeśli mnie zmusisz...
– Spokojnie, Steve. Wiem, że jesteś silny, ale nie zabijesz przecież kolejno wszystkich ludzi, aby mieć pewność, że i mnie się dostanie. Pomyśl, zabiłeś dotąd tylko jednego człowieka. W dodatku z mojej winy. Nie chciałbyś chyba mieć teraz na sumieniu trzech miliardów.
– Nie wiem czy ci wiadomo – rzekł Steve lodowato – ale mam już wszystkie zespoły mojej kuchni gotowe.
Po twarzy Steve'a przemknął złowrogi uśmieszek.
– Daję ci trzydzieści sekund – dodał.
Wtedy jeszcze nie wiedziałem co Steve zamierza zrobić. Światłolot Steve'a ciągle stał ustawiony przodem do Ziemi, obiegając ją w odległości dwudziestu tysięcy kilometrów. Przelatywaliśmy właśnie nad lądem zwanym Gonuti. W silnym powiększeniu kamer widać było stada wielkich bąbli płynących wolno nad pustynnymi obszarami. W miejscach pokrytych oceanem dało się zauważyć nowo powstające pęcherze, stopniowo rosnące i w końcu powoli odrywające się od powierzchni Oceanu, rozpoczynające tym samym samodzielny żywot. Nic nie zapowiadało katastrofy.
– Poza tym – ciągnął Steve – to jest chyba obojętne, czy zabije się jednego czy stu i jednego. Śmierć jest zawsze śmiercią.
– No dobrze – odezwał się Głos – pożartowaliśmy sobie, ale teraz czas już chyba na poważniejsze rozmowy, na przykład o przyszłości.
– Źle mnie zrozumiałeś, mądralo – wtrącił Steve, a jego dłonie uchwyciły jakąś dźwignię.
Przerażenie ścisnęło mi gardło, uniemożliwiając wydobycie jakiegokolwiek dźwięku. Nie myliłem się przecież. Steve trzymał dźwignię manipulatora wyrzutni promieniowania podczerwonego. Oznaczało to tylko jedno. Śmierć wszystkich istot, które znalazłyby się w przestrzennym kącie strzału. Zamurowało mnie kompletnie, a jakaś siła wpychała głęboko w fotel, jakby chciała uniemożliwić mi obserwowanie wydarzeń, które już za chwilę miały się rozegrać.
– Nie zależy mi na nikim. Zbyt wiele się zdarzyło. Ja jestem skończony, ale ty też. Nieważne jakim kosztem – dokończył Steve.
– Ty chyba oszalałeś! – krzyknął Głos. – Nie wolno ci tego zrobić! Zepsujesz cały mój wysiłek! – wykrzykiwał Głos, jakby nie zdając sobie sprawy z sytuacji, w jakiej się znalazł.
– Poza tym Sue jest już...

Nastąpiła cisza. Łączność się urwała. Steve spojrzał na czasomierz, pchnął dźwignię wyrzutni podczerwieni, uruchamiając sprawdzone uprzednio zespoły. Kolejno zapalające się kolorowe światełka informowały o ich pracy. Wszystko przebiegało bez zakłóceń, choć modliłem się, aby było inaczej.
Teraz Steve przypiął się pasami magnetycznymi do fotela i włączył ciąg swojego światłolotu, ustalając jednocześnie niezbędne koordynaty strzału dla mózgu pokładowego. Statek wolno, ale zdecydowanie ruszył w kierunku Ziemi. Oczy Steve'a pałały nieokreślonym blaskiem. Statek nabierał szybkości.
Po minucie Steve przesunął dźwignię ciągu silnika do końca, sprawdzając wzrokowo działanie kompensatora przyspieszeń. Światłolot znowu przyspieszył. Ziemia powiększała się teraz szybko. Z chwilą wypełnienia przez nią dwóch trzecich ekranu głównego monitora, czujniki wykryły szybko poruszający się w kierunku Ziemi obiekt o wymiarach statku szybkiej pomocy. Pokładowy mózg działał automatycznie, bezbłędnie i zbyt szybko, aby człowiek w takiej sytuacji mógł go na czas unieruchomić. Wyzwolenie wielkich ilości energii promieniowania podczerwonego na przeciąg dwóch sekund spowodowało wyczuwalne zwolnienie biegu światłolotu. Maleńki punkcik, który właśnie ukazał się z lewej strony ekranu tylko nieznacznie zaczerwienił się i eksplodował. Moment później statek nadal idąc pełnym ciągiem skręcił gwałtownie, niemalże ocierając się o osłonę zabepieczającą Ziemię.
Spokojna dotąd Ziemia nagle odżyła. Powietrze zmętniało stając się jeszcze bardziej czerwone, odsłaniając czasem tylko topiące się i wrzące obszary. Ocean wrzał na całej głębokości. Fale kipiącej wody przelewały się przez siebie, wdzierając się na kipiące lądy. Powstały przed chwilą huragan gnał z wyciem orkanu we wszystkie strony. Ludzie uwięzieni w spopielałych bąblach dogorywali z gorąca, jeśli nie było im dane umrzeć natychmiast. Wielkie bąble, które dotychczas spokojnie, majestatycznie płynęły przez niebo, rwane były teraz na kawałki przez szalejący huragan, tworzący co chwila silne wiry powietrzno-wodno-piaskowe o ogromnej temperaturze. Banie zderzały się ze sobą pękając i wysypując ze swego wnętrza spalone szczątki ludzkie i szkielety urządzeń.
W jednej chwili życie na Ziemi przestało istnieć. Cywilizacja, mająca historię trwającą miliony lat, umarła.
Statek Steve'a zataczał teraz ogromny łuk zbliżając się do mojego światłolotu.

Epilog

Nie wiem zupełnie jak to się stało, ale ocknąłem się tak nagle, jak nagle straciłem przytomność. Miałem głowę na pulpicie sterowniczym, prawą ręką mocno ściskałem wyrwane zabezpieczenie przycisku zdalnego wyłączania odrzutnika przestrzeni światłolotu Steve'a. Jeszcze niedawno jego światłolot był widoczny jako jasny, szybko poruszający się punkt na czarnym tle roziskrzonej przestrzeni. Teraz żadne czujniki czy urządzenia sondujące nie wykrywały go. Steve nie żyje. Na pewno został rozgnieciony na ścianie sterówki.
– Kieruję te słowa do każdego, kto przybędzie w te strony i odnajdzie statek Gulla krążący wokół Ziemi w swoim beznadziejnym, jednostronnym ruchu. Wszystkie infomacje o tym, co się tutaj rozegrało, znajdują się w MP światłolotu Gulla. To co teraz słyszycie, to już jedne z ostatnich moich słów. Ziemia wstrząsana podziemnymi drganiami przygotowuje się zapewne do ostatecznej zagłady. Trwają wycieki lawy i wybuchy wulkanów spowodowane wstrząsami skorupy ziemskiej. Tak. To już koniec. Ciekawe, ile upłynie czasu nim znowu powstanie na Ziemi nowe życie? Czy to w ogóle możliwe? Za chwilę udam się w moją ostatnią podróż. Będę próbował doścignąć Steve'a. Może to cyniczne, co powiedziałem, ale nie chcę żyć, a raczej nie mogę. Nie mógłbym spojrzeć w oczy komukolwiek, kto być może wróci jeszcze z odległej podróży. Zostawiłem statek Gulla z kompletnym wyposażeniem na potwierdzenie moich słów, a także abyście rozwiązali te problemy, które nas nurtowały, a zwłaszcza ten dotyczący wojen oraz odrzutnika Przestrzeni.
Moja ręka sama przesunęła się na wyłącznik odrzutnika Przestrzeni. Palce wolno dotykają gładkiej powierzchni startera. Drętwiejący mózg z trudem rejestruje powstałą myśl: „Czy śmierć musi mieć kształt plastykowego przycisku?"

Jan Wojewódzki

W tym numerze zamieściliśmy ostatnie, najdłuższe i zarazem jedno z ciekawszych opowiadań spośród dziewiętnastu tekstów wyróżnionych w konkursie „Fantastyki". Następny, podobny konkurs ogłaszamy na II stronie okładki. Tu podsumujmy to, co z nowej polskiej SF zostało ujawnione do tej pory.

Nasz konkurs

Maciej Parowski

Widok przez „Trzecią bramę"

W ciągu minionego półtora roku przedstawiliśmy Czytelnikom 19 konkursowych pozycji prozy, a także poezji SF. Nowe tematy, nowe ujęcia, 18 nowych, nieznanych bądź prawie nieznanych nazwisk – odkryciem konkursu okazali się przede wszystkim debiutanci. Czternastu spośród nich i piętnaście z wyłonionych przez konkurs tekstów znajdziecie Państwo w zwartym tomie antologii „Trzecia brama", opracowanym w naszej redakcji, a złożonym i przyjętym w Wydawnictwie Literackim w Krakowie.

Poprzednicy

Konkursy na opowiadanie science fiction, zbiory będące ich owocem i w ogóle wieloautorskie antologie SF mają u nas dobrą prasę. Jak wszystkiego, co udane, nie było ich w Polsce zbyt wiele. Każda z książek – antologii dawała portret zbiorowy gatunku, każda odkrywała prawdę o czasie, który ją wydał i odsłaniała nowy rys polskiej SF – przedtem nieznany. Każda wprowadzała na rynek nowe nazwiska. Na przykład „Posłanie z piątej planety" (Nasza Księgarnia, 1964) – plon pierwszego konkursu z 1962 r. – ukazywało fantastów jako osobników zafascynowanych perspektywami rysującymi się przed ludzkością po otwarciu drogi w Kosmos. „Wołanie na Mlecznej Drodze" (Nasza Księgarnia, 1976) – tom zbudowany z tekstów nadesłanych na drugi konkurs, o jedenaście lat późniejszy, pokazywał młodą fantastykę zaaferowaną problemami powstałymi już na Ziemi w wyniku rozkwitu nauki i techniki.

Odkryciem pierwszego konkursu był Andrzej Czechowski – prozaik zimny i wyrachowany racjonalista; odkryciem drugiego Wiktor Żwikiewicz – nieposkromiony wizjoner i malarz słowa. Z obu tomów wynikało, że młoda polska SF wiele zawdzięcza Lemowi, ale powoli zaczyna otrząsać się z jego wpływu. „Gość z głębin" (Czytelnik, 1979) wydany w roku, w którym startowały w paru wydawnictwach serie SF, donosił na okładce o *„dynamicznym rozwoju gatunku w Polsce, uprawianym przez profesorów, debiutantów, robotników, ludzi dojrzałych i młodych wiekiem"*. Ukazywał tom rzeczywiście wielogeneracyjność polskiej SF Anno Domini 1978, choć w sumie zawierał opowiadania dość jeszcze konwencjonalne. Nieco ciekawszy i obszerniejszy był pod tym względem „Wehikuł wyobraźni" (Wyd. Poznańskie, 1978).

W tym samym roku 1979 oddawano do druku dwa tomy antologii KAW-u „Spotkanie w przestworzach". Przypominały one chwilami, że żyjemy w tzw. ciekawych czasach, że daje się problemy tych czasów sygnalizować przy pomocy fantastyki i że zastanawiająco dużo młodych ludzi rozczarowanych niemożnościami literatury głównego nurtu sięga po fantastyczną metodę. Ale krytycy mogli to nazwać i zauważyć dopiero w roku 1982, kiedy książka się ukazała. Był to rok, w którym zjawiły się także na rynku trzy numery miesięcznika „Fantastyka", zawierającego między innymi komunikaty o konkursie na opowiadanie, który dopiero w tym numerze ulega ostatecznemu zamknięciu.

Zmiana warty

Czy coś wyróżnia ten konkurs i jego owoce? Czy stało się coś nowego z fantastyką w Polsce i z jej kulturowym otoczeniem?

Wystartowaliśmy z naszym konkursem i pismem w gorącej chwili historycznej i w momencie pokoleniowej zmiany warty. Pismo założone wspólnym wysiłkiem i w wyniku paroletniego nacisku trzech generacji polskiej SF pozostawało przez pierwsze miesiące istnienia w dziwnej pustce; ruch właśnie wtedy, kiedy dostał miesięcznik, zdawał się być wypalony. Autorzy generacji piewszej z pokolenia Lema, Hollanka, Borunia, Trepki nie mieli nowych, nie drukowanych jeszcze opowiadań do umieszczenia na naszych łamach. Zajęci pracą nad powieściami pisarze z pokolenia-56, jak Zajdel, Snerg-Wiśniewski, Fiałkowski, nagabywani o krótką prozę również odpowiadali odmownie. Niewiele więcej pomogli „Fantastyce" trzydziestoparolatkowie, jak Żwikiewicz, Sawaszkiewicz, Oramus, T. Markowski – znani przedtem w ruchu fanów i obecni na rynku opowiadaniami we własnych książkach, antologiach bądź pismach.

Autorzy trzech generacji polskiej SF zwlekali i w tej sytuacji wsparcie przyszło ze strony generacji czwartej – uczniów, maturzystów, studentów, młodych absolwentów uczelni. To ich tekstów było najwięcej w konkursowej poczcie, a także w miesięczniku na kolumnach polskiej prozy. Z opóźnieniem zjawiła się potem w piśmie generacja trzecia, też zresztą prezentowana raczej nowymi nazwiskami, niż tymi, które wypłynęły w latach siedemdziesiątych.

Czwarta generacja

Jacy są młodzi fantaści A. D. 1982–83? Na pewno nie fascynują się już techniką i kosmosem, nie mają do nich dostępu wielkie porywające wiary w cuda nadchodzącej nowej cywilizacji.

Zmienił się stosunek piszących do fantastyki. Dawniej częstokroć gatunek dominował nad autorem, pisarz podejmował typowe elementy fantastycznej gry, szukał nowych wariantów i rozwijał stare, pominięte bądź naszkicowane przez poprzedników. Opowiadania z lat sześćdziesiątych były do siebie podobne. Proza fantastyczna lat osiemdziesiątych jest już bardzo zindywidualizowana, zdumiewa różnorodnością tematyczną i formalną, jej autorzy zdradzają dobre oczytanie w dziełach spoza pola konwencjonalnej fantastycznej gry, demonstrują ponadto sporą powagę i bardzo osobisty stosunek do gatunku, uważanego niedawno za rozrywkowy i niepoważny.

Jest jedna zmiana zasadnicza – wypadnie ją nazwać emancypacją pisarzy gatunku. Jeśli w latach sześćdziesiątych można było mówić, że przejawia się w fantastyce odpowiedzialność za naukowo-techniczny kształt naszej cywilizacji; jeśli potem zajęła się polska SF Ziemią i człowiekiem; jeśli Lemowi na przykład udawało się en passant rzucać prognozy, które rzeczywiście potwierdzała – to niczego takiego nie ma u współczesnych młodych fantastów, im cud spełnionej przepowiedni się nie przydarza. Gatunek zautonomizował się, uniezależnił, zrzucił z siebie funkcje użytkowe. W miejsce natchnionych proroctw, rzeczowej futurologii, humanistycznych ostrzeżeń czy politycznych aluzji przyszła chęć na uprawianie... literatury.

Istnieją według mnie dwie cezury wyznaczające początek tak rozumianej, nowoczesnej, bo samowystarczalnej polskiej SF. Pierwszą jest granica Sierpnia-80; drugą – wytłumaczę się jeszcze z tej megalomanii – powstanie naszego miesięcznika.

Przełom lat 1979/80 spiętrzył długo hamowane i ukrywane emocje. W literaturze SF moment rozładowania przyszedł później, wiosną-82. Wówczas stopniowo wchodziły na rynek powieści Zajdla, Oramusa, Wnuka-Lipińskiego, Żwikiewicza, niżej podpisanego, a także zbiory opowiadań Nideckiej czy Grundkowskiego i wielu innych autorów z różnych generacji. Lata 1982/83 wypełnia więc fala rewindykacyjnej political fiction o klimacie nieco Orwellowskim, opowiadającej o skołatanych bohaterach przemierzających niegodziwy świat i w bólach odkrywających jego tajemnice. Wiele książek, opowiadań przekazuje to samo doświadczenie na przeróżne sposoby, tak że wystąpiło nasycenie tematem i poetyką. Jeśli więc istnieje coś takiego jak zbiorowe myślenie w literaturze (a takie zjawisko występuje na pewno w SF) to można powiedzieć, że gatunek jako ciało zbiorowe uporał się na pewien czas z problematyką polityczną i społeczną. Zwłaszcza że literatura uzyskała wsparcie w postaci „najważniejszej ze sztuk" – dwu utrzymanych w podobnym duchu fantastycznych filmów Szulkina. Niedawno przybył trzeci „O bi, o ba". Gatunek wyrzucił z siebie w postaci dystopii to, co ważne, publiczne i pospólne; skoro tak, można było po tym zacząć szukać w literaturze na własną rękę, a nie wypełniać bez końca społeczne powinności. Tyle o cezurze pierwszej.

O drugiej, powstaniu naszego miesięcznika, wspominam z konieczności, a nie z powodu redakcyjnej megalomanii czy reklamiarstwa. Zjawienie się pisma na rynku naprawdę bardzo zaktywizowało piszących, podniosło świadomość swoistości gatunku w kręgu potencjalnych autorów SF, a także w światku literackim dotychczas niezbyt fantastyce życzliwym. Pismo zadziałało wzorotwórczo, a poprzeczka wymogów jakościowych wobec SF powędrowała wysoko w górę.

Są to wnioski formułowane z perspektywy finału konkursu, nie jego początków. Zrazu było niedobrze. Pierwszy odzew w postaci dziecinnych rękopisów pełnych błędów, wtórności i bezwstydnej grafomanii doprowadził nas do rozpaczy. Druga fala to były uczciwe, ale kompletnie nieudane, aliterackie próby wykrzyczenia przez piszących niekontrolowanych społecznych emocji: fantastyczność pełniła w tych próbach rolę dziurawego parawanu. Skłonni już byliśmy uznać nasz konkurs za fiasko, a możliwości fantazjowania w narodzie za wyczerpane. I wtedy, w pierwszej połowie 1983 roku pojawiło się czoło nowej ciekawszej fali – „czwarta generacja" odnalazła swój ton.

Konkursy literackie polegają zawsze na odkrywaniu rezerw i uruchomianiu energii dotąd ukrytych. Irzykowski nazywał je „badaniem zapasów narodowej wyobraźni". Także mechanizm przyjmowania przez redakcję plonu konkursu różni się od sposobu, w jaki pisma kwalifikują teksty na co dzień. Redakcje mają zwyczaj rezygnowania z tekstów odstających od schematów – rzeczy przykrych, dyskusyjnych, kłopotliwych, ekstrawaganckich. Machina konkursu właśnie takie nietypowe propozycje bezbłędnie odławia. Utwory kontrowersyjne ratują lektorów od nudy; stają się ożywczym wytchnieniem po ławinie tekstów standardowych i nijakich. Także dlatego plonem konkursów bywają nowe nazwiska i nowe zjawiska.

Co nowego?

Zastanawiam się teraz, czy tajemniczy, wieloznaczny, miejscami nużący i trudny do zakwalifikowania gatunkowego „Kawałek końca" Grzegorza Stefańskiego, miałby szansę dotrzeć do czytelnika w normalnym trybie poza konkursem? Ale utwór Stefańskiego – dziwny, alegoryczny, operujący zarówno rzeczywistością realną, jak i mityczną – nie był w tym konkursie samotny. Coś jest w jego klimacie, co łączy go i z „Manuałem skazanego" Macieja Gałoszka, „Człowiekiem publicznym" Andrzeja Tuziaka i „Deneb III" Marka Hemerlinga. Żadne z nich, podobnie zresztą jak większość wyróżnionych opowiadań, nie daje się zredukować do pomysłu, do racjonalnej opowieści z początkiem i wyraźnym zakończeniem. W zamian mamy w nich nieco szaleństwa, metafizyki, ciekawą narrację i oryginalne spojrzenie na świat przez szkła metafory.

Przecież nawet prostsza opowieść Dariusza Romanowskiego „Świat za szkłem", mimo podobieństw do schematu, napisana jest tak, że nie da się jej sprowadzić do jałowego ostrzeżenia ekologicznego. Podobnie jest z bardzo na pozór werystyczną „Drogą" Marka Hemerlinga, w której to drodze, pełnej samochodów i smrodu spalin, dostrzegł młody autor metaforę życia.

Sporo w konkursowych opowiadaniach humoru – w „Barierze" Jerzego Strusińskiego, „Inspekcji" Leszka Kraskowskiego, w opowiadaniu „Okrąg czasu" Jacka Martynika. Mechanizm humoru szczepi się tu za każdym razem na innym schemacie literackim, autorzy igrają swobodnie z gatunkowymi kanonami. Warto też zwrócić uwagę na „Taki był początek" Michała Szarzca – opowiadanie, które z ogranego schematu opowieści o kontakcie wydobywa nie tylko wesołe elementy, lecz jest nader trafne psychologicznie i odkrywcze w warstwie sytuacyjnej.

Była mowa o motywie kontaktu. Jego bardzo rozbudowaną wersję, wzbogaconą w dodatku scenerią i myślą Wschodu, dał nam Andrzej Bogusław Boryczko w „Trzeciej bramie". Oto jedno z tych opowiadań, które zapewne ucieszyło wymagających czytelników, żądających od fantastyki pomysłu nie spotykanego przedtem u nikogo, i oryginalności formalnej, i plastyczności prezentowanego świata, i puenty, która to wszystko zepnie rzucając czytelnika na kolana. Mam nadzieję, że przynajmniej po części zostały za takie uznane teksty następujące: „Mag" Feliksa W. Kresa – powieść w stylu fantasy pięknie i mądrze filozofująca na temat piękna i dobra, „Atak" Adama Augustynka – skrzyżowanie MacLeanowskiej opowieści awanturniczej z fantastyką psychologiczną, „Piloci ultrafioletowych dali" Dariusza Lebiody – pełen rozmachu, wizyjny poemat o dziwnej wojnie toczącej się gdzieś w przestworzach, „Dziedzictwo" Jana Wojewódzkiego – bujna wizualnie, niemal powieściowa panorama opowiadająca o dzieciach chowanych poza Ziemią na kosmicznym pustkowiu, ale i tak dobiegających w końcu swego jednostkowego i gatunkowego przeznaczenia.

Dobór nazwisk i opowiadań w tomie jest po części dziełem przypadku. Ale można łatwo zauważyć, że najlepsi spośród autorów „Fantastyki" publikujący poza konkursem mają wiele wspólnego z laureatami.

Wizerunek zbiorowy

Uważny czytelnik powinien rozpoznać podobny ton rozważań na temat powinności jednostki i władzy, a przewijający się zarówno w konkursowym „Magu", jak i w opublikowanych w „Fantastyce" poza konkursem „Mistrzu" Emmy Popik (Popiss), „Posłańcu" Andrzeja Drzewińskiego, „54812 – TEST" Torunia, „Wszystkich twarzach Szatana" Piekary. Wszystkie te teksty miały satysfakcjonującą, powiedziałbym nawet – wyrafinowaną – formę artystyczną.

Nie przejrzał się ani w konkursie, ani na naszych łamach typ bardzo dosłownej fantastyki społecznej, jaką konsekwentnie uprawia 21-latek Rafał A. Ziemkiewicz. Fascynacja myślą Wschodu – a patrząc szerzej, nowym holistycznym paradygmatem w podejściu do życia i natury – reprezentują wśród konkursowiczów autorzy opowiadań: „Trzecia brama", „Dziedzictwo", a częściowo też „Atak". Poza konkursem elementy takiej filozofii można znaleźć w prozie Marka Baranieckiego (zwłaszcza w „Karigoro godz. 18.00"), w „Liściu z Dune" Andrzeja Zimniaka, w „Powiewie nieprawdopodobieństwa" Ryszarda Głowackiego.

Dowcipne nowelki konkursowe nie wyczerpały porcji humoru w „Fantastyce"; przyszły do nich drukowane już poza konkursem opowiadania i miniatury literackie Eugeniusza Dębskiego, Andrzeja Drzewińskiego, Rafała Ziemkiewicza, Pawła Tomczyka. Może tylko do eksprymentu nie byliśmy poza konkursem w „Fantastyce" zbyt skorzy... Choć nie – przecież już w pierwszym numerze odważyliśmy się wydrukować dziwny, mroczny, odstający od rozrywkowych kanonów fantastyki nieco Kafkowski tekst Jerzego Lipki „Co większe muchy".

Tom „Trzecia brama" – piętnaście z dziewiętnastu tekstów wybranych przez pięcioosobowe jury z 689 zestawów prac – przedstawi więc kilkanaście indywidualności nowej fantastyki polskiej A.D. 1982/83. Jest to aż reprezentacja i tylko reprezentacja – na pewno nie całość. Reprezentatywne będą jego niektóre grzechy – na przykład brak szacunku do pięknego pisania wspólny całej generacji; wiele opowiadań z konkursu i w ogóle zamieszczanych w „Fantastyce" wymagało i wymaga niestety dokładnego redakcyjnego opracowania. Reprezentatywne będą zalety – rozległość zainteresowań, refleksyjność, związki z wieloma nurtami kultury i literatury, rozbijanie schematów tradycyjnej opowiastki SF, literacka gra serio w autentyczne problemy, pomysłowość, plastyczność pomysłów i wykonania.

„Trzecia brama"

Tytuł tomu „Trzecia brama", pożyczony od jednego z konkursowych tekstów, dobrze zdawałoby się przedstawia istotę rzeczy. Będzie książka bramą, przez którą wejdzie na rynek czwarta już generacja autorów polskiej SF.

Choć, jak się zorientowałem prezentując niniejszą analizę na spotkaniach w Staszowie, termin „czwarta generacja" budzi czasem wątpliwości i protesty. Problem w kryteriach podziału – niektórzy krytycy na przykład wydzielają odrębne pokolenie – 75; nie chcę się z nimi spierać. W każdym razie to, co ujawniło się w ciągu ostatnich 2,5 lat na łamach „Fantastyki" i to, co przyniósł konkurs jest już zjawiskiem, falą, działa w masie i dysponuje pewną zbiorową twarzą (gębą?), którą można nazywać. Nosi na sobie ta twarz ślady bujnych doświadczeń historycznych ostatnich lat, przyniesioną z ruchu klubowego fanów znajomość dotychczasowych osiągnięć SF i związane z tym pragnienie rozwijania i rewolucjonizowania gatunku metodami artystycznymi. Dokonania wszystkich autorów zaliczonych tu do „czwartej generacji" świadczą o pewnym literackim powinowactwie. Nie będę się o termin „czwarta generacja" kłócił, ale jakby co, gotów jestem go trochę pobronić.

Można wysunąć na przykład zastrzeżenie, że „czwartą generację" mianuje się sztucznie, dekretuje jednoosobowe na zasadzie protekcji. Odpowiadam na taki zarzut następująco – jurorów naszego konkursu było pięciu, nie jeden, ich gusty były i pozostały rozbieżne, a próbka 689 zestawów tekstów (ok. 7000 stron maszynopisu) wydaje się reprezentatywna i upoważniająca do snucia uogólnień. Powtarzam – to, co się nadawało do druku, co zwracało uwagę, było literackie, nieklasyczne, artystyczne (podobne efekty, jak się dowiedziałem w Staszowie od red. Kledzika, przyniósł konkurs zorganizowany przez Wydawnictwo Poznańskie). Owszem, udowodnił nasz konkurs, że żywotne są jeszcze wśród młodych i poetyka klasycznej SF, i rozumianej bardzo dosłownie fantastyki politycznej. Miały więc te nurty zwolenników, nie miały reprezentatywnych tekstów na poziomie; odnotowały się jako świadectwo socjologiczne, ale nie uzyskały zadowalającej artykulacji literackiej. Wcale nie twierdzę, że należy się z tego cieszyć. Poza nagrodzonym, niekonwencjonalnym zresztą gatunkowo „Magiem", właściwie nieobecna była w konkursie poetyka fantasy. Choć to akurat może się zmienić i bodaj zmienia się w ostatnich miesiącach.

Ostatni problem – czy ma sens uprawianie podziałów, mówienie o prądach, grupach, zbiorowych twarzach w przypadku autorów młodych, stawiających dopiero pierwsze kroki? Uważam, że ma o tyle, o ile w ogóle ma sens historia literatury, nazywanie epok, prądów czy zastanawianie się nad nowymi zjawiskami konkursu „MT"-73 wobec konkursu tego samego miesięcznika z 1962 roku. Tyle rzeczy w dziedzinie kultury nazywaliśmy w Polsce z opóźnieniem, że raz na jakiś czas możemy sobie zafundować luksus krytycznej pracy na styk z rzeczywistością.

Zwłaszcza, że „Trzecia brama" jako książka zaplanowana przez Wyd. Literackie na rok 1986, dla nas przechodzi już do historii. My zamykamy kramik. Historię trzeba nazywać, klasyfikować, wyciągać z niej wnioski, określać się wobec niej. Niniejszym próbowaliśmy to czynić. Kiedy „Trzecia brama" ukaże się w księgarniach obok wydanych także w Wyd. Literackim nowych pozycji Lema, Fiałkowskiego, obok fantastycznego debiutu Jacka Natansona czy Anny Borkowskiej, obok wznowień Bogdana Ruty i kontynuacji przygód Ijona Tichego, obok tomu krytycznych szkiców o Lemie, które wyszły spod pióra krytyków całego świata... my w „Fantastyce" będziemy, podejrzewam, czym innym zajęci. Tu w tym numerze na kolumnach informacyjnych ogłaszamy przecież nowy konkurs, czy może raczej nową odsłonę starego (nieustającego?) konkursu. Redakcja otwiera się na nowe doznania, nową propozycję, nową estetykę nowej grupy autorów (generacji?). Czy rzeczywiście nową?

My znaczymy i kształtujemy swój czas, to prawda, ale także czas mówi nami. A przecież sytuacja nieznacznie, ale jednak, się zmieniła. Zmieniła się sytuacja fantastyki i zmieniła się sytuacja fantastów. Elementami tej zmiany jest, także, zadomowienie się naszego miesięcznika w pejzażu kulturalnym, jest zaistnienie już „generacji czwartej", jest późniejszy o 3 lata moment historyczny, jest wreszcie i to, że w fantastyce od pewnego czasu wszystko jest możliwe, ponieważ w gatunku ostatnio jest po trosze wszystkiego.

Zamykając definitywnie konkurs 1982/83 myślimy już więc o następnym: Jacy będą ci fantaści A.D. 1985? Co nam zechcą powiedzieć? ■

Pytania o granice

Dyskusje zaczynające się od pytania „czym jest fantastyka naukowa?" bywają zwykle jałowe. Trudno się temu dziwić. Pisarz, czytelnik, krytyk – każdy z nich ma inną wizję gatunku. Jeśli istnieje co najmniej kilkadziesiąt wzajemnie wykluczających się definicji, porozumienie może być tylko intuicyjne. W większości wypadków nie ma to zresztą szczególnego znaczenia. Czasami – bardzo rzadko – dochodzi jednak do sytuacji, kiedy pytania o istotę SF nie można zlekceważyć.

Znakomita seria Wydawnictwa Literackiego, w której ukazał się m.in. „Ogród czasu" Ballarda, „Czarnoksiężnik z Archipelagu" Ursuli K. Le Guin, a ostatnio „Poczwarki" Johna Wyndhama jest wyzwaniem rzuconym krytykowi zajmującemu się literaturą science fiction. Prowokacja ta jest z pewnością niezamierzona. Wynika tylko z różnicy perspektyw: krytyk pisze o książkach SF, wydawnictwo uparcie lansuje książki dobre. Różnica punktów widzenia nie musi być wyraźnie dostrzegalna. Przez jakiś czas można udawać, że nic się nie stało. Ale niezbyt długo. Znakomity G. K. Chesterton w swej jedynej powieści fantastyczno-naukowej napisał mniej więcej tak: *„Możesz patrzeć na jakąś rzecz 999 razy, lecz gdy spojrzysz na nią po raz tysięczny grozi ci straszliwe niebezpieczeństwo, że zobaczysz ją po raz pierwszy"*. W przypadku „Poczwarek" aforyzm ten przekłada się następująco: *„jeżeli powieść tę potraktujesz jako SF, to grozi ci, że nic o niej nie powiesz prócz banałów"*.

Potoczne rozumienie science fiction wyraża się przede wszystkim w umiejętności rozpoznania schematów fabularnych oraz w mniejszej lub większej zręczności w łączeniu ich w ciągi chronologiczne. Na tej właśnie zasadzie, śledząc ewolucję tematów od wieku XX wstecz, wywodzi się SF od Keplera, a nieraz i od Gilgamesza, co samo w sobie jest tylko manifestacją erudycji, kuglarskiej zręczności, swoistym reductio ad absurdum. Jeśli potraktujemy „Poczwarki" jedynie jako powieść science fiction, nasze zadanie znacznie się uprości. Jest to książka łatwa do omówienia, ponieważ realizuje wątki w literaturze SF nader popularne: „świat po katastrofie" i „telepatię". Oba mają rodowód bardzo szacowny, oba wielokrotnie już i systematycznie analizowano. Monografistą tematu „katastrofy" był między innymi J. G. Ballard, który podzielił go na następujące podgrupy: katastrofy z przyczyn kosmicznych, naturalnych ziemskich, działalności obcych i działalności człowieka. Podtematy zostały szczegółowo i dokładnie omówione i tylko głęboko w tekście zawiera Ballard melancholijne stwierdzenie: *„...planeta, którą niszczymy z tak niezmordowaną pomysłowością to w gruncie rzeczy wyraz pisarskiej autodestrukcji"*. Jedyne zdanie mające sens w całym skomplikowanym eseju – głęboko ukryte. Taka jest moc klasyfikacji. Wracając do „Poczwarek": ich tematyka niewątpliwie mieści się w ostatniej podgrupie i trzeba przyznać, że wypada tu Wyndham raczej blado. Nie dlatego, że po raz kolejny podejmuje temat destrukcji atomowej, ale że nie jest szczególnie pomysłowy, barwny w opisach, dosadny w morałach. Lepiej radzi już sobie w „Dniu Tryfidów", w którym klęska przybiera głębsze pozory motywacji. Podobnie z tematem telepatii, który, co prawda, nie ma tak szacownych antenatów jak poprzedni, jest jednak ostatnio znacznie częściej wykorzystywany. Czym może być zwykłe przekazywanie myśli na ograniczoną odległość (maksimum „pół świata") w porównaniu z czytającymi myśli maszynami, imperiami rządzonymi przez demonicznych władców za pomocą ESP (extra sensory perception – postrzeganie pozazmysłowe), władzą nad umysłami ludzi i tym podobnymi nonsensami? Biorąc pod uwagę, że oba te tematy są połączone przez motyw mutantów, jakże banalnie prześladowanych, dochodzimy do wniosku, że „Poczwarki" to po prostu kiepska SF. Gdzież tu płonące stosy, wymyślne tortury, rozsądna dawka jakże przydatnego seksu? Gdzie morał, krytyka, suspense?

Podążając dalej tropem analizy powieści Wyndhama jako science fiction i próbując przejść od klasyfikacji do interpretacji – popełniamy dalsze błędy. Zgłaszamy kolejne pretensje pod adresem autora. Istota atomowej katastrofy nie jest w pełni wyjaśniona. Wolno nam uważać, że była to wojna i zapewne taka była autorska intencja, ale otrzymaliśmy relację tylko z części świata i możemy przypuszczać, że była to na przykład gigantyczna awaria systemu energetyki atomowej. W gruncie rzeczy przeczuwamy, że jest to tylko ornament, malowniczy ozdobnik książki odgradzający czytelników od Starych Ludzi. Naszą własną cywilizację potraktował Wyndham także unikowo. Pośród mutacji Starzy Ludzie są wzorcem normalności; w agrarnym świecie przedmiotem legend i tylko kobieta z Sealand ma o nas coś więcej do powiedzenia. Ale jej dość banalne dywagacje są słabszym fragmentem powieści i rażą pustosłowiem. Także motyw telepatii nie został w pełni wykorzystany. Na upartego można stwierdzić, że robi Wyndham wiele, by samo Waknuk i cały Labrador obrzydzić nam całkowicie, lecz tu także nie odnosi sukcesu. Instyktownie zgadzamy się ze społecznością Waknuk lub co najmniej ją rozumiemy. Może z wyjątkiem starego Josepha Strorma, który jest akurat postacią papierową. Zresztą jeśli istnieje wuj Axel i Angus Morton oraz całkiem rozsądny rząd, to nie jest jeszcze tak źle. Labradorczycy po prostu starają się przeżyć, a to wiele usprawiedliwia. Przecież „głęboko humanitarni" Sealandczycy w obronie swoich również zabijają, niejasno usprawiedliwiając to eutanazją i nowa ludzkość rodzi się w wojnie podobnie jak stara, co równie kiepsko jej wróży. Uzasadnianie eksterminacji jednej grupy ludzi przez inną (nadludzi) koniecznością ewolucji jest w ogóle wątpliwe moralnie jako argument zbyt często usprawiedliwiający masowe zabójstwa i używany całkiem jeszcze niedawno. Słowem – dysonans.

No cóż, wiele książek dałoby się zbyć w taki właśnie sposób – ale nie „Poczwarki"! Nawet intuicyjnie wyczuwamy, że gdzieś został popełniony błąd, że coś pominęliśmy, czegoś nie dopowiedzieliśmy. Błąd łatwy do wykrycia, jeśli potrafimy opuścić zaklęty krąg schematów, wymknąć się z sideł klasyfikacji tematycznej.

Gdy mamy do czynienia z tak jaskrawą rozbieżnością między analizą a zdrowym rozsądkiem, uruchamiamy swoisty mechanizm obronny. Polega on na uznaniu pisarza za „dobrego" i dopisaniu kilku wniosków spoza analizy. Najjaśniej mechanizm ów objawia się wtedy, gdy któryś z krytyków zaatakuje science fiction jakkolwiek: za kiepski poziom literacki, za banalność fabuł, za głupotę. W takiej sytuacji, jako tarczę przeciw zarzutom wysuwa się nazwiska Ballarda, Vonneguta jr., Wyndhama. Zdezorientowany napastnik wycofuje się rakiem i chyba nigdy nie przyjdzie mu do głowy, że dostał do ręki wspaniały argument, którego nie umiał wykorzystać. Bowiem pisarze ci dlatego są świetni, ponieważ nie mieszczą się w konwencji, z którą zgadza się tylko to, co w książkach ich najgorsze lub najmniej ważne.

I tak – okrężną drogą – docieramy do pytania podstawowego. Pytania o granicę pomiędzy SF a literaturą. Oczywiście, nie mamy zamiaru udzielać na nie odpowiedzi. Możemy co najwyżej pokazać jak objawia się jej istnienie.

Zapomnijmy przez chwilę o fantastyczno-naukowym sztafażu „Poczwarek". Potraktujmy je po prostu jako powieść. Co pozostanie, jeśli pominiemy „katastroficzno-telepatyczną" ornamentykę?

Wyndhama nie fascynuje ani sama katastrofa, ani szczegółowy opis powstałych po niej społeczeństw. Autor nie ma pasji narracyjnej, nadmiaru fantazji ani socjologicznych zainteresowań. W gruncie rzeczy interesuje go jedynie istnienie cywilizacji. W najbardziej dosłowny sposób „Poczwarki" zaczynają się i kończą wizją Sealandzkiego miasta, które po raz pierwszy pojawia się jako sen, po raz drugi jako „marzenie zrealizowane". Powieściopisarz John Benyon Harris jest piewcą cywilizacyjnego ładu. Harris (takie jest prawdziwe nazwisko Wyndhama) startował kilkakrotnie jako autor drugorzędnej SF i najwyraźniej doszedł do wniosku, że się to nie opłaca. Dopiero przekroczywszy granice gatunku został w nim zaakceptowany. Kto wie, czy aprobata czytelników nie wynika z faktu, że lubi on porządek, ład i kończy dyskretnym happy endem? Przypomnijmy chociażby postać Michaela, który wśród niebezpieczeństw szuka wciąż swej dziewczyny...

„Poczwarki" w zdumiewający sposób są pozbawione sensacji. Akcja toczy się dość wolno, nie ma suspensu i określenie „powieść przygodowa" jest już doprawdy przesadą. Tym, co sprawia, że nie możemy oderwać się od książki jest przyjemność obserwacji procesu, w jakim narrator David odkrywa świat. Punkt widzenia dziecka jest utrzymany konsekwentnie przez cały czas, a sam proces dorastania wyraża się nie w opisach i oznaczeniach czasu, lecz w samym sposobie opowiadania zdarzeń. I temu właśnie zawdzięczają „Poczwarki" swoją niepowtarzalność: są złą SF, lecz dobrą literaturą.

Krzysztof Sokołowski

John Wyndham: *Poczwarki*. Przełożył i posłowiem opatrzył Juliusz Kydryński. Wyd. Literackie, Kraków 1984. Cena 120 zł.

Groza i koszmar

Twórczość prozatorska Jana Drzeżdżona od chwili jego debiutu wydawniczego w 1975 roku (tom opowiadań „Upiory") wywołuje najbardziej skrajne reakcje czytelników i krytyków. Pisarz jest oceniany jako grafoman i jednocześnie jako autentyczna postać polskiej literatury. Zwolennicy pierwszej opinii sprawili, że Drzeżdżon przez 10 lat nie wydał żadnej książki prozatorskiej, choć pisał regularnie i dużo (został nawet wyróżniony w konkursie literackim, lecz powieść laureatka nie ukazała się do dziś). Musiał czekać, musiał wywalczyć sobie prawo do istnienia i kto wie, czy ten okres, zyskana wiedza o świecie, o mechanizmach rządzących naszą rzeczywistością nie ukształtowały ostatecznie jego literatury, która publikowana teraz regularnie prezentuje spokojny, konsekwentny, w pełni autonomiczny system artystyczny i filozoficzny.

Pierwszym, który rozpoznał wartość prozy Drzeżdżona i zaangażował cały swój autorytet w jej wylansowanie, był Henryk Bereza. Za nim poszli inni. Dziś twórczość autora „Upiorów" ma coraz więcej zwolenników; ostatnio przyłączył się do nich Sławomir Magala po lekturze najwybitniejszej powieści Drzeżdżona „Karamoro". Casus Magali wydaje się tym bardziej znamienny, że krytyk ów jest autentycznym światowcem „odczytującym" kulturę, filozofię, literaturę z perspektywy dalekiej od lokalnych partykularyzmów. Jest człowiekiem rozsmakowanym w nowinkach literackich i filozoficznych, a przy tym tłumaczem – zwłaszcza amerykańskich „postmodernistów". Nawiasem mówiąc, proza Drzeżdżona jest zakorzeniona bardziej chyba w skandynawskiej i kaszubskiej tradycji literackiej, niż w polskiej. Drzeżdżon jest z pochodzenia Kaszubem, zajmuje się kulturą tego regionu naukowo i wydał bodaj dwa tomy prozy oraz książkę poetycką w języku kaszubskim.

Na czym – mówiąc najkrócej – polega oryginalność twórczości Drzeżdżona? Przede wszystkim jest to pisarz starający się dotrzeć do najważniejszych spraw ludzkich, do tego, co dzieje się w najgłębszych zakamarkach naszego świata wewnętrznego. Kształtuje rzeczywistość powieściową w ten sposób, aby ukazać to, co potrzebuje w stanie czystym. Z jednej więc strony idzie w kierunku antycznej tragedii docierając do sytuacji i konfliktów egzystencjalnie podstawowych – z drugiej strony przełamuje konwencje literackiego opisu, wychodząc „poza" słowa i rozbijając dystans istniejący w normalnej literaturze pomiędzy narratorem a światem przedstawionym. Struktura powieści Drzeżdżona jest kształtowana bezpośrednio przez narratora, podporządkowana bez reszty jego stanom emocjonalnym, nastrojom, sympatiom i antypatiom do poszczególnych postaci. Autor „Karamoro" rzuca świat przedstawiony na pastwę wyobraźni, której nie chce i nie jest w stanie poskromić.

W tej prozie wszystko się może zdarzyć, wszystko jest możliwe. Nie ma żadnych ograniczeń. Są jedynie reguły gramatyki i ortografii. Nie ma literackich konwencji, niekiedy nie ma nawet wyraźnych związków przyczynowo-skutkowych. Drzeżdżon jest osobowością niepowtarzalną, nietrudno jednak dostrzec, ilu młodych autorów ośmielił do rozbijania najróżniejszych literackich skorup.

Najświeższym przykładem twórczości Drzeżdżona jest powieść „Miasto automatów", wydana w roku 1984, ale napisana na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Znam wszystko, co autor „Karamoro" opublikował w języku polskim, ale wydaje mi się, że „Miasto automatów" najtrudniej poddaje się jednoznacznej interpretacji, prezentuje najbardziej niezwykły świat przedstawiony, najbardziej fantastyczny i straszny.

Powieść ta jest zawiłą i ponurą historią miasta, którego mieszkańcy stali się automatami, przestali być ludźmi i zaczęli produkować nowe zastępy automatów. Potem pojawiły się bezkształtne anonimy, z którymi stoczono brutalną wojnę zakończoną kompromisem. Efektem kolejnych przeobrażeń okazały się manekiny, żuki... Jest to powieść o absurdzie wszystkiego, o ograniczeniach, które tkwiąc wewnątrz, dominują w którymś momencie nad wszystkimi istotnymi cechami człowieka i przekształcają go w kukłę.

„Miasto automatów" dręczy czytelnika jak senny koszmar swą – jak to określił Bereza – strasznością i monotonią powracających obrazów i sytuacji. Jest to powieść, z której wieje autentyczną, skondensowaną grozą, książka, która sama jest koszmarem, gdyż w ten sposób została zamierzona i skonstruowana. Jest to również historia o strachu człowieka przed tym, co kryje się w nim samym, do czego jest zdolny: do nieprawdopodobnych absurdów i totalitarnych niedorzeczności.

Leszek Bugajski

Jan Drzeżdżon: *Miasto automatów*. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1984. Cena 80 zł.

W sidłach okultyzmu

Nie inaczej wypada określić najnowszą publikację Instytutu Wydawniczego Związków Zawodowych, który w zacnej intencji upowszechniania dorobku prozy okultystycznej uraczył nas płodami wyobraźni miedzywojennego beletrysty – Włodzimierza Bełcikowskiego. Autor „Tajemnicy wiecznego życia" nie pojawił się w słowniku polskich autorów fantastyki, milczały o jego wyczynach wielce tolerancyjne „Pożółkłe kartki" – i nie bez przyczyny: podobnych koszmarków (w trosce o dobre imię literatury brukowej) wydano wówczas dziesiątki. Paramakulatura zrodzona pod piórem Olszakowskiego, Orwicza, Montyherta, ba – Smolarskiego nawet, nie mówiąc już o poczciwym Grabińskim, którego piłowatą „Salamandrę" nazwał Lem „okultystycznym produkcyjniakiem", rozchodziła się w sporych nakładach, zapełniając dotkliwą lukę w budżetach „czołowych" firm wydawniczych. Gwoli sprawiedliwości – Stefan Grabiński, zafascynowany tajemnicami natury ludzkiej, starał się wnikać przynajmniej w pierwotne korzenie okultyzmu czerpiącego z dwóch źródeł: filozofii platońskiej, w której doświadczenia zmysłowe człowieka były tylko symbolem rzeczywistości idealnej, prawdziwej – oraz chrześcijańskiej tradycji Pisma Świętego, interpretacji figuralistów utrzymujących, iż tekst Pisma jest znakiem głębszych sensów poznawalnych na drodze intuicyjnej. Nic z tych rzeczy nie ma u Bełcikowskiego. Autor – wychowany na literaturze kiczu – idzie po linii najmniejszego oporu: schlebiając czytelnikom podpiera się tanimi efektami szoku, sensacyjną akcją, myślowym ubóstwem, sztampą opisową. Do wrót naszego świata, niczym upiory wstające z grobów, pukają adepci „czarnej magii" po to, by koniec końcem „w proch czarny się rozsypać". Pędzące samochody staczają się do wąwozów w trzasku i huku pękającej karoserii. Zachwycająco piękne kobiety, dziwnie bezbronne i nieśmiałe, wyglądają jak „młode, ledwo rozkwitłe pąki kwiatów". Przykładów znalazłoby się więcej, lecz nie znęcajmy się nad tekstem, który mądrego wcale nie zamierza udawać.

Można przeboleć wznawianie podobnych rzeczy w sytuacji pełnego komfortu, zaspokojenia oczekiwań – jeśli na rynku „romansów naukowych" (?) nie brakuje i konieczność wyboru zależy tylko od czytelnika. Kiedy jednak sporo, znacznie ciekawszych, powieści dwudziestolecia czeka w kolejce do druku (Smolarski, Karczewski, Słonimski, Niezabitowski etc.), kiedy ukazuje się w Polsce kilka zaledwie pozycji z tzw. „popularnej odmiany fantastyki" – podobne inicjatywy wypada określić mianem nieporozumienia. Doceniam pomysłowość i spryt wydawców słusznie przypuszczających, iż w epoce masowego rozbudzania wyobraźni, zafascynowania parapsychologią, bioenergoterapeutyką – wielu czytelników przełknie podobną bzdurę z wypiekami na twarzy, lecz jest to chwyt poniżej pasa i strach pomyśleć, że w dobie ogromnych zadań stojących przed literaturą fantastyczną wampirowate czytadła będą kształtować gusty 40-tysięcznej publiczności. Jakby nie dość było tych naigrawań, książka Bełcikowskiego została opatrzona anonimową przedmową, w gruncie rzeczy niewiele mówiącą, próbującą usprawiedliwić wznowienie owego curiosum za pomocą chytrych zabiegów: niedopowiedzeń, filuternego zmrużenia oka ... Brak w tej przedmowie informacji o autorze, okultyzmie, wiedzy ezoterycznej, nie mówiąc już o porządnym omówieniu losów brukowej powieści sensacyjnej.

Jedno, jak zwykle, nie zawodzi – kolorowa okładka chwytająca za serce wszystkich, którym droga jest myśl o Drakulach przebijanych osinowymi kołkami. Może grubo przesadzam i wytaczam armaty tam, gdzie wystarczyłoby ironiczne wzruszenie ramion, ale kiedy zachodzę do księgarń, słuchając odpowiedzi na sakramentalne pytanie „czy jest coś z fantastyki", nie mogę ukryć żalu, wstydu, zniecierpliwienia.

Andrzej Niewiadowski

Włodzimierz Bełcikowski: *Tajemnica wiecznego życia*. IWZZ, Warszawa 1984. Cena 75 zł.

Jaworski Roman

(1883–1944)

Powieściopisarz, nowelista, publicysta

Urodził się 21 czerwca 1883 roku we wsi Klicko w województwie sanockim. Był synem Franciszka, inżyniera z zawodu i Marii z Bieńkowskich. Ukończył gimnazjum w Brodach. Studiował germanistykę na Uniwersytecie Lwowskim i Wiedeńskim. W czasie studiów podróżował po Europie zwiedzając Niemcy, Francję, Hiszpanię. W roku 1908 powrócił do Krakowa i rozpoczął pracę pedagogiczną w jednym z tamtejszych gimnazjów. Nawiązał kontakty literackie z Leonem Chwistkiem, Antonim Potockim, Stanisławem Ignacym Witkiewiczem, Karolem Irzykowskim i Ostapem Ortwinem. W roku 1910 przeniósł się do Lwowa, podejmując – obok pracy pedagogicznej – zajęcia dziennikarskie. Po trzech latach zrezygnował z posady nauczyciela gimnazjum, wyjechał do Wiednia i rozpoczął współpracę z „Wiedeńskim Kurierem Polskim". Do kraju powrócił w roku 1919. Zamieszkał w Warszawie. Ogłaszał artykuły na łamach czasopism literackich: „Skamandra" „Wiadomości Literackich", „Widnokręgów" i in. Był korespondentem Polskiej Agencji Telegraficznej w Pradze. Pracował w administracji państwowej: w Urzędzie Wojewódzkim w Łucku, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Warszawie (na stanowisku radcy ministerialnego). Od roku 1934 redagował czasopismo „Ster". Okres okupacji spędził pod Warszawą w skrajnie trudnych warunkach materialnych. Częściowo sparaliżowany, zapomniany przez czytelników, zmarł w Górze Kalwarii jesienią 1944 roku w schronisku dla nieuleczalnie chorych.

Debiutował w roku 1910 tomem opowiadań groteskowo-fantastycznych **„Historie maniaków"** (Wyd. Arcta, Kraków; wyd. 2 – Wyd. Literackie, Kraków 1978 ze wstępem M. Głowińskiego; Zawartość: Miał iść, Zepsuty ornament, Medi, Trzecia godzina, Bania dra Lipka, Amor milczący, czyli o absolutnej niemożliwości, by pewien młodzian zakochał się w damie jakiejkolwiek). Zbiorem tym zwrócił na siebie uwagę krytyków, niestety – recenzje z jego „bulwersującej" książki były na ogół negatywne i przedstawiały Jaworskiego jako epigona stylu modernistycznego. Mało kto zauważył, iż autor „Trzeciej godziny" nie naśladuje, lecz ośmiesza ekspresjonistyczną manierystykę neoromantyczną, modne rozważania pseudofilozoficzne, patos, sentymentalizm, rozlewność uczuć. Do nielicznych zwolenników Jaworskiego należał Karol Irzykowski, który w szkicach z lat 1910–1912 wypowiadał taką o nim opinię:

„W rzeczach Jaworskiego, podobnie jak u Grabińskiego, absolutnie nie można odkryć żadnego powinowactwa ze współczesną lub wczorajszą beletrystyką polską (...). Jak u Kadena-Bandrowskiego styl jego chory jest na hipertrofię i ciąży ku słownictwu groteskowemu osiadającemu na przedmiotach i czynnościach brudnych, niesamowitych, podejrzanych".

Jaworski, nie zrażony ostrą oceną krytyki, projektował wydanie drugiej serii „Historii maniaków" i na łamach „Widnokręgów" (zesz. 2–5/1911 r.) ogłosił nawet „Opowieść o smutku czterech ścian", która miała w wchodzić w skład tego zbioru. W roku 1914 opublikował powieść „Alcybiades" (druk. w „Wiedeńskim Kurierze Polskim" 12–60/1914), a w roku 1919 w Warszawie nie wygłoszoną mowę do posłów na pierwszy Sejm Polski („Na Sejm"). W kilka lat później wydał „Hamleta drugiego. Królewica Polskiego" (trzy akty współczesnej groteski wśród rzeczywistych i scenicznych możliwości; sztuka powstała ok. roku 1924; fragm. druk. w: „Krokwie" 1921/22). W roku 1931 ukazał się w Warszawie jego utwór dramatyczny „Wirówir".

Do najciekawszych, najbardziej kontrowersyjnych pozycji Romana Jaworskiego należy **„Wesele hrabiego Orgaza"** (powieść z pogranicza dwóch rzeczywistości, Warszawa 1925). Zbliżona tematycznie do rozrachunkowych wypowiedzi St. I. Witkiewicza, Brunona Jasieńskiego, Jalu Kurka – wyrasta z katastroficznego nurtu literatury polskiej ukazując rozpad ówczesnej kultury, cywilizacji, jej utopijnych rozwiązań ideologicznych. Forma powieści – niebywale skomplikowana – nawiązuje do groteskowego eposu „Don Kichot", sięga do założeń szeroko rozumianej fantastyki. W taneczno-weselnej inscenizacji przypominającej błazeński teatr okrucieństwa parodiuje Jaworski uległość stylu modernistycznego wobec tematów narodowo-wyzwoleńczych, programów społeczno-politycznych. Podobnie jak w nowelach z cyklu „Historie maniaków" autor „Zepsutego ornamentu" portretuje ludzi obarczonych

Miał iść

Roman Jaworski

Śnił dziwną parodię współczasów, bardzo śmieszną, tak śmieszną, jak może być tylko mżenie chorej nudy. Widział pochód rzeczy dokonanych, wielki triumfalny pochód.

A gdy mimo niego przechodzili, nie oddawał im czci, wraz z rzeszą radujących sie, gdyż senność wielką czuł w członkach i nie był zwyczajny w składaniu pokłonów, za co go śmiercią karali potężni królowie, a nieraz ćwiczyli ich dzielni wasale. Niejednokrotnie uchodził śmierci i dziś znowu stał blisko przy pochodzie żywych, patrząc na rzeczy dokonane, na żywe fakty. Gdy więc ujrzeli lice młode, senne, wyjęli z jego piersi ostatnie dwie wiosny i odeszli (...).

Jakieś przestrzenie ogromnie obojętne, zapadając w mrok, ściskały ostry pierścień widnokręgów i podsuwały się ku niemu, wabiąc niemotą. Już stawiał stopę na pełzającą płaszczyznę, gdy pierś jego uderzyła o ścianę jaskrawych blasków. Uczuł radosny chłód zachodu, a blaski, przypadłszy do rąk, lizały je wiernie.

Więc zajął się zachodem.

Pod ścianą blasków ujrzał szkielety zbitych w stada, śpiących koni. Przesycone światłem żebra i piszczele układały się w wielki symbol ciągłych dziejów, a spuszczone nad pastwiskiem łby zdawały się głosić potępieńcze prawdy. Męczyła go ta plama, więc ją przykrył dłonią, spoza której wyszło wielkie koło, toczące się wśród fal płynącej rzeki. Koło czerpało wodę i wylewało ją z wysiłkiem na brzeg. Każda szprycha wynurzając się z wody, szła powoli, uporczywie w górę i opuszczała zimne, wielkie, szkliste łzy.

Płaczące narzędzie.

Rzucił mu się w myśl problemat narzędzia, ten sam, co za chłopięcych lat wyślizgnął się z dłoni z porcelanowym pajacem. Pamiętał jak pajac uderzył o ziemię, jak kalecząc palce zebrał drogie szczątki, jak je złożył w ładnym pudle z wielkanocnych cukrów i pogrzebał w ogrodzie pod rozkwitłym w maju bzem. A potem długie lata siedział w altanie na kruczym gnieździe z cichą, jasną panną i pomagał jej rozmotywać kłębki bawełny. Siedział, by patrzeć na smutną pannę, jasnowłosą, p o l s k ą rzeczywistość, na której ramieniu odpoczywało czarne, głodne ptactwo. I nigdy nie znaleźli początka nitki, a kłębków było bardzo wiele (...).

Nie mógł pojąć. Zrozumienie jego wypełniła treść posiadania, pierś wyszła dumnie naprzód, a dłoń prawa chwytała silnie palce lewej dłoni i starała się je jak najbardziej od siebie oddalić, by służyły jako strażnice p i ę k n y m myślom. Wyraźnie przy najgrubszym palcu wyrosła skalista wyżyna, która dźwigała miasto. Wokoło wyżyny mętna płynęła rzeka i czyniła z miasta ponurą twierdzę. Powtarzał: mam smutne miasto i niezdobytą twierdzę. Ogromnie się bał by nie postradał ni miasta, ni twierdzy i ściskał palce konwulsyjnie.

A gdy już dobrze zapamiętał, poszedł dalej i ujrzał stary, chrześcjański tum w ruinach. Pamiętał: w tumie zbierali się wierni, a on ich nauczał o swoim bogu i wygnał boga, który dawno mieszkał w tumie. I kazał im palić święte obrazy i przetapiać złoto kielichów na wielką arkę dla swojego ciała. Gdy tłum, powolny jego rozkazom, wypełnił święte dzieło przemienienia, a niewiasty i dzieci nuciły pieśni uwielbiające jego potęgę, nadciągnął wróg i obległ miasto. A w mieście ni jednego miecza nie było, ni też męża zdolnego dźwignąć ciężar miecza, czy wyprężyć cięciwę łuku. Więc oddał wszyst-

kompleksami, żyjących w zamkniętych światach własnych urojeń, „odmiennych rzeczywistości"; dotyka kwestii psychopatologicznych realizując założenia literatury „brzydkiej i trudnej".

Twórczość Romana Jaworskiego doczekała się rehabilitacji dopiero w latach ostatnich, uznana za istotne ogniwo w historii polskiej groteski filozoficznej, poprzedniczkę „Pałuby" – Karola Irzykowskiego i „Ferdydurke" – Witolda Gombrowicza. *„Historie maniaków" są odkryciem literackim* – twierdzi Wincenty Grajewski w szkicu „Opowiadanie przemieszczone" – *stanowią oryginalną wersję procesu, który XIX i XX-wieczna awangarda wytoczyła tradycyjnym formom »kreacji artystycznej« (...) kwestionując model opowiadania arystotelesowskiego, iluzyjnego, prawdopodobnego, twierdzącego".*

Bibliografia wybrana:

Ogólna

–R. Zrębowicz: *Zapomniany ekspresjonista.* (w:) „Ruch Literacki" 1961/45.

– M. Głowiński: *Drwiące requiem dla historii.* (w:) M. Głowiński: „Porządek, chaos, znaczenie", Warszawa 1968.

– A. Konkowski: *Dancing i jego fikcje.* (w:) „Miesięcznik Literacki" 1971/12.

– A. Kubala: *Próba analizy groteski.* (w:) „Prace Humanistyczne Rzesz. TPN", S. 14, 1975.

– W. Grajewski: *Opowiadanie przemieszczone.* (w:) „Jak czytać utwory fabularne", KAW 1980.

Recenzje

„Historie maniaków"

– K. Irzykowski: *Ocalenie „istoty rzeczy".* (w:) „Widnokręgi" 1910/zesz. 16–17.

– W. Gostomski (w:) „Książka" 1911/11.

– M. Rettinger: *Nowe konstrukcje.* (w:) „Krytyka" 1911/t. 30, zesz. 3.

kich wiernych wrogowi w zamian za swe ocalenie. Wróg okuł wiernych w żelazne okowy i odszedł. Długie lata bluźnił nad złotą arką swego ciała (...).

Nie mógł iść. Myślał o obojętności i przeczuwał wiotką sieć i krzyczącą śmieszność. Jednak obojętność, to niby ten krzew bezładny, wyschły na skręcie, jak się jedzie do lasu. Na cieniutkich, śmiesznych gałązkach tyle błota od kół, które przejeżdżały. Wichry jesienne wzięły pnącze, liście i kwiaty, nie wzięły błota, które zaschło. Obojętność to ołocony przydrożny stary krzew. Nie mógł iść. Pojął radość tańczących komarów i wybełkotał: dokonało się (...). Prom, krzew wyschły, łańcuch (...). A może głaz pod płaczącą wierzbą lub sfinks wśród żaru pustyni.

Nie mógł pojąć. Przycisnął ciężar ku piersiom i żachnęło się ciało dziewczęcia w miłosnym uśpieniu. Zaleciała woń trupia, wdarła się przez nozdrza, osiadła pleśnią w ustach, trującą rdzą zawaliła piersi.

Roman Jaworski, Miał iść (w:) „Historie maniaków", Kraków 1910, fragmenty ze stron: 5 – 13.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

1960 (dokończenie)

348. JENS Walter: *Testament Odysa.* Tłum. [z niem] Witold Wirpsza. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 102, nlb. 1. 10 000 egz.

349. [MINKOW Svetoslav]: *Alchemia miłości i inne opwiadania.* Tłum. [z bułg.] Halina Kalita. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 173, nlb. 3. 5000 egz. – 13 opow., w tym 5 fantast. – Na k. tyt. aut.: Swetosław Minkow – Utopia/AF.

*350. NACHBAR Herbert: *Skradziona wyspa.* Tłum. [z niem.] Barbara Płaczkowska. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 201, nlb. 3. 5 000 egz.

351. [NEKRASOV Andrej]: *Przygody kapitana Załgonowa.* Tłum. [z ros.] Irena Tuwim. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 234, nlb. 2. 10 000 egz. – Na k. tyt. aut.: A. Niekrasow. – Utopia/CJSF.

352. ODĘKA Janusz: *Moje bardzo dziwne przygody, z rycinami. Spisał...* Warszawa. Iskry 16° podł. ss. 109, nlb. 2. 3 000 egz. – Na okł. tyt.: Moje bardzo dziwne przygody. Spisał własnoręcznie... Z wieloma rycinami i portretem Autora.

353. [PLATON]: *Platona Timaios i Kritias.* Tłum. [z grec.], wstęp, koment. i ilustr. Władysław Witwicki. Przedm.: K. Jeżewska. Wyd. II powoj. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 203, nlb. 4. 1 700 egz.

WAT A.: *Bezrobotny...* – zob. AF.

354. WEISS Jan: *Mullerdom ma tysiąc pięter.* Tłum. [z czes.] Edward Madany. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 223, nlb. 1. 10 000 egz.

355. ZIELIŃSKI Stanisław: *Statek Zezowatych.* Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 221, nlb. 2. 10 000 egz. – Większość opow. fantast.

Fantazja dla dorosłych (AF):

356. AYMÉ Marcel: *Zielona kobyła.* Tłum. z franc. Krystyna Byczewska. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 263, nlb. 1. 10 000 egz. – Elementy fantast.

357. CAPOTE Truman: *Zatrzaśnij ostatnie drzwi.* Tłum. [z ang.] Krzysztof Zarzecki. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 209, nlb. 2. 10 000 egz.

358. CHRUSZCZEWSKI Czesław: *Bardzo dziwny świat.* Opowiadania. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 229, nlb. 3. 10 000 egz. – Przygoda-Awantura-Sensacja. – Na k. tyt. także pseud. aut.: Paweł Rewicz. – AF/ASF/Weird.

359. FEUCHTWANGER Lion: *Odyseusz i wieprze, czyli tarapaty z kulturą.* Tłum. [z niem.] Maria Wisłowska. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 53, nlb. 1. 10 000 egz.

360. GARNETT Dawid: *Niezwykła historia o pani zamienionej w lisa.* Tłum. [z ang.] Józef Brodzki. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 137, nlb. 2. 10 000 egz. – Seria z Jednorożcem.

361. GRIN [właśc. GRINĚVSKIJ] [Alěksandr]: *Serce dżungli.* Tłum. [z ros.] Irena Piotrowska. Warszawa. Iskry. 16° ss. 285, nlb. 2. 5 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Aleksander Grin (Gryniewski).

362. HOFFMANN E[rnst] T[heodor] A[madeus]: *Bracia serafiońscy.* Opowiadania. Wybór Władysław Kopaliński. Tłum. [z niem.] Jerzy Kraunsztyk [i in.] Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 676, nlb. 6. 5 000 egz. – Dzieła Wybrane, t. III. – Niektóre opowiadania fanatast. – AF/CJSF.

363. JEŘÁBEK Čestimir: *Cudowny powrót fra Anselmo.* Tłum. [z czes.] i posłowie Andrzej Piotrowski. Przedmowę autora tłum. Romualda Pęgierska-Piotrowska. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 130, nlb. 2. 10 000 egz.

364. KWIATKOWSKI Tadeusz: *Lunapark.* Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 187, nlb. 1. 5 000 egz.

365. *MEI – Kwiat Śliwy.* [Aut.:] Szen Ki-ts'i [i in.] Tłum. z przekładu ros. Włodzimierz Wowczuk. Wiersze tłum. Alicja Marciszewska. [Oryginał chiński]: Oprac. sinologiczne, posłowie i koment.: T[adeusz] Żbikowski. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 265, nlb. 2. 5 000 egz. – Większość opowiadań fantast.

MINKOV S.: *Alchemia...* – zob. Utopia.

366. NERVAL Gérard de: *Sylwia i inne opowiadania.* Wyd. I powoj. Tłum. z franc. Leon Choromański. Posłowie Maciej Żurawski. Warszawa. Państ. Inst. Wyd. 16° ss. 226, nlb. 2. 10 000 egz. – Wyd. przedwoj. pt.: *Aurelia i inne opowiadania* – Właśc. nazw. aut.: Gérard Labrune.

367. *SPRAWA braci Trailor* [na okł. mylnie Traylor] *i inne* opowiadania. [Aut.:] Abraham Lincoln [i in.]. Katowice. Śląsk. 16° ss. 79, nlb. 1. 90 000 egz. – Złota Podkowa. – Pięć opowiadań, w tym trzy fantast. (2 AF i 1 ASF).

368. TOLKIEN J[ohn] R[onald] R[euel]: *Hobbit, czyli tam i z powrotem.* Tłum. [z ang.] Maria Skibniewska. Warszawa. Iskry. 16° ss. 374, nlb. 2, tabl. 2. 10 000 egz. – AF/CJSF.

369. WAT Aleksander: *Bezrobotny Lucyfer.* Wyd. II, powoj. I. skr. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 134, nlb. 2. 5 000 egz. – Biblioteka XX-lecia. – AF/Utopia.

370. WOŁOSZYNOWSKI Julian: *O Twardowskim, synu ziemianki, obywatelu piekieł, dziś księżycowym lokatorze.* Wyd. I powoj. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 238, nlb. 2. 10 000 egz.

Horror (W):

371. BIERCE Ambrose: *Jeździec na niebie.* Tłum. [z ang.] Jerzy Krzysztoń. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 206, nlb. 2. 10 000 egz.

CHRUSZCZEWSKI C.: *Bardzo...* – *zob. AF.*

372. DUMAS [Alexandre], ojciec: *Biesiada widm.* Tłum. [z franc.] Tadeusz Jakubowicz. Łódź. Wyd. Łódzkie. 16° ss. 200, nlb. 3. 20 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Aleksander – II rzut wyd. I (druk z matryc).

373. DUMAS [Alexandre], syn: *Zmartwychwstanie Offlanda.* Tłum. [z franc.] Halszka Wiśniewska. W: *Zmartwychwstanie Offlanda i inne opowiadania.* Katowice. Śląsk. 16° s. 3–19. – Złota Podkowa.

374. *OPOWIEŚCI z dreszczykiem. Noc druga.* [Aut.:] Walter Scott [i in.] Red. Maxim Liebert. Tłum. z ang. zb. Warszawa. Iskry. 8° ss. 601, nlb. 3. 20 000 egz. – C. d. poz. 232/57.

Krytyka, biografia, film (R):

375. BRANDWAJN Rachaniel: *Cyrano de Bergerac wśród libertynów i pedantów.* Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss. 241, nlb. 3. bibliogr., Rés. 1200 egz.

Futurologia (F):

376. BIAŁOBORSKI Eustachy: *Rakieta międzyplanetarna.* Warszawa. Państw. Zakł. Wyd. Szk. 8° ss. 379, nlb 1. 4 000 egz.

377. [VASILĚV Michail, GUŠČĚV Sěrgěj]: *Reportaż z XXI wieku.* Tłum. z ros. Władysław Kulicki. Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 265, nlb. 3. 5 000 egz. – Na k. tyt. aut.: M. Wasiljew i S. Guszczew.

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**

W połowie drogi



Z Ivo Železným, redaktorem czechosłowackiego wydawnictwa „Svoboda", rozmawia Maciej Makowski

Maciej Makowski: – *Ivo, jesteś wybitnym znawcą światowej literatury fantastycznej i tłumaczem z dziesięciu języków, w tym także z polskiego. Twoje tematyczne antologie zyskały duże uznanie, m.in. za antologię „Eksperyment człowiek" otrzymałeś nagrodę „Ludvik" na Parconie 84. Myślę więc, że jesteś najbardziej odpowiednią osobą, która może polskiemu czytelnikowi opowiedzieć o początkach literatury SF w Czechosłowacji.*

Ivo Železný: – Pierwsze książki, które z przymrużeniem oka można by zaliczyć do gatunku science fiction, ukazały się w Czechach i na Morawach w końcu ubiegłego wieku. Dziś już praktycznie żadna z nich nie może wzbudzać zainteresowania poza gronem zaprzysięgłych zbieraczy. Pierwszym znaczącym autorem i do dziś najbardziej uznawanym był dopiero w latach dwudziestych naszego wieku – Karel Čapek. Wielką indywidualnością, ale w nieco innym gatunku był J. M. Troska, nazywany „czeskim Juliuszem Verne'em", który napisał wiele nieprzeciętnych pozycji technicznej science fiction, cieszących się niezwykłym powodzeniem w kręgach młodych czytelników. Najwybitniejszym twórcą czeskiej SF w latach pięćdziesiątych był František Běhounek. I tu ciekawostka – powieść Běhounka „Na dwóch planetach" istnieje tylko w polskim przekładzie („Śląsk", Katowice 1967), w języku czeskim nigdy się nie ukazała. Wśród najbardziej znaczących autorów lat sześćdziesiątych należy wymienić Josefa Nesvadbę i Ludvika Součka. Do dzisiaj Ludvik Souček jest najpoczytniejszym czeskim pisarzem science fiction i ma też wielkie zasługi w propagowaniu tego gatunku w Czechosłowacji. Dlatego również nagroda za najlepszą czechosłowacką książkę SF i najlepszy przekład roku nazywa się Ludvik. W latach siedemdziesiątych SF zaczął uprawiać Jaroslav Veis, a na Słowacji Josef Žarnay. Zaś na początku lat osiemdziesiątych pojawia się nowa generacja autorów, do których przede wszystkim należy Zdeněk Volný, Ludmila Freiová, Eduard Martin, Ondřej Neff i Ladislav Szalai.

– ***A jakie tendencje dominują obecnie wśród czeskich i słowackich twórców fantastyki naukowej?***

– Jeżeli zrekapitulujemy rozwój gatunku science fiction w Czechosłowacji do dnia dzisiejszego, znajdziemy niewielką grupkę autorów, którzy wydali więcej niż jedną książkę SF. Fakt ten został spowodowany zarówno małą tradycją tego gatunku w czeskiej literaturze, jak i stosunkowo małym zainteresowaniem czytelników. Książki, które dziś zniknęłyby w ciągu pół godziny z lad księgarskich (o ile w ogóle by się na nie dostały), jeszcze na początku lat siedemdziesiątych były zaliczane do niezbyt poszukiwanych. Zainteresowanie tym gatunkiem w Czechosłowacji zbudziło się później niż w całej Europie, a wzrosło dopiero przed około dziesięciu laty. Pamiętam, że kiedy w roku 1975 zaproponowałem wydanie u nas, w wydawnictwie „Svoboda", „Dzienników gwiazdowych" i „Kongresu futurologicznego" Lema w nakładzie 40 000 egzemplarzy, dyrektor do spraw ekonomicznych uśmiechnął się z przekąsem, skreślił proponowaną wysokość nakładu i wpisał 20 000. Książka ukazała się w połowie roku 1977 w nakładzie 50 000 egzemplarzy i została wyprzedana w ciągu miesiąca. Ekonomiści wydawnictwa stopniowo uwierzyli w te nowe zainteresowania. Zaczęły się ukazywać przekłady z literatury światowej science fiction, a dziś otwierają się już coraz szersze możliwości również przed naszymi autorami. Tak więc w czeskiej literaturze SF nie można mówić na razie o jakichś „szkołach", a nawet o tendencjach. Po prostu zbyt mało ukazało się książek. Czescy autorzy mają jednak jedną charakterystyczną cechę – są indywidualistami i trudno ich wzajemnie porównywać. Wśród najmłodszej generacji autorów przeważa zainteresowanie literaturą science fiction filozofującą, ostrzegającą lub zaangażowaną, a warto również wspomnieć o kilku dobrych humorystach.

– ***Jakie możliwości debiutu dla początkujących twórców SF stwarza Wasze wydawnictwo?***

– Pierwszą wielką antologią czeskiej literatury science fiction był zbiór dwutomowy „Železo přichází z hvězd" i „Lidé ze souhvězdí Lva" (Żelazo przychodzi z gwiazd i Ludzie z gwiazdozbioru Lwa), które wydało wydawnictwo „Mladá Fronta" w 1983 roku. Było w nich około sześciuset stron opowiadań prawie trzydziestu autorów. Największą na razie antologią stanie się znów dwutomowy zbiór „Návrat na planetu Zemi" i „Stalo se zítra" (Powrót na planetę Ziemia i Stało się jutro), który ukaże się w wydawnictwie „Svoboda" na początku 1985 roku. Umieściłem w nim 90 opowiadań 66 czeskich i słowackich autorów, zarówno doświadczonych, jak i początkujących. W porównaniu z antologią „Mladej fronty", ta będzie prawie dwukrotnie obszerniejsza – będzie bowiem miała prawie 1500 stron maszynopisu (wybrane z około 40 000 stron tekstu) i powinna się stać odskocznią dla nowej generacji autorów. Można powiedzieć, że młodzi mają dziś o wiele większe możliwości publikowania niż kiedyś. Ale i tak tyle nowych tytułów oryginalnej literatury SF, ile ukazuje się w Polsce, u nas nie wychodzi i z pewnością wychodzić nie będzie.

– ***Czy w tych antologiach są reprezentowane utwory twórców z kręgu czechosłowackiego fandomu?***

– Fandom jest reprezentowany w obu opracowanych przeze mnie antologiach przez prawie połowę opowiadań. Są to przede wszystkim nagrodzone opowiadania z pierwszych dwóch lat konkursu o Nagrodę Karela Čapka – o pardubickiego Jaszczura (Mloka). Corocznie do konkursu jest zgłaszanych 300–400 opowiadań, z których 15–20 jest na dobrym poziomie profesjonalnym – nazywam to książkowym, następne 20 na poziomie czasopism i dalsze 50–60 obiecujące. Sądząc według obecnego trzeciego roku, poziom uczestniczących wyraźnie się podnosi. Tak więc, jeżeli chodzi o autorów, perspektywy literatury science fiction w Czechosłowacji w porównaniu z sytuacją przed dwoma laty, kiedy zacząłem opracowywać antologię, wydają mi się optymistyczne.

– ***Czy masz okazję współpracować z Waszym fandomem?***

– Z fandomem nawiązałem ściste kontakty właśnie przy opracowywaniu pierwszych antologii. Wtedy było to kilka klubów skupiających kilkudziesięciu członków. Dziś, kiedy najstarszy klub obchodzi swe piąte urodziny, w republice jest ich już ponad trzysta. Na Parcon do Pardubic przyje-



chało trzystu fanów (a przyjechałoby ich co najmniej dwa razy tyle, ale były kłopoty z noclegami, więc trzeba było ograniczyć ich liczbę do uczestników konkursu o Nagrodę Karela Čapka i dla innych pozostało niewiele miejsc). Staram się współpracować z fandomem przede wszystkim w ramach swego zawodu – znajdując drogi do publikowania literatury science fiction. Dobre opowiadania staram się umieszczać w antologiach różnych wydawnictw, a te najlepsze oczywiście rezerwuję dla wydawnictwa „Svoboda".

– Czy mógłbyś, Ivo, przybliżyć nam dorobek wydawnictwa „Svoboda" oraz króciutko przedstawić najbliższe plany?

– W wydawnictwie „Svoboda" literaturę science fiction zaczęto wydawać, poza drobnymi wyjątkami, praktycznie przed dziesięciu laty, kiedy podjąłem tu pracę. Na początku był to „Kongres futurologiczny" i „Dzienniki gwiazdowe", potem nastąpiły przekłady holenderskiej literatury SF (Tonke Dragt), wschodnioniemieckiej (Richard Funk), węgierskiej (Péter Lengyel), bułgarskiej (Ljuben Dilov), norweskiej (Knut Faldbakken), szwedziej (Per Wahlöö, Karin Boye) i innych. Później ukazały się jeszcze dwie następne antologie twórczości Stanisława Lema „Głos Pana" i „Doskonała próżnia. Golem XIV" – a więc poza małymi wyjątkami wydaliśmy całą twórczość Stanisława Lema po czesku. Również w całości zostały u nas wydane utwory braci Strugackich, wśród nich również pierwsze kompletne wydania nowel „Las na wschodzie". Wydaję tłumaczone z rosyjskiego książki Wadima Szefnera, Władimira Sawczenki, Kira Bułyczowa, Gennadija Gora i Aleksandra Bielajewa; z angielskiego Raya Bradbure'ego, Arthura C. Clarka, Waltera Tevisa; z francuskiego Charles'a Dobzynsky'ego i Roberta Merla.

– A Wasze antologie, o których słyszałem w Czechosłowacji tyle dobrego?

– Najważniejszym przedsięwzięciem jest planowany cykl antologii, który miałby stopniowo przedstawić czytelnikom najlepszych autorów z całego świata. Są to tomy o objętości od 800 do 1000 stron maszynopisu, czyli równają się objętości czterech powieści. Nakład około 90 000 egzemplarzy jest praktycznie natychmiast wyczerpany (Czechów jest 10 milionów, więc w Polsce odpowiadałoby to wysokości nakładu ponad 300 000). W pierwszym tomie „Pozemšťané a mimozemšťané" (Ziemianie i istoty z innych planet) prezentowany był Janusz A. Zajdel („Prawo do powrotu"), Frederic Brown, William Tenn, Sam J. Lundwall, Frederik Pohl, John Wandham, Arkadij i Borys Strugaccy oraz Jiří Netrval. W drugim, nagrodzonym na Parconie Ludvikiem za najlepszą pozycję przekładową literatury science fiction roku, między innymi jest Konrad Fiałkowski („Homo divisus"), Ursula K. Le Guin („The World for World Is Forest"), Gret Prokop („Wer stiegIt schon Unterschenkel?") oraz opowiadania, które napisali Oyvind Myhre, Gaku Konisi, Roger Zelazny i Brian Aldiss. Trzecia antologia, jak już wspomniałem, będzie czeska; czwarta będzie zawierała opowiadania na temat robotów, androidów, cyborgów; zaś piąta opowiadania o podróżach w czasie i w ogóle o fenomenie czasu w literaturze science fiction.

– W Polsce większość miłośników fantastyki narzeka na zbyt małą liczbę tytułów wychodzących co roku i na ich zbyt małe nakłady. Jak ta sprawa wygląda w Czechosłowacji? Ile tytułów i w jakich nakładach wydajecie rocznie?

– Na przykład w roku 1983 ukazało się około 35 tytułów, łącznie z książkami dla dzieci, z tego 25 po czesku, a 10 po słowacku. Podobny stosunek utrzymuje się z grubsza między literaturą przekładową a twórczością oryginalną. Nakłady są bardzo różne, ale średni nakład jest bardzo wysoki – od 50 000 do 80 000 egzemplarzy. Oczywiście wszystko zależy od nazwiska autora. Debiutujący czescy autorzy mają zwykle nakład około 20 000. Te wszystkie liczby





dotyczą wydań czeskich. Słowackie są o ponad połowę niższe.

– Fantastyka jakiego kraju jest najpopularniejsza w Czechosłowacji?

– Jak już powiedziałem, czytelnicy szukają przede wszystkim sławnych nazwisk. Najpopularniejsi autorzy z pewnością znaleźliby się również w Polsce na listach bestsellerów, np.: Arthur C. Clarke, Ray Bradbury, Kurt Vonnegut, Arkadij i Borys Strugaccy, Stanisław Lem, Kir Bułyczow, Robert Merle. Inni autorzy są znani tylko z jednej książki. Polska literatura science fiction cieszy się powodzeniem. Oprócz trzech antologii opowiadań i dzieł Stanisława Lema ukazały się też książki Konrada Fiałkowskiego i Janusza A. Zajdla (ostatnio „Cylinder Van Trolla"). Ja sam staram się popularyzować skandynawską literaturę science fiction, przetłumaczyłem doskonałą antologię Karin Boye „Kallocain" (polecam!), powieść Sama J. Lundwalla „Nic dla bohaterów" (Inga hjältar har) oraz wiele opowiadań, a więc można powiedzieć, że skandynawska SF dziś jest u nas stosunkowo dobrze znana. Poza tym czasopismo „Světová literatura" w każdym numerze w rubryce „Ze świata" przynosi fragmenty twórczości jednego autora lub prezentuje jakąś literaturę narodową science fiction. W ten sposób w ciągu kilku lat powstała dość rozległa antologia światowej literatury SF.

– Z racji swojego zawodu stykałeś się często z fantastyką polską. Co o niej sądzisz?

– Jak każdy redaktor ja też jestem zwariowany na punkcie swego zawodu. Książek na świecie jest mnóstwo, a czasu bardzo mało. Staram się więc czytać tylko to, co jest dobre – a jeżeli jest dobre, staram się to wydać. Dlatego przeprowadziłem jakby remanent w całej twórczości Lema i wydałem w trzech antologiach wszystko, co do tej pory nie ukazało się po czesku. Podobnie zaczynam postępować z twórczością braci Strugackich. Z polskich autorów najbardziej podoba mi się Janusz A. Zajdel, Konrad Fiałkowski i Adam Wiśniewski-Snerg. W ostatnich latach musiałem skupić się na czeskiej i światowej literaturze science fiction, a polską znam przeważnie tylko ze słyszenia oraz przeczytałem kilka poleconych opowiadań. Prawdę mówiąc, wrażenia mam nie najlepsze. To mordercza praca – znaleźć doskonałe opowiadanie w oceanie średnich i złych. Choć chętnie czytam literaturę SF, a właściwie najchętniej, to nawet cieszę się, że u nas nie wydaje się tyle tej literatury naszych autorów.

– Na świecie obserwujemy obecnie zjawisko odejścia od klasycznej literatury fantastyczno-naukowej w stronę fantasy. Czy w Czechosłowacji już daje się zaobserwować to zjawisko?

– Fantasy w literaturze czeskiej nie ma praktycznie żadnej tradycji, a przekładów z fantasy światowej jest również niezwykle mało. W ostatnich latach można mówić właściwie tylko o „Hobbicie" Tolkiena. Przetłumaczyłem też ze szwedzkiego powieść Bertila Mårtenssona „Światy bez granic", która jest w połowie science fiction, a w połowie fantasy. Wydawanie fantasy jest u nas raczej sprawą przyszłości.

– Dziękuję Ci bardzo za rozmowę.

Ruch miłośników fantastyki w naszym kraju doczekał się bez mała dziesięcioletniej tradycji. Dla skrupulatnego kronikarza rozkołysał się jednak dzwon na trwogę. Okazuje się, że Fandom Polski jest efemerydą pozbawioną materialnego kośćca, że jego historia jest ukryta w domach działaczy, którzy odchodząc z czynnego uprawiania swojego hobby zabrali ją ze sobą. Zjawisko zorganizowanego ruchu sympatyków pozbawili oni całej patyny, którą zdążyło się już pokryć. Gwoli zadośćuczynienia nurtowi rozrachunkowemu, związanemu z okrągłą rocznicą, odkurzyliśmy znajdujące się na półkach Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki segregatory, by przyjrzeć się ruchowi fanów – jego wzlotom i upadkom. Nasz szkic obejmuje tylko ostatnie trzy i pół roku. Nie roszcząc sobie prawa ani do pełnego, ani tym bardziej obiektywnego spojrzenia na zjawisko Fandomu, chcieliśmy zaprezentować nasz punkt widzenia, przedstawić fragmenty tego, czemu poświęciło swoją energię wielu miłośników fantastyki naukowej w naszym kraju. Układanka, prawdziwy „jig-saw-puzzle", której elementy zdają się do siebie nie pasować, daje w konsekwencji ciekawy obraz zmagań polskiego ruchu miłośników science fiction o przetrwanie, o możność zaistnienia obok profesjonalistów, obok – zabrzmi to paradoksalnie – całej polskiej fantastyki naukowej.

Polski Fandom w latach 1981–1984

Próba oceny

Każdy kryzys ma swój punkt ekstremalny. Gdzie go należy szukać w kryzysie Fandomu Polskiego? Wielu zapytanych bez chwili wahania odpowiada: w akcie rozwiązania Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Fantastyki i Science Fiction (5 VII 1981 r. w Warszawie).

I rzeczywiście. Rozwiązanie organizacji o 5-letnim stażu, 20 tysiącach członków, wielkim dorobku i nie mniejszym autorytecie w kraju i poza jego granicami – jak podawali jego czołowi działacze – to wydarzenie bez precedensu. Świadczy nie tylko o kryzysie, lecz wręcz o załamaniu się wszelkich wartości, o upadku uznawanych symboli. Dlaczego 5-letnie doświadczenie, ogromna rzesza działaczy masowego przecież klubu, wielkie dokonania (!?) oraz duża liczba sponsorów tej podziwianej ogólnie organizacji – nie uchroniły jej przed rozwiązaniem? Czyżby przyczyny były aż tak poważne? By odpowiedzieć na to pytanie trzeba zanalizować pokrótce pozytywy i negatywy OKMFiSF – osławionego poletka Andrzeja Wójcika.

Do niewątpliwych pozytywów należały: (1) nadanie ram organizacyjnych ruchowi miłośników fantastyki w Polsce, (2) uzewnętrznienie nowego zjawiska społeczno-kulturowego, jakim były narodziny fandomu, (3) organizacja wielu imprez kulturalnych o charakterze ogólnopolskim.

Po stronie negatywów działacze byłego Klubu Ogólnopolskiego mogą zapisać: (1) dążenie do uzyskania i utrzymania monopolu organizacyjnego w ruchu sposobami dalekimi od demokracji i pluralizmu, (2) działalność „na pokaz" z zaniedbaniem codziennej działalności, (3) niezapewnienie warunków rozwoju organizacji w przyszłości, (4) tworzenie mitów – 20 tys. członków, kilkadziesiąt klubów, wspaniałe perspektywy, prężna działalność na każdym szczeblu organizacji, cudowne kontakty o nieograniczonych możliwościach itp., (5) niespełnianie oczekiwań fanów rozbudzonych obietnicami, (6) tworzenie zamkniętych grup we władzach organizacji.

Jak widać, każdy z wymienionych negatywów nawet oddzielnie może stać się wystarczającym powodem rozwiązania niejednej organizacji. Generalnie, rozwiązaniu OKMFiSF i powołaniu Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki (15 VI 1981 r.) nie towarzyszyły wielkie wstrząsy. Można nawet przyznać, iż zmiana warty we władzach Fandomu Polskiego przebiegła płynnie, wręcz łagodnie. Probierzem nastrojów panujących wśród miłośników fantastyki w tym okresie stał się I Założycielski Zjazd PSMF (Warszawa, 4-5 VII 1981 r.). Powołanie Stowarzyszenia miało wtedy wielu przeciwników. Pytano, po co nam kolejna organizacja ogólnopolska, następny moloch, który niczego nam (czytaj: starym fanom) nie będzie dawał? Czy poprzednie 5 lat niczego was (czytaj: organizatorów PSMF) nie nauczyło? Idea wspólnoty w Polskim Fandomie się przejadła. Istniejący chaos w ruchu starała się jednak opanować grupa osób, która nadal wierzyła, że o interesy miłośników fantastyki może zadbać jedynie organizacja silna, spójna, o wykrystalizowanym programie i konkretnych, dużych możliwościach. Takie możliwości mogła zdobyć organizacja nowego typu, posiadająca osobowość prawną oraz całkowitą samodzielność programową i finansową. Ale status prawny Stowarzyszenia stawiał przed jego twórcami pewne wymagania. I wtedy okazało się, że droga pogodzenia różnych interesów, zaspokojenie dążeń różnych środowisk, spotkania się profesjonalistów i amatorów, starej gwardii OKMFiSF z nowym narybkiem działaczy PSMF, nie będzie ani prosta, ani tym bardziej usłana różami. Rozpad struktur OKMFiSF pozostawił kluby, szczególnie te niezbyt silne i liczne, na granicy rozwiązania; inne ośrodki, jak w Poznaniu czy w Warszawie, podzieliły się wewnętrznie. Okazało się, że liczba tych klubów w Polsce, które można traktować poważnie, spadła z 30 (oficjalna wersja działaczy OKMFiSF) do 4–5. Również działaczy z prawdziwego zdarzenia jakby mocno ubyło. Z dawnej „kliki" niewielu mogło lub chciało w ruchu pozostać. We władzach nowej organizacji znalazło się ich zaledwie dwóch, i to też na kilka zaledwie miesięcy. Odpowiedzialność za PSMF przyjęły na siebie osoby o minimalnym doświadczeniu organizacyjnym. Jeszcze miesiąc wcześniej podawano, że OKMFiSF liczy 20 tys. członków, w lipcu organizacja fanów liczyła ich może 30. Lista członków OKMFiSF wyparowała wraz z obrażonymi działaczami. Osiągnięcia dawnej organizacji okazały się iluzoryczne. Z okładek serii „Fantastyka-Przygoda-Rozrywka" Krajowej Agencji Wydawniczej zniknęła mitomańska reklamówka. Niestety treść tej reklamówki jeszcze przez długi czas funkcjonowała w Fandomie Polskim. Pretensje o jej nierealizowanie kierowano później wielokrotnie pod adresem... PSMF.

Pierwszym krokom nowej organizacji fanów przyglądano się uważnie. Nie kryto swoich obaw co do jej przyszłości. Twórcy profesjonalni się usamodzielnili. Obawiali się ponownego utworzenia fikcyjnej komórki w przebudowującym się Fandomie. Stowarzyszenie musiało udowodnić, że stać je na wiele. Oczywiście w sensie programowym, gdyż organizacyjnie było jeszcze „kopciuszkiem". Okazja na zaprezentowanie swoich możliwości nadarzyła się jeszcze w roku 1981. By uczcić sześćdziesiątą rocznicę urodzin i 35-lecie twórczości Stanisława Lema, PSMF wraz z Klubem „Sfan" zorganizowało w Śródborowie koło Warszawy (13–15.XI.) seminarium. Stało się ono wzorcem, z którego świadomie lub podświadomie korzystali nieomal wszyscy późniejsi organizatorzy imprez seminaryjnych w kraju. Słowo „seminarium" funkcjonowało w ruchu miłośników fantastyki od dawna. Niemniej dopiero impreza w Śródborowie wypełniła je prawdziwą treścią.

Rok 1982, ciężki dla całego kraju, to rok monotonnej, szarej działalności bez fajerwerków. Wysiłki działaczy Rady Głównej Stowarzyszenia zmierzające do uzyskania siedziby oraz stworzenia podstaw prawno-finansowych działalności były pasmem uciążliwych poczynań nie mających z fantastyką naukową wiele wspólnego. Konkurs literacki ogłoszony przez Radę Główną, a po nim konkurs plastyczny „Co się śni dzieciom", pozwalały jednak wierzyć, iż Stowarzyszenie jeszcze istnieje i działa. Starania o właściwą reklamę spaliły niestety na panewce. Tygodnik pracy twórczej „Radar" udzielił swoich gościnnych łamów (29 VII 82) Stowarzyszeniu, ale zrobił to tylko dwukrotnie. Ciekawe, żadne z pism młodzieżowych nie miało większej ochoty, by z ruchem współpracować. W tym okresie jedynie łódzkie „Odgłosy", dzięki inicjatywie grupy warszawskich fanów, zaczęły drukować regularnie science fiction. Tam zadebiutowali członkowie powstałej w połowie roku grupy literackiej „Trust". Na osłodę, 22 listopada 1982 r. red. naczelny Wydawnictw „Alfa" Jerzy Wysokiński zwrócił się do przedstawicieli Stowarzyszenia z prośbą o pomoc w redagowaniu serii książek fantastyczno-naukowych.

Z warszawskiej perspektywy w innych klubach było chyba jeszcze gorzej. Jedynie gorące serce fanów ze Śląskiego Klubu Fantastyki w Katowicach (zarejestrowanego 18.IX.81 r.) biło razem z naszym – PSMF-u. W tym współgraniu dziś pobrzmiewają być może fałszywe nuty, ale wtedy

próbowaliśmy wspólnych sił, wydając antologię opowiadań „Sposób na Wszechświat" (1982 r., n. 1000 egz.), dyskutowaliśmy nad korzystnym dla obu stron kształtem umowy o współpracę pomiędzy obiema organizacjami (ostatecznie podpisaliśmy ją 15.I.83 r.). Na mapie Fandomu w naszym kraju istniało wtedy dosłownie kilka punktów. Szkoda, że na tej pustyni Gorzowski Klub Miłośników Fantastyki i SF (założony w 1978 r.) określił się raczej jako wydawnictwo wzbogacające rynek w książki zajmujące się parapsychologią, mniej zaś science fiction.

Koniec 1982 roku przyniósł ze sobą nadzieję na pomyślniejszą przyszłość. W październiku na rodzimym rynku wydawniczym ukazał się zapowiadany od miesięcy pierwszy numer profesjonalnego czasopisma krytyczno-literackiego poświęconego science fiction. Fantastyka święciła triumfy. Jaka była w owym czasie relacja pomiędzy powstaniem czasopisma a ruchem miłośników literatury fantastyczno-naukowej? Dziś, na pytanie tak sformułowane jest znacznie łatwiej odpowiedzieć niż wtedy. Wówczas wydawało się, iż redakcja „Fantastyki", znając olbrzymie zapotrzebowanie na tego typu czasopismo, ani nie obejrzy się na to, co myślą fanowie. Wprawdzie już w pierwszym numerze znaleźliśmy dość obszerny materiał informacyjny o Stowarzyszeniu, można było jednak domniemywać, iż w tym przypadku chodziło raczej o obserwację socjologiczną niż o chęć nawiązania z ruchem miłośników fantastyki bliższych kontaktów. Rozważaliśmy czy tak jednostronna sytuacja nie służy jedynie umiejscowieniu „Fantastyki" – czasopisma – w kontekście społecznym, tzn. udokumentowaniu tezy, iż czasopismo to jest bardzo potrzebne, bo istnieją miłośnicy lansowanej przez jego redakcję literatury.

Trochę później otrzymaliśmy bezsprzeczne dowody, iż zainteresowanie redakcji „Fantastyki" ruchem płynie ze świadomości wspólnych z nim interesów. W pierwszych miesiącach roku 1983 w klubach zapanowało zrozumiałe ożywienie, niemal jakby ktoś kij w mrowisko wsadził i nim z lekka poruszył. Śląski Klub Fantastyki wystartował z pierwszym numerem miesięcznika „Fikcje". W marcu PSMF stało się pełnoprawnym członkiem Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction. Ukazały się wreszcie zaległe numery kwartalnika Poznańskiego Oddziału PSMF (od października 1982 r.) „Kwazar". Podpisana w marcu tego roku umowa o współpracy pomiędzy Polskim Stowarzyszeniem Miłośników Fantastyki a Zrzeszeniem Studentów Polskich określiła szerokie perspektywy przyszłej działalności Stowarzyszenia. Jedną z najważniejszych korzyści miało być uzyskanie przez PSMF możliwości prowadzenia w nowo powstającej Studenckiej Oficynie Wydawniczej „Alma-Press" redakcji wydawnictw fantastyczno-naukowych. Była to tym cenniejsza propozycja, bowiem Wydawnictwo „Alfa" – delikatnie mówiąc – zrezygnowało z naszych usług, a książki, które sami proponowaliśmy – ukazały się na rynku wydawniczym bez jakiejkolwiek wzmianki o współpracy z PSMF.

W maju, w naszym Oddziale w Bydgoszczy odbył się konwent SF pn. „MASKON" (jego motywem przewodnim był problem nowej fali w polskiej SF). Także w maju Poznański Oddział PSMF „Orbita" wraz z klubem Miłośników Filmu SF „Nostromo" (powstał w 1978 r.) zorganizował Festiwal Filmów Fantastyczno-Naukowych, jedną z pierwszych tego typu imprez w naszym kraju. Ukoronowaniem tej bogatej całorocznej działalności były niewątpliwie Dni Fantastyki w Dzierżoniowie, Polcon 83 (27–30 IX) – zjazd fanów i profesjonalistów z bogatym programem dyskusji, projekcji filmowych, spotkań autorskich, wystaw i wykładów. Równolegle odbył się w Dzierżoniowie II Zjazd PSMF, który uchwalił m.in. utworzenie Funduszu im. Stefana Grabińskiego – jednej z form niesienia pomocy twórcom, szczególnie tym najmłodszego pokolenia lub znajdującym się w trudnej sytuacji życiowej. Po raz pierwszy wręczono nagrodę fanów pn. „Złota Sepulka". Otrzymał ją Janusz A. Zajdel za najlepszą książkę roku 1983, za jaką uczestnicy konwentu uznali powieść „Limes inferior" (Iskry). Całość imprezy chyba udała się, zaś stworzony model spotkania, interesującego zarówno dla zagorzałych fanów, jak i osób z ruchem związanych bardzo słabo, jest wykorzystywany w dalszej działalności nie tylko Stowarzyszenia. Zwyciężyła więc idea wyjścia poza ciasne, sztywne ramy ruchu i wąskiego grona specjalistów. Dzierżoniowskie Dni Fantastyki, choć nie pozbawione potknięć, czasami zabawnych, stały się dla Rady Głównej PSMF i miesięcznika „Fantastyka" bardzo ważnym poligonem uczenia się wzajemnego współistnienia, poszanowania i współpracy. Ocena przez RG PSMF tego rodzącego się porozumienia z „Fantastyką" była wysoka. Trzeba przypomnieć, iż również redakcja „Fantastyki" pozytywnie oceniła współpracę i doceniając wysiłek działaczy Stowarzyszenia włożony w przygotowanie Polconu'83 przyznała PSMF nagrodę za działalność integracyjną Fandomu Polskiego. Kwartalnik Oddziału Poznańskiego „Kwazar" uzyskał nagrodę „Fantastyki" dla najlepszego czasopisma nieprofesjonalnego za rok 1983. Na marginesie – „Kwazar" stał się najbardziej uhonorowanym polskim pismem amatorskim. Otóż na odbywającym się w Lublanie (Jugosławia) w październiku 1983 roku VIII Euroconie otrzymał on, wspólnie z holenderskim czasopismem „Shards of Babel", nagrodę dla najlepszego fanzinu europejskiego.

Pod koniec roku 1983 odbyło się jeszcze kilka interesujących imprez, z których warto przypomnieć ogólnopolskie spotkanie poświęcone wydawnictwom nieprofesjonalnym (2–4 XII), zorganizowane przez Bydgoski Oddział PSMF. Z okazji spotkania ukazała się antologia opowiadań członków klubu pt. „Bilet na Księżyc". Również w grudniu Klub „Phoenix" w Łodzi zorganizował przegląd filmowy „Od Méliésa do Spielberga" (9–11 XII).

Mnożące się imprezy filmowe to „jaskółki, które czyniły wiosnę". Z kalendarium roku 1984 jednym tchem można wymienić: I Ogólnopolski Przegląd Filmów Fantastycznych w Świnoujściu (6–11 II, Klub „Wąż morski"; impreza, jakiej dotąd nie było – oto najkrótsza recenzja, jaką znaleźliśmy w jednym z fanzinów), seminarium filmowe „Konstrukcja świata przyszłości w filmach SF" (Śląski Klub Fantastyki w Katowicach, 6–8 IV), Fantastycon we Wrocławiu (4–6 V, Klub Miłośników Fantastyki we Wrocławiu), II Konfrontacje Filmu Fantastycznego w Poznaniu (18–20 V, P.O. PSMF, Klub „Nostromo"), przegląd filmów w Starej Miłośnie pod Warszawą (25–27, V. Warszawski Oddział PSMF „Sfera") czy wreszcie seminarium filmowe „Fantastyka na ekranie" (październik – Klub „Phoenix"). Mimo różnych, wytykanych w recenzjach z imprez filmowych, mankamentów, od indolencji organizacyjnej począwszy, a na zimnym bufecie skończywszy, należy przyznać, że podobnie bogatej wyliczanki w historii ruchu w naszym kraju nigdy dotąd nie było, zwłaszcza, że należy ją rozszerzyć o listę imprez o charakterze odmiennym, nie filmowym.

Przedstawiciele Stowarzyszenia nawiązali pierwsze kontakty zagraniczne podczas Czechosłowackiego Konwentu w Pardubicach (6–8 IV 84) i IX Euroconu w Brighton (kwiecień). Również w kwietniu, dzięki pomocy wielkiego przyjaciela fanów – Andrzeja Trepki, odbyły się w Wiśle organizowane przez Radę Główną PSMF „Bliskie spotkania III stopnia" (2–8 IV), pomyślane jako obóz mający za zadanie integrację różnych klubów i różnych środowisk. W czasie trwania studenckiej Famy'84 w Świnoujściu Stowarzyszenie mogło się zaprezentować podczas Tygodnia Fantastyki (9–14 VII). Jeśli program owych siedmiu dni nie spełnił naszych oczekiwań, wynagrodziła to uczestnikom wspaniała pogoda i rzadko spotykana gościnność członków miejscowego klubu SF „Wąż Morski". Ze wszech miar ciekawą imprezą było trzydniowe spotkanie w Warszawie zorganizowane przez Oddział PSMF „Sfera" i miesięcznik „Fantastyka" w Ursynowskim Domu Sztuki (26–28 X) pod hasłem „Z Science Fiction na Ty".

Wzorem roku 1983 Rada Główna PSMF i redakcja „Fantastyki" zorganizowały Dni Fantastyki, tym razem w Staszowie (4–7 X). Towarzyszyło tej imprezie wielce interesujące seminarium pod hasłem „Polska literatura fantastyczno-naukowa w 40-leciu". Seminarium zgromadziło kwiat autorów, krytyków gatunku i wydawców oraz fanów, w tym także z nowego Klubu w Staszowie. Podczas Dni Fantastyki zostały również wręczone nagrody, wyróżnienia, ogłoszono wyniki plebiscytów, m.in. rozpisanego przez PSMF plebiscytu na książkę 40-lecia (nazwiska laureatów wszystkich nagród przyznanych przez PSMF można znaleźć w nr 12 „Fantastyki" z roku 1984). Wśród osób, które bawiły w Staszowie niemal nie było niezadowolonych.

Rok 1984 przyniósł fanom również i inne osiągnięcia.

Zabiegi o utworzenie Księgarni Wysyłkowej, prowadzone od początku istnienia Stowarzyszenia, zaowocowały wreszcie własnym Klubem Książki Fantastycznej, inicjatywą cenną szczególnie dla członków-korespondentów Stowarzyszenia.

Zwołany w dniach 2 i 3 czerwca Nadzwyczajny Zjazd Delegatów PSMF uregulował sprawy dotyczące aktów prawnych organizacji, jej działalności gospodarczej i programu jej rozwoju.

Współpraca ze Zrzeszeniem Studentów Polskich zaowocowała przygotowaniem i wydaniem pierwszych numerów kwartalnika „Feniks" (120 stron, format A-5) i dwumiesięcznika „Sfera" (format A-3, 16 stron), poświęconych fantastyce i polskiemu Fandomowi.

Z satysfakcją wypada odnotować fakt nawiązania przez Oddział Warszawski PSMF „Sfera" bliższych kontaktów z radiowym programem „Zapraszamy do Trójki", którego redakcja zaproponowała Stowarzyszeniu comiesięczne spotkanie z radiosłuchaczami. Pierwsze z takich spotkań odbyło się w październiku.

W okresie przełomu w Polskim Fandomie, jeden z liczących się działaczy OKMFiSF wystosował do swoich kolegów z Rady Głównej list otwarty. Nawoływał w nim do „zejścia na ziemię". Megalomańskie ambicje kolegów tłumaczył słabą znajomością przez nich środowiska fanów oraz możliwości organizacji, którą kierowali. Ich program działania określił jako „pobożne życzenia". W jednym miał rację – że aspiracje miłośników fantastyki w naszym kraju mierzą wysoko. Wezwanie w liście otwartym do: „pogodzenia się z losem i przyznaniem raz na zawsze, że ruch miłośników fantastyki w Polsce stanowi jedynie małą grupę wzajemnej adoracji" było i jest nie do przyjęcia przez nowe władze nowych organizacji fanów. Było charakterystycznym przykładem wyciągania zbyt daleko idących wniosków oraz prób szukania usprawiedliwienia własnych błędów.

W jaki sposób władze PSMF pragną realizować wysokie aspiracje ruchu miłośników fantastyki? Jakie wzory rozwiązań przyjęło Stowarzyszenie?

O sile każdej organizacji decydują następujące czynniki: jej jedność, możliwość objęcia przez nią mecenatu nad wszelkimi działaniami objętymi jej sferą zainteresowań (a więc możliwość speł-

Polski Fandom w latach 1981–1984

nienia pokładanych w niej nadziei,) oraz pełna jej otwartość na zewnątrz.

Jedność ruchu miłośników fantastyki w Polsce, a PSMF w szczególności, władze Stowarzyszenia pragną stworzyć lansując i realizując pluralizm klubowy. Żadnego klubu SF w kraju nie zmusza się (czy w jakikolwiek sposób namawia) do przystąpienia do naszej organizacji. System konsolidacji ruchu „na siłę" (OKMFiSF!) jest nam obcy! Ambitny program mogą realizować jedynie osoby w pełni przekonane co do słuszności działań przyjętych przez Stowarzyszenie. Jedność ruchu miłośników fantastyki w Polsce należy tworzyć nie przez wąskie struktury organizacyjne, lecz przez wspólnotę interesów i współpracę. Więzi organizacyjne mają służyć jedynie zwiększeniu możliwości uzyskania lepszych efektów. Mają być stymulatorem, a nie hamulcem działań.

Mecenasem ruchu PSMF ma szansę stać się wtedy, gdy – dysponując odpowiednimi środkami – będzie w stanie realizować nie tylko program centralny, lecz również będzie mogło wydatnie wspierać działania klubów i fanów w terenie. Sądzimy, iż nie jest to perspektywa odległa. Jej realizacji służą kontakty z ZSP, inicjatywa rozpoczęcia przez PSMF działalności gospodarczej, współpraca z organizacjami i instytucjami kulturalnymi. Utworzony przy Stowarzyszeniu Fundusz im. Stefana Grabińskiego otoczy opieką młodych twórców przyznając stypendia twórcze, nagrody, pomoc socjalną (czekamy na wsparcie finansowe tej inicjatywy ze strony wydawnictw, którym SF przynosi milionowe zyski). Klub Twórców rozpoczyna realizację cyklu warsztatów twórczych. Pisma „Feniks" i „Sfera" oraz redakcja fantastyki w Studenckiej Oficynie Wydawniczej „alma-press" ułatwią debiut (pierwsze książki firmowane przez PSMF ukażą się już w 1985 r.).

PSMF pragnie się stać mecenasem również i przez fakt udostępniania swojego dorobku całemu ruchowi. Traktuje swoje osiągnięcia jako dorobek całego Fandomu Polskiego.

Ruch miłośników fantastyki zyskał ostatnio silnego sprzymierzeńca w miesięczniku „Fantastyka" i jego kierownictwie. Wyrazem tego będzie zwiększenie objętości i regularniejsze niż dotychczas ukazywanie się rubryki „Wśród fanów" (stąd możliwość opublikowania tego tekstu) oraz podjęcie przez „Fantastykę" wraz z PSMF wspólnych starań o lepsze jutro Fandomu.

Czy ta droga realizacji ambicji naszego ruchu jest najszybsza i najprostsza – nie wiemy. Wydaje się natomiast rozsądna i stwarza – *naszym zdaniem* – największe szanse na ich spełnienie.

Sławomir Pikuła
Andrzej Szatkowski

■

W 1981 r. brytyjski fizjolog roślin, Rupert Sheldrake, wydał w Londynie książkę pt. „A New Science of Life" (Nowa nauka o życiu). Podstawowe tezy tej książki ogłosił równocześnie w czasopiśmie naukowym „New Scientist". Książka i artykuł wywołały w środowisku naukowym wielki szok. Do maniaków, obalających teorię względności czy wynajdujących nową wersję perpetuum mobile, naukowcy zdążyli się przyzwyczaić. Ale już od bardzo dawna nie zdarzyło się, by ceniony specjalista, uczony o uznanym dorobku, odważył się publicznie ogłosić hipotezę tak absurdalną, tak całkowicie sprzeczną z tym, co dotąd uważano za naukowe.

Z tamtej strony lustra

Najdziwniejszy pomysł stulecia

Maciej Iłowiecki

Miarą szoku mogłaby być reakcja sławnego pisma brytyjskiego „Nature", jednego z najstarszych, najbardziej znanych i dostojnych pism naukowych na świecie. „Nature" od ponad stulecia łączyła godny podziwu obiektywizm naukowy ze znaną angielską flegmatycznością i – czasem – ze szczyptą delikatnej ironii. Redakcja nigdy nie kwapiła się do nazywania czegokolwiek „pseudonauką" bez rzetelnie dokonanej analizy. Jednym z wielu przykładów może być spokojny i rzeczowy raport, jaki „Nature" swego czasu poświęciła dziwnym zdolnościom sławnego „zginacza łyżeczek", Uri Gellera. Raport nie rozstrzygnął wtedy wątpliwości, ale też jego obiektywizm zaskoczył wszystkich – i tych, którzy uznali Gellera za cudotwórcę, i tych, którzy okrzyczeli go oszustem. Wrócę kiedyś do tej sprawy; teraz chcę tylko przypomnieć, iż wyprowadzenie „Nature" z równowagi wydawało się zawsze niemożliwe.

I oto dostojną redakcję po raz pierwszy poniosły nerwy, „Nature" w artykule wstępnym nazwała książkę Sheldrake'a *„przejawem pseudonauki"* i *„oburzającym traktatem, najlepszą od wielu lat kandydaturą do publicznego spalenia"*.

Nawoływanie do publicznego spalenia książki! Tego już od dawna w Anglii nie było. Efekt był wszakże łatwy do przewidzenia: teraz już wszyscy rzucili się do studiowania książki Sheldrake'a. Wśród czytelników znaleźli się poważni uczeni, którzy uznali, że sprawa jest warta zastanowienia; zaczęły też napływać informacje o różnych dziwnych faktach, zdających się wspierać hipotezę Sheldrake'a. Powiedzmy ostrożnie: zwrócono uwagę, iż pewne niewyjaśnione dotąd obserwacje *mogą* być wytłumaczone przy przyjęciu zasadności tej hipotezy. To już w nauce coś znaczy, choć oczywiście nie przesądza niczego, zawsze mogą się znaleźć wyjaśnienia prostsze lub lepiej uzasadnione.

Czas najwyższy, bym przedstawił pomysł, który wywołał tyle szumu. Nie jest łatwo to zrobić ponieważ... po prostu brakuje odpowiednich pojęć. Jest to zresztą zmartwienie coraz częstsze współczesnej nauki – język bywa zbyt ubogi, by można było precyzyjnie wyrazić pewne subtelności podsuwane przez rzeczywistość. Nowe pojęcia dopiero się tworzą, zanim jednak zadomowią się w języku, zanim dobrze zrozumiemy ich treść, łatwo o nieporozumienia. Zwróćmy uwagę, jak niewiele mówiące są określenia używane przez samego Sheldrake'a: „hipoteza przyczynowości formującej" albo „hipoteza rezonansu kształtotwórczego". Z grubsza biorąc chodzi o to, że – zdaniem uczonego – jeśli jakaś struktura może wystąpić w przyrodzie w różnych formach, jeśli zachowanie się istoty żywej może przebiegać w różny sposób, jeśli cokolwiek może przybrać różne kształty – to owe kształty, formy zachowania się – odwzorują to, co już kiedyś w przyrodzie *wystąpiło*. Zwróćmy uwagę, iż Sheldrake zakłada istnienie takich związków przyczynowych w przestrzeni i czasie, jakich fizyka dotąd nie uwzględniała...

Powiedzmy jeszcze inaczej. Prawa przyrody zakreślają tylko pewne granice, pewne warunki, w jakich dane zdarzenia i dane formy mogą wystąpić – w tych granicach jednak i formy, i zachowania mogą być różne (w przeciwnym wypadku trzeba by przyjąć istnienie nieubłaganego determinizmu, który decyduje o wszystkim). Istnieją więc zwykle równoprawne możliwości „zaistnienia" różnych form – ale spośród tych możliwości realizuje się właśnie ta, która już raz – gdzieś i kiedyś – została zrealizowana. To tak, jakby przyroda wolała szlaki już przetarte...

No cóż, czuję, że nadal nie jest wszystko jasne. Najłatwiej może zrozumieć to na przykładzie, którym posłużył się sam twórca hipotezy „rezonansu kształtotwórczego". *„Załóżmy więc* – pisze Sheldrake – *że jakieś zwierzęta, powiedzmy szczury, wyuczą się w jednej miejscowości pewnej nowej sztuczki. Wówczas na całym świecie inne szczury tego samego gatunku będą mogły łatwiej nauczyć się tej samej sztuczki, nawet jeśli brak między nimi jakichkolwiek znanych środków łączności i przekazu".*

Otóż przedstawiona sytuacja wydaje się niemożliwa, bowiem nie zachodzi tu przekaz informacji ani przez uczenie się od innych osobników, ani drogą genetyczną (przez odziedziczenie danej predyspozycji). Sytuację taką jednak w rzeczywistości zaobserwowano, i to nie raz, w różnych laboratoriach. Uczeni, badający zachowanie się szczurów, dawno już zauważyli, że jeśli w jakimś laboratorium zaczyna się używać nowego typu labiryntu i tamtejsze szczury w określonym czasie wyuczą się rozpoznawania w nim drogi, to po zastosowaniu tego typu labiryntu w innych, odległych ośrodkach, zupełnie inne szczury, nie mające żadnej styczności z poprzednikami ani też dotąd nie znające tego labiryntu, już znacznie *szybciej* odnajdują w nim drogę. Zjawisko takie było więc znane, ale ponieważ wydawało się *niemożliwe*, nikt nie ośmielił się poważnie o nim dyskutować. Jeśli w ogóle zastanawiano się nad tym, myślano zwykle o jakichś omyłkach, przypadkach, zbiegach okoliczności czy nawet oszustwach (zupełnie tak samo, jak dziś wielu uczonych myśli na przykład o telepatii czy o tzw. bioterapii).

Sheldrake zaś oświadczył, że jeśli opisane wyżej zjawiska istnieją (podał zresztą przykłady i innych, podobnych) to można je wyjaśnić zakładając, iż przyroda wykazuje tendencje do powtarzania pewnych form i zachowań, które poprzednio już istniały. „Tendencja" ta, zdaniem Sheldra-

ke'a, wynika z istnienia w przyrodzie specyficznego pola morfogenetycznego, pola kształtotwórczego. Pole to nie daje się zmierzyć ani nawet ujawnić obecnie znanymi metodami fizycznymi, nie wiadomo jak powstaje i jak działa na obiekty materialne; jego „moc" – zdaniem Sheldrake'a – może wzrastać, tego rodzaju pola kumulują się, zatem wpływ danego faktu na rzeczywistość powinien być tym większy, im częściej ten fakt (proces) zachodził w przeszłości.

Do dziwacznej hipotezy Sheldrake'a pasuje i taka obserwacja. Otóż chemikom zajmującym się krystalizacją nowych związków sztucznie syntezowanych (albo związków znanych, które jednak w naturalnych warunkach nie występują w formie krystalicznej) jest znany fakt, że pierwsza krystalizacja zachodzi zwykle najdłużej i najtrudniej, następne krócej i łatwiej. Nie badano nigdy bliżej tego zjawiska; sądzono na ogół, że jego przyczyną jest obecność mikroskopijnych zarodków nowych kryształów w laboratoryjnym kurzu, na ubraniach lub włosach badaczy itd. Trudniej wytłumaczyć, dlaczego substancja raz wykrystalizowana, łatwiej już i szybciej przechodzi w formę kryształu także w i n n y c h ośrodkach naukowych powtarzających doświadczenia. A i takie spostrzeżenia istnieją, choć raczej w formie żartobliwych opowieści o różnych „dziwactwach" badanych związków chemicznych; zazwyczaj się zresztą uważa, że po prostu powtórzenie doświadczenia jest łatwiejsze niż wykonanie go po raz pierwszy. Jest to myśl niewątpliwie rozsądna, ale też nikt dotąd nie zbadał, czy tak było rzeczywiście w omawianych przypadkach krystalizacji nowych związków chemicznych. Zaś Sheldrake podobne fakty tłumaczy swoją hipotezą: pierwsza krystalizacja zachodzi powoli i niełatwo, bo nie ma jeszcze pola morfogenetycznego, które „podsuwałoby" cząsteczkom chemicznym odpowiednie wzory, formy (ale nie próbujmy rozumieć owego „podsuwania" jako jakiejś świadomej czynności!). Dokonana już krystalizacja, zresztą każdy proces, który raz już zaszedł, stwarza odpowiedni „wzór", im zaś więcej takich samych zdarzeń, tym „pole wzorotwórcze" staje się silniejsze, te same procesy zachodzą więc łatwiej... Sheldrake nie przesądza, c z y m mogłoby być owo „pole morfogenetyczne"; pojęcie „pola" kojarzy się zwykle z jakimś rodzajem energii, ale nie musi to być energia. Być może chodzi tu w ogóle o pewną swoistą strukturę samej rzeczywistości (strukturę, w której przyczyna i skutek są połączone innymi związkami niż sądziliśmy dotąd).

Wszystko to wydaje się zupełnie niewiarygodne, w sposób oczywisty absurdalne. Być może jednak nie jest tak zupełnie absurdalne, skoro wybitny fizyk brytyjski David Bohm, zajmujący się filozofią przyrody i znany z prac o przyczynowości, jeszcze przed Sheldrakiem twierdził, że w przyrodzie musi istnieć „ukryty porządek", jakiś ukryty wymiar, niedostrzegalny jeszcze przez fizyków. Zaś znakomity uczony amerykański Willis Harman, zajmujący się badaniem świadomości społecznej, uważa, że hipoteza Sheldrake'a odegra zasadniczą rolę *„w zmianie naszych przekonań na temat funkcjonowania wszechświata"*. Harman pracuje w Instytucie Badawczym Standforda w USA, zaś Instytut Stanforda ma renomę wystarczającą, by należało liczyć się z opiniami jego pracowników.

Naturalnie, można też wymienić wielu specjalistów, którzy hipotezę Sheldrake'a uważają po prostu za brednie. Skoro jednak opinie uczonych są podzielone i są tak skrajne, najlepszym wyjściem wydaje się propozycja tygodnika „New Scientist": trzeba wymyślać eksperymenty, które mogłyby hipotezę Sheldrake'a weryfikować. Myśl bardzo trafna, jak rzadko przecież specjaliści skłonni są akceptować takie rozwiązania wobec zjawisk, które nie mieszczą się w granicach dotychczasowej wiedzy...

Sheldrake przytacza różne doświadczenia; prześledźmy niektóre, ponieważ pozwalają łatwiej pojąć hipotezę „rezonansu", nadto ich wyniki są ciekawe i trudne do wyjaśnienia niezależnie od samej hipotezy. To znaczy, że nawet jeśli pomysł Sheldrake'a jest bzdurą, wyniki tych eksperymentów trzeba będzie jakoś wyjaśnić.

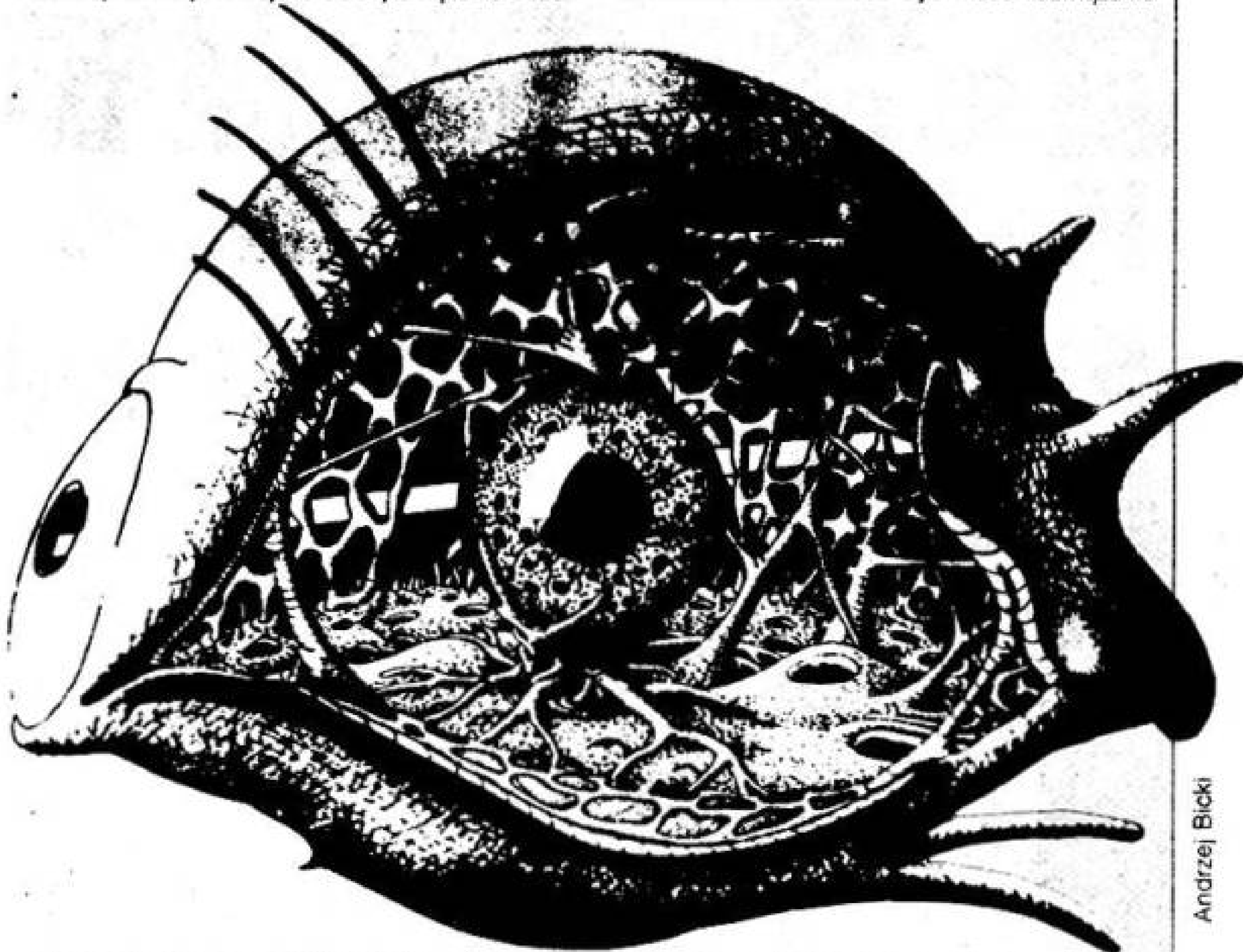
Otóż więc wybranym losowo ludziom, których ojczystym językiem jest angielski, zaproponowano nauczenie się trzech wierszyków japońskich, z których pierwszy był autentyczną japońską kołysanką, drugi mało znanym wierszem poety japońskiego, trzeci – bezsensownym, ale rytmicznym ułożeniem japońskich słów. O charakterze wierszyków wiedzieli oczywiście tylko eksperymentatorzy. Zgodnie z hipotezą Sheldrake'a ludzie nie znający japońskiego powinni uczyć się najszybciej i najłatwiej wiersza pierwszego, bo uczyły się go przedtem miliony innych ludzi i w określony sposób „istniał" w świadomości społecznej (w świadomości Japończyków, jako ulubiona kołysanka ich dzieciństwa). Ku zdumieniu badaczy, osoby poddane eksperymentowi rzeczywiście ł a t w i e j zapamiętywały absolutnie sobie nie znaną kołysankę! *„Otrzymane wyniki były wysoce znaczące statystycznie"* – pisze Sheldrake. Ale zaraz też dodaje: *„rymy kołysanek mogą być same przez się łatwiejsze do zapamiętania. Przecież mogły się one przyjąć jako kołysanki właśnie dzięki swej prostocie"** Wątpliwości dobrze świadczą o Sheldrake'u, widać, że ma on umysł krytyczny i ocenia własną hipotezę bez zacietrzewienia. Drugie doświadczenie miało inny przebieg. Posłużono się obrazkami, które psychologom służą jako testy, a zawierają ukrytą treść. To znaczy, iż rysunek jest tak wykonany, że na pierwszy rzut oka nie ujawnia swego znaczenia, nieraz trzeba się długo wpatrywać, by dojrzeć jego treść (np. portret pana z brodą albo pani w kapelusiku). Rozpoznanie następuje w sposób nagły i potem już ktoś, kto dostrzegł treść rysunku, rozpoznaje go zawsze z łatwością – dziwiąc się, że inni mają trudności.

Pewnego wieczora telewizja brytyjska pokazała odbiorcom w Anglii dwa takie rysunki-łamigłówki, potem zaś pokazała rozwiązanie tylko jednej z nich. Następnie, eksperyment powtórzono w innych miejscach świata, wybierając takie, gdzie telewidzowie nie mogli oglądać programu z Anglii ani nawet dowiedzieć się o nim. Pokazano tam telewidzom znowu te same dwa rysunki, ale już bez rozwiązania i sprawdzono, ile osób rozpoznało treść każdego z rysunków.

Wydaje się oczywiste – i jest zresztą sprawdzone – że zawsze rozrzut rozwiązań jest proporcjonalny, tyle samo ludzi rozpoznaje jeden z rysunków jako pierwszy, ile odczytuje drugi jako pierwszy (z niewielkimi odchyleniami, rzędu najwyżej 10 proc.). Wedle zaś opisywanej tu hipotezy, przy drugim pokazie obrazków-łamigłówek więcej osób powinno rozpoznać ten rysunek, którego rozwiązanie poznało już wcześniej parę milionów telewidzów w Wielkiej Brytanii (przypominam: telewidzowie w drugiej części eksperymentu nigdy nie widzieli rozwiązania! Patrzyli na rysunki po raz pierwszy w życiu).

I oto okazało się, że liczba osób, które dostrzegły ukrytą twarz w rysunku, przedtem rozszyfrowanym w nieznanej im telewizji brytyjskiej wzrosła proporcjonalnie aż o 76 proc.! Takiego wyniku w żaden sposób nie można przypisać przypadkowi. Obecnie eksperyment ten – jeszcze lepiej przygotowany i eliminujący możliwe omyłki i „zbiegi okoliczności" – przeprowadzony będzie znowu, w innych miejscowościach; zobaczymy czy wyniki się potwierdzą.

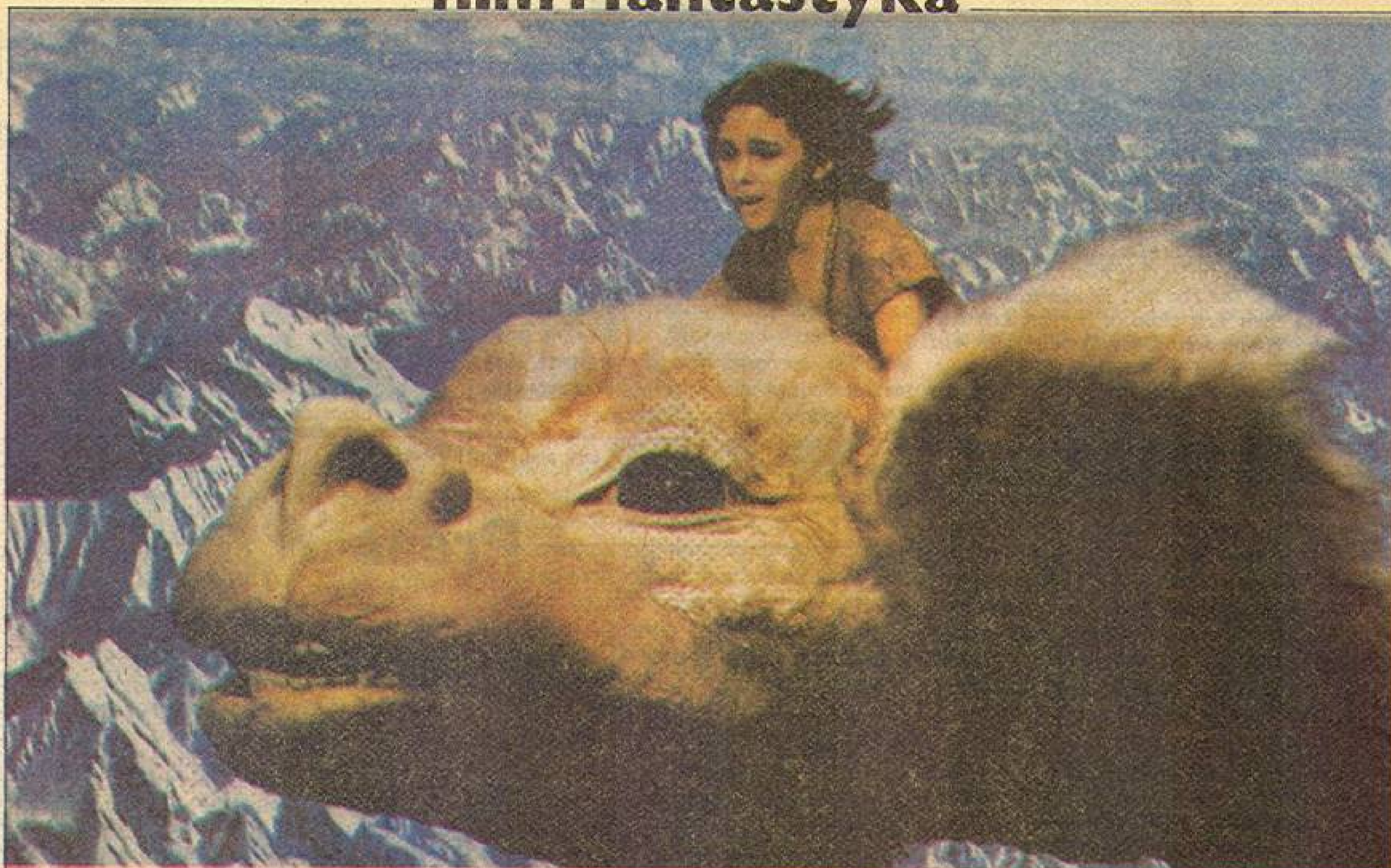
Cokolwiek byśmy krytycznego mówili o opisanych doświadczeniach i o samej hipotezie Sheldrake'a, jedno wydaje się pewne: rzetelny uczony nie może już uznać, iż mamy tu do czynienia z „brednią". J a k i e ś wyjaśnienie tego rodzaju doświadczeń istnieć musi. Być może rozwiązanie okaże się proste i nie będzie potrzeby uciekania się do dziwacznej hipotezy pola morfogenetycznego i „mnożenia bytów bez potrzeby". Być może zaś – przyroda zaskoczy nas znowu.


Andrzej Bicki

Na koniec i taka informacja: w Nowym Jorku przyznano nagrodę dziesięciu tysięcy dolarów za najlepszy pomysł doświadczenia, które przyczyniłoby się do rozwiązania „zagadki" Sheldrake'a. Może to być rodzaj testu, weryfikującego hipotezę rezonansu kształtotwórczego, może być coś innego, byleby wniosło do sprawy nowe elementy. W konkursie na pomysł (termin do grudnia 1985 r.) może wziąć udział każdy, kto ma odpowiednią wyobraźnię i w ogóle rozumie istotę doświadczenia naukowego.

Co zaś do hipotezy „rezonansu kształtotwórczego", to wydaje mi się, iż niezależnie od jej dalszych losów, jest to jeden z tych pomysłów, którym nie można odmówić wyobraźni i śmiałości. Zaś wyobraźnia i śmiałość w nauce – podobnie jak w życiu – przynosiły najczęściej dobre rezultaty.

* Kto ciekaw artykułu Sheldrake'a, polecam „Problemy" nr 11/84 – artykuł pt. „Rezonans kształtu".



Każdy chce mieć swego Spielberga



Europa zalana „Gwiezdnymi Wojnami", przygodami Indiany Jonesa i historiami o stworkach typu E.T. rozpoczęła kontratak. W barwach starego kontynentu występuje zachodnioniemiecki reżyser Wolfgang Petersen, którego dziełem była słynna „Das Boot" (Łódź) – historia z czasów II wojny światowej. Tym razem reżyser zabrał się za coś zupełnie innego. „Nie kończąca się historia" jest ekranizacją bestsellera Michaela Endego, książki pod tym samym tytułem, opartej na saksońskich baśniach i legendach (powieść wydano w RFN w 1979 r. i dotychczas przetłumaczono na 27 języków).

Mały, nieśmiały chłopiec zaczyna czytać starą, czarnoksięską księgę: „Wszystkie zwierzęta w Szalonym Lesie siedziały bezpiecznie w swoich norach, pieczarach i gniazdach. Była północ. Porywisty wiatr gwizdał w wierzchołkach starych drzew..." Tak wchodzimy w świat Fantazji, zamieszkały przez różne przedziwne stwory. Mamy więc Nocnego Hoba – pokrytą brązową sierścią niedużą istotę o wielkich oczach, skrzydłach nietoperza i długich, pokręconych palcach, miniaturowego Teeny Weeny ubranego we frak i cylinder, Zjadacza Kamieni – dobrego wielkoluda, który nie skrzywdziłby nawet muszki, Żółwicę wielką jak góra, mówiącą do siebie w trzeciej osobie, no i sympatycznego Falkora – białego smoka przynoszącego szczęście. Temu uroczemu światu grozi zagłada...

Kto może świat Fantazji uratować? Oczywiście dzieci: Bastian (Barrett Oliver – 10 lat), który odkrywa całą tę historię w starej księdze, czytanej w tajemnicy na zakurzonym strychu, oraz Atreyu (Noah Hathaway – 12 lat), jego alter ego w krainie Fantazji, któremu tę ważną misję powierza Dziecięca Cesarzowa (Tami Stronach – 11 lat). Po przeróżnych perypetiach chłopcom udaje się stworzyć połączenie między światem rzeczywistym a wyimaginowanym i uratować małą Cesarzową i jej czarodziejski świat.

Petersen twierdzi, iż zrobił film europejski, a nawet, że ma nadzieję zainaugurować nim nową erę twórczości europejskiej. Jednak realizując swoje dzieło myślał przede wszystkim o ogromnym rynku anglojęzycznym. Troje głównych aktorów – dzieci, to Amerykanie. Film był kręcony w wersji angielskiej, a dopiero potem dorobiono dubbing dla potrzeb rynku niemieckiego. Wiele plenerów realizowano w USA, korzystano również ze studiów montażowych George'a Lucasa.

Czy „Nie kończąca się historia" odniesie sukces? Michael Ende – autor książki – twierdzi zdecydowanie, że nie. Uważa bowiem, że adaptacja Petersena jest komercjalną i nieartystyczną interpretacją książki. Jednak w ciągu pierwszego tygodnia wyświetlania filmu w Niemczech Zachodnich obejrzało go milion widzów!

Opracowała
Dorota Malinowska

„NIE KOŃCZĄCA SIĘ HISTORIA" (The Neverending Story). Reżyseria: Wolfgang Petersen. Zdjęcia: Jost Vacano. Wykonawcy: Noah Hathaway, Barrett Oliver, Tami Stronach, Moses Gunn i in. RFN, 1984.

Nieprzypadkowo pragnę zarekomendować trudną książkę, która w zaledwie trzech tysiącach egzemplarzy ukazała się, a raczej mignęła jak meteor na półkach i ladach księgarskich. Może tu i ówdzie dzięki naszym nie najlepszym metodom dystrybucji będzie można ją zdobyć. Ten, komu się to uda, na pewno nie pożałuje. Zwłaszcza, gdy – może częściowo dzięki naszym skromnym wysiłkom – dostrzega rolę poezji w dziejach rozwoju kultury. Dlatego właśnie poezję tę dajemy, wbrew protestom niektórych zwolenników getta science fiction. Nieraz pisałem o poetyckim, baśniowym i mitologicznym rodowodzie fantastyki, a wielka fala fantasy – upoetyzowanej (chociaż nazbyt rzadko), filozofującej baśni fantastycznej – świadczy o sięganiu współczesnych twórców do korzeni najważniejszych zjawisk intelektualnych i emocjonalnych.

Wit Jaworski – czterdziestoletni filozof i poeta, redaktor krakowskiego „Pisma Artystyczno-Literackiego", cenionego, ambitnego miesięcznika – otwiera swoją „Poezję filozofów" takimi oto słowami: *„Jeżeli przyjmiemy pogląd, że filozofia wyłoniła się z mitu i była próbą jego racjonalizacji, że pierwsze dokonania filozofów ujęte są w formę poetycką, a pierwsze hymny greckie nazywają się prawami, to staniemy wobec trudności wyznaczenia granicy między racjonalną a wyobrażeniową koncepcją świata..."* A w innym miejscu dodaje: *„...uświadomiliśmy sobie, że z jednej strony mamy historię pisaną przez historyków z cechowymi papierami, a z drugiej historię odczuwaną przez człowieka. Tę pierwszą zidentyfikowano z fikcją, a drugą z prawdą, choć monopol na historyczną prawdę skłonni byli przypisywać sobie autorzy tej pierwszej..."*

Idąc śladami tego rozumowania można by z całym poczuciem słuszności tezy Jaworskiego stwierdzić, iż historia mieszka w każdym z nas, tkwi głęboko w naszej świadomości, uczuciach i myślach, wpływając zarówno na nasze marzenia, fantazję, jak i na kierowanie racjonalnymi przesłankami postępowania. Z wypowiedzi uczonych i praktyków nauki i techniki tej miary co astro- czy kosmonauci – wynika splot najróżniejszych zależności między poezją, fantazjowaniem a nauką i jej realizacjami. Przypomnijmy niektóre z nich. C. Townes laureat nagrody Nobla, fizyk: *„Kończyłem studia nie na wydziale nauk ścisłych, lecz specjalizowałem się w lingwistyce, a także pasjonowałem innymi naukami humanistycznymi. Moim zdaniem uczeni to wdzięczni odbiorcy literatury i sztuki".* A. Einstein: *„Intuicja i fantazja*

Powrót do korzeni

sprzyjają rozwojowi nauki w większym stopniu niż wiedza." K. Fieokistow, kosmonauta: *„Dobra literatura pobudza fantazję. Nie można żyć w ascetycznej atmosferze i wymyślać coś nowego. Sztuka pomaga żyć pełnym życiem."*

Jaworski – demonstrując poezję filozofów w jej potężnej historycznej perspektywie, stara się jednak udowodnić nie tylko ścisłe związki między filozofią a poezją. Pisze: *„Poezja nadal ocenia".* Jej ironiczno-satyryczne treści, sojusze ze zdrowym rozsądkiem odpornym na indoktrynację, sprzeciw wobec „pewności" nowego elitaryzmu, jakim jest technokratyzm, filozofia ekspertów – utrzymują nadal jej filozoficzność... Dobrze zatem jeśli poezja i filozofia potrafią utwierdzić się nawzajem w przekonaniu, że ich wspólnym zadaniem jest obrona przed zbyt łatwą przystawalnością do społecznych eksperymentów. Tradycja wzajemnych utarczek i sojuszów filozofii z poezją trwająca już dwa tysiące lat nie da się zamknąć w jedną uogólniającą formułę... Może także i z tej przyczyny, o której mówi piękny wiersz Johna Robinsona Jeffersa „Mędrcy w chwilach zwątpienia":

„...Ach pasikoniki
Śmierć to morderczy ptak na łące,
lecz umrzeć zostawiając dzieło,
Które bliższe będzie osiągnięciom stuleci,
Niż muskuły i kości, to znaczy zrzucić
słabość.
Góry są z martwych kamieni. Ich wyniosła
postawa
I zuchwały spokój budzą nienawiść lub
podziw u ludzi.
Góry przez to nie mięknąą, obcy im jest
niepokój,
A myśli nieliczne umarłych mają podobny profil.
(przeł. Z. Ławrynowicz)

Podziwiam wielkość pracy włożonej przez Jaworskiego zarówno w przemyślenia na temat filozofów i ich poezji, jak i w sam wybór – od Talesa z Miletu (ur. ok. 625 r. p.n.e.) aż do naszych czasów. Zastrzeżenia (gdzie ich nie ma) dotyczą niekiedy zasad wyboru i jakości przekładów. Nie sądzę jednak, aby podobną książkę wydano tylko raz i to w tak minimalnym nakładzie. A w kolejnych wznowieniach będzie można poprawić zarówno wybór jak i formę niektórych przekładów. Dobra poezja obroni się sama. Niechaj zamieszczone na naszych łamach wiersze będą próbą dokonań edytorskich Jaworskiego.

Adam Hollanek

PS. Doznawałem wielkiej, wyciskającej nieraz łzy, przyjemności, kiedy czytałem te wiersze filozofów, wiersze zrodzone przecież w jakże różnych czasach, przez odmiennych ludzi, o jakże zróżnicowanych poglądach na kształty i losy świata.

Wit Jaworski: Poezja filozofów. Wyd. Literackie, Kraków-Wrocław 1984. Cena 200 zł.

Czterowiersz pitagorejski (V w. p.n.e.)

Jeśli Ktoś powie: „Jam bóg; Tamten nie jest jedyny",
Ten niech spróbuje świat stworzyć; tak wielki jak ten,
W którym mieszka.
Rządzić tym popróbuje, co stworzył; on, wytwór
Świata drugiego.

Tłum. W. Witwicki

Leonardo da Vinci (1452–1519)

Niepokój

Ziemi i głazów naniósł ilość tak obfitą
Potok, że wreszcie musiał zmienić swe koryto.

Tłum. L. Staff

Giordano Bruno (1548–1600)

...I z tego samego zamętu
pochodzą wszystkie wszystkich jednakowe losy.

Tłum. K. Żaboklicki

Blaise Pascal (1623–1662)

Natura człowieka jest całkowicie naturalna,
omne animal.
Nie ma nic, czego by nie można uczynić naturalnym,
nie ma nic naturalnego, czego by nie można zatracić.

Tłum. T. Żeleński (Boy)

Anioł Ślązak (1624–1677)

(Dystychy w kongenialnym tłumaczeniu Adama Mickiewicza)

Bóg nic darmo nie daje, lecz wszystko otwiera,
I każdy z Boga tyle, ile chce, zabiera.

Sam Bóg bez wiedzy naszej nie może nas rzucić,
a choć rzuci, gdy zechcem, musi do nas wrócić.

Cierpi człowiek, bo służy sam sobie za kata,
sam sobie robi koło i sam się w nie wplata.

Simone Weil (1909–1943)

Krzyż

(fragment)

...Ktokolwiek bierze miecz, zginie od mieczy.
A ktokolwiek nie bierze miecza
(albo z rąk go wypuszcza) zginie na krzyżu.

Tłum. Cz. Miłosz

Tadeusz Kotarbiński (1886–1981)

Gdybyście powrócili do bytu z otchłani,
Jak o tym pośród nocy w zachwyceniu śniłem,
Nie umiałbym żyć z Wami, moi Ukochani,
Tak u mnie wszystko inne, tak ja się zmieniłem.
Skoro współżyć nie sposób, niebyt nas powiąże:
Wy do mnie nie przychodźcie, ja do was podążę.